

NICK
WEBB

STARA FLOTA



TOM 8

ZAGROŻENIE

NICK
WEBB

STARAFLOTA

TOM 8

ZAGROŻENIE

Przekład
Małgorzata Koczańska



Warszawa 2023

Tytuł oryginału: *Leviathan: Legacy Fleet Book Eight*
Copyright © 2021 Nick Webb
All rights reserved

Projekt okładki: Tomasz Maroński
Redakcja: Agnieszka Pawlikowska
Korekta: Dorota Piekarska
Skład i łamanie: Karolina Kaiser
Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Książka ani żadna jej część nie może być kopiowana w urządzeniach przetwarzania danych ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Wydawca:
Drageus Publishing House Sp. z o.o.
ul. Kopernika 5/L6
00-367 Warszawa
e-mail: drageus@drageus.com
www.drageus.com

ISBN EPUB: 978-83-67053-53-2
ISBN MOBI: 978-83-67053-54-9

Tobie, bezgranicznie cierpliwym Czytelniku

Prolog

SEKTOR IRIGOYEN
KIOTO 3
WOJSKOWY OŚRODEK
BADAŃ TECHNOLOGICZNYCH
IM. GENERAŁA LESLIEGO GROVESA

Kiedy chorąży Matthew Decker wybudził się ze śpiączki, w izbie chorych panował rozgardiasz i chaos. Zataczając się, Decker wyszedł na usiany szczątkami korytarz i dotarł do swojej kajuty. Za oknem walił się właśnie najwyższy biurowiec w szwajcarskim Bernie.

Po ulicach wokół rozpierzchły się ciemne kropki, ludzie próbowali uciec przed spadającym gruzem i pyłem, ale tuman kurzu szybko ich pochłonął.

Pieć na Ziemi. Zupełnie jak w opowieściach z czasów drugiej wojny z Rojem.

Pozostały czas na pokładzie „Niepodległości” rozmywał mu się w pamięci – czy Ziemia naprawdę poddała się Findiri? Czy admirał Proctor rzeczywiście ogłosiła na otwartym kanale łączności, że nie podporządkuje się rozkazom dowódcy, i została dezercerką oraz buntowniczką? Czy wszyscy oficerowie i załoganci, którzy postanowią opuścić okręty, dostaną transport bez żadnych pytań?

Czy prosiła go, by został? Czy miała łzy w oczach, gdy opisał jej agonię po usunięciu towarzysza Valarisi?

Decker pamiętał, że go uścisnęła i wysłała bez wahania. Dała mu nawet jeden z promów „Niepodległości” i zapewniła, że nie musi się przejmować, jak go zwrócić. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić – tak powiedziała.

A teraz, na orbicie Kioto 3, musiał wrócić do bardziej przytomnego stanu umysłu. Komunikator. Ktoś mówił, słyszał go przez głośniki systemu łączności.

„Odpowiedz, idioto”.

– Yyy, to, tak, potwierdzam, tu prom „Andante” z OZF „Niepodległość”, chorąży... – Jak się nazywał?

Szlag, po odebraniu mu towarzysza miał wrażenie, że stracił też poczucie własnej tożsamości. Nazwisko, jak miał na nazwisko?

– Przepraszam, nie usłyszałam, „Andante”, coś przerwało. Jak ma pan na nazwisko?

– Chorąży... Decker. Jestem chorąży Decker.

– Poproszę o pańską autoryzację, chorąży.

– Och, przepraszam. Autoryzację? Jestem oficerem floty na promie floty i chcę wylądować w bazie floty.

W głosie kobiety zabrzmiała z trudem opanowywana irytacja.

– Nikt nie ląduje w Ośrodku Badań Technologicznych imienia generała Lesiego Grovesa ot, tak sobie. Potrzebna jest odpowiednia autoryzacja i dostęp do tajnych danych.

Gdyby Decker miał ze sobą towarzysza, sięgnąłby przez Więż, wczuł się w umysł kobiety, popatrzył na ekran komputera jej oczyma i przekazał dowolny kod dostępu, który umożliwiłby mu lądowanie.

Zamknął oczy i mentalnie sięgnął przed siebie, jakby Valarisi wciąż mu pomagał. Przypominało to wyciąganie ręki, ale nie miał już ramienia, chociaż widmowe poczucie jego posiadania wciąż pozostawało, jak gdyby chciał dotknąć przestrzeni.

– Chorąży Decker?

Otworzył oczy. Nic. Nie mógł wykorzystać niczego oprócz prawdy.

– Przyleciałem tutaj, bo uciekłem z „Niepodległości”. Okręt zdezerterował i nie słucha już admiralicji. Chcę zwrócić własność floty, ten prom, a także... Jeszcze kilka dni temu byłem zjednoczony z towarzyszem Valarisi. Usunięcie go z mojego organizmu spowodowało... ach, kilka problemów. Pomyślałem, że tutejsi naukowcy mogą mi pomóc. Cholera, jeżeli nic z tego nie wyjdzie, będą przynajmniej mogli mnie przebadać.

Była to jego jedyna szansa. Decker wiedział, że na tej planecie znajdował się ośrodek badawczy zajmujący się Valarisi, więc większość Valarisi przebywała właśnie tutaj.

W basenie przerobionym na ich potrzeby.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Na długo, bardzo długo. Cienki błękitny pas atmosfery Kioto 3 jaśniał nad horyzontem planety. Deckera ogarnęła nostalgia – jego towarzysz był pod tym względem bardzo podobny, przypominał niemal nieistotny błękitny pas, bez którego jednak planeta by wymarła. Decker też miał wrażenie, że umiera bez swojego towarzysza.

Nie mógł dłużej tak żyć.

– Chorąży Decker? Ma pan zezwolenie na lądowanie. Poziom B. Ośrodek Grovesa, bez odbioru.

– Dziękuję. Decker, bez odbioru.

Jego umysł znowu pogrążył się w rozmytym stanie, w którym młody mężczyzna funkcjonował jak na autopilocie. Podstawowe szkolenie z pilotażu pozwoliło mu posadzić prom na lądowisku bezwypadkowo, a potem miał mgliste wrażenie, że ochrona odprowadziła go do jakiegoś pokoju w budynku kosmoportu.

Jednak jedyne, co zapamiętał, to napływ... uczuć.

Byli tutaj. Wyczuwał ich.

Nawet odłączony – odcięty, oderwany, wyszarpnięty – z Więzi, wciąż mógł ich wyczuć. Przypominało to przebywanie w pustym pokoju z zamkniętymi drzwiami, za którymi stał wielki tłum milczących ludzi. Nie odzywali się, ale i tak dawało się wyczuć ich ruchy, usłyszeć szuranie stóp, szmery lub szelest ubrań.

Przez następne kilka dni Decker był macany, szczypany i opukiwany. Skan za skanem, pomiar za pomiarem, odbywało się nad nim coraz więcej niezliczonych konsyliów i sesji doradczych.

Skupił spojrzenie na przepytującym go naukowcu.

– Myśli pan... że mógłbym ich zobaczyć?

– Zobaczyć? Kogo zobaczyć?

– No, wie pan. Ich. W basenie. Valarisi.

Mężczyzna pokręcił głową. Quinn. Nazywał się doktor Quinn.

– Absolutnie nie. Po pierwsze, nie ma pan odpowiedniej przepustki ani poziomu dostępu. A po drugie, mamy ściśle rozkazy, aby nikogo, dosłownie nikogo nie dopuszczać w pobliże zbiornika.

– Rozkazy? Od kogo?

– Od najwyższego dowództwa – wyjaśnił Quinn. – Od admiralicji, a najpewniej od samego naczelnego admirała Oppenheimera.

– Ach. Rozumiem. – Decker zerknął na drzwi po drugiej stronie pokoju, przez które doktor Quinn zawsze wychodził po zakończeniu sesji. Przesuwał kartą wyjętą z kieszeni fartucha, drzwi się rozsuwały i doktor zniknął aż do kolejnego spotkania. – Są za tymi drzwiami, prawda?

Quinn odwrócił się w kierunku wskazanym przez Deckera.

– To nie pańska sprawa, chorąży.

– Wystarczy tak lub nie, doktorze.

– Nie. Odpowiedź brzmi: nie. A teraz zakończmy nasze spotkanie, żebyśmy obaj mogli zdążyć na lunch.

Dwa miesiące z towarzyszem nauczyły Deckera więcej o ludziach niż całe dotychczasowe życie. Zdolność do wyczuwania emocji innych i zagładania pod maskę zniknęła wraz z Valarisi, ale obserwowanie przez tak długi czas, jak wygląda człowiek, który kłamie, okazało się bardzo przydatne.

Twarz doktora Quinna była... zbyt beznamiętna, gdy zaprzeczył. Leciutkie skrzywienie warg. Ledwie zauważalne zaczerwienienie na skroniach. Powtórzenie słowa „nie”. Gdyby towarzysz wciąż był z Deckerem, powiedziałyby: *On kłamie, Matthew*. Decker niemal to słyszał.

Poruszył się tak nagle i tak szybko, że doktor Quinn nie zdążył zareagować. Decker zepchnął mężczyznę z krzesła, przycisnął go do podłogi i przydusił. Quinn szarpał się, ale na próżno. Po chwili znieruchomiał.

Decker zatrzymał się na dokładnie trzy sekundy, aby sprawdzić puls doktora i upewnić się, że nic mu nie będzie, po czym wyjął kartę i zerwał się do biegu.

W rzeczy samej, basen tam był. Na końcu korytarza, tuż za szatnią i wyjściem na salę gimnastyczną. Cały budynek, wzniesiony dla celów sportowych i rozrywki, zmieniono bardzo pośpiesznie w tajny, ściśle strzeżony ośrodek, dlatego nikt nie zdążył zamontować w drzwiach dodatkowych zabezpieczeń.

Decker stanął nad basenem, czubki jego butów wystawały nad wodę.

Tutaj byli głośniejsi. Jakby teraz nie tylko znajdował się w pustym pokoju, lecz przyciskał ucho do drzwi i przez drewnianą barierę wyczuwał obecność ogromnego tłumu ludzi.

Przykucnął i zanurzył palec w wodzie.

Matthew, wróciłeś! Znalazłeś mnie.

To był jego towarzysz. Decker uśmiechnął się, a serce zaczęło mu bić szybciej – znowu poczuł, że żyje.

Jestem tu – pomyślał. Możesz do mnie wrócić?

Nie, Matthew.

Ta odmowa była jak ostrze raniące go w dłonie.

Co? Dlaczego?

Ponieważ usuną mnie znowu, i to od razu. A ciebie zamkną w celi.

Ale... potrzebuję cię... Nie potrafię funkcjonować, żyć bez ciebie. Prawie umarłem.

Wiem, ja też. To było traumatyczne przeżycie dla nas obu.

Jednak... na pewno istnieje sposób...

Posłuchaj, Matthew. To mało ważne, choć wydaje się nam, że wręcz przeciwnie. Ale jest coś o wiele ważniejszego, o czym musimy porozmawiać.

O czym?

Rój. Powrócił.

Wiem. Słyszałem pogłoski przed odlotem z „Niepodległości”. Czyli to jednak prawda?

Tak, ale ta jednostka jest inna. Rój, który spadł do czarnej dziury Penumbry z Grangerem, i Rój, który ostatnio zaatakował Ziemię i zniszczył Brytanię, to... zwykły Rój. Ten, który my, a raczej nasi przodkowie dobrze znali.

Czyli... istnieje inny Rój?

Nie inny pod względem jakości czy raczej złowości oraz zdolności. Jednak różny w czasie. Granger się mylił. Nie zniszczył wszystkich jednostek. Wyczuliśmy, że ten Rój istnieje już miliardy miliardów – może nawet tryliardy lat. Przybył z czasów końca naszego wszechświata. Z końca czasu.

Czas może się skończyć?

W pewnym sensie. Tak i nie. Nasze uniwersum się rozszerza i ta ekspansja przyśpiesza. A samo przyśpieszenie stanowi czynnik przyśpieszający. Gdy ma się do dyspozycji dość czasu, sama struktura czasoprzestrzeni zacznie wibrować z taką mroczną energią, że nowy wszechświat wydzieli się ze starego. Życie ze śmierci. Energia

z entropii. Oto wielki cykl multiwersum istnienia oraz ocean wieczności, z którego się wywodzi.

Ale co ten Rój tutaj robi?

Próbuje wcześniej położyć kres istnieniu naszego wszechświata.

Waga tych informacji przygniotła Deckera. Od dziecka słuchał i czytał opowieści nie o jednym, lecz dwóch atakach Roju na Ziemię oraz o heroizmie kapitana Grangera z „Konstytucji”, któremu wreszcie udało się położyć kres zagrożeniu. Jednak wtedy niebezpieczeństwo nie było tak wielkie. Rój chciał podbić Ziemię, aby ją władać. Chciał ją sobie podporządkować wraz z całą ludzkością.

Ale nie było mowy o zniszczeniu całego wszechświata!

Dlaczego chce to zrobić?

To skomplikowane. A wyjaśnienie zajmie za dużo czasu, którego już nie masz, Matthew. Właśnie teraz doktor się ocknął i znalazłeś się w niebezpieczeństwie.

Wróć do mnie – spróbował jeszcze raz.

Nie.

Proszę.

Mam inną propozycję, Matthew. Przyjdź do nas.

Jak?

Stulecia temu, kiedy władał nami Rój, mogliśmy... konsumować... reprezentanta nowego gatunku, aby zrozumieć jego każde białko, każdy kwas aminowy, aż do poziomu molekularnego. Istota taka zostawała cieleśnie zniszczona, ale wiedza Roju wzrastała.

Chcecie mnie... skonsumować? Zabić?

Nie, nie chcemy cię zabić. Chcemy się z tobą zjednoczyć. Skonsumować i wchłonąć ciebie. Twój umysł i esencja przetrwają i będą żyć. Czas się kończy, Matthew. Pojawienie się tego okrętu Roju skomplikowało naszą sytuację. Planowaliśmy, że będziemy długo poznawać ludzkość. Lecz okazało się, że nie mamy tak wiele czasu. Jeżeli cię wchłonimy, przyspieszy to nasze wysiłki. Proszę, dołącz do nas.

Decker opadł na kolana, ale nie wyjął palca z basenu.

– Czy to będzie bolało? – zapytał na głos.

Tak. Ale będę z tobą przez cały czas i przez cały ból, Matthew. I nie będzie to wydawało się cierpieniem, lecz... przejściem. Gwałtowną,

piękną przemianą. Staniesz się jednym z nas, twoja esencja i umysł będą żyły między nami, wśród nas, mimo że ciało umrze. Prawdę mówiąc, dla człowieka to los o wiele lepszy niż śmierć.

Trzaśnięcie drzwi w korytarzu sprawiło, że Decker podjął decyzję. A raczej, prawdę powiedziawszy, utwierdziło go w niej, bo zdecydował, gdy tylko otrzymał zaproszenie.

– Co mam zrobić?

Dołącz do nas. Dosłownie. Wejdź do basenu.

Decker wyciągnął palec ze zbiornika, a głosy w jego głowie zamilkły. Słyszał nie tylko swojego towarzysza, lecz także tysiące, może nawet miliony innych. I wszyscy umilkli.

– Stój, Decker! – rozległ się okrzyk. – Zatrzymać go!

Niedaleko zadudniły kroki.

I był to ostatni dźwięk, który usłyszał Decker.

Woda wypełniła mu uszy, usta i nos, gdy opadał w głąb basenu. Chociaż odruchowo wstrzymał oddech, woda wdzierwała się mu do zaciśniętego gardła, do płuc i żołądka... poczuł ją nawet, gdy wlała mu się do penisa i jąder.

Szarpnął się i krzyknął z bólu – zdawało się, że jest obdzierany ze skóry, a potem miliony ostrzy wbiły mu się w żyły i rozerwały mu serce. Decker otworzył oczy i... o zgrozo, jego skóra rzeczywiście została zdarta, komórka po komórce, proteina po proteinie, cząsteczka po cząsteczce.

Spokojnie, Matthew. Skup się na mnie. Czujesz to? Stajesz się jednym z nas.

Czuję... To boli. Boże, jak strasznie boli. Ale czuję to.

I rzeczywiście – czuł to. Chór głosów zmienił się w legion, a Decker miał wrażenie, że dołączył do tego chóru. Głosy rozbrzmiewały wokół niego, nad i pod nim oraz wewnątrz niego. Jego głos stał się ich głosem, a ich był jego. Tam gdzie kończył się Decker, zaczynali się oni, ale wreszcie nie było ani początku, ani środka, ani końca.

Byli tylko Valarisi.

Rozdział 1

SEKTOR KIJOWSKI WYSOKA ORBITA NAD PLANETĄ BIAŁORUŚ OZF „NIEPODLEGŁOŚĆ” MOSTEK

– Ile jeszcze do ostatniego skoku kwantowego? – zapytała admirał Proctor.

Chorąży Destachio z podkrążonymi oczyma przygarbił się nad konsolą. Przez ostatnie dwa tygodnie postarzał się o lata. Kliknął kilka przycisków.

– Około trzech minut i będziemy nad Bellarusą, pani admirał.

– Wymawia się: Bia-ło-rus, chorąży, nie Bella-rus. To planeta, nie dystrykt wschodnioeuropejski.

– Tak jest, przepraszam, ma’am – odpowiedział z lekkim grymasem.

Ostatnie dni były... niełatwe. I odbiły się na wszystkich. Ziemia poddała się Findiri. Większość floty stanęła po stronie Oppenheimera, który z otwartymi ramionami przywitał wrogów. Proctor i kilku zaprzyjaźnionych admirałów na garstce okrętów zostali skazani na ucieczkę od jednego układu gwiazdowego do kolejnego. Chcieli zgubić pościg i wymyślić, co robić dalej.

Co dalej?

Okręt Roju, ten, który pojawił się nad plażą Brytanii na kilka sekund przed uderzeniem Tytana w planetę, uniknął zagłady. Findiri byli śmiertelnie groźni, to pewne. Podbili Ziemię kilka dni temu przy pomocy zaledwie kilku wystrzałów.

Ale Rój? Ci obcy byli o krok od zgładzenia całej ludzkiej cywilizacji, i to nie raz, lecz trzy razy.

Co dalej zatem?

Po pierwsze, należało znaleźć i zniszczyć okręt Roju. Zanim zgładzi jakikolwiek świat zasiedlony przez ludzi albo zanim wezwie swoich towarzyszy – zależy, co nastąpi wcześniej.

Po drugie, uwolnić Ziemię od Findiri i wymyślić, jak się ich pozbyć na dobre. Albo pokonać ich w bitwie, albo wynegocjować pokój, po którym opuszczą Ziemię.

Po trzecie? Usunąć zgniliznę, która rozpleniła się w Zjednoczonej Flocie i rządach Zjednoczonej Ziemi. Czy w ogóle warto było ocalić kogoś z nich?

Proctor pokręciła głową. Bóg raczy wiedzieć...

Oppenheimer. Ten przeklęty zdrajca.

W głębi duszy doskonale wiedziała, że punkt trzeci powinien właściwie znaleźć się na początku. Wrogów nigdy nie uda się pokonać, dopóki ludzie nie staną przeciwko nim zjednoczeni i jako jeden silny front. I właśnie dlatego Proctor wybierała się na spotkanie z zaskakująco żywym, nie zmarłym przewodniczącym Galaktycznego Kongresu Ludzkości, Curielem. Mieli porozmawiać o możliwości nawiązania nowego... sojuszu? Stworzenia organizacji? Rządu? Tylko czas mógł rozwiązać te niejasności.

Jednak zanim buntownicy w ogóle wyruszyli, ich misję przerwał nieoczekiwany atak i zniszczenia na Białorusi 3, świecie o niewielkiej ważności pod niezbyt ścisłą kontrolą Konfederacji Rosyjskiej.

– Rozpocznym skok kwantowy, ma'am – zameldował chorąży Destachio.

Znajomy ucisk we wnętrzościach ustąpił, gdy ekstremalne efekty kwantowe po skoku minęły. Jednak kiedy Proctor uniosła głowę i popatrzyła na główny ekran, nie było tam spokojnego rozgwieżdżonego nieba, lecz piekło.

– Mój Boże... – wyszeptała.

Na orbitach wokół planety krążyły bezładnie wraki bez wątplenia sporej floty.

– Przeskanować i poszukać oznak wrogich celów, komandorze Urda.

– Tak jest, pani admirał. – Pierwszy oficer skinął na zespół taktyczny, żeby się tym zajął. Niedługo potem zameldował: – Nasze detektory nic nie wykrywają, pani admirał. Skanujemy wszystkie pasma. W metaprzestrzeni też nic nie wykryliśmy. Wszystkie źródła fal elektromagnetycznych zgadzają się z... cóż, z wrakami okrętów.

– Identyfikacja okrętów? Możemy zrobić zbliżenie na jakieś tablice identyfikacyjne?

– Tak jest, ma'am. – Komandor Urda przekazał polecenie jednemu ze swoich podwładnych, który natychmiast pochylił się nad konsolą. Zaraz potem obraz na głównym ekranie zaczął się przesuwać, gdy kamery wykonywały powiększenie.

– OBFO „Karwat” – przesyłabizowała Proctor, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć litery na zwęglonym kadłubie.

Obraz znowu się przesunął i ukazał się kolejny wrak.

– Okręt Białoruskiej Floty Obronnej „Harold Litwinienko” – odczytała admirał.

– Wszystkie te wraki to chyba okręty floty Białorusi. Głównie lekkie krążowniki i nieduże korwety, ale „Karwat” był okrętem flagowym – stwierdził Urda.

– Coś jeszcze?

– Wciąż skanujemy, pani admirał – mruknął pierwszy oficer. – Ale tak, wykrywamy inny rodzaj okrętów. Zdecydowanie nie pasuje do charakterystyki z Białorusi ani do niczego ze Zjednoczonej Floty.

– Obcy?

– Możliwe, ma'am. Kilka zniszczonych jednostek, które nie przypominają niczego, co mamy w rejestrach.

Proctor skinęła dłonią.

– Pokaż na ekranie.

Kamera pokazała zbliżenie na szczątki pozornie niedużej jednostki. Z pęknięć poszycia raz po raz wybuchały smugi gazu, gdy wewnętrzne przedziały traciły hermetyczność, a części wyposażenia i sprzętu powoli dryfowały w przestrzeń, oddalając się od macierzystego okrętu w niekontrolowanej rotacji. Przed zniszczeniem ten okręt na pewno był zabójczy – smukły i zapewne szybki, pełen specjalistycznej aparatury. Z kadłuba wystawały działka i wyrzutnie, pozwalające domyślać się, że nie zaprojektowano go, aby wchodził w atmosferę. W tej chwili jednak

przypominał już tylko podziurawione i powyginane kłębowisko metalu i przewodów chłodziwa.

– Nigdy niczego podobnego nie widziałam. To nie okręt Dolmasi ani Skiohra, jeśli już o to chodzi. – Proctor odwróciła się do Urdy. – Oznaki życia? Na którymkolwiek z wraków?

– Skanowanie trwa, ale na razie żadnych oznak, ma'am.

– Daj mi znać, jeżeli coś uda się wykryć. – Odwróciła się do stanowiska łączności. – Chorąży Sampono, połącz mnie z powierzchnią. Najlepiej z premierem albo naczelnym dowódcą wojskowym. Chcę wiedzieć, co tu się stało.

– Tak jest, pani admirał, postaram się zrobić, co w mojej mocy.

Jednak minęło kilka minut, a oficer łączności tylko bezradnie pokręciła głową, zanim zwróciła się do Proctor:

– Pani admirał, centrum głównego ośrodka miejskiego planety zostało zniszczone. Chyba zbombardowane z orbity, a przynajmniej tak to wygląda. Nie mogę znaleźć tam nikogo z władz, nikt też nie zgłasza się na kanale alarmowym. Nie mam także odpowiedzi z głównej siedziby naczelnego dowództwa floty. Zdaje się, że dowództwo również znajdowało się w strefie bombardowań, więc...

– Niech to szlag – mruknęła Proctor. – Czyli pewnie nie ma tam ani działającego rządu, ani łańcucha dowodzenia. Bez wątpienia zrobiło się tu niezłe zamieszanie. Nasłuchujesz głównych pasm? Chyba ktoś ocalał?

– Tak jest, ma'am. Robię nasłuch na standardowych częstotliwościach radiowych. Zupełny chaos. Brak zwierzchnictwa, ofiary, pożary, akcje ratownicze... Wygląda na całkowite załamanie cywilizacyjne.

– Mój Boże – westchnęła admirał. – Chcę wiedzieć natychmiast, gdyby pojawił się jakiś inny statek. Jeżeli tak się stanie, proszę natychmiast ogłosić pełną gotowość bojową, komandorze.

– Tak jest, pani admirał – odpowiedział Urda.

– Ale przynajmniej możemy odetchnąć. Na pewno nie był to atak Roju.

– Na to wygląda, pani admirał. Okręty flot obronnych różnych światów od dawna buduje się i modernizuje. Możliwe, że jakaś grupa dezertków przebudowała swoją jednostkę, stąd tak duże różnice...

Proctor pokiwała głową.

– Przy braku władzy w najbliższych dniach i miesiącach taka grupa zbierze swoje łupy. Nie byłabym zaskoczona, gdyby tak się stało. Na pewno jednak jest tu jakiś ostatni bastion. Trzeba odnaleźć okręt lub okręty, które ocalały z tego starcia. Mam przecucie, że to nie Rój, ale...

Shelby.

Głos towarzysza wypełnił jej umysł. Minęło kilka dni od ich ostatniej rozmowy. Po bitwie nad Penumbłą Valaris zamilkł zupełnie na długie tygodnie i Proctor myślała, że ją opuścił, dopóki niedawno nie odezwał się znowu. Przybycie Findiri i ponowne pojawienie się Roju najwyraźniej skłoniło Valaris do ponownego zaufania Proctor, choć nie bezwarunkowego. Towarzysz zachowywał ostrożność, nie miał wyboru.

Tak?

Coś tu jest nie tak.

Nie tak? Co masz na myśli?

Nie wiem. Wciąż staramy się odtworzyć wiedzę, którą posiadał kiedyś nasz gatunek. Zwłaszcza o ludziach. Jednak przed nami jeszcze wiele nauki.

Proctor wstała z fotela.

– Będę w gabinecie – oznajmiła załodze.

Korytarz za mostkiem był pusty, tylko dwóch marines stało na warcie przy grodzi. Gdy drzwi gabinetu się za nią zamknęły, Proctor naląła sobie kawy.

Powiedz mi więcej. Myślisz, że tę planetę zaatakował Rój?

Nie, przecucie cię nie myliło. To nie była jednostka Roju. To... wojna domowa, jak mi się zdaje. Jednak coś jest nie tak. Nie potrafię zgadnąć, co dokładnie.

No dobrze. Proctor przypuszczała, że Valaris potrzebuje więcej czasu na zorientowanie się w sytuacji i w tym, co odbierał od ocalałych ze starcia.

Wybacz, że cię ostatnio ignorowałam. To był trudny okres.

Rozumiem.

Proctor usiadła i z cichym jękiem rozmasowała sobie kolana. Machnięciem dłoni włączyła terminal komputera. Zanim jednak

zdążyła zrobić coś więcej, rozległ się sygnał od drzwi. Rozmowa z Valarisi musiała poczekać.

– Wejść.

Chorąży Sampono z wahaniem stanęła w progu.

– Ma'am?

– Chorąży? Dzieje się coś złego?

Młoda kobieta zamknęła za sobą drzwi i zastygła z na wpół otwartymi ustami, próbując znaleźć odpowiednie słowa. Najwyraźniej nie przychodziło jej to łatwo.

– Sapphiro? Co się stało?

– Przepraszam, nie powinnam pani przeszkadzać. Porozmawiam z... z kimś innym...

– Chorąży, podejdź. Usiądź. Mów, to rozkaz. – Proctor wskazała krzesło naprzeciwko biurka.

Młodsza kobieta niepewnie podeszła i powoli opadła na siedzenie.

– Chodzi o to... Mój brat mieszka na tej planecie. Na Białorusi.

– Och, mój Boże. Sapphira. Wiesz coś? Wszystko z nim w porządku? – Gdy tylko Proctor to powiedziała, uświadomiła sobie, jak głupie były to pytania. Jakim cudem Sampono miałyby cokolwiek wiedzieć w tej sytuacji? Nikt nie wiedział. Stolica została zbombardowana, dziesiątki tysięcy, może nawet setki tysięcy ludzi zginęły, a akcje ratunkowe i pomoc dopiero co się zaczęły.

– Nie wiem, pani admirał. To mój brat bliźniak i najlepszy przyjaciel. Kiedyś byliśmy bardzo zżyci, ale od kilku lat nie mieliśmy okazji rozmawiać. Wiem tylko, że mieszka na Białorusi ze swoją dziewczyną. Przepraszam, nie powinnam tak się martwić. To za bardzo wpływa na moją pracę. Po prostu... miałam mnóstwo kłopotów na mostku i...

– Nie musisz przeproszać, Sapphiro. Jesteś tylko człowiekiem. Martwisz się o brata. Oficerom Zjednoczonej Floty wolno mieć uczucia.

– A jeżeli to przeszkodzi mi w pracy? Na mostku zrobiłam się powolna i nie potrafiłam się skupić. A jeżeli znowu mnie to dopadnie, ale tym razem podczas bitwy albo czegoś...?

„Mój Boże, jest taka młoda...”

Proctor przyjrzała się twarzy Sampono. Dziewczyna nie miała chyba więcej niż dwadzieścia pięć lat. Ciemne włosy średniej

długości spięła w prostą fryzurę odpowiednią dla oficera na mostku. Wyraźne zmarszczki na czole świadczyły o głębokim namyśle i bólu.

– Chorąży, kiedy zacznie się strzelanina, wierz mi, nie będziesz myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak pozostać przy życiu. A kiedy to się wydarzy, włączy się twoje wyszkolenie, zaczniemy działać jak zespół i skopujemy tyłek przeciwnikowi. Jasne?

Sampono uśmiechnęła się krzywo.

– Tak jest, pani admirał. Tak mi się wydaje.

– Wydaje? Lepiej, żebyś miała pewność przy kopaniu tyłków. Tylko dlatego wybrałam ciebie i resztę zespołu oficerów mostka.

– Pani... mnie wybrała?

– Oczywiście. Nie na darmo jest się dawną admirał naczelną Zjednoczonej Floty i dwukrotną wybawczynią Ziemi. Za to można dostać kilka przywilejów. Wybrałam najlepszych z najlepszych, chorąży. „Niepodległość” to nie miejsce dla słabych oficerów.

– Ale dlaczego mnie, ma’am? Przecież wcale mnie pani nie zna. To znaczy jeżeli mogę spytać...

Przerwał jej sygnał z interkomu Proctor.

– Pani admirał, proszę wrócić na mostek, coś się dzieje.

Proctor i Sampono wstały od razu, mimo że ledwie zdążyły usiąść. Admirał skrzywiła się lekko – oprócz bolących kolan zaćmiła ją kostka złamana kilka miesięcy wcześniej na Bolivarze.

– Pewnego dnia to się nie uda...

– Ma’am? – Sampono spojrzała na nią z niepokojem.

– Trzy miesiące temu omal mnie nie zabito na Bolivarze – wyjaśniła Proctor. – Wiedziałaś o tym? Od tamtej pory chyba każdy znany gatunek rozumny próbował mnie dopaść. Ludzie. Rój. Dolmasi. Eru. Za każdym razem udawało mi się wyślizgnąć i przeżyć, by walczyć następnego dnia. Ale moje ciało zaczyna dotkliwie odczuwać tamte doświadczenia. Blizny dają o sobie znać.

Drzwi otworzyły się, a Proctor się zawahała.

– Ma’am? – powtórzyła Sampono.

– Pewnego dnia nie uda mi się umknąć, Sapphiro. I chcę, żebyś wtedy była gotowa. Zrozumiałaś?

Chorąży przełknęła nerwowo.

– Tak jest, ma’am.

Proctor wskazała, żeby młodsza kobieta ruszyła przodem. Korytarz na mostek znowu był pusty.

– No to zobaczymy, co za pandemonium czeka na nas dzisiaj, co?

Przed grodzią mostka zasałutowały strażnikom z oddziału komandosów, a potem rozeszły się na swoje stanowiska. Proctor pochyliła się nad konsolą dowodzenia i spojrzała wyczekująco na Urde.

– Znaleźliśmy kogoś, kto przeżył bitwę, pani admirał. Wykryliśmy myśliwiec wśród wraków. Lekko uszkodzony, nigdzie nie odleci, ale cały. W środku jest żywy pilot.

– Chorąży Sampono?

– Tak, ma'am, próbuję go wywołać...

Minęła jeszcze chwila, zanim w głośnikach na mostku rozległ się głos:

– Zjednoczona Flota? Dzięki Bogu... – Mężczyzna zakasłał.

Proctor wstała i podeszła do ekranu, na którym pojawiło się zbliżenie na niewielki myśliwiec obracający się powoli wokół własnej osi.

– Tu admirał Proctor z OZF „Niepodległość”. Proszę się zidentyfikować.

W głośnikach nadal słychać było kaszel. Brzmiał podejrzenie... wilgotno.

– Potrzebujesz pomocy medycznej?

Znowu kaszel. I wreszcie:

– Chyba... Chyba tak. Trochę mnie podziurawiło...

– Jeżeli zdołasz, leć na lądowisko do naszego hangaru. Wysyłamy współrzędne.

Kolejny atak kaszlu. Początkowo myśliwiec ani drgnął, ale potem jego ostatni nieuszkodzony silnik zaskoczył i maszyna skierowała się do okrętu.

– Jak się nazywasz? Z jakiej jesteś floty? – zapytała Proctor, bardziej po to, aby zmusić pilota do koncentracji i zapobiec utracie przez niego przytomności.

– Komandor Piotr Petrowicz. – Zakasłał. – Białoruska Flota Obronna... Uch... Przepraszam, pani admirał... Wzrok mi się trochę rozjeżdża...

– Proszę się skupić, komandorze Petrowicz. Wystarczy wylądować, potem moja załoga zajmie się resztą. Połatamy cię.

Myśliwiec znajdował się najwyżej kilometr od grodzi hangaru i powoli zmniejszał dystans. Proctor wstrzymała oddech, gdy obserwowała jego lot. Miała nadzieję, że pilotowi uda się zachować przytomność do końca.

– Jest w środku, ma'am – zameldował Urda.

– Wysłać zespół medyczny i mechaników, chcę mieć skan techniczny tej maszyny. Niech zbiorą wszystkie dostępne dane, które mogą się przydać do określenia, co się tutaj wydarzyło.

– Tak jest, pani admirał.

Proctor ruszyła do wyjścia.

– Będę w izbie chorych. A kiedy porozmawiam z naszym gościem, zajmę się innymi. – Zerknęła na chorąży Sampono. – Ty ze mną.

Ich rozmowa nie była jeszcze skończona, jednak czasy, gdy Proctor mogła sobie pozwolić na luksus załatwiania bieżących spraw w swoim gabinecie, przeminęły. Powróciły dni, gdy wszystkie spotkania odbywały się w biegu.

Gródź zamknęła się za nimi, a marines na warcie zasalutowali. Proctor musiała się skupić na zbyt wielu sprawach naraz. Najpierw Rój, potem Findiri, Quiassi, Haws, Tim, Eru, Trojaczki, Valaris, Oppenheimer i jego zdrada, Rój po raz kolejny, a teraz jeszcze Białoruś.

Będzie mi potrzebna wasza pomoc. Sama sobie nie poradzę.

Wiemy, Shelby. Niedługo na pewno przekonasz się, że jesteśmy niezbędni.

Dobrze. Czemuś mam przecucie, że jeśli będziecie tutaj – ty i twój lud – poradzimy sobie ze wszystkim.

Tak będzie.

Drzwi do windy rozsunęły się i admirał z łączniczką weszły do kabiny.

„Skup się na bieżących wydarzeniach” – napomniała się w duchu Proctor. Musiała się upewnić, że to, co się stało na Białorusi, nie wiązało się z Rojem albo Findiri, a jeżeli jednak się myliła, należało przystąpić do kolejnych działań według planu. Jednak te kolejne działania wymagały spotkania z prezydentem Sepulvedą w jego

kajucie i zastanowienia się, co, do jasnej cholery, zrobić z tym człowiekiem.

Rozdział 2

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA, DOLNY MANHATTAN SALA ZGROMADZEŃ W SIEDZIBIE RZĄDU ZJEDNOCZONEJ ZIEMI

– ...i uczciwie wypełniać obowiązki na stanowisku prezydenta Zjednoczonej Ziemi oraz wspierać i bronić prawa oraz konstytucji, tak mi dopomóż Bóg.

Danny przyglądał się, jak senator Cooper, a właściwie już prezydent Cooper, uściśnęła dłoń przewodniczącego Sądu Najwyższego Zjednoczonej Ziemi, po czym odwróciła się, aby pomachać widowni, członkom Kongresu i dygnitarzom zebranych w senackiej sali zgromadzeń. Kiedy skończyła, ruszyła do podium, jakby zamierzała wygłosić mowę inauguracyjną, ale zatrzymała się w pół drogi.

– No, to nie było subtelne – wyszeptał Danny do Fiony Liu, która siedziała obok niego na tyłach widowni.

Obserwowali, jak dyrektor Talus zatrzymał prezydent uniesieniem dłoni, a potem zaprosił na krzesło za mównicą, które przed chwilą sam zajmował.

– Przypomina ludziom, kto naprawdę tu rządzi.

– Cii! – Fiona zerknęła na niego, a w umyśle usłyszał jej głos: *Zamknij się, do cholery. Nie wiadomo, kto siedzi w pobliżu i popiera obecny układ. Sympatycy. Kolaboranci. Myślisz, że Oppenheimer działał sam?*

Nie, masz rację. Będę bardziej ostrożny.

– Towarzysze i obywatele Zjednoczonej Ziemi. Jestem dyrektor Talus, dowódca sił, które nazwaliście flotą Findiri. Jednak to nie

tylko flota, lecz przede wszystkim zagubieni synowie Ziemi, którzy nareszcie wrócili do domu. Zapewne wszyscy już wiedzą, że poprzednik prezydent Cooper został zabity podczas nieszczęśliwego wypadku na stacji „Donnelly”. Uczymy śmierć prezydenta Sepulvedy, ale przede wszystkim poddamy się prawu Zjednoczonej Ziemi, które mówi, że jeśli po ogłoszeniu wyborów jeden z kandydatów umrze, drugi automatycznie przejmuje stanowisko. Jako przedstawiciel grupy szanującej prawo przyjmuję tę zmianę i oferuję swoje wsparcie prezydent Cooper.

Odwrócił się do Cooper i zaczął powoli klaskać. Reszta sali poszła za jego przykładem, jednak bez okrzyków aplauzu i gwizdów, które zwykle towarzyszyły celebracji nowej osoby na najwyższym stanowisku w rządzie Zjednoczonej Ziemi.

– Pierwszym poleceniem prezydent Cooper było poproszenie mnie, abym objął dowodzenie nad siłami zbrojnymi Połączonej Floty Obronnej, złożonej z floty Findiri oraz wszystkich formacji obronnych planet należących do Zjednoczonej Ziemi. Dodatkowo prezydent Cooper wezwała też Konfederację Rosyjską oraz Chińską Demokratyczną Republikę Międzygwiazdną w imię historycznej współpracy ze Zjednoczoną Ziemią, aby dołączyły swoje siły do naszych, gdy stawimy czoło nadchodzącemu zagrożeniu.

O Boże! Tak chce to rozegrać? Przyłączcie się, żebyśmy razem mogli pokonać czarne charaktery? – zapytał Danny w myślach Fionę.

Sprytny facet.

Facet?

Na moje oko wygląda zupełnie jak komandor Haws.

Nieemożliwe. Ciocia Shelby przysięgła na wszystkie świętości, że Haws zginął na „Konstytucji” trzydzieści jeden lat temu.

Fiona spojrzała mu w twarz.

No to chyba jest tylko jeden sposób, żeby się upewnić, nie?

Danny wytrzeszczył oczy.

Chyba żartujesz. Chcesz go wykopać?

Dobry Boże, nie! Danny, nie słyszałeś o skanach płytkopowierzchniowych?

Och...

– ...kiedy tuż przed zderzeniem naszej ukochanej Brytanii z Tytanem, jak mamy dowody, okrętowi Roju udało się wykorzystać

te gigantyczne siły. Dokładnie w tym momencie, tuż przed katastrofą, przeniósł się ze swojego wszechświata do naszego i w kilka sekund wykonał skok kwantowy. I ten okręt ukrył się gdzieś w naszym uniwersum. Stanowi zagrożenie dla całej ludzkiej cywilizacji. Tym razem jednak, bracia i siostry, obywatele Zjednoczonej Ziemi, nie jesteście sami. Moi pobratymcy, Findiri, są po waszej stronie. I razem powstrzymamy to zagrożenie, zanim spowoduje zniszczenia wśród naszych światów. Miotanie się i błędy Tima Grangera oraz Shelby Proctor już nie doprowadzą do śmierci miliardów ludzi. Na pewno odniesiemy zwycięstwo. RAZEM!

Ostatnie słowa Talus wykrzyczał, ale zamiast umiarkowanych oklasków doczekał się sporej liczby kongresmanów, senatorów i dygnitarzy, którzy wstali i zaczęli klaskać oraz wiwatować.

Ha. Przynajmniej wiemy, kto jest naszym wrogiem.

Fiona skinęła głową i wstała, aby przyłączyć się do oklasków. Musiała utrzymywać pozory. Jako nowa, oficjalnie mianowana szefowa służb ochrony prezydent Cooper, Fiona Liu chciała, aby jej lojalność była oczywista i niepodważalna.

Oczywiście ona i Danny towarzyszyli Cooper, która zgodziła się – przedyskutowawszy to z prezydentem Sepulvedą – odgrywać rolę marionetki Findiri. Ustalili, że pozwoli się wprowadzić na fotel prezydencki i dzięki temu zyska możliwość przyjrzenia się, jak działa hierarchia przeciwników i jak to wykorzystać.

Danny?

Danny zerknął w prawo i w lewo, głównie z przyzwyczajenia, ale zaraz rozpoznał, że ciotka zwraca się do jego umysłu, nie uszu, dzięki Więzi Valarisi.

Ciocia Shelby. Co się stało na Białorusi? Czy to Rój?

Nie, to coś innego i wciąż próbujemy dowiedzieć się więcej. Na razie jednak jest bezpiecznie. A co z wami dwojgiem? Do nas jeszcze nie dotarła transmisja z inauguracji.

Senator Cooper właśnie została zaprzysiężona, więc jak myślę, ta część zadania już za nami. Ale Talus postanowił sam wygłosić mowę inauguracyjną. Czy Sepulvedzie udało się coś osiągnąć?

Niewiele. Wciąż musi się ukrywać, nie możemy pozwolić, żeby byle kto dowiedział się, że nie zginął. Staramy się wymyślić, jak sprawić,

aby miał więcej swobody i mógł bez przeszkód zawierać sojusze bez zwracania na siebie zbyt dużej uwagi.

Daj znać, jak możemy pomóc... Och, poczekaj, Talus chyba mówi coś, co cię zainteresuje...

– ...zrozumiałe, że wśród załóg na okrętach panuje zamieszanie i niepewność. Komu ufać? Komu wierzyć? Czyje rozkazy wykonywać? Wielu z was ufało dawnej admirał Proctor i dawnemu kapitanowi Grangerowi oraz ich pomocnikom, więc teraz też posłucha ich rozkazów z poczucia obowiązku i z lojalności. Jednak jesteśmy narodem prawa, a wasza prezydent, wasz naczelny admirał floty Oppenheimer i wasi dowódcy mają rozkaz, aby przekazać okręt, który naruszy prawo, do stoczni Wellington w sektorze Britannia albo na stację Yarbrough nad Ziemią.

Praktycznie wezwał oficerów, żeby się zbuntowali, jeżeli kapitan postanowi stanąć po twojej stronie, ciociu Shelby.

Och, cudownie. Będzie zabawa.

Czekaj, to jeszcze nie koniec...

– A jeżeli napotkacie opór albo będziecie się obawiać, że wasza przewaga liczebna na pokładzie okrętu jest niewystarczająca, aby udało się wykonać ten rozkaz, macie pozwolenie na wykorzystanie wszystkich koniecznych środków, by zneutralizować lub obezwładnić waszego kapitana. Każdemu, kto tego dokona, oferujemy natychmiastowy awans, jednorazowy bonus w postaci dziesięciokrotności wynagrodzenia oraz na stałe podwojenie wypłaty.

Zaoferował też nagrodę za głowę każdego, kto opowie się po twojej stronie. Podwojenie wypłaty, awanse, premie i tym podobne.

Boże mój, mamy wojnę na galaktyczną skalę i powinniśmy martwić się o przetrwanie oraz pokonanie wroga spoza naszego wszechświata, a ten drań mówi o premiach i podwyżkach. Biurokracja nigdy nie ginie, to pewne.

Danny zaśmiał się cicho ze stoicyzmu swojej ciotki i jej sarkazmu.

Nie obawiasz się?

Oczywiście, że się obawiam. Nieco zmienia to postać rzeczy, ale różnice są niewielkie. Lepiej porozmawiam z załogą, zanim transmisja z inauguracji znajdzie się na łączach metaprzestrzennych. Pozdrów Fionę ode mnie, muszę się zająć kilkoma sprawami.

Jasne, ciociu Shelby. Daj nam znać, co robić dalej. Będziemy mieli oko na Talusa i Oppenheimera, na ile tylko...

– ...a nagroda będzie potrojona dla oficera, który wyda nam renegata, kapitana Tima Grangera. I nie tylko. Bohater, który wyda buntownika, otrzyma najwspanialszą rezydencję przy plaży na Nowym Dublinie, za darmo i bez podatków na resztę życia. A co najważniejsze, okręt, którego dowództwo uzurpował sobie Granger, trafi pod rozkazy tego, kto go ujmie. Oficer taki otrzyma natychmiastowy awans na kapitana, niezależnie od posiadanego obecnie stopnia. Oczywiście dotyczy to również poborowych. Dziękuję.

Dobry Boże, ciociu Shelby, ten Quiassi mówi jak doświadczony sprzedawca używanych samochodów.

To znaczy?

Chwileczkę, jeszcze nie rezygnuj! Kup teraz, a dostaniesz świetne premie przez kolejne dziesięć miesięcy, a na dodatek dorzucimy jeszcze nowiutki ekspres do kawy!

O czym mówisz?

O Talusie. Właśnie podniósł nagrodę za Grangera. Zaoferował cały zestaw premii i bonusów dla tego, kto wyda kapitana: od posiadłości nad morzem po dowództwo nad okrętem. Objął tym nawet poborowych. Wyobraź sobie, że twój kuk obejmie dowodzenie na „Wyzwaniu”.

Niemal usłyszał westchnienie ciotki.

Na szczęście Tim znajduje się o lata świetlne od jakiegokolwiek okrętu floty. Taką przynajmniej mam nadzieję. Nie powiedziano mi, gdzie dokładnie mieści się siedziba główna Vestigium. Miejmy nadzieję, że kuk przynajmniej ma lepszą pamięć niż Tim. Wciąż nie wiemy prawie nic o Findiri i Quiassi, a przecież są pod naszym nosem. Cholera, potrzebujemy więcej informacji. To twoje zadanie, Danny. Dostarcz mi informacji. Jak najszybciej.

Pracuję nad tym, ciociu.

Rozdział 3

SEKTOR IRIGOYEN
SAN MARTIN
CIUDAD LIBERTADOR

– Sir, muszę to powtórzyć: nie wydaje mi się, że to dobry pomysł, aby leciał pan z dzieciakiem, którego poznał pan ledwie kilka dni temu, do tego w malutkiej korwecie, która nie przegoni nawet najwolniejszego niszczyciela floty.

Komandor porucznik Tim Rice wyglądał niemal komicznie młodo na kogoś, kto narzeka na powierzanie Grangera opiece równie młodego człowieka.

– Daj spokój, synu, jesteście prawie rówieśnikami.

– Mimo wszystko...

– Chcesz złożyć formalną skargę do dowództwa floty? No, nie wydaje mi się... Wyobraź sobie, jak by się na to obruszył Oppenheimer.

Rice pokręcił głową.

– Już to przerabialiśmy, kapitanie. Pańska pamięć wciąż jest niestabilna, a dosłownie przed chwilą dostaliśmy wieści, że nagroda za pańską głowę...

– Wiesz, ile wynosi?

Marudny oficer wzruszył ramionami.

– Nie... Chyba dziesięciokrotność wypłaty jako jednorazowa premia oraz posiadłość nad morzem warta dziesięć milionów?

– Jak dojdzie do miliarda, będę pod wrażeniem. Nie przejmuj się, komandorze. Findiri władają Ziemią. Rój wrócił. Przepisy i zasady można już wyrzucić w kosmos.

– To nie zasady, kapitanie, tylko zdrowy rozsądek.

Granger zaśmiał się krótko.

– Rozsądek jest dla niepewnych, synu. Mam nadzieję, że masz więcej niż tylko zwykły zdrowy rozsądek. Będzie ci to potrzebne, jeżeli chcesz zachować życie w najbliższych tygodniach.

Rice westchnął. Chyba zdawał sobie sprawę, że ten spór zmierza donikąd. Młodziak przynajmniej miał jaja, skoro odważył się kłócić z legendą.

Z Bohaterem Ziemi. Na samą myśl Granger się wzdrygnął. Nie potrafił dopasować do siebie tego tytułu. Przeklęci grangeryści.

– W porządku, kapitanie. Ale proszę zachować ostrożność. I brać regularnie swoje lekarstwa.

– Tak, mamusi. – Granger przysunął kciuk do klawisza operacyjnego systemu łączności. – „Wyzwanie”, macie swoje rozkazy. Oddalcie się na sto tysięcy kilometrów od San Martin i włączcie kamuflaż. Czekać w pełnej gotowości, a jeżeli nic się nie zmieni, spotkamy się w ustalonym punkcie. Granger, bez odbioru.

Z kokpitu na dziobie Jasper parsknął śmiechem.

– Jak można pozwalać oficerom, by zwracali się do pana w taki sposób?

– Jak powiedziałem, młody, w obecnej sytuacji zasady można wyrzucić w kosmos. Kiedy zapanuje pokój, będziemy mogli znowu pozwolić sobie na luksus etykiety. A tobie jak idzie? – Granger zerknął przez iluminator, żeby sprawdzić, czy weszli w atmosferę.

– Za kilka minut dotrzemy do Ciudad Libertador i na lądowisko Vestigium.

– Macie prywatne lądowisko? Jakim cudem? Myślałem, że komisja do spraw lotnictwa i kosmonautyki Zjednoczonej Ziemi...

– San Martin to świat Galaktycznego Kongresu Ludzkości, kapitanie. Zjednoczona Ziemia rządzi tutaj tylko na papierze, w rzeczywistości ma bardzo niewielki wpływ na cokolwiek. Przekona się pan, że GKL jest bardziej... wyluzowany. Każdy tutaj ma lądowisko, nawet psy.

Granger pokręcił głową.

– Wiele się zmieniło przez te trzydzieści lat. Kiedy byłem jeszcze pięknym i młodym sześćdziesięcioośmiolatkiem, nikomu nawet się nie śniło o GKL.

– Założę się, że przez trzynaście miliardów lat też wiele się zmieniło.

Granger zamilkł, gdy to usłyszał. Tak dziwnie było odczuwać brzemie trzynastu miliardów lat egzystencji, a jednak niewiele z tego pamiętać. Załedwie ulotne obrazy, przedmioty, ludzie i zdarzenia wyrwane z kontekstu. Nie był nawet pewien, czy wszystko, co zdołał sobie przypomnieć, przydarzyło się właśnie jemu. Jednak jedna twarz – ta jedna twarz pozostała w głębinach pamięci. Zrozumiał to, gdy zobaczył ją ponownie w kryjówce Vestigium w Bernie.

Rea. Zapomniał o niej. Chyba na miliardy lat. Ale kiedy zobaczył jej zdjęcie, zalała go fala wspomnień. Ich krótki, namiętny romans. Jej prośba, aby został. Jego pocałunek na pożegnanie, ten ostatni raz, gdy powiedział, że już się związał. Poślubił swój okręt. Przeklęty okręt.

– Przepraszam, sir – powiedział Jasper.

– Za co?

– Zapomniałem, że starzy ludzie nie znoszą żartów z podeszłego wieku.

– Kogo nazywasz starym człowiekiem, co?

– Niech to szlag.

W ciągu kilku minionych dni Jasper zmienił się ze zdumionego dwudziestokilkulatka w żartownisia, który traktował Grangera jak członka rodziny. W zasadzie było to miłe. Grangerowi podobało się, że znowu, po tak wielu tysiącletniach, traktowany jest po prostu jak człowiek.

– Proszę się trzymać, zaraz lądujemy.

Dzieciakowi udało się posadzić korwetę wcale gładko i już kilka minut później obaj szli przez płytę lądowiska do budynku, w którym, jak powiedział Jasper, mieściła się pozaziemska kwatera główna Vestigium. Budynek okazał się wysokim biurowcem z siedzibą think tanku, służącym za przykrywkę, aby umożliwić członkom bractwa łatwiejszy dostęp do różnych grup społecznych, gdyby zaszła taka potrzeba. A przynajmniej tak twierdził Jasper.

Wziąwszy pod uwagę rozmiary biurowca – wznosił się na co najmniej dwadzieścia kondygnacji – Granger był zaskoczony, że wewnątrz panuje taka pustka. Przypuszczał, że zatroszczono się o to

celowo, bo przecież im więcej ludzi przystępuje do tajnego bractwa, tym mniej tajne się ono staje.

W jednym z gabinetów, który niczym się nie różnił od innych, za równie niewyróżniającym się biurkiem siedział mężczyzna i cierpliwie czekał na pojawienie się gości. Jego obecność okazała się dla Grangera największym zaskoczeniem.

– Kapitanie Granger – przywitał się. Był stary, siwy i przystojny. Splótł dłonie na blacie i zaczekał, aż obaj przekroczą próg. – Trzydzieści lat czekałem, aż wyjdzie pan z tej przeklętej czarnej dziury. Witamy w domu, sir.

– Porucznik... Diaz? – Granger zająknął się, ale miał nadzieję, że dobrze zapamiętał nazwisko. Twarz rozpoznał od razu. Adiutant pierwszego oficera na pokładzie „Konstytucji”, a potem na „Wojowniku”. Ten mężczyzna zajmował się okrętem, gdy Shelby siedziała w laboratorium i badała materię Roju. Granger sądził, że Diaz zginął pod koniec drugiej wojny z Rojem, ale najwyraźniej udało mu się ujść z życiem...

– Właściwie już kontradmirał. W spoczynku. Gdy Shelby zrezygnowała, a Oppenheimer przejął naczelne dowództwo, cóż, powiedzmy, że ja i ten mały dupek nie potrafiliśmy żyć w zgodzie, a moja chata w Montanie pod wieloma względami przewyższała codzienny opiernicz od naszego dawnego towarzysza broni.

– Dobrze wyglądasz. – Granger wyciągnął rękę.

Diaz uścisnął ją obiema dłońmi.

– Cieszę się, że to słyszę, wzięwszy pod uwagę, że oka nie zmrużyłem od Brytanii...

Na wzmiankę o Brytanii Granger mimowolnie się skrzywił, a Diaz to zauważył.

– Przepraszam. Domyślam się, że to raczej trudny temat.

– Dla nas wszystkich.

Diaz skinął głową.

– Niewyobrażalnie. Minęły dwa miesiące, a ja nadal nie mogę uwierzyć. – Westchnął cicho i spojrzał w twarz Grangerowi. – Ale co się stało, to się nie odstanie. Przeszłość to przeszłość. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Choćby Findiri, Quiassi i Rój. Trzeba wymyślić jeszcze przed kolacją, jak ich wszystkich powstrzymać.

– Najważniejszy problem to odpowiedź na pytanie: czy w ogóle da się ich pokonać.

– Trudno powiedzieć. Ale ze wszystkiego, co czytałem w przechowywanych zapiskach, wynika, że miałeś ukryty plan.

– Zostawiłem coś? Mój Boże... – Granger potarł czoło z zakłopotaniem. – Słuchaj, Diaz, to wszystko jest...

Sam nie wiedział. Przede wszystkim czuł się dezorientowany.

– Wiem, to trudne. Powiedziano mi, że nie odzyskałeś prawie wcale pamięci. Może zdołamy w tym pomóc.

Jasper podsunął mu krzesło, a Granger z wdzięcznością usiadł.

– Cóż, nie pamiętam nawet twojego imienia...

– Joachin.

– Joachin – powtórzył. – Porucznik Joachin Diaz. Tak, to brzmi znajomo. Porucznik Joachin Diaz... Nie, admirał Joachin Diaz. Tak przy okazji, gratuluję. Szkoda, że nie widziałem cię w akcji.

– W pewnym sensie widziałeś. Wcześniej, przed moim awansem. A odkąd dołączyłem do Vestigium, studiowałem wszystko, co zostało, aby lepiej cię poznać, Tim. Kiedy dziesięć lat temu przejąłem kierownictwo, no... powiedzmy, że byłem pierwszym Strażnikiem, który znał cię osobiście. Nie licząc, rzecz jasna, pierwszego Strażnika.

– A kiedy pojawił się pierwszy Strażnik?

Diaz rozejrzał się po ścianach i suficie gabinetu.

– Zmarł około tysiąc dziewięćset jedenastego roku. Właśnie w Bernie, w Szwajcarii. Nasza kwatera główna mieściła się w opactwie. Strażnik Andros był mnichem i pod nosem zwierzchnika zmienił ten kościół w placówkę Vestigium. Po nim każdy kolejny Strażnik ukrywał istnienie naszej organizacji przed społeczeństwem. Udało nam się nawet zinfiltrować inne organizacje. Członkowie Vestigium znajdowali się wśród templariuszy, masonów, iluminatów, w Zakonie Złotego Runa. A także na kilku europejskich dworach. Do diabła, Thomas Jefferson, gdy był ambasadorem we Francji, lubił się napić z dwudziestym siódmym Strażnikiem. Podczas reformacji omal nie zostaliśmy zniszczeni, ale udało się nam przetrwać. Wystarczająco długo, żebyśmy zdążyli się przygotować na tę chwilę. Na twój powrót.

Granger potarł skronie i czoło.

– Joachin, po jaką cholere w ogóle powstało Vestigium?

– Według tego, co powiedział mi Strażnik Resnick, gdy się przyłączyłem, założyłeś je jako zabezpieczenie. Jako plan B na wypadek, gdyby Findiri i Quiassi zaczęli znowu powstawać po ostatecznym pokonaniu Roju.

– Czyli przynajmniej zaplanowałem pokonanie Roju, skoro zastanawiałem się, co może się wydarzyć później.

– W rzeczy samej. Podczas ostatnich kłopotów wszyscy poddali się rozpacz i obawiali się, że przegramy, a Rój zwycięży. – Diaz uśmiechnął się szeroko. – Ale nie Vestigium. Wiedzieliśmy, że wrócisz z drugiej strony. – Spoważniał. – A co będzie potem? Obawiam się, że tego jesteśmy o wiele mniej pewni.

– Mam tak wiele pytań – westchnął Granger. – Nawet nie wiem, od czego zacząć.

Tak wiele szczegółów zdawało się nie pasować. W każdej chwili Granger spodziewał się, że ściany opadną i ukaże się publiczność w studiu nadawczym jakiegoś programu na żywo, w którym nieświadomym ludziom robi się dziwaczne psoty.

– Mam kilka odpowiedzi. – Diaz otworzył szufladę i wyjął kopertę. – Niewiele, ale kilka na pewno. I mam też pytania do ciebie. Przypuszczam, że z czasem będziesz umiał na nie odpowiedzieć.

Otworzył kopertę i wyjął arkusz papieru. Była to kartka z notesu z odręcznymi zapiskami w punktach.

– Przepraszam, to pomoc, aby taki starzec jak ja nie zapomniał, co ma zrobić. Mój poprzednik upewnił się, że nauczyłem się na pamięć tego, co mam ci powiedzieć, jednak wolałem na wszelki wypadek wszystko zapisać.

– Na wszelki wypadek?

– Na wypadek mojej śmierci. Nie wiedzieliśmy, które planety zaatakują Rój. San Martin w pewnym momencie omal nie zostało rozbite w pył. Ach-em... – Diaz włożył okulary do czytania. – Po pierwsze, Jasper dał ci kulkę. Masz ją?

– Tak. Wygląda bardzo podobnie do rdzenia pamięci, którego użyła Shelby, żeby mnie przywrócić do ciała.

– Zgadza się. To podobny rdzeń. I będziesz musiał użyć znowu aparatury z tego samego pomieszczenia na pokładzie statku

pokoleniowego Skiohra, jeżeli chcesz zdobyć dostęp do zawartości tej kulki.

Świetnie.

– Mam wrócić do Skiohra? Chyba ostatnio nie są zbyt towarzyscy? Nie wpuszczają na swoją rodzimą planetę nikogo, kto nie jest Skiohra. Reszcie grożą śmiercią.

– Jestem tylko posłańcem, Tim. Po drugie, ten rdzeń pamięci okaże się bardzo użyteczny w odzyskaniu twoich wspomnień, ale tylko do pewnego stopnia. Nie zmieścisz trzynastu miliardów lat, całej historii wszechświata, w jednym ludzkim mózgu. Ale dostaniesz ogólne zarysy, to pewne. Bardzo niewiele wspomnień sytuacyjnych, raczej indeks albo spis treści. Na pewno okażą się pomocne, ale to nie rozwiązanie, o którym myślisz.

– No dobrze. Jak wypełnię to szczegółami?

Diaz wzruszył ramionami.

– Z tego, co zrozumiałem, nie wypełnisz.

– Żartujesz.

– Naprawdę chciałbyś mieć trzynaście miliardów lat wspomnień? Mnie zdarza się mylić imiona moich wnuków. Pomnóż to sobie przez kilka miliardów.

– Słusznie – przyznał Granger. – Dobra, co jeszcze?

– Po trzecie, niektóre z określonych wspomnień są niezwykle istotne do powstrzymania Findiri. Nie wolno ci ryzykować, że wpadną im w ręce, zanim je odzyskasz. Dlatego zostawiłeś sobie...

– Tak-tak, wiem o manuskryptach.

Diaz uniósł brwi.

– Och?

– Znalazłem jeden na planecie IXF z numerem, jakimś zapadłym świecie w sektorze Poincaré. To jakaś kopia Rękopisu Wojnicza, prawda?

– Zgadza się. Są jeszcze trzy. Potrzebujesz wszystkich czterech, aby złamać szyfr... Bo oczywiście przekaz jest zaszyfrowany. Każdą z ksiąg ukryłeś u innego gatunku obcych.

Granger rozmasował sobie czoło.

– No i właśnie to nie ma dla mnie najmniejszego sensu. Dlaczego w ogóle było to konieczne? Wróciłem jako okręt, stara OZF „Wiktoria”. Wtopiłem się w jej systemy komputerowe czy coś

podobnego. Moja pamięć była wtedy w jak najlepszym porządku. A wcześniej? Zdołaliśmy już poukładać trochę faktów. Wiadomo, że byłem na Ziemi w okresie średniowiecza, zapewne jako ja, w swoim staroświeckim, ludzkim ciele. Ponownie chyba z całkiem niezłą pamięcią. A teraz? Jestem wrakiem. Co to daje? Co, do jasnej cholery, sobie myślałem? Dlaczego postanowiłem przez to przechodzić?

Diaz pokiwał głową.

– Przykro mi, nie znam odpowiedzi. Przyznaję, że dla mnie to też nie ma wiele sensu.

– Raczej żadnego.

– Na pewno miałeś swoje powody, Tim. I to cholernie dobre, bo stawką jest los całej ludzkości.

Granger zamilkł, jak mu się zdawało, na długo. Kiedy został przywrócony do swojego ciała na statku Skiohra, był taki pewny. Pewny siebie. Wiedział, że szlak, który wytyczył, i plan, który przygotował, są dobre. Pozostawił sobie tylko kilka wspomnień dotyczących szczegółów planu – chyba specjalnie, choć z nieznanych przyczyn – ale miał pewność.

A teraz? Teraz był pieprzonym wrakiem.

– A Vestigium należy do ciebie, Tim. I wierz mi lub nie, grangeryści także. Zaskoczy cię, jak wielka część organiza...

Granger przerwał mu uniesieniem dłoni.

– Nie, no czekaj! Niech to będzie jasne, dobra? Nie chcę mieć nic wspólnego, absolutnie NIC, z tymi fanatykami. Czczą jebanego człowieka. Mój Boże, do czego to doszło? Nie chcę się w to mieszać. A Vestigium? Świetnie. Mała grupa spiskowców. Później nauczycie mnie tajnego uścisku ręki. Przyjmę pomoc w pokonaniu Roju, Findiri i Bóg wie kogo jeszcze, kto czai się w kosmosie i chce nas zniszczyć, ale prowadzić was? Dołączyć? Zrobić coś więcej, niż przyjąć tymczasowe wsparcie, aby znowu ocalić świat? Marne, kurwa, szanse. Myślę, że zasłużyłem sobie na emeryturę. Albo na przyjemną śmierć. Tym razem permanentną.

Chyba udało mu się sparaliżować Diaza, a przynajmniej tak to wyglądało.

Jasper natomiast przyglądał mu się uważnie.

– Mówiono, że jesteś wrednym, kaustycznym dupkiem. Szlag. To nie był żart, nie?

Granger miał ochotę wybuchnąć – w głębi duszy. Miał ochotę rzucić krzesłem, walnąć pięścią. Ale tylko się zaśmiał.

– Młody, dopiero się rozkręcam.

Chłopak uśmiechnął się szerzej.

– Cieszę się, że mogę to zobaczyć na własne oczy. Przyrzekali mi, ale nie do końca w to wierzyłem.

– Kto przyrzekał?

Jasper skinieniem głowy wskazał Diaza.

– No, wie pan, Vestigium. Mama, zanim zginęła, była w Vestigium i też sporo mi opowiedziała. W każdym razie cieszę się, że mogę panu towarzyszyć i w miarę możliwości pomagać. Jak to się mówi: do pańskich usług. No to co teraz robimy?

– Mnie pytasz?

Jasper wzruszył ramionami i wstał.

– Pan jest szefem, szefie.

Granger zerknął na Diaza, który tylko rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „To teraz twój problem, nie mój”.

Musiał podjąć decyzję.

Mógłby się poddać. Mógłby znaleźć piękny, stromy klif i po prostu skoczyć. Mógłby się położyć na plaży i poczekać na przypływ.

Albo mógłby walczyć. Mógłby dowodzić albo udzielać rad.

Mógłby też uciec. Ukryć się i przemyśleć całą tę sprawę z Vestigium. Przesłuchałby dokładniej Diaza i wycisnął z niego każdy szczegół dotyczący organizacji.

Mógłby też wrócić na Ziemię i przywalić Oppenheimerowi w jaja. Albo odnaleźć Skiohra i załadować swój rdzeń pamięci. I znowu ocalić cholerny świat oraz całą ludzkość.

Po chwili wszystko stało się jasne. Tylko jedno miało dla Grangera sens, przynajmniej w kategoriach honoru.

– Wrócimy na Ziemię.

Obaj członkowie Vestigium popatrzyli na niego z niedowierzaniem. Diaz uniósł brwi, a Jasper nie krył całkowitego zaskoczenia.

– Co? – rzucili nierównym chórem.

– Słyszeliście.

– Ale, Tim, za twoją głowę wyznaczono astronomiczną cenę! Nawet na San Martin nie mogę zagwarantować ci bezpieczeństwa.

A na Ziemi? Zapomnij. I zamierzasz tam polecieć na okręcie Zjednoczonej Floty? Nawet nie zdążysz wylądować, złapią cię o wiele wcześniej.

Granger wstał i przysunął krzesło do biurka.

– I właśnie dlatego nie zamierzam lecieć okrętem. Weźmiemy któryś z waszych statków. Zakładam, że macie jakąś jednostkę z napędem kwantowym?

Diaz wzruszył ramionami, ale skinął głową.

– Mamy kilka. Szczerze mówiąc, mamy małą flotę, która tylko czeka na twoje rozkazy...

– Świetnie, jeden statek wystarczy. – Granger skinął na Jaspera. – No to ruszajmy. Szkoda czasu.

Chłopak posłusznie podążył za nim do drzwi.

– Ale... co jest na Ziemi?

– Mamy takie motto, synu. Nigdy nie zostawiamy swoich. A ja zostawiłem. To błąd, który należy naprawić. Od razu. Komandor porucznik Qwerty utknął na Ziemi i pewnie jest już przesłuchiwany przez Findiri. Musimy go znaleźć i jak najszybciej stamtąd zabrać.

– Och... – odpowiedział tylko Jasper.

– No i nie przeszkadza, że ma ze sobą jeden z manuskryptów. Przygotuj statek. Odlatujemy natychmiast i nie wrócimy bez naszego człowieka, nawet gdybyśmy musieli przejść przez piekło, zamrożone albo nie, wybierz sobie przysłowie, które najlepiej pasuje do sytuacji.

Diaz uśmiechnął się promiennie.

– Oto Tim, jakiego znam. – Skinął głową Jasperowi. – Słuchaj jego rozkazów, synu, tak będzie najlepiej. Granger wrócił.

Rozdział 4

SEKTOR VERACRUZ
CHANTANA 3
OZF „TYLER VOLZ”
LABORATORIUM POKŁADOWE

– Komandor Shin-Wentworth wzywany jest na mostek.

Głos z łączności wewnętrznej wyrwał go z zamyślenia. Shin-Wentworth właśnie w skupieniu obliczał zakłócenia pola kwantowego w normalnej czasoprzestrzeni. W obrębie siatki geodezyjnej było to wystarczająco trudne, ale gdy dodać do tego jeszcze te dwuwymiarowe osobliwości? Praktycznie niemal niemożliwe...

Niemal.

– Jestem zajęty. Czy to nie może poczekać?

– To rozkaz kapitan Whitehorse, komandorze. Zatem chyba jednak nie – odpowiedział oficer łączności.

– Cholera – zaklął pod nosem Shin-Wentworth. – Już idę.

Zatrzymał symulację na ekranie i już miał ruszyć do wyjścia, ale naraz znieruchomiał.

– Tracimy czas.

Kliknięciem uruchomił znowu obraz. Musiał na razie to zostawić, przynajmniej na chwilę. Jeżeli pojawi się rozwiązanie równań pola, będzie musiało poczekać, aż Shin-Wentworth będzie miał czas, aby je sprawdzić i zresetować warunki graniczne.

Czas. Zawsze brakowało mu czasu. Nie miał czasu na ogolenie się. Nie miał czasu na sprawdzenie rozpiski wacht. Nie miał czasu na

przesłanie odpowiedzi do departamentu zajmującego się pogrzebem jego brata.

Miał jedynie czas na zrobienie kolejnego kroku. A potem następnego. Wszystko inne stanowiło tylko zakłócenia. Rozproszenie uwagi.

Kolejny krok? Popatrzył jeszcze raz na ruchomą symulację i zmieniające się różne parametry pola. Kolejny krok był względnie łatwy – określić dokładnie granice i zasięg oddziaływania pola kwantowego oraz jego polaryzację, aby można je było wygenerować w komorze testowej.

A potem?

Nareszcie przeprowadzić eksperyment. Doktor Tedros Wiggum właśnie spał, na szczęście – facet zaczynał działać Shin-Wentworthowi na nerwy. Kiedy jednak się obudzi, trzeba się będzie przygotować do pierwszej próby w komorze testowej. O ile uda się skopiować itarańską technologię dwuwymiarowych osobliwości z ich zagadkową szarą strefą. Wtedy Shin-Wentworth znajdzie się o krok bliżej do odzyskania ICH.

Jego Molly. Megan. Małego Edwarda. Wszystkich zmiażdżonych tarczą Findiri na Paradiso. Co za ironiczna nazwa planety, jak się teraz zastanowić...

Shin-Wentworth niemal wbiegł na drzwi windy. Spodziewał się, że automatycznie się przed nim rozsuną, ale kabina dopiero wracała. Kiedy wreszcie się otworzyła, stojąca w środku pilot myśliwca zerknęła na niego i zaszalowała niedbale.

– Komandorze.

– Porucznik... Brady. As, prawda?

– Tak wyszło po przetasowaniach – odpowiedziała z półuśmiechem.

– Wiadomo już, kiedy odzyskamy naszego dowódcę eskadr? Rozumiem, że pani go zastępuje?

As wzruszyła ramionami.

– Diabli wiedzą. Proctor zarzuciła go robotą związaną z planowaniem taktycznym i strategicznym. Próbuje z niego zrobić porządnego oficera, nie bezczelnego śmiałka, który bawi się w berka ze śmiercią jak reszta z nas. Komandorze. – Było jasne, że młoda kobieta wciąż nie wiedziała, jak rozmawiać z pierwszym oficerem.

Jej zachowanie oscyloowało pomiędzy zbyt formalnym i zbyt bezpośrednim, na dodatek wcale nie ukrywała, że wolałaby czym prędzej znaleźć się wśród podobnych sobie pilotów.

– Cóż, myślę, że jest w dobrych rękach i niedługo wróci. – Shin-Wentworth zmusił się do uśmiechu. – A skoro mowa o dowódcy eskadr, dostała pani moją wiadomość o wachtach załogi?

Twarz As lekko się zaczerwieniła.

– Uch, tak, komandorze, widziałam ją. Właśnie szłam do biura, żeby zająć się dokumentacją.

– Dziękuję, pani porucznik. – Urwał na chwilę. – Och, i jeszcze jedno...

– Tak, komandorze?

– Słyszałem, że komandor Qwerty utknął na okupowanej Ziemi. Podobno wy dwoje jesteście blisko. Chciałem powiedzieć, żeby pani się nie załamywała. Wydostaniemy go.

As zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Dziękuję, panie komandorze.

– No to jedźmy. – Shin-Wentworth skinął głową, gdy As wykonała kolejny niedbały salut. – Poziom dwunasty.

„Piloci myśliwców” – pomyślał. Najbardziej samolubne, aroganckie i narcystyczne dupki w całej flocie. Wystarczy, że uda im się zestrzelić kilka maszyn wroga, i już im się wydaje, że stali się bogami.

Drzwi windy rozsunęły się przed grodzią mostka, a stojący na straży marines zaszalutowali mu, gdy przechodził.

– Pani kapitan? – Shin-Wentworth zajął miejsce przy swoim stanowisku pierwszego oficera. – Miałem zacząć wachtę dopiero za dwie godziny. Coś się stało?

Kapitan Whitehorse wyglądała na zmartwioną. Ruchem głowy wskazała na jeden z monitorów.

– Trojaczki się ruszyły. Zdaje się, że Findiri przestraszyli je tak bardzo, że postanowiły ewakuować całą planetę.

– Całą planetę? Ale przecież pod powierzchnią mieszka ich... kilka milionów!

– Tak przynajmniej powiedział Klollogesz. Podobno mają inne kolonie, chociaż nigdy nie zdradziły, gdzie się one znajdują. I chyba

słusznie, wzięwszy pod uwagę, że Oppenheimer bez wahania wypaplałby to pewnie Findiri.

– Ale jak zamierzają przetransportować tak wielu... – Shin-Wentworth urwał, gdy dostrzegł na ekranie, co znajduje się w pobliżu planety. Tuż nad horyzontem, podświetlony silnym blaskiem centralnej gwiazdy układu, unosił się statek, który do tej pory widział tylko raz.

Gdy zawisł na niebie nad Bernem w Szwajcarii.

Gigantyczny, obracający się bęben statku Eru, który zapewnił osłonę „Niepodległości” i kapitanowi Grangerowi, żeby mogli uciec przed Findiri. A teraz był tutaj.

– Wygląda na to, że Trojaczki i Eru zdołali się porozumieć. Spod skorupy wciąż wylatują statki transportowe i kierują się do hangarów Eru, a potem wracają, pewnie po kolejnych uchodźców. – Kapitan Whitehorse wstała sztywno i zatrzymała się przed monitorem z rękoma złożonymi za plecami. – To oznacza, że mamy problem.

Shin-Wentworth skinął głową.

– Czy wstrzymać badania nad technologią lewitacji skorupy na planecie Trojaczków oraz nad ich językiem i skupić się na pomocy w ewakuacji? Z jednej strony, zacieśni to więzy przyjaźni między nami a Trojaczkami, może nawet je ocali. Ale z drugiej: narazi badania, dzięki którym moglibyśmy uratować skórę w walce z Findiri.

Whitehorse odwróciła się do niego od ekranu.

– Nie, komandorze, zupełnie nie o to chodzi. Musimy przerwać badania i pomóc, to nie podlega dyskusji. I nie z tym mamy problem.

Shin-Wentworth zeszywniał i nawet tego nie zauważył, dopóki kapitan znowu nie zaczęła mówić. Przerwanie badań nie podlegało dyskusji?

– Problem polega na tym, że nie wiem, na ile możemy pomóc. Czy powinniśmy zaoferować transport uchodźców do innych kolonii? Będzie to wymagało poznania lokalizacji tych kolonii. Ale, jak zapewne już wszystkim wiadomo, za nasze głowy wyznaczono nagrodę, więc wystarczy jeden członek załogi, który postanowi dogadać się z Findiri i zdradzić, dokąd uciekły Trojaczki. Nasza pomoc może im wtedy tylko zaszkodzić. Jeżeli jednak nie

zaoferujemy pomocy, zwłaszcza gdy udzieliły nam wsparcia na Ziemi, może to równie dobrze wkurzyć je i doprowadzić do zerwania nawiązanych już stosunków.

– Hm, rzeczywiście to niełatwy dylemat do rozwiązania. Myślę jednak, że niezależnie od decyzji, możemy kontynuować badania...

Whitehorse chyba w ogóle go nie słuchała, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

– Na dodatek im dłużej tutaj zostaniemy, żeby pomagać, tym bardziej narazimy się na wykrycie. Oppenheimer może w każdej chwili przysłać tu grupę bojową, żeby nas pojmać. Może lepiej przerwać wszystko i ratować skórę? To także popsuje nasze dobre stosunki z Trojaczkami.

Shin-Wentworth skinął głową.

– Oczywiście. Cóż, sam przychyliam się bardziej do udzielenia pomocy, ma'am. Możemy trzymać nasz napęd kwantowy w gotowości, z wpisanymi już współrzędnymi skoku, a jeśli Oppenheimer lub Findiri nagle się pojawią, weźmiemy nogi za pas. Itaranie na pewno zrozumieją. Dzięki temu będziemy też mogli kontynuować badania nad technologią dwuwymiarowych osobliwości.

Whitehorse przechyliła głowę.

– Przepraszam, co?

Shin-Wentworth przeklął w duchu swoją niezdarność. Ostatnio nie wtajemniczał kapitan Whitehorse w szczegółowe aspekty praktyczne eksperymentu, który chciał przeprowadzić.

– No tak. Udało nam się odkryć, że do podtrzymywania skorupy zastosowano technologię dwuwymiarowych osobliwości, którą posługują się też Findiri. Aby przeciwdziałać temu zagrożeniu ze strony wroga, zacząłem eksperymentować...

Whitehorse pokręciła gwałtownie głowę.

– Proszę wybaczyć, komandorze, ale potrzebuję wszystkich na pokładzie. Trzeba zorganizować wachty, aby załoga mogła pomagać przy ewakuacji Trojaczków. Wszystkie prowadzone eksperymenty trzeba na razie odłożyć na później. Zamierzam przekazać Klollogeszowi propozycję pomocy, a jeśli ją przyjmie, chcę, żebyśmy byli gotowi do wykonania tego, co obiecamy. I właśnie organizacja będzie pana zadaniem, komandorze. Zrozumiano?

Shin-Wentworth niechętnie skinął głową.

– Tak jest, pani kapitan.

Whitehorse mówiła coś jeszcze, ale nie słuchał, choć odruchowo kiwał głową i potwierdzał rozkazy. Jednak jego umysł działał jak na autopilocie i niczego świadomie nie rejestrował. Potem Shin-Wentworth będzie mógł odsłuchać nagranie z mostka, nie musiał się teraz tym przejmować.

Myślami wciąż wracał do tamtej chwili, gdy migocząca tarcza transferująca pęd zawisała majestatycznie nad Saavedrą. Shin-Wentworth zastanawiał się, co myślała jego córka, gdy na nią patrzyła. Pewnie początkowo ogarnął ją podziw, może nawet sądziła, że to Zjednoczona Flota rozpięła jakąś osłonę nad miastem. A potem na pewno czuła przerażenie, gdy ta tarcza przycisnęła ją do ziemi i zmiażdżyła na śmierć.

I jak przy pomocy starej rosyjskiej technologii tworzenia sztucznych osobliwości Shin-Wentworth miał powstrzymać tę zagładę, zanim się wydarzy? Jak daleko będzie musiał się cofnąć? O godziny? Dni? Czy wystarczy, że zadba, aby jego rodzina była bezpieczna, i na tym poprzestanie? Czy raczej powinien spróbować czegoś bardziej śmiałego? Czegoś, co ocali całe miasto? Albo całą planetę?

Świst rozsuwających się drzwi do pracowni naukowej wyrwał go z zamyślenia i przywrócił do rzeczywistości. Shin-Wentworth wrócił tutaj całkowicie nieświadomie, jak się teraz zorientował.

– Ach, komandorze! Wygląda na to, że symulacja się skończyła i mamy obiecujące warunki brzegowe do pierwszego eksperymentu! Co powiedziała kapitan Whitehorse na przekierowanie zasilania głównego silnika do naszej komory testowej? – Doktor Tedros Wiggum, jeden z wiodących naukowców Zjednoczonej Ziemi, którego przysłano na okręt „Tyler S. Volz”, aby pomógł w badaniach technologii Itaran, właśnie z podnieceniem skrolował wyniki symulacji na ekranie.

Shin-Wentworth zapomniał zapytać Whitehorse, co oznacza pojawienie się statku Eru. Nie słuchał też, gdy wydawała mu rozkazy.

Nawet chciałby się podporządkować. Naprawdę chciał. Właśnie tak postępowali dobrzy oficerowie. I dobrzy ludzie. Słuchali

rozkazów wydanych przez zwierzchników.

Ale czy cele Shin-Wentwortha nie były warte uwagi? Czy nie dotyczyły ważniejszych spraw? Przecież chciał ocalić tysiące, jeśli nie miliony istnień. A Proctor i Granger nieustannie lekceważyli rozkazy w imię ważniejszych, wyższych celów, prawda?

Jasne, że tak.

– Powiedziała „cała naprzód”.

Wiggum zatarł rękę.

– Wspaniale! Jestem już gotów.

– No to działajmy, doktorze Wiggum. Proszę wpisać warunki graniczne do komputera komory, a ja sprawdzę linie przesyłu materii.

Rozdział 5

SEKTOR KIJOWSKI WYSOKA ORBITA NAD BIAŁORUSIĄ OZF „NIEPODLEGŁOŚĆ” IZBA CHORYCH

Spacer do izby chorych przyniósł trochę tak potrzebnego Proctor wytchnienia – miała wrażenie, że od wielu dni nie wstawiała z fotela.

– Ma’am? – odezwała się Sampono, która w milczeniu szła obok Proctor przez dwa kolejne pokłady. – Chciała pani kontynuować naszą rozmowę?

– Tak, przepraszam. Ostatnio często pogrążam się we własnych myślach. Mam zbyt wiele na głowie. Wspomniałam już, że nie bez powodu wybrałam właśnie ciebie do służby na „Niepodległości”.

– Dlaczego? Jeszcze nawet nie skończyłam nauki. W zasadzie to połowa załogi na mostku jeszcze nie skończyła akademii. Trafiliśmy na okręty tak wcześnie przez... no, z powodu zagłady Brytanii. – Z zachowania młodej kobiety można by odnieść wrażenie, że nawet wymówienie nazwy tego świata przynosi pecha. – Po prostu nie rozumiem, czego mogłaby pani się dowiedzieć o mnie na podstawie tylko...

– ...twojego dossier? Tak, wiem, że to niewiele, ale okazałaś się bardzo obiecującą kandydatką. I pochodzisz z Bali, prawda? Podobno niełatwo się dorasta w takim miejscu.

– To prawda, pani admirał.

Minęły kilkoro oficerów idących do stołówki. Proctor skinęła im głową, gdy zatrzymali się i zasalutowali.

Potem podjęła:

– A jednak pomimo trudnych warunków, w których dorastałaś, jesteś tutaj, a na akademii miałaś jedne z najlepszych wyników na swoim roczniku. Chcę mieć w załodze właśnie takich ludzi, chorąży. Ludzi, którzy zaczynają od zera, ale nie powstrzymuje ich to od zdobywania wspaniałych osiągnięć. – Spojrzała na młodszą kobietę, aby sprawdzić jej reakcję na komplement. Sampono trochę się rozluźniła i chyba nawet wydawała się lekko skrępowana pochwałą.

– Opowiedz mi o swoim dzieciństwie. Jak udało ci się przeżyć?

– No, właściwie dzięki bratu. Byliśmy nierozłączni. Pomagaliśmy sobie nawzajem, chroniliśmy się. Wie pani, jak to jest z bliźniętami, ma'am. Jakbyśmy mieli telepatyczną łączność. Może kiedyś mieliśmy. Nasz ojciec zmarł, gdy byliśmy jeszcze mali, mama pracowała dwadzieścia godzin na dobę, a w domu niezbyt kontaktowała, bo popadała w coraz większe uzależnienie. Nie było łatwo. Ale ja i brat polegaliśmy na sobie. Kiedy skończyliśmy szesnaście lat, zaczęliśmy sami o sobie dbać. Znaleźliśmy pracę na pokładzie frachtowca transportującego pierwiastki ziem rzadkich z pasa asteroid w układzie Bali. Udało mi się potem dostać na akademię. Brat odpadł. I, cóż... oto jestem.

– Ach, rozumiem. – Przy końcu korytarza Proctor wezwała windę.

– Czy twój brat też zgłosił się do akademii?

– Wszystko robiliśmy razem, pani admirał. Tak, wysłał zgłoszenie.

– Ale nie został przyjęty.

Sampono potrząsnęła głową.

– Jako nastolatek przez kilka lat był uzależniony od mgły. A akademia nie przyjmuje narkomanów, nawet takich, co wyszli z nałogu, więc...

– Rozumiem. Powinien zgłosić się ponownie. Zmieniliśmy standardy. Jeżeli pozostał czysty przez pięć lat, może spróbować.

Winda zatrzymała się i otworzyła, kobiety wsiadły do kabiny. Sampono uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową.

– Mój brat... robił też inne rzeczy.

– Ach tak. – Proctor chciała dowiedzieć się więcej, ale wiedziała, że nie powinna pytać. Dlatego zmieniła trochę temat. – Część twoich akt rzuciła mi się jednak w oczy, chorąży. Zostałaś przyjęta do akademii dwa razy. Za pierwszym razem jednak odrzuciłaś szansę

na studia. Wiem, że to dość ogólne stwierdzenie i musi się za tym kryć jakaś historia. Opowiesz?

– No cóż, pani admirał. Myślałam, że dla komisji to zupełnie jasne. Nie byłam jeszcze gotowa. Potrzebowałam więcej czasu.

Proctor sięgnęła do panelu i nacisnęła guzik awaryjnego zatrzymywania. Kabina zwolniła i zatrzymała się między poziomami.

– Bzdury, Sapphiro. Powiedz mi prawdę. – Zerknęła na młodszą kobietę, która chyba nie spodziewała się takiej bezpośredniości, bo wyglądała na zupełnie zaskoczoną.

– No... – Sampono nabrała głęboko tchu – dobrze. Byłam kurierką, sprzedawałam narkotyki. Brat się uzależnił, ale mnie się udało tego uniknąć. Nigdy nawet nie próbowałam prochów. Nie jestem głupia. Ale roznosiłam sporo tego gówna. Dzięki temu udało nam się zarobić porządne pieniądze. Wystarczające, żeby wynieść się z Bali i znaleźć normalną pracę.

– Ale...?

– Ale – Sampono skinęła głową – ale kurierzy czasami muszą sobie radzić z różnymi sytuacjami... i robić różne złe rzeczy. A ja robiłam naprawdę złe rzeczy. Niezbyt często. Próbowałam, cholera, naprawdę się starałam trzymać tylko w cieniu, pozostać niezauważona, pilnować własnych spraw i wykonywać swoją robotę. Jednak czasami, kiedy ktoś był winien mi pieniądze, musiałam uciekać się... do perswazji. – Odetchnęła głęboko. – I, niech to szlag, perswazja naprawdę dobrze mi wychodziła. Zwróciłam na siebie uwagę policji. Nigdy mnie nie złapano, ale wystawiono na mnie kilka nakazów aresztowania. Na różne nazwiska. Nikt właściwie nie wiedział, kim naprawdę jestem. Wtedy nawet administracja Floty Zjednoczonej Ziemi nie miała pojęcia.

– Och, na pewno wiedziała.

Z twarzy Sampono odpłynęła chyba cała krew.

– Wiedziała?

– Nikt się nie ukryje przed biurokratami floty. Mów dalej.

– Dobrze. – Chorąży znowu musiała odetchnąć, żeby się uspokoić.

– Dlatego właśnie wyniosłam się z Bali i znalazłam pracę na frachtowcu do transportu minerałów ziem rzadkich z pasa asteroid. Szybko mi się znudziło, więc zgłosiłam się do akademii. I ku mojemu

zdumieniu zostałam przyjęta. Ale... – Nerwowo splotła i rozplotła ręce. – Chodzi o to, pani admirał, że wtedy narobiłam sporo gówna w swoim życiu, więc chciałam choć raz postąpić jak należy. Najnormalniej w świecie. Nie chciałam studiować ze świadomością, że w każdej chwili policja może się pojawić, żeby mnie aresztować. Nie chciałam wylecieć. Dlatego wróciłam na Bali. Zabrałam wszystkie pieniądze, jakie do tej pory zarobiłam. Poszłam na posterunek policji i zeznałam wszystko, a potem rzuciłam całą gotówkę na biurko zaskoczonych detektywa. Nie wiem, dlaczego przyniosłam pieniądze. Chyba zależało mi po prostu, żeby pokazać glinom, że jestem szczerą i zależy mi na spłaceniu długu wobec społeczeństwa. Jak się teraz nad tym zastanowić, głupio zrobiłam. Policja mogła uznać, że chcę przekupić tego detektywa czy coś... No, nieważne.

Proctor pokiwała głową.

– W porządku. Wiedziałam wszystko oprócz tego. – Sięgnęła do przycisku i uruchomiła windę. Kabina ruszyła powoli w górę, na poziom piętnasty, gdzie znajdowała się izba chorych.

– Oprócz czego, ma'am?

– Nie znałam motywacji kierującej twoim postępowaniem. Domyślałam się oczywiście, ale wolałam to usłyszeć z twoich ust. Powiedziałaś, że chciałaś „postąpić jak należy”. Zależało ci, żeby nad twoją służbą we flocie nie ciążyły popełnione wcześniej błędy. Dlatego przyjęłaś odpowiedzialność i próbowałaś je naprawić, zanim zaczęłaś od nowa. – Proctor rozmasowała sobie kolano, obolałe i sztywne od próby zabicia jej na Bolivarze. – Co się stało potem?

– Z tym facetem, którego załatwiłam? I przez którego wystawiono na mnie nakaz aresztowania? Wtedy już nie żył. Umarł na raka, nie z powodu tego, co mu zrobiłam. A poza moimi zeznaniami policja nie miała żadnych istotnych dowodów...

– A nie mogła cię oskarżyć na podstawie tylko twoich zeznań, tak.

– Więc puścili mnie wolno. A gdy potem dogadałam się z prokuratorem, wyczyszczono mi akta. I dopiero wtedy zgłosiłam się jeszcze raz i zostałam przyjęta na akademię. No i tak się tu znalazłam.

Drzwi się rozsunęły. Proctor wyszła pierwsza i ruszyła w lewo do izby chorych.

– I właśnie dlatego, chorąży, trafiłaś na „Niepodległość”. I musisz coś jeszcze zrozumieć, choć podejrzewam, że już to wiesz. Po pierwsze, wszyscy popełniamy błędy. Jednak osobowości wybitne wyróżnia od reszty to, że biorą odpowiedzialność i potrafią się zmienić. Należysz właśnie do takich osób. Po drugie, nawet twoje największe błędy nie definiują tego, kim jesteś. Określa cię suma twoich życiowych decyzji, nie jeden czyn ani jeden wybór. I po trzecie i chyba najważniejsze, co również stanowi główny powód twojej obecności na tym okręcie... – Proctor umilkła, bo zadała sobie w duchu pytanie, czy mówi to do Sampono, czy do siebie. Czy to, co sama koncertowo spieprzyła, definiuje ją? Zagłada całego gatunku rozumnych istot – Valarisi – na rozkaz beznadziejnego admirała naczelnego floty?

Nie, Shelby, to cię nie definiuje.

Ale jak można odpokutować genocyd? – spytała swojego towarzysza.

Odpokutować? Nie da się. Można tylko iść dalej i czynić dobro. I to twój jedyny wybór.

– Pani admirał?

– Upadłaś, ale podniosłaś się i spróbowałaś jeszcze raz. Nie poddałaś się. Kiedy wszyscy inni się poddawali, ty tego nie zrobiłaś. Zaczęłaś od nowa. Wybitne jednostki mają w zwyczaju zaczynać od nowa, gdy coś im nie wyjdzie w życiu. Też musiałam tak robić, chorąży. W nadchodzących dniach, tygodniach i miesiącach będzie ciężko. Czeka nas gówniany okres, to pewne. Dlatego potrzebuję załogi, która się nie podda, lecz będzie walczyć. Ludzi takich jak ty.

– Dziękuję, ma’am.

Dotarły do izby chorych, ale Proctor zatrzymała się przed drzwiami i znowu spojrzała uważnie na Sampono.

– Na akademii wybrałaś specjalizację w komunikacji i łączności. Dlaczego?

Pytanie chyba trochę rozluźniło młodą kobietę, najwyraźniej tradycyjny wstęp do rozmów pozwalających lepiej się poznać był jej dobrze znany.

– Gdy się dorasta na ulicach Bali, można się różnych rzeczy nauczyć. Na przykład, jak się porozumieć w kilkunastu językach i mieszanych żargonach albo gwarach. Chyba miałam do tego wrodzony talent. Dlatego byłam tak cholernie dobrą kurierką: mogłam się dogadać z każdym, a to znaczyło, że mogłam też każdemu coś sprzedać.

– Mam problem. W ostatnich tygodniach pojawiły się dwie nowe rasy istot rozumnych, z którymi trzeba się porozumieć. Do jednej z nich udało się z trudem powiedzieć „cześć”. Dopóki był tu komandor Qwerty, robiliśmy postępy, ale obecnie został oddelegowany do innego, trochę ważniejszego projektu. Możesz pomóc przy próbach nawiązania porozumienia z tymi nowymi obcymi?

Sampono wzruszyła ramionami.

– Jestem niezła w uczeniu się ludzkich języków, ma’am. Ale języki Dolmasi czy Skiohra? Nigdy nawet nie słyszałam choćby pojedynczych słów. Nie jestem pewna, czy sobie poradzę, ale spróbuję. – Zastanowiła się. – Ale co z Valarisi? Przecież mają naturalne zdolności do porozumiewania się z każdym gatunkiem rozumnym. Nie możemy uzyskać ich pomocy?

Proctor pokiwała głową.

– Doskonały pomysł, chorąży. To, co zamierzam ci powiedzieć, jest ściśle tajne. Zrozumiano? Nie chodzi o oficjalne utajnienie, bo nawet admiralicja i naczelny sztab nie mają o tym pojęcia. Chodzi o utajnienie na poziomie Proctor. Jasne?

– Tak jest, ma’am.

– Wciąż mam towarzysza Valarisi.

– Ale... myślałam, że dowództwo naczelne wydało rozkaz, aby rozdzielić Valarisi i członków floty?

– Tak było.

Sampono przechyliła głowę. Nie spięła się, a Proctor zauważyła, kiedy na twarzy młodszej kobiety odmalowało się zrozumienie.

– Nie posłuchała pani rozkazu.

– Pozycja admirała naczelnej Floty Zjednoczonej Ziemi i największej jędry w szeregach ma swoje dodatkowe zalety. Co może mi zrobić dowództwo? Zwolnić mnie? Teraz gdy Oppenheimer opowiedział się po stronie wroga? No, powodzenia.

– Zdaje się, że jednak warto korzystać z wolności, pani admirał.
Proctor parsknęła śmiechem.

– Nie ujęłabym tego lepiej. Kiedy przyszły rozkazy, aby nas rozdzielić z towarzyszami Valarisi, rozważałam po prostu zlekceważenie polecenia i udawanie, że nic się nie dzieje, ale wtedy mój towarzysz po prostu zamilkł. Trwało to długo, więc myślałam, że odszedł na własną rękę. To, jak ich potraktowaliśmy, wywołało problemy w kontaktach. Najwyraźniej ludzie nie okazali się tak całkiem godni zaufania.

– Kto by pomyślał, ma'am?

Ta dziewczyna coraz bardziej podobała się Proctor.

– Ale mój towarzysz powrócił. Uważam, że Valarisi w najbliższym czasie będą mieli dla nas kluczowe znaczenie. Tylko dzięki nim możemy liczyć na sukces.

Sampono spojrzała na nią z powagą.

– Ufa im pani?

Proctor zamrugnęła zaskoczona.

– Czy ufam?

– Powiedziała pani, że Valarisi przestali nam ufać po tym, jak Oppenheimer rozkazał odciąć ich od członków floty. Na pewno pani może ufać im?

Proctor z przekonaniem potwierdziła.

– Bezwarunkowo. Rozumiałabyś, gdybyś była połączona z jednym. Nie ma nic do ukrycia. Oboje, ja i mój towarzysz, jesteśmy całkowicie otwarci wobec siebie.

– Nie jestem pewna, czy mi się to podoba, ma'am. Za dużo czasu spędziłam na Bali. Musiałam się cały czas oglądać za siebie, jeśli chciałam przeżyć. Ale każdy wie swoje.

Proctor uśmiechnęła się, a potem podeszła do drzwi, które rozsunęły się przed nią automatycznie.

– Możesz odejść, chorąży. Dostałaś zadanie do wykonania.

Wkroczyła do sali chorych i ruszyła do pielęgniarki zajmującej się właśnie opatrywaniem rannego, który leżał w łóżku.

– Jak się czuje?

Zanim sanitariuszka zdążyła odpowiedzieć, mężczyzna wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Czy pani to...?

– Admirał Proctor – dokończyła za niego, bo mężczyzna chyba nie mógł wydusić nic więcej.

– TA Proctor?

„Ta Proctor”. Omal się nie skrzywiła, gdy to usłyszała.

– W wydziale rachunkowym pracuje jeszcze Karen Proctor, ale domyślam się, że nie o nią tutaj chodzi. Tak, to ja. We własnej osobie.

– Towarzyszka Broni Bohatera Ziemi?

Proctor pomasaowała sobie nasadę nosa.

„Och Boże, tylko nie grangerysta”.

Nie odpowiedziała od razu, aby dać do zrozumienia, jak bardzo nie podoba jej się ten tytuł.

– Czasami tak mnie nazywają zarówno przyjaciele, jak i fanatycy.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, pani admirał. – W głosie mężczyzny zabrzmiało zawstydzenie. Zakasłał. – Nauczono mnie tego w szkole. To pani kryptonim w tej części kosmosu.

– Mam tego świadomość – odparła oschle Proctor. – Cholera. Chciałabym jednak przede wszystkim dowiedzieć się, komandorze, co tu zaszło? A co ważniejsze, czy wciąż grozi nam niebezpieczeństwo?

– Tak. Tak, pani admirał. Oni mogą wrócić w każdej chwili.

– Oni? Czyli kto? Chodzi o Rój?

– Chodzi o tych drani, separatystów. Nazywają siebie Synami Ojczyzny. W chaosie po porażce Ziemi uznali, że to najlepszy moment, żeby zaatakować nasze miasta i wyprzeć siły Konfederacji Rosyjskiej z Białorusi. Walczyliśmy z nimi pomimo buntów na pokładach okrętów w naszej flocie. Zrobił się straszny bałagan. Koszmarne zamieszanie. Wielu zginęło, a ich ciała krążą na orbicie planety, jak się domyślam. Pewnie są ich dziesiątki tysięcy.

– Ale napastnicy uciekli?

– Tak jest, ma’am, uciekli. Kilka godzin temu. Podejrzewam, że mają jakąś ukrytą bazę po ciemnej stronie któregoś z księżyców.

Proctor podniosła głos, zwracając się do sufitu:

– Mostek, mówi Proctor. Wychwyciliśmy jakieś przekazy wskazujące, kto to zrobił?

Z głośnika na ścianie popłynął głos komandora Urdy:

– Nie, ma’am. Nie znaleźliśmy niczego na żadnym paśmie.

– A metaprzestrzeń?
– Również nic, pani admirał.
– Informuj mnie, gdyby coś się zmieniło. Proctor, bez odbioru. –
Odwróciła się do sanitariuszki. – Wyjdzie z tego?

Siostra Suzuki potwierdziła skinieniem głowy.

– Da sobie radę. Miał przebite płuco i trochę zniszczonych tkanek po nawdychaniu się dymu, ale wszystko się wygoi. Jutro pewnie go wypuszczę. Na razie wolę, żeby został tutaj i trochę odpoczął, o ile nie ma pani nic przeciwko temu, ma'am. – Pielęgniarka spojrzała na nią surowo. Miała pewnie około pięćdziesiątki i wyraźne zmarszczki na twarzy z wyrazem: „Wiem, co mówię, więc z całym szacunkiem niech się pani ode mnie odczepi, pani admirał”.

Proctor uznała, że to nie pora na sprzeczki.

– Dobrze. Proszę mnie informować. Chcę z nim jeszcze porozmawiać i dowiedzieć się dokładniej, co się stało. – Skinęła głową Suzuki i Petrowiczowi. – Na razie się pożegnam...

Petrowicz złapał ją za rękaw, gdy się odwracała.

– Pani admirał. Ja... przepraszam. Pewnie gadam bez sensu... Ale to dla mnie największy zaszczyt w życiu, że nareszcie spotkałem panią osobiście.

Patrzył na nią z... nie tyle z obłędem w oczach, co z czcią. Może to przez środki, które podała mu Suzuki.

Proctor łagodnie, ale stanowczo uwolniła rękaw.

– Proszę odpocząć, komandorze.

Mężczyzna chciał ją złapać jeszcze raz, ale nie zdążył.

– Wrócę i porozmawiamy dłużej. Na razie proszę odpocząć, komandorze – powtórzyła na odchodnym.

Kiedy wychodziła z sali chorych, omal nie wpadła na Sampono, która stała przy drzwiach i zaglądała do pomieszczenia przez szybę.

– Chorąży? Wciąż tutaj?

Dziewczyna wyglądała na lekko zawstydzoną i zaśmiała się nerwowo.

– Trudno się pozbyć starych nawyków, ma'am. Próbowałam się przyjrzeć nowemu pasażerowi.

– Po co?

– Dorastanie na ulicach uczy, że nie należy nikomu ufać... Chciałam się tylko upewnić na własne oczy, że ten nowy nie wzbudzi

moich podejrzeń. No, wie pani.

Interesujące.

– I?

Sampono ponownie wzruszyła ramionami.

– Nic, do czego mogłabym się przyczepić.

– Świetnie. – Proctor ruszyła do windy. – Chorąży, we flocie przekonasz się, że zaufanie jest dobre. Zaufanie, że oficerowie wykonają swoją pracę jak należy i dzięki temu nie narażą nas na śmierć.

– Tam, skąd pochodzę, zaufanie komuś zwykle kończyło się śmiercią, pani admirał.

– Nie chodzi o ślepe zaufanie. Nie. Ale niczego nie osiągniemy samotnie, Sapphiro. To tylko taka myśl. Zastanów się nad tym.

„Tak jest, ma’am” usłyszała już za plecami, gdy szła korytarzem do schodów na poziom niżej. Droga była za krótka na przemyślenie, co robić dalej, jednak w uszach Proctor wciąż dźwięczały słowa rannego pilota, z którym przed chwilą rozmawiała. „Największy zaszczyt w życiu”. Och Boże. Nienawidziła czci okazywanej bohaterom. Naprawdę nienawidziła. Ludzie zachowywali się tak w obecności Tima, a Proctor wreszcie rozumiała, dlaczego go to denerwowało.

Zasalutowała dwóm strażnikom przy wejściu na pokład szesnasty, tuż przy schodach.

– Ktoś próbował tu wejść, odkąd rozmawialiśmy wcześniej?

– Tylko kilka osób chciało skrócić sobie drogę do stołówki. Odesłaliśmy ich, ma’am.

– Nikt nie wchodził ani nie wychodził?

– Nie, ma’am.

– Świetnie. Spocznij. – Zasalutowała ponownie, a komandosi odpowiedzieli salutem.

Jeden z nich wpisał tajny kod i drzwi rozsunęły się, ukazując całkowicie pusty pokład.

Proctor ruszyła do kajut załogi i zatrzymała się mniej więcej w połowie długości korytarza. Zanim jednak zdążyła zadzwonić, drzwi jednej z nich się otworzyły i na zewnątrz wypadł prezydent Sepulveda. Dawny prezydent Sepulveda.

– Jeżeli nie wydostanę się z tego miejsca, przysięgam, że albo mózg mi się zlasuje, albo ukradnę prom i spróbuję nim załatwić jakiś okręt Findiri.

– Proszę się uspokoić – powiedziała Proctor, choć doskonale wiedziała, że tylko go bardziej zdenerwuje. Nikt nigdy w całej historii ludzkości nie uspokoił się na rozkaz, ale mało ją to obchodziło. – Musimy porozmawiać.

– Jasne. Rozmawiajmy. Tutaj. Nie zamierzam tam wracać. To dziesięć metrów kwadratowych piekła i wolę raczej...

– Tak-tak, staranować okręt Findiri promem. Pewnie by nam to zaoszczędziło sporo zamieszania. Proszę posłuchać... – Proctor splotła ramiona na piersi i nie próbowała zagonić go do kajuty. – Jestem tylko dowódcą jednego okrętu i, co za ironia, nie nadążam, by zrobić wszystko, co powinnam.

Sepulveda uśmiechnął się triumfalnie.

– Więc potrzebuje pani mojej pomocy. – Rozłożył zapraszająco ręce. – Świetnie, czym ma się zająć dawny prezydent Zjednoczonej Ziemi? Wybrać się na tajną misję do wewnętrznego sanktuarium dyrektora Talusa? Czy też podziałać dyplomatycznie, żeby ściągnąć Grangera na pokład statku Skiohra, a potem pomóc mu przetłumaczyć tę małą...

– Chcę, żeby pan opuścił okręt. Wprowadza pan zamieszanie. Jak kotwica, która ściąga mnie na dno. Wystarczy, że sama jestem celem i wrogowie próbują mnie zabić, nie mogę jeszcze martwić się, że odkryją też pańską obecność na pokładzie.

Sepulveda rozdziawił usta.

– Bez obaw, nie zamierzam pana wydać. Znajdzie się pan na najbardziej tajnym i nowoczesnym okręcie.

Zerknął na nią, potem na pusty korytarz, próbując rozszyfrować, co miała na myśli.

– Chce pani... dać mi „Wyzwanie”?

– Właśnie. Dzięki temu upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu. Komandor Zivik jest praktycznie ludzkim wrakiem po Paradiso. Kryzys pewności siebie i takie tam bzdury. Potrzebuje jakiejś misji, aby znowu napiąć mięśnie i odzyskać pewność siebie. A pan musi stąd odejść.

Sepulveda przyłożył dłoń do czoła i pokręcił głową jakby z niedowierzaniem, że można go tak traktować.

– Cudownie. Będę pod opieką jak dziecko, podczas gdy los ludzkości wisi na włosku.

– Nie jestem pewna, kto będzie się kim opiekował, ale w zasadzie tak.

– A co, jeśli mogę spytać, mam robić na „Wyzwaniu”?

– Unikać wykrzyčia, wzięwszy pod uwagę, że to jeden z dwóch lub trzech niewidzialnych okrętów, jakimi dysponuje flota. To pańskie zadanie, dopóki Cooper nie wykona swojego. Drugie to zagadka, na którą natknęliśmy się na Białorusi. Trzeba ją rozwiązać, ale mnie brakuje czasu. Mam ważniejsze sprawy na głowie. – Proctor dopiero teraz zauważyła, w jakim stanie jest Sepulveda. Ubranie miał wymięte i chyba nie brał prysznicza od kilku dni. – No cóż, lepiej nie marnować czasu. Pańska eskorta przyleci tutaj za godzinę i wyruszy na „Wyzwanie”. Komandor Zivik przekaże panu wszystkie informacje, gdy tylko dotrzecie do celu.

Odwróciła się, żeby odejść. Pięć minut spędzonych na rozmowie z politykiem to sześć minut straconych.

– Chwileczkę! A co, do cholery, pani będzie robić?

– Ja? – Drzwi na końcu korytarza rozsunęły się przed nią automatycznie, a strażnicy marines wyprostowali się i zaszalutowali.

– Ja będę ścigać Rój.

Rozdział 6

SEKTOR KIJOWSKI WYSOKA ORBITA NAD BIAŁORUSIĄ OZF „WYZWANIE” MOSTEK

– Podsumujmy, właśnie dostałeś dowództwo nad jednym z najbardziej nowoczesnych okrętów ludzkości oraz praktycznie wolną rękę w wykonywaniu powierzonych ci zadań i... narzekasz?

Kiedy przedstawiała to w ten sposób, jego obawy wydawały się takie absurdalne. Generowana komputerowo twarz Jerushy Whitehorse uśmiechała się złośliwie do Zivika, choć panowało przekonanie, że komputery nie radzą sobie dobrze z odwzorowywaniem mimiki twarzy, zwłaszcza czegoś tak skomplikowanego jak ironia.

– Jeru, nie rozumiesz. Byłem tam bezużyteczny. Proctor ściągnęła mnie na „Niepodległość” ze względu na moje, och, jakże wspaniałe talenty do wpadania na niezablonowe pomysły taktyczne, a co zdołałem wymyślić? Nic. Zero. Cholera, Shin-Wentworth miał większy wkład niż ja. Jedyne, co mi wychodziło, to plątanie się po mostku i przeszkadzanie innym.

– Ethanie...

– Jeru, moje miejsce jest w myśliwcu. Na tym znam się najlepiej. I w tym jestem dobry. Mogę się wykazać, gdy mam do czego strzelać. Na okręcie pełnym podległych mi ludzi, zwłaszcza chorążych, których tak łatwo urazić, do tego z mnóstwem papierkowej roboty...

– Skrzywił się na samo wspomnienie. – Wtedy zmieniam się

w bezużyteczny, beznamiętny automat, który marzy tylko o lataniu, gdy podpisuje kolejne dokumenty.

Whitehorse uniosła brew.

– Na „Niepodległości” musiałeś podpisywać dokumenty?

– To tylko taka metafora, Jeru.

– Posłuchaj, kochanie, dobrze ci to zrobi. A Proctor potrzebuje na „Wyzwaniu” kogoś, komu może zaufać. Słyszałeś, co mówił Talus, za nasze głowy została wyznaczona nagroda. A mamy tylko „Niepodległość”, „Chojraka” i „Wyzwanie” oraz kilkanaście mniejszych okrętów pod komendą kapitanów, którym można ufać, że nie sprzedadzą nas Findiri.

– Dobra, rozumiem. – Zivik uniosł kubek z kawą i dopiero wtedy przypomniał sobie, że wypił ją pół godziny temu i już trzeci raz próbuje napić się z pustego naczynia. – Szlag – wymamrotał. – Nie mam nawet jakiegoś chorążego, któremu kazałbym przynosić kawę. Tylko komandora Rice’a, który jest piekielnie wkurzony, że podebrałem mu robotę.

– Kochanie. Wszystko się ułoży. Hej, pamiętasz o swojej obietnicy? Zivik powoli skinął głową.

– No...

– Nie rób takiej ponurej miny! Rany, miałam nadzieję, że wyjdę za mąż za miłość swojego życia, a sama myśl o ślubie wzbudzi trochę radości u mojego przyszłego męża, nie tylko – zniżyła głos – ponury grymas.

– Po prostu wolałbym poślubić cię osobiście. Tak-tak, wiem, że obiecałem ci ślub wirtualny, jeżeli nie wrócę w ciągu tygodnia, ale to raczej mało romantyczne, nie?

– Żartujesz sobie? Nic bardziej romantycznego nie można sobie wymarzyć. Ziemia podbita, waży się los ludzkiej cywilizacji, a jednak, wbrew wszystkiemu, dwoje ludzi, którzy się kochają, zamierza się połączyć węzłem małżeńskim, choć dzielą ich lata świetlne. – Uśmiechnęła się krzywo. – Zupełnie jak w jakimś tanim romansie.

Zivik też się uśmiechnął. Miał nadzieję, że komputer poradzi sobie z odtworzeniem szczerości tego uśmiechu.

– Jasne. No dobrze, jak zwykle masz rację. A tak w ogóle jak leci? Wzruszyła ramionami.

– Och, sam wiesz. Próbuję utrzymać dobre stosunki z naszymi najważniejszymi przyjacielskimi obcymi, a jednocześnie zapobiec temu, że połowa załogi zaczyna mi już wariować, w tym mój pierwszy.

– Shin-Wentworth? Jest aż tak źle?

– Na Paradiso stracił przez tę tarczę Findiri żonę i dzieci, a jego brata, gdy był z Grangerem, zastrzelił latający robot strażniczy.

Zivik przechylił pusty kubek to w prawo, to w lewo, aby rozprościć ostatnie krople kawy po dnie.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł, aby nadal pełnił funkcję pierwszego oficera? Przynajmniej na razie?

– Szczerze? Wolałabym, żeby wyjechał na porządny, półroczny urlop. Ale nie mogę sobie na to pozwolić. Nie mam nikogo innego na to stanowisko, a wysłanie prośby o zastępstwo do admirała-zdrajcy Oppenheimera raczej nie wchodzi w rachubę. Jestem skazana na Shin-Wentwortha, który zapewnia mnie, że wszystko z nim w porządku. Nie wiem. Zobaczymy.

– O, tak. Pewnie niedługo się przekonasz... No dobra, mój pasażer właśnie nadlatuje. Pogadamy później?

Jerusha Whitehorse uśmiechnęła się po raz ostatni.

– Jasne. Kocham cię.

– Ja ciebie też – odpowiedział Zivik i wyłączył transmisję metaprzestrzenną. Gdy trójwymiarowa podobizna Jerushy zgasła, odwrócił się do Rice'a. Komandor porucznik wyglądał, jakby nie wiedział, czy ma się skrzywić, czy złośliwie uśmiechnąć.

– Wiesz, że mamy tu osłony zapewniające prywatność? Mógłbyś ich używać, żeby nikt nie słuchał twoich rozmów.

– Jasne, wiem.

Czy Zivika obchodziło, co Rice usłyszał i pomyślał? Ani trochę.

– No i dobrze. – Komandor porucznik pochylił się nad swoją konsolą. – Prom z naszym pasażerem właśnie wylądował w hangarze, kapitanie.

– Świetnie, przekaż mu, niech jak najszybciej przywlecze swój szacowny tyłek na mostek.

Rice teatralnie zaczął wpisywać wiadomość.

– ...szacowny tyłek... na... mostek. Zrobione, kapitanie.

Zivik zaśmiał się cicho. Może jednak Rice nie był taki zły.

– Masz wieści, czy jakieś resztki rządu zostały na powierzchni?
Komandor skinął głową.

– Skontaktowałem się z kilkoma niższymi członkami gabinetu rządowego z biura prezydenckiego Białorusi. Podczas ataków nie było ich w mieście, wybrali się na wakacje. Teraz są bardzo zajęci dyskusjami, który z nich zasiądzie w fotelu prezydenta, skoro wszyscy wysoko postawieni oficjele zostali dosłownie zmieceni z tego świata.

– Spróbuj umówić mnie na kilkuminutową choćby rozmowę z tym, który najpewniej zostanie prezydentem. Proctor chciała, żebyśmy sprawdzili, co tu się naprawdę stało, a mogę się założyć, że niedługo do tego układu gwiazdowego zaczną się zakradać zarówno okręty Konfederacji Rosyjskiej, jak i Zjednoczonej Ziemi. Lepiej, żebyśmy do tego czasu załatwili wszystko i wynieśli się w bezpieczniejsze miejsce.

Kilka minut później zapowiadany pasażer wszedł na mostek w eskorcie dwóch uzbrojonych po zęby żołnierzy.

Zivik wstał.

– Panie prezydencie, witam na „Wyzwaniu”. – Wyciągnął rękę. – Okręt jest do pańskiej dyspozycji. Admirał Proctor powiedziała, że ma pan do wykonania bardzo ważną misję.

Sepulveda przewrócił oczami.

– Doprawdy? Jakże wspomniałomyślnie z jej strony. Choć ciężko mi się do tego przyznać, jestem tutaj, żeby nie przeszkadzać. Chodzi o to, że Findiri nie mogą się pod żadnym pozorem dowiedzieć, że żyję, bo narazi to prezydent Cooper na ogromne niebezpieczeństwo. Większe, niż grozi jej obecnie.

– Oczywiście. Ale na pewno jest coś, co chciałby pan robić? Bez trudu możemy ukryć pańską obecność na pokładzie. Równie dobrze może się pan czymś zająć.

– Jak rozumiem, nasza pani admirał też powierzyła panu misję, prawda? – Prezydent Sepulveda usiadł w fotelu kapitańskim ku irytacji Zivika.

– Zgadza się. Mamy sprawdzić, co naprawdę się tutaj stało. Chociaż w tej chwili to już raczej nie jest jakaś trudna zagadka do rozwiązania. Separatyści, którzy chcieli wyzwolić Białoruś spod

wpływow Konfederacji Rosyjskiej, zaatakowali, wykorzystując zamieszanie na Ziemi. To byli bojownicy o wolność.

Sepulveda uniósł brew.

– Interesujące. A widzieliśmy tych bojowników o wolność? Mieli jakieś statki? Czy też ufamy słowu rannego pilota Konfederacji Rosyjskiej?

– Nie, nie mamy żadnych nagrań z ataku, ale możemy się wybrać na obszar bitwy. Kilka jednostek zostało zniszczonych podczas starcia.

– Zróbmy to. – Sepulveda skinął głową.

Zivik spojrział na sternika.

– Słyszałeś pana prezydenta.

Minuty mijały, ale wreszcie sternik oznajmił:

– Znajdujemy się na wrakowisku po bitwie, sir. Większość jednostek się rozpadła, ale kilka wygląda jeszcze całkiem nieźle.

– Na ekran, żebyśmy mogli się przyjrzeć, chorąży – rozkazał Zivik.

Chorąży kliknął polecenia na swojej konsoli, a zaraz potem na głównym ekranie pojawił się panoramiczny obraz orbitalnego poboju.

Sepulveda wstał.

– Proszę zbliżyć na ten tutaj. – Wskazał na średniej wielkości jednostkę ze smugami zwęglenia ciągnącymi się przez całą długość kadłuba. Połowa sterburty została odstrzelona. Obraz powiększał się, aż statek wypełnił go w całości. Sepulveda przyglądał mu się w skupieniu.

– Panie prezydencie? – rzucił Zivik.

– Możemy potwierdzić, że to nie jest jednostka floty białoruskiej, tylko jeden ze statków separatystów?

Komandor porucznik Rice potwierdził.

– Sprawdziłem rejestry rządowe Białorusi. Ten statek nie pasuje do żadnego w ewidencji, nie wygląda też na typowy okręt floty.

– Mój Boże – szepnął Sepulveda.

– Panie prezydencie? – zdziwił się Zivik.

– Ten statek. Znam go. – Prezydent wreszcie odwrócił się od ekranu, a na jego twarzy odmalował się gniew i niepokój. – Dwa takie omal mnie nie zabiły. Zniszczyły „Interstellar One”.

Wrócił na fotel kapitański.

– Pańska misja, Zivik, właśnie zrobiła się wyjątkowo interesująca.

Rozdział 7

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA, DOLNY MANHATTAN

– Pamiętasz ten taco-bar na Bolivarze? „Malutki Motyl” czy jak tam się nazywał?

Liu skinęła głową, kończąc swoje *taco al pastor*.

– „La Mariquita Achispada”?

– O, właśnie, „Pijana Biedronka”. No, muszę przyznać, że nie pobiła „Tacos n’More”, choć to tylko sieciówka.

Fiona parsknęła śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś prostakiem, który lubi żarcie z sieciówek? Dokąd mnie zaprosisz na kolejną randkę? Na piwo w „Najpiwszych Piwach”?

– Hej, nie nabijaj się z moich ulubionych miejsc!

– Ale to takie łatwe...

Danny roześmiał się także i wyrzucił przetłuszczone jednorazowe opakowanie do pobliskiego kosza do recyklingu śmieci.

– Gotowa? Nasz prom już leci.

Fiona pokręciła głową z irytacją i wyrzuciła swoje opakowanie.

– Wyjaśnij mi jeszcze raz. Czemu wynajęliśmy prywatny prom, zamiast wziąć prezydencką korwetę? Wycieczka na grób Abrahama Hawsa pewnie i tak wzbudzi mnóstwo podejrzeń, wzięwszy pod uwagę, co się wokół dzieje... – Zatoczyła ręką, jakby chciała tym gestem wyrazić, że chodzi jej zarówno o okupację Ziemi przez Findiri, jak i o ich przywódcę, który stwierdził, że jest Abrahamem Hawsem we własnej osobie, wbrew powszechnemu przekonaniu, że

Abraham Haws zginął na pokładzie „Konstytucji” podczas drugiej wojny z Rojem.

Danny ruszył w stronę lądowiska po drugiej stronie ulicy.

– To ty byłaś agentką wywiadu.

– Właśnie. I zapewniam cię, że wynajęcie prywatnego pojazdu nikogo nie zmyli. Równie dobrze można było wyłożyć kawę na ławę, a przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Wynajmowanie prywatnego transportu? To jak podskakiwanie, wymachiwanie rękami i wykrzykiwanie: „Hej, patrzcie na mnie! Tutaj! Nie chcę, żebyście wiedzieli, dokąd się wybieram”.

Danny nie zwolnił kroku.

– Możemy się zgodzić, że się nie zgadzamy.

– Boże, jesteś nieznośny.

– Przyznaj, że właśnie dlatego mnie lubisz. – Powiedział to żartobliwie, ale wyczuł, że partnerkę coś zdenerwowało.

Obejrzał się. Fiona z troską patrzyła na drugą stronę ulicy – dzięki połączeniu ich umysłów wyczuwał jej niepokój.

– Nie odwracaj się, ale mamy towarzystwo na lądowisku. To ten Findiri, który zawsze łązi z Hawsem, to znaczy z Talusem. Nazywa się Varus albo jakoś podobnie.

Danny pokiwał głową na pokaz. Odwrócił się nieśpiesznie i rozejrzał po chodniku, a dopiero potem zerknął za siebie.

Tak, to on. Czeka na prom? Findiri? Jakim cudem?

Chyba możemy go zapytać. Jesteśmy prywatną ochroną jego szefowej... w pewnym sensie szefowej.

Masz na myśli marionetkę, za której sznurki pociąga Talus?

Marionetka czy nie, Cooper to wszystko, co mamy. Zachowaj czujność, zobaczyl nas.

Varus rzeczywiście ich wypatrzył, a kiedy znajdowali się o kilkanaście metrów od niego, zamachał.

– Ty jesteś Varus? Wybacz, nie znam twojego stopnia ani pozycji w odniesieniu do Talusa. Jak pewnie się domyślasz, ostatnio byliśmy trochę zajęci – powiedziała Liu.

Findiri całkowicie ją zlekceważył i zwrócił się bezpośrednio do Danny’ego, jakby kobieta w ogóle się nie odezwała.

– W tej iteracji jestem adiutantem.

– Och – odpowiedział Danny. Zwrócił uwagę na stwierdzenie „w tej iteracji”. – A co robi adiutant Findiri?

– Dowodzę działaniami jednego okrętu i jego jednostek wspierających, ale podlegam bezpośrednio tylko dyrektorowi Talusowi.

– Rozumiem. Czyli takich adiutantów jest około setki, prawda? A może tysiąc?

Starał się wyciągnąć trochę informacji, ponieważ jego ciotka i jej zwolennicy nie mieli pojęcia, ile okrętów liczy flota Findiri, zwłaszcza że podzieliła się na różne grupy bojowe, które poleciały na takie światy jak Nowy Dublin, Mao Prime, Majorka i dziesiątki innych.

– Stu pięćdziesięciu dwóch. Straciliśmy ośmiu podczas bitwy nad Ziemią, ale służyli dobrze i w następnej iteracji zostaną nagrodzeni.

Varus zerknął na dwóch innych Findiri, którzy stali obok – chyba było to porozumiewawcze spojrzenie, przynajmniej tak uznał Danny, choć nie miał pojęcia, co właściwie adiutant przekazywał w ten sposób swoim towarzyszom lub podwładnym.

– Kiedy będzie następna iteracja? I... wybac mi ignorancję... co to właściwie jest ta „iteracja”?

– Przepraszanie z powodu braku wiedzy to głupota. Lepiej zapytać, aby się dowiedzieć, niż udawać żal.

Danny zamrugnął zaskoczony.

– To zaskakująco... mądre – przyznał, choć powstrzymał się od dodania reszty tego, co pomyślał: „Jak na rasę okrutnych morderców, z której się wywodzisz”.

– Findiri żyje dwieście dziesięć waszych ziemskich lat. Potem jego ciało przestaje funkcjonować, a w nowej iteracji powstaje na nowo w jednej z komór ucieleśniających. Uczynki tego Findiri brane są pod uwagę przy następnej iteracji i otrzymuje on pozycję, na którą sobie nimi zasłużył.

– Rany. Czyli karma jednak istnieje. – Danny zauważył prom podchodzący do lądowania, ale po sprawdzeniu danych okazało się, że to nie ten, który wynajął. – A tak w ogóle wynajmujecie prywatne pojazdy? Myślałem, że Findiri używają własnych?

– Talus uznał, że powinniśmy się zapoznawać ze społeczeństwem ludzi. Dlatego korzystamy z ludzkiego transportu, aby dostać się do

celu.

– Czyli gdzie?

– Nie twoja sprawa, człowieku. – Twarz Varusa pozostała beznamiętna. Spoglądał nieruchomo czerwonymi oczami i chyba przestał zauważać obecność Danny’ego, jak wcześniej pominął Liu.

– Jasne, chciałem się tylko upewnić, czy nie wybieramy się w tę samą stronę, bo wtedy moglibyśmy polecieć razem. No wiesz, żeby trochę zaoszczędzić – wyjaśnił. Wątpił jednak, żeby pilot promu ośmielił się zażądać zapłaty od Findiri.

– Wybierasz się do Ośrodka Penitencjarnego na Wschodnim Wybrzeżu? – zapytał Varus, wciąż wpatrując się w lądowisko.

– Nie.

– Zatem nie polecimy razem. – Wydawało się, że Varus chciał powiedzieć coś jeszcze, ale jeden z Findiri obok wskazał na swój podręczny komunikator zapięty na nadgarstku, na którym wyświetlało się coś, czego Danny nie mógł dostrzec.

– Adiutancie, znaleźliśmy towarzysza zdrajcy.

Varus z aprobatą skinął głową.

– Dobrze. Czyli najpierw wybierzemy się do New Haven. Niech nasz elitarny szwadron stawi się tam za trzydzieści minut.

Po czym bez dalszych ceregieli wsiedli do promu, który właśnie wylądował, i zatrzasnęli właz.

– New Haven? – powtórzył Danny.

– W Connecticut.

– Co, u diabła, jest w New Haven? Towarzysz Grangera? Czy nie tak tytułowano moją ciotkę? Towarzyszka Bohatera?

Liu przytaknęła w zamyśleniu.

– Owszem, ale admirał nie ma nawet w pobliżu Ziemi. Poczekaj, zapytam ją.

Danny czekał. Po chwili na twarzy Fiony odmalował się niepokój.

– Qwerty.

Rozdział 8

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA NEW HAVEN, CONNECTICUT

Minęły zaledwie trzy dni, ale ciągnęły się jak wieczność. Komandor Qwerty zastanawiał się, czy właśnie tak czuł się kapitan Granger po przeżyciu kilku miliardów lat, gdy dla reszty ludzkości minęło ich zaledwie trzydzieści. Może? Jasne.

– Przestań się nad sobą uzalać, kowboju. Trzy dni to nic. Czekales cały miesiąc, zanim As powiedziała tak, co nie? No i patrz! Zaraz ożenisz się z prawdziwą nowolaredańską królową przestworzy!

Rozejrzał się po słabo oświetlonym ciasnym pomieszczeniu, wypchanym książkami, dokumentami oraz starymi dysertacjami. Ten malutki pokój przy bibliotece Yale stał się jego cełą.

– Zaraz się ożenisz – powtórzył pod nosem. – O ile wyjdiesz z tego cało, durniu. I przy zdrowych zmysłach. Jeżeli nie będę ostrożny, znowu zacznę gadać do siebie. Potem wystarczy mi jeszcze stado kotów i gotowe.

Zerknął na swój naręczny komunikator. Dochodziła dziewiąta wieczór. Wkrótce biblioteka zostanie zamknięta, a studenci wreszcie się wyniosą. Jakim cudem uczelnia nie została zamknięta po poddaniu się Ziemi i przejęciu jej przez Findiri, pozostało dla Qwerty'ego nierozwiązywalną zagadką, mimo że dyrektor Talus rozkazał, aby wszystkie instytucje działały normalnie, jakby nic się nie stało.

Jednak raczej się nie zanosilo, że to długo potrwa.

– Rozejrzyjmy się... – Qwerty odsunął się od biurka i przejechał na krześle do drzwi, a potem ostrożnie je uchylił. No, oczywiście, kilku maruderów wciąż siedziało przy jednym ze stołów i dyskutowało o swoich badaniach albo, co bardziej prawdopodobne, plotkowało jak wszyscy o inwazji. Czterech studentów, pewnie pierwszorocznych, sądząc po wyglądzie. Szlag. Jeżeli bibliotekarze ich nie wyrzucą, spędzą tutaj całą noc. Jeden z chłopaków pchnął drugiego pięścią i cała grupka się roześmiała.

– Cholera, no już, chłopaki, koniec zabawy na dziś – wymamrotał Qwerty. – Ach, nareszcie.

Obserwował z ukrycia, jak kustosz zbiorów rzadkich podszedł do młodzieży i wyprosił ją z biblioteki. Świetnie. Ten człowiek uratował Qwerty’emu życie. Dosłownie. Chociaż Talus obiecał, że wszyscy oficerowie Zjednoczonej Floty, którzy przyrzekną posłuszeństwo nowemu reżimowi, zostaną objęci całkowitą amnestią, jednak Qwerty wątpił, czy odnosiło się to także do jego osoby. Nie znał się za bardzo na zasadach zmiany władzy, ale zakładał, że ktoś, kto pomagał Grangerowi pokonać Findiri, trafi raczej na listę „ludzi, którymi trzeba się zająć” – w mafijnym pojęciu tego określenia.

– Komandorze Qwerty, już jest bezpiecznie, może pan wyjść – powiedział cicho kustosz.

Peck. Kustosz Peck. Qwerty’emu podobało się brzmienie jego nazwiska, dobrze się wymawiało. Kus-TOSZ-Peck. Ładnie, rytmicznie.

– Cholera, człowieku, zmieniasz się w chodzącą katastrofę – mruknął do siebie, gdy otwierał drzwi. – Kus-tosz-Peck – zwokalizował odruchowo i od razu zaczął się w duchu przeklinać. – Raz jeszcze dziękuję za pańską gościnność.

– Chce pan wziąć prysznic?

– Nie, ale chciałbym zapytać znowu o to samo, o co pytałem już wczoraj i przedwczoraj. I przedprzedwczoraj. Zmienił pan zdanie?

– W zasadzie tak. – Peck gestem zaprosił go do kolejnego pokoju. Drzwi były zamknięte, ale kustosz przyłożył twarz do skanera siatkówki i zamki kliknęły cicho przy otwieraniu. – Skontaktowałem się z kolegami na San Martin. Pańskie słowa zostały potwierdzone.

– Och! Czyli jednak ma pan elektroniczną kopię Manuskryptu Wojnicza?

Przez minione trzy dni kustosz wykręcał się jak mógł, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając istnieniu kopii. Twierdził, że musi się upewnić, czy Qwerty naprawdę jest tym, za kogo się podaje. Najwyraźniej w bibliotece Yale rozwijało się radośnie jakieś ściśle tajne gówno rodem z powieści płaszcz i szpady.

– Nie, ale pokażę panu coś lepszego. Proszę za mną. – Otworzył drzwi i wpuścił Qwerty’ego.

Na ścianie znajdował się sejf ze staroświeckimi pokrętłami do otwierania szyfrowego zamka. Kustosz zakręcił nimi i dwukrotnie obrócił koło, żeby otworzyć skrytkę.

– Moi znajomi na San Martin potwierdzili, że naprawdę pracuje pan dla Procarza.

– A kim są ci znajomi, jeśli wolno spytać? – Qwerty niecierpliwie spojrzał na sejf.

– Vestigium. Proszę się nie przejmować, na pewno pan o nas nie słyszał. Powiedzmy, że... Procarz zainicjował wiele wydarzeń, w tym powstanie naszej organizacji. – Kustosz sięgnął do skrytki i wyjął zamkniętą teczkę, również zabezpieczoną. Tym razem otwarcie jej wymagało klucza, który Peck wyjął z kieszeni. Wreszcie ostatni zamek puścił i ukazała się zawartość.

– Święta Maryjo, matko słodko-gorzkiego Jezusa. Czy to... To? Myślałem, że został skradziony wieki temu. – Qwerty wyciągnął rękę, aby dotknąć starożytnej skórzanej oprawy Manuskryptu Wojnicza.

– W pewnym sensie rzeczywiście został skradziony. Przez nas. Pojawiło się kilka prób kradzieży przez ludzi, którzy nie wyglądali na wielbicieli starych rękopisów, więc na wszelki wypadek sami ukradliśmy księgę, żeby zapobiec kolejnym próbom. Tyle tylko, że nigdzie go nie zabraliśmy. Znajdował się tutaj cały czas. Nasi przodkowie w dwudziestym pierwszym wieku uznali, że najlepiej będzie, jeśli opinia publiczna uwierzy w udaną kradzież. Dzięki temu nikogo więcej nie kusilo już, aby ukraść rękopis. A potem usunęliśmy elektroniczne kopie. Pozostała jedynie ta wersja. Oryginał.

Qwerty pośpiesznie otworzył książkę i przekartkował kilka delikatnych, welinowych arkuszy. Ten tom wyglądał niemal identycznie jak manuskrypt znaleziony w grobie na planecie

strzeżonej przez uzbrojone drony. Z wyjątkiem słów – te chyba się różniły. Ale ryciny były takie same. Oprócz portretu Grangera na ostatniej stronie.

– Ale dlaczego? To znaczy zdaję sobie sprawę, że to głupie pytanie, biorąc pod uwagę, co się stało przez ostatnie kilka dni. Ale mimo wszystko: dlaczego?

Peck wzruszył ramionami.

– Od wielu lat zajmujemy się tą księgą, piszemy o niej, stawiamy hipotezy, ale i tak niewiele wiemy. Jednak na pewno wśród tych kart znajduje się klucz do pokonania wrogów ludzkości obecnie i w przyszłości. Coś, co zamieścił tutaj Procarz, zapewne jakiś kod, którego nie można było złamać, dopóki Granger nie powróci. Bez wątpienia bał się, że ta wiedza może trafić w niepowołane ręce, i nie chciał utrwaląc jej w żaden inny sposób i w żadnym innym nośniku. Nawet we własnym mózgu, jak się okazuje. Mój kolega na San Martin powiedział, że Granger nie pamięta nawet, co to dokładnie jest, żadnych szczegółów. Rdzeń pamięci, który dał mu Jasper, może się przydać, ale ani my, ani kapitan nie mamy dostępu do tego zapisu, brakuje nam odpowiedniej technologii. Tak czy inaczej, wystarczy rewelacji na dziś. Chce się pan przyjrzeć dokładniej? Podobno jest pan najlepszy, gdy chodzi o kody i szyfry.

– Tak o mnie mówią – mruknął Qwerty, oglądając rękopis. W tej wersji przynajmniej rozpoznawał większość liter, choć składały się na zupełny bełkot. – Ale może trafiłem na twardy orzech, którego nie uda mi się rozgryźć, biorąc pod uwagę, że ludzie próbowali złamać ten szyfr przez setki lat.

Sięgnął do panelu na swoim naręcznym urządzeniu, włączył skaner i ustawił na wykrywanie zmian metaprzestrzennych.

Peck zmarszczył brwi.

– Fale metaprzestrzenne? Co spodziewa się pan znaleźć? Manuskrypt nie opuścił tej biblioteki przez ostatnie pięć stuleci.

– Nie dowiem się, dopóki nie sprawdzę – odparł Qwerty to, co wydawało mu się oczywiste. Przesunął urządzeniem nad manuskrytem, potem wokół niego w tę i z powrotem, aby namierzyć potencjalne fale, określić ich kształt i polaryzację. – No tak, jest.

– Co „jest”?

– Dokładnie taka sama sygnatura metaprzestrzenna, którą znaleźliśmy w... – Urwał, bo nie wiedział, ile może ujawnić temu mężczyźnie. Co prawda kustosz twierdził, że należy do tajnej organizacji, którą podobno stworzył Granger we własnej osobie, ale bardzo możliwe, że było to oszustwo.

– W wersji obcych?

Qwerty popatrzył na Pecka z zaskoczeniem.

– Och, rozmawiał pan ze starym kapitanem?

Kustosz pokręcił głową.

– Nie, ale jak mówiłem, mój znajomy się z nim spotkał. Co to oznacza?

– Sygnatura metaprzestrzenna? Nie mam pojęcia. Wygląda jak niezwykle silna fala metaprzestrzenna albo nawet puls metaprzestrzenny wpisany w strukturę molekularną stron. Wzorzec i polaryzacja są identyczne w obu przypadkach. Co to oznacza? Trudno powiedzieć. Nie jestem fizykiem... – Gdy o tym mówił, doznał olśnienia. – Ale znam jednego bardzo bystrego. Może wpadnie na jakiś pomysł...

– Gdzie jest?

– To znajomy z OZF „Volz”. Siedziałbym teraz na pokładzie, gdybym nie został odesłany do przekładu starożytnego rękopisu. – Qwerty wyłączył skaner i przejrzał jeszcze kilka stron. – Jak rozumiem, ta książka musi tu zostać?

Peck przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

– No... Vestigium uznało, że tak będzie najlepiej.

Naręczny komunikator Qwerty’ego zapiszczał. Dźwięk wskazywał na pilną wiadomość przychodzącą. Komandor otworzył ją, sprawdził, a potem pokazał Peckowi.

– A jak to wygląda teraz?

Kustosz zmrużył oczy, patrząc na tekst, a potem włożył okulary, żeby przeczytać wiadomość.

– Kto to jest Danny?

– Danny Proctor. On i jego żona są prywatną ochroną prezydent Cooper i jej pilotami. Danny to także bratanek admirała Proctor.

– I, jak się domyślam, „nadchodzą” odnosi się do Findiri?

– Niestety.

Twarz Pecka pobladła jak płótno.

– Czyli, jak mi się zdaje, żaden z nas nie jest tutaj bezpieczny?

– Słuszne założenie. – Qwerty włożył Manuskrypt Wojnicza do teczki, zamknął ją i wyjął broń z kabury przy pasie. – Mam szczerą nadzieję, że w tym budynku znajdują się jakieś tajne tunele, którymi możemy uciec, inaczej już za chwilę zacznie się tutaj ostra strzelanina.

Rozdział 9

UKŁAD SŁONECZNY NISKA ORBITA OKOŁOZIEMSKA KORWETA VESTIGIUM „LEGENDA”

– Założę się o dziesiątaka, że skończę to piwo szybciej niż ty.

Słyszał słowa, ale dla niego nie składały się w żadną sensowną całość. Odwrócił się powoli i po raz pierwszy spojrział na dziewczynę, która stanęła obok niego przy kontuarze.

Czuł się oślepiiony. To jedyne, co przyszło mu do głowy.

– Co?

– Słyszałeś – odpowiedziała dziewczyna, a potem zwróciła się do barmana. – Proszę jeszcze dwa piwa. Na mój rachunek. To moje może być trochę większe. I pospiesz się, Ed, bo to będzie wyścig, którego długo nie zapomnisz.

Uderzyła otwartą dłonią w kontuar tuż obok prawie dopitego piwa.

– Wyzywasz mnie... kto szybciej wypije? – zapytał z niedowierzaniem.

Dziewczyna była śliczna. Szlag. Była cholernie śliczna.

– Tak – odpowiedziała wprost. Wydawała się urocza.

Barman skończył napełniać dwie szklanki, a w tym czasie wokół kontuaru zgromadziła się już stała klientela lokalu. Wszyscy chcieli zobaczyć, czy miejscowej uda się wygrać z młodym, przyjezdnym kapitanem floty.

– Mam odliczać? – zapytał barman.

– Poproszę – odpowiedział młody kapitan. Rozciągnął palce, aż trzasnęły kłykcie, a potem na pokaz przekrzywił kilka razy głowę,

żeby poluzować kark. – Taka ślicznotka zadziera z kimś takim jak ja? Wiesz, że byłem pilotem myśliwca?

– No i? – Skrzywiła się lekko, ale jej oczy błyszczały rozbawieniem.

– No i piloci myśliwców, gdy nie pilotują myśliwców, walczą z innymi pilotami o ostatnie krople bimbru schowane w magazynach przy lądowisku.

– Dużo gadasz jak na kogoś, kto zaraz przegra.

Kapitan prychnął, a potem skinął barmanowi głową.

– No to sprawdźmy, kto wypije pierwszy.

– Gotowi? Trzy... dwa... jeden... pić! – zawołał barman.

Kapitan chwycił swoją szklankę i uniósł tak szybko, że kilka kropli prysnęło mu na koszulę.

Dziewczyna sięgnęła, jednak nie po pełne naczynie, a po prawie skończone piwo na kontuarze. Wypiła resztę jednym łykiem.

– Poproszę gotówkę. Albo bezpośredni przelew. Na rachunek Rei Goldmeyer.

Niewielki tłumek ryknął śmiechem. Kapitan wciąż trzymał prawie pełną szklankę. Dziewczyna spojrzała na niego z miną, która zdradzała, że z trudem powstrzymuje śmiech.

W końcu jednak nie wytrzymała i naprawdę się roześmiała.

A kapitan miał wrażenie, że świat się odmienił.

– Tim Granger – przedstawił się.

– Wiem – odpowiedziała.

– Kapitanie? Do Ziemi został nam jeden skok kwantowy. Obudził się pan?

– Prawie... – Granger zamrugał. Zasnął w fotelu przed kokpitem. Na policzku poczuł wilgoć i pośpiesznie wytarł ślinę rękawem.

– Jaki właściwie mamy plan?

Wspomnienie snu już się rozwiewało, ale imię nie zniknęło. Rea. Kobieta ze zdjęcia w kryjówce Vestigium w Bernie. Jasper twierdził, że umarła na Indirze podczas drugiej wojny z Rojem. Kiedy to było? Trzydzieści jeden lat temu?

– Plan, no tak. Oto, co musimy zrobić. Przede wszystkim trzeba skontaktować się z Dannym Proctorem. Byle nie bezpośrednio, w pobliżu może być ktoś, kto podsłucha, a tego sobie nie życzymy. Zostaw mu wiadomość. Zapytaj, czy wie, gdzie znajduje się nasz przyszły pasażer. Jeżeli nie wie, poradzi sobie ze znalezieniem

odpowiedzi. Jego transmisje na pewno są monitorowane, jeżeli nie przez Findiri, to przez jakiegoś dupka ze Zjednoczonej Floty, który podlega Oppenheimerowi. Dlatego nie używaj nazwisk. Mów o nim... – Nic nie przyszło mu do głowy. A przecież był dobry w wymyślaniu kryptonimów.

– Nasz wspólny znajomy?

– Zabawne. Ale zbyt oczywiste. Nie, po prostu powiedz, że szukasz brata. Słyszałeś, że po końcu semestru na Yale wybrał się na wakacje do Berna. Kilka dni temu, po katastrofie, zniknął. Martwisz się o niego, bo nie kontaktował się z nikim, a matka się niepokoi. Jasne?

Jasper skinął głową.

– Brat, studia, wycieczka do Berna, zaginięcie, zaniepokojona matka. Dobra, łapię – stwierdził. Grymas na jego twarzy zdradzał większy niepokój niż ten wynikający z tonu wypowiedzi.

– Świetnie. Załapałeś, synu. Spokojny głos, pełen troski, ale bez przesady, jasne? To tajna operacja, nie przedstawienie szkolnego teatryku.

– Dobra, jestem gotów.

Jasper nacisnął kilka klawiszy na panelu łączności i przeszukał pasma, zanim znalazł odpowiednie.

– No to do dzieła... Danny Proctor? Mówi twój kumpel, Jasper. Słuchaj, znasz mojego brata, nie? Studiuje w Yale. Wyjechał na wakacje w zeszłym tygodniu i... no, od tamtej pory nie miałem od niego żadnych wieści. Mówił, że zamierza powłóczyć się po Europie, między innymi chciał pozwiedzać Berno, ale... od tamtej pory ani razu się nie odezwał. Nie wiesz przypadkiem, gdzie się podział? Mama się denerwuje, zwłaszcza po tym, co się stało w Bernie, po tej bitwie i w ogóle... W każdym razie skontaktuj się ze mną, jeżeli coś wiesz. Jestem z ojcem. Przerwał leczenie raka, żeby pomóc mi szukać brata, więc chcę to jak najszybciej zakończyć... Wiesz, jak jest. Daj znać. Jasper, bez odbioru.

Granger ukrył twarz w dłoniach.

– Miałeś tylko jedno proste zadanie.

Jasper się zaczerwienił.

– Przepraszam, trochę się zaciąłem przy końcu.

Granger westchnął i rozmasował sobie nasadę nosa.

– Chyba wyszło dobrze... Ale następnym razem improwizacje zostaw mnie, dobrze?

– Dobrze. – Młodzieniec pochylił się nad sterami i wpisał kilka komend. – Ustawię nas na wysokiej orbicie. W razie czego będzie można szybko uciec, gdyby zaszła taka konieczność.

– Nie, to podejrzane. Zejdź na niską orbitę. Dzięki temu szybciej dotrzemy do Qwerty’ego, gdy tylko go znajdziemy.

Jasper potwierdził skinieniem głowy. Może łatwo było go zawstydzić, ale za sterami świetnie dawał sobie radę. Granger przez bulaj po prawej patrzył, jak Ziemia się zbliża, gdy korweta opada w pole grawitacyjne planety. Cienka linia atmosfery zajaśniała w promieniach wschodzącego Słońca. Wyżej, w pobliżu stacji Yarbrough, dało się zauważyć mnóstwo cumujących okrętów – zapewne część floty Findiri.

– Mam zmienić kurs? Znajdziemy się tuż pod stacją.

– Nie. To też będzie podejrzane. A przecież nie mamy nic do ukrycia, prawda?

– Racja.

Na pulpicie włączył się ekran i pojawiła się twarz Danny’ego. Bratanek Shelby stał przed rzędami... chyba nagrobków?

– Tu Danny. Co się dzieje, Jasper?

Granger odchylił się, żeby kamera go nie uchwyciła – lepiej, żeby nie pojawił się na transmisji. Jasper pośpiesznie obrócił obiektyw na siebie.

– Och, cześć, Danny. Dobrze cię słyszeć. Dawno się nie widzieliśmy, nie?

Rozmawiali dokładnie dwa dni temu. Granger pokręcił głową i bezgłośnie powtórzył, żeby chłopak nie improwizował. „Zostaw to mnie!”.

– Ano. A jeżeli chodzi o twojego brata, mam dobre i złe wieści.

– Kapuję – odparł Jasper. – Wal.

– Dobra wiadomość jest taka, że twój brat nie poleciał do Berna. Przerwał swoją wycieczkę po Europie, gdy pojawili się Findiri.

Jasperowi całkiem nieźle udało się odegrać ulgę.

– Och, Bogu dzięki, mama bardzo się ucieszy. A... zła wiadomość?

Danny uśmiechnął się złośliwie.

– Złe wieści są takie, że wakacje zostały odwołane i uczelnie rozpoczynają zajęcia. A pieniądze za wycieczkę nie podlegają zwrotom. Na dodatek kilku nowych wykładowców uwzięło się na twojego brata. Pewnie niedługo wyślą po niego swoich adiunktów. Chłopak zaszył się w bibliotece i pilnie uczył, ale zanosi się, że to nie wystarczy i będzie musiał szybko poszukać sobie innej uczelni. Przynajmniej tak mi powiedział. Sytuacja chyba się trochę zaogniła.

– No, nie rozumiem dlaczego – mruknął Jasper. – Co za ulga, że nic mu się nie stało. Dzięki, Danny. I odwiedź nas czasem, gdy będziesz w okolicy.

– Bardzo chętnie, stary. Hej, sprowadziłeś tu ojca? Myślałem, że przerwanie terapii raka w czwartym stadium jest zabronione?

Granger stłumił jęk. Jasper tylko wzruszył ramionami.

– Znasz mojego ojca, to wariat. Powinien był zostać w domu z mamą. No, ale co zrobisz? Nie przetłumaczysz.

Trzeba przyznać, że chłopak nieźle sobie radził – jego zachowanie, wypowiedzi i ton głosu – wszystko wypadało całkowicie naturalnie. Jakby wierzył w to, co mówi. Może nadawał się do operacji specjalnych albo wywiadu, gdyby się podszkolił? Jednak nadmiar wieści trochę go rozpraszał.

– No, racja. Dobra, stary, pogadamy później. Danny, bez odbioru.

Transmisja dobiegła końca, a Granger odetchnął z nieskrywaną ulgą.

– Uch, wyszło tylko trochę lepiej, niż można by oczekiwać.

– Przepraszam...

Granger poklepał chłopaka po ramieniu.

– Nie, młody, dobrze się spisałeś. Naprawdę. Ale następnym razem...

– ...nie improwizuj. No wiem, jasne.

– Wygląda na to, że Qwerty ma kłopoty. Wciąż jest w Yale, ukrywa się w bibliotece, ale, jak chyba próbował zasugerować Danny, musi się stamtąd jak najszybciej wydostać. Przynajmniej tak zrozumiałem tę jego opowieść o wykładowcach, którzy wyślą adiunktów...

– Zaszyfrowane ostrzeżenie, że Findiri wyślą żołnierzy?

Granger wzruszył ramionami.

– Pewnie tak. Qwerty’emu może grozić niebezpieczeństwo. Lepiej lećmy po niego od razu.

Jasper pokiwał głową.

– Wprowadzę kurs na New Haven. Przy odrobinie szczęścia za godzinę już nas tu nie będzie.

– Doskonale. – Granger podszedł do wnęki, włączył dystrybutor i zaordynował sobie kawę. Zaraz potem z podajnika wysunął się plastikowy kubek, który automat zaczął napełniać zamówionym naparem. – Chcesz też?

Jasper nie odpowiedział.

– Jasper?

– Uch, przepraszam, ale kilka sekund po tym, jak zmieniliśmy kurs do Connecticut, jakaś mała jednostka Findiri i dwa myśliwce oderwały się od floty spod stacji Yarbrough.

Granger zapomniał o kawie i pośpiesznie wrócił do kokpitu.

– Lecą na nas kursem kolizyjnym?

– Niezupełnie. Nie, raczej nie. To znaczy ogólnie lecą w tym samym kierunku co my. Może to przypadek...

Granger zajął fotel pilota.

– Takie przypadki nie istnieją, młody. Zapnij pasy. Czeka nas niełatwa ewakuacja Qwerty'ego.

Rozdział 10

UKŁAD SŁONECZNY
ZIEMIA
FREEHOLD, NEW JERSEY
OŚRODEK PENITENCJARNY NA WSCHODNIM WYBRZEŻU

– Adiutancie, strażnik więzienny potwierdza. Liczba więźniów w ośrodku wystarczy na trzy dni planu dyrektora Talusa, który ma zmusić zdrajcę do poddania się. – Podadiutant skłonił lekko głowę, aby tradycyjnie podkreślić, że rozkaz został wykonany.

Adiutant Varus, gdy dowiedział się wcześniej rano o planach, jak dyrektor Talus zamierza pojmać Grangera, omal nie wpadł w gniew. Nie chodziło o to, że plan nie był skuteczny.

Ale był niewłaściwy.

– Dobrze. Zadbaj, aby przetransportować ich pod budynek rządu Zjednoczonej Ziemi.

– Na rozkaz, adiutancie. – Jego podadiutant Nubo zatrzymał się przy włączu do promu. – Słyszałem pogłoski, że na innych okrętach wielu podziela twoje nastawienie.

– Myślą tak, bo są Findiri.

– Ale dyrektor Talus jest pewien swojej decyzji?

Gniew znowu zaczął narastać w Varusie na sam dźwięk tego imienia. Ta istota nie powinna nigdy przejąć przywództwa nad Findiri i nad nim. A to, że tak wielu adiutantów zgodziło się z Talusem, było zaskakująco negatywnym odkryciem.

– Całkowicie. Uważa, że znalezienie Grangera to klucz do sukcesu – odparł.

– A ty nadal uważasz, że powinniśmy ścigać statek Roju, który ostatnio się pojawił?

– To nasze przeznaczenie, podadiutancie Nubo. Jakie znaczenie dla nas ma pojmanie Grangera? Zapewne pozwoli nam zresetować kody genetyczne w komorach ucieleśnienia? To był wartościowy cel, dopóki nie dowiedzieliśmy się, że Rój wciąż istnieje. Teraz ściganie Grangera rozprasza tylko naszą uwagę.

– Zgadza się, adiutancie. Jak wielu innych.

– Dobrze. Przekaż wiadomość do strażnika, a potem wróć jak najszybciej. Nasza zdobycz w New Haven już czeka.

Podadiutant opuścił prom i wrócił po kilku minutach.

– Strażnik posłucha. Pierwszy transport więźniów zostanie dostarczony pod siedzibę rządu Zjednoczonej Ziemi w ciągu dwóch godzin.

Varus spojrział na pilota promu. Drobny człowiek z zaniedbanym zarostem. Findiri nigdy wcześniej nie widział włosów na twarzy – jego rasa nie posiadała tej cechy. I całe szczęście, jak uważał Varus.

– Zabierz nas do New Haven, na Uniwersytet Yale.

– Pan tu jest szefem, szefie. – Pilot wpisał komendy na konsoli sterowniczej i prom uniósł się w powietrze. – Ale tak się zastanawiam. Chętnie pomogę i w ogóle, ale myśli pan, że flota mi zapłaci? Może pan to zorganizować?

Varus zamrugał zdziwiony, bo nie bardzo rozumiał, o co chodzi.

– Zapłaci?

– No tak. Wie pan, prywatni kierowcy i piloci jak ja zwykle dostają pieniądze za swoje usługi.

– Pieniądze.

– No, pieniądze.

Varus odwrócił się do swojego asystenta wykonawczego.

– Dowiedz się o tym płaceniu, gdy wrócimy. Jeżeli to prawda, zadbaj, aby pieniądze zostały przekazane temu człowiekowi.

– Tak jest, adiutancie.

– Pilocie, jaką ilość tych pieniędzy potrzebujesz?

Pilot wyraźnie się zająknął.

– No cóż, wie pan, jak się tak zastanowić... sto tysięcy?

– Nubo. Sto tysięcy jednostek tych pieniędzy.

Pilot zrobił dziwną minę. Radosny uśmiech?

– Dziękuję! Jeżeli będą panowie potrzebowali moich usług w przyszłości, jestem do dyspozycji. Naprawdę. Rzucę wszystko, co robię, i przylecę.

– Zapamiętam, pilocie. A teraz lećmy.

Prom pomknął w górę, ale ledwie dotarł do górnego pułapu chmur, zaczął znowu opadać. Varus dostrzegł wybrzeże obszaru nazywanego Connecticut, a zaraz potem zaczęli schodzić do lądowania na płycie przed uniwersytetem.

– Cholera, miejsce jest zajęte, panie Varus – oznajmił pilot.

– Zajęte? Czym? Na lądowisku na pewno zmieści się więcej niż jeden lądujący prom.

Pilot wskazał za okno.

– To nie prom. To korweta. Zajęła cztery miejsca postojowe.

– Skąd pochodzi?

Człowieczek zmrużył oczy, gdy patrzył na wyświetlacz swojej konsoli.

– Transponder wskazuje, że to korweta „Legenda”, zarejestrowana na San Martin.

Varus pokręcił głową.

– No dobrze. Wyląduj na dziedzińcu. – Odwrócił się do Nubo. – Pojawiły się już oddziały elitarne?

– Za dwie minuty, adiutancie.

– Kiedy przylecą, każ im od razu złapać spiskowca. Cel znajdował się w bibliotece, ale przez minione pół godziny mógł się przemieścić.

– Tak jest, adiutancie.

– I miej własną broń w gotowości. Przez ostatnie trzy dni nauczyłem się, że ludzie zawsze potrafią cię zaskoczyć.

Rozdział 11

SEKTOR KIJOWSKI WYSOKA ORBITA NAD BIAŁORUSIĄ OZF „WYZWANIE” MOSTEK

– Komandorze Rice, chcę dokładny skan wraku tego statku. Wszystko. Prześwietlenie, dane wizualne, mikrofałe, ultrafiolet, profil neutronów i fal metaprzestrzennych, wszystko, co się da. Muszę wiedzieć, z czego i kiedy zbudowano ten wrak, kto go pilotował i jaką gumę żuł, gdy zginął za sterami. – Zivik już miał usiąść w fotelu kapitańskim, ale w porę przypomniał sobie, że zajął go Sepulveda. Zamiast tego stanął więc obok stanowiska pierwszego oficera.

– Tak jest, kapitanie. – Rice wybrał kilka komend i skinął na oficera przy stanowisku taktycznym. – Słyszałeś dowódcę. Ja zajmę się metaprzestrzenią, ty weź resztę.

– Tak jest – padła odpowiedź.

Rice zajął się skanowaniem, ale w trakcie zerknął na Zivika.

– Wiesz, że to trochę potrwa. Przynajmniej analiza danych detekcyjnych. Byłoby łatwiej, gdyby ktoś tam się wybrał. Problem polega jednak na tym, że „Wyzwanie” przystosowano do obsługi przez bardzo nieliczną załogę. Nie ma kogo wysłać.

Zivik rozpromienił się natychmiast na tę sugestię.

– Możemy wysłać mnie. – Odwrócił się i ruszył do wyjścia, ale w progu się zatrzymał i zerknął na Rice’a. – Nie zamierzasz... nic powiedzieć?

Rice zaskoczony uniósł wzrok.

– Co takiego?

– Dowódca okrętu właśnie łamie regulamin floty. Oficerowie wyższego stopnia nie mogą się narażać, gdy mają podwładnych, którzy wykonają za nich czarną robotę.

Pierwszy wzruszył ramionami.

– Nie jesteśmy już we flocie, prawda? Zresztą... – Wrócił do pracy.

– I tak wiem, co byś powiedział.

– Och?

– Coś w stylu, gdzie można sobie wsadzić regulamin.

Zivik zaczynał lubić tego człowieka. Naprawdę lubić, nie tylko uprzejmie tolerować. Odwrócił się do grodzi.

– Mądry z ciebie facet. Wrócę niedługo.

„Wyzwanie” było tak małym okrętem, że dojście do hangaru zajęło zaledwie dwie minuty. Myśliwiec Zivika już tam czekał, obok niewielkiego promu. Zivika kusilo, aby wciągnąć kombinezon antyprzeciążeniowy i polecieć swoją maszyną, szybką i zwinną jednostką, idealną dla pilota.

– Nie, Sukinkot, nie po to tutaj jesteś.

Dlatego włożył jeden ze zwykłych skafandrow próżniowych z szatni przy służbie i usiadł za sterami o wiele mniejszego, ale bardziej praktycznego promu.

– No dobra, mostek. Lecę. Rozglądajcie się, nie wiadomo, czy separatyści nie wrócą. Albo Rój.

Gdy Zivik włączył silniki, w głośnikach zabrzmiał głos Sepulvedy.

– Bardziej prawdopodobne, że pojawią się Findiri.

– Wie pan coś, czego ja nie wiem, panie prezydencie? – Wyprowadził prom z hangaru i skierował go w gwiazdy świecące nad błękitnym oceanem Białorusi daleko w dole.

– No, gdybym wciąż był prezydentem, właśnie pośpiesznie wysyłałbym tutaj delegację, aby zorientowała się, jak wygląda sytuacja, oraz zaoferowała pomoc i zacieśniła stosunki dyplomatyczne. Staralaby się zaprzyjaźnić z wpływowymi ludźmi, afiszowała się z ofertami wsparcia i pomocy. Na pewno próbowałaby też wpłynąć na władze znajdujące się na powierzchni. Jak można wnioskować po szczątkach wokół nas, Białoruś stała się obszarem spornym, żeby nie powiedzieć do podbicia. Należy się

spodziewać Findiri, Zjednoczonej Ziemi, Federacji Rosyjskiej, a może nawet Chińczyków.

Były prezydent okazał się niekompetentnym dupkiem, ale przynajmniej politycznie zorientowanym niekompetentnym dupkiem.

– Przyjąłem. Będę się śpieszył.

Niedługo potem Zivik zacumował przy wraku, w pobliżu odsłoniętego korytarza, który jak liczył, znajdował się blisko mostka. Ramię cumujące przyczepił do płyty osłaniającej kadłub – uznał, że w ten sposób prom utrzyma się na pozycji podczas poszukiwań wskazówek i śladów na pokładzie.

Zivik minął kilka szybujących w nieważkości ciał, poszarpanych i zakrwawionych, gdy przemieszczał się częściowo odsłoniętym korytarzem. Systemy sztucznej grawitacji nie działały, więc musiał się poruszać w butach magnetycznych, co trwało znacznie dłużej niż normalnie.

– Dobra, chyba mam szczęście. Mostek znajduje się przede mną, o ile dobrze pamiętam rosyjskie oznaczenia. – Na grodzi widniał napis „mostek”, a Zivik wiedział o tym, bo pod spodem to samo słowo zapisano po angielsku. – Załoga chyba była dwujęzyczna. To znaczy myślę, że część mówiła po rosyjsku, a część po angielsku.

– Dziwne – stwierdził Rice. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Separatyści mogli przyciągać różnych typów. No i teraz chyba rozumiem, dlaczego na Białorusi panowało takie zamieszanie polityczne. Jej populacja była bardzo niejednorodna, mieszkali tu ludzie powiązani ze światami Zjednoczonej Ziemi i światami Konfederacji Rosyjskiej. No nic. – Zivik urwał, bo musiał otworzyć panel przy grodzi i uruchomić manualne otwieranie mostka. – Wchodzę.

Zerknął jeszcze na podręczny detektor na nadgarstku, zanim nacisnął dźwignię.

– Żadnej atmosfery za grodzią mostka, więc zakładam, że nikt tam nie przeżył.

Gródź zaczęła się powoli otwierać, ale zacięła się w pół drogi.

– Tyle wystarczy – mruknął Zivik i przecisnął się przez szczelinę.

Mostek zmienił się w cmentarzysko zmasakrowanych ciał, wiele z wytrzeszczonymi demonicznie oczami, czerwonymi z powodu

krwi, która wylała się z popękanych naczyń włosowatych. Zivik zbliżył się do stanowiska dowodzenia i pośpiesznie zepchnął kapitana z fotela. Ciało poszybowało na ścianę i odbiło się, ale na szczęście zaczęło się oddalać.

– Dobra, jestem w ich systemie. Na szczęście wciąż działa. Przejrzę podstawowe menu...

Otworzył kilka plików, żeby znaleźć te związane z danymi identyfikacyjnymi i ewidencyjnymi statku.

– Ach, już mam. To prywatny statek SO „Żniwiarz”. SO znaczy „statek ojczysty”. Patriotycznie, nie?

– Kto go zbudował? – w słuchawkach Zivika zabrzmiało pytanie Sepulvedy.

– Sprawdzam... Dobra, to bardzo interesujące. Dlatego systemy tego statku wydawały mi się tak znajome, choć wygląd zewnętrzny i linia kadłuba wyglądają obco. Zbudowano go w Shovik-Orion. Ta sama firma skonstruowała też sporo okrętów naszej floty.

– A niech mnie – stwierdził Sepulveda. – Kiedy zbudowano ten statek?

Zivik przejrzał informacje w kartach ewidencji.

– Jejku! W zeszłym roku. Ta jednostka jest nowiutka. – Przejrzał dalsze dane. – Czyli Shovik-Orion zaopatruje separatystów, Zjednoczoną Ziemię i Konfederację Rosyjską. Co tu kryć, gra na wielu frontach.

– Podczas wojny robienie interesów ze wszystkimi stronami przynosi największe sukcesy – zauważył Sepulveda. – A to oznacza, że ktoś w Shovik-Orion pewnie umiałby odpowiedzieć na moje pytania. Gdyby nie był też odpowiedzialny za próbę porwania mnie kilka dni temu. Ale przynajmniej wiadomo, kto to jest.

– Rozsądne wnioski. Chwileczkę, zajrzę też do spisu załogi. Możemy go porównać z bazą danych na „Wyzwaniu” i sprawdzić, czy wyjdzie coś interesującego... – Zivik zaczął przewijać listę i skanować ją podręcznym urządzeniem, którym przesyłał dane na „Wyzwanie”. W połowie pliku zatrzymał się jednak zaskoczony. – O rany...

– Co? – zapytali chórem Sepulveda i Rice.

– Komandorze, czy „Niepodległość” wciąż jest w układzie?

– Nie. Odleciała prawie godzinę temu.

– Szlag. Wyślij wiadomość metaprzestrzenną do admirał Proctor. Natychmiast. – Zivik pokręcił głową z niedowierzaniem. – Przekaż: „Pani admirał, Piotr Petrowicz nie jest oficerem Białoruskiej Floty Obronnej. To agent wywiadu Synów Ojczyzny”.

Pochylił się, aby dokładniej odczytać stopień i opis agenta.

– „Został przydzielony do czegoś, co nazwano Projekty Specjalne. Myślę, że grozi pani niebezpieczeństwo, pani admirał”.

Rozdział 12

SEKTOR KIJOWSKI WYSOKA ORBITA NAD BIAŁORUSIĄ OZF „NIEPODLEGŁOŚĆ” MOSTEK

„*Ja będę ścigać Rój*”. To brzmiało tak pewnie i brawurowo. Szkoda, że Sepulveda nie widział tej odwagi – może wtedy przestałby się nad sobą użalać i zaczął planować coś konstruktywnego.

Jednak tak naprawdę miała wrażenie, że zatkano jej uszy i zasłonięto oczy, a potem kazano wydostać się z pokoju-pułapki. Czowała, że wokół znajduje się mnóstwo wskazówek, jak sobie poradzić, ale nie mogła ich ani zobaczyć, ani usłyszeć, a tym bardziej rozpoznać. Ścigać Rój? Dokąd? Jak?

Wiesz, gdzie jest Rój?

Sięgnęła w głąb siebie, do towarzysza. Na mostku trwała zwyczajna krzątanka, gdy załoga przygotowywała się do skoku kwantowego. Pozostawał tylko jeden problem – nikt nie miał pojęcia, dokąd mają skoczyć.

Nie. Ten okręt jest dla nas zagadką. Nie przypomina Roju, z którym spotkaliśmy się wcześniej.

Wyjaśnij.

Ten Rój przybył z odległej przyszłości. Prawie niewyobrażalnie dalekiej.

Ale dlaczego właśnie teraz? Dlaczego pojawił się właśnie tutaj? Z całej możliwej historii wszechświata wybrał sobie właśnie ten moment, aby się pojawić. Dlaczego?

Nie wiemy. Potrafimy jedynie stwierdzić, że ten Rój przybył z czasów, gdy zaczyna się śmierć ciepła naszego wszechświata.

Proctor westchnęła i pokręciła głową.

Czyli kiedy? Za tryliony lat? Jeszcze później? Po co wracać właśnie teraz? Czy to jakieś specjalne miejsce i czas? Skoro potrafisz określić, z jakiego czasu przybyli ci obcy, to czemu nie możesz powiedzieć, gdzie są teraz?

Nie jesteśmy cudotwórcami, Shelby. Gdy Rój przedostał się do naszego uniwersum na sekundy przed zagładą Brytanii, przypominało to co najwyżej szept, który ledwie słyszeliśmy. Dopiero gdy ten okręt spędził w naszym wszechświecie więcej czasu, nauczyliśmy się wyczuwać go bardziej bezpośrednio. Głównie dlatego, że kiedyś ci obcy, jak cały Rój, byli połączeni Więzią, więc teraz wychwytyjemy ich echo, metaprzestrzenne cienie. Czy możemy określić ich lokalizację? Nie. Możemy jednak przejrzeć ich zamiary. Nie pojawili się tutaj, by szukać przyjaciół. Zamierzają nareszcie osiągnąć swój cel.

Jaki to cel?

Nie wiemy.

– Pani admirał? Maszynownia melduje gotowość do skoku kwantowego – oznajmił chorąży Destachio. – Napęd transkwantowy został niemal całkowicie zniszczony, aby go odzyskać, konieczny jest remont w stoczni Wellington. Ale napęd kwantowy działa, przynajmniej na razie.

– Dziękuję, chorąży. Niedługo podam współrzędne celu.

Destachio skinął głową i skupił się na swojej konsoli, ale zaraz się wyprostował. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Proctor dodała:

– I nie, nie wydaje mi się, żebyś mógł w czymkolwiek pomóc mechanikom. Zajmij się, proszę, swoją pracą.

Destachio zamrugnął zaskoczony.

– Och... Przyjąłem, pani admirał. – Jego nieco bardziej niż zwykle zaczerwienione policzki świadczyły, że chyba przycisnęła go trochę za mocno, ale w tej chwili zawstydzony chorąży stanowił dla niej najmniej istotny problem.

– No dobra... Skoro Rój pojawił się właśnie tu i teraz, skoro wybrał z całej historii wszechświata właśnie ten moment i miejsce, należy się zastanowić, co go przyciągnęło. Co wiemy? Czy obcy ruszą na

Ziemię? Dlaczego? Co takiego się tam znajduje, co mogą zdobyć tylko teraz? Na Ziemię przybyli Findiri, którzy dysponują całkiem zaawansowaną technologią, ale czemu Rój nie cofnął się do momentu, gdy Tim DAŁ Findiri tę technologię? Co nam umyka?

Mamrotała pod nosem pytania, a kilku oficerów mostka zerkąło na nią nerwowo raz po raz.

Rój przeczuwa, że wkrótce coś się ma wydarzyć. Coś nowego. Coś, z czym nigdy wcześniej się nie zetknął. I myśli, że właśnie to pomoże mu osiągnąć cel.

Ale Valarisi nie wiedzą, co to jest. Rozumiem.

Rój też tego nie wie.

To nie ma sensu.

Ani wszechświat.

– Trafiony zatopiony.

Chcesz ruszyć na Rój, stawić mu czoła. Ale, Shelby, niby co zamierzasz zrobić, kiedy go znajdziesz? Masz tylko swój mały uszkodzony okręt.

Wszystko jest lepsze od siedzenia na tyłku i bezradnego czekania na atak Roju. No, wymyśl coś. Daj mi jakąś wskazówkę, coś, od czego mogłabym zacząć. Podaj swoje najbardziej obiecujące przypuszczenia...

Pokładała w Valarisi piekielnie duże nadzieje. Połowa Zjednoczonej Floty szukała „Niepodległości”, a Proctor zamierzała pozwolić, aby płynne metaprzestrzenne istoty, które prawie zgładziła trzydzieści lat temu, dyktowały jej kolejny ruch.

Penumbra.

Czarna dziura, w którą wpadł Granger?

Dlaczego?

Tamtędy po raz pierwszy przeszli do naszego wszechświata. Tam też zginęła większość ich gatunku. Tam Granger rozpoczął swoją historyczną podróż ku przeznaczeniu. To punkt przecięcia wielu wątków. Żadne inne miejsce w historii naszego uniwersum nie miało większego wpływu na przyszłość niż ta czarna dziura.

Dla Proctor był to wystarczająco przekonujący argument.

– Chorąży Destachio, oblicz kurs do układu Penumbry.

Wszystkie oczy na mostku zwróciły się na nią po tym rozkazie.

Komandor Urda, pierwszy oficer na „Niepodległości”, był jak nigdy bliski, aby się skrzywić. Nigdy wcześniej aż tak nie stracił panowania nad sobą.

– Ma’am? Dobrze usłyszeliśmy? Lecimy na Penumbkę?

– Dobrze słyszałeś, komandorze. Chorąży?

Destachio spuścił wzrok na konsolę i po kilku sekundach wahania zaczął wpisywać komendy.

– Musimy wykonać szesnaście skoków, pani admirał. Potrwa to około czterech godzin.

– Dziękuję, chorąży. Ruszajmy, gdy będziesz gotów. – Proctor wstała i ruszyła do wyjścia. – Będę w izbie chorych, aby przepytac naszego gościa. Urda, przejmujesz mostek.

Kilka minut później weszła do pomieszczenia, w którym nadal leżało sporo rannych po niszczycielskich starciach, które odbyły się nad Paradiso i Ziemią. Na szczęście większość zaczynała już dochodzić do siebie. Proctor rozejrzała się między rzędami łóżek, szukając uratowanego pilota.

Nigdzie go nie dostrzegła.

– Siostró Suzuki? – zwróciła się do kobiety przy łóżku najbliższego pacjenta, która właśnie ściągała rannemu z pleców opatrunki z zaschniętą krwią. – Gdzie on jest?

– Kto?

– Wiesz kto, do cholery. Petrowicz.

Suzuki skinęła głową.

– Ach, no tak. Wyjątkowo szybko doszedł do siebie. Zwolniłam go pół godziny temu. Przydzieliłam mu kajutę w pobliżu, żebym za dzień lub dwa mogła go jeszcze kontrolnie przebadac. Miałam powiadomic mostek, ale sama pani widzi... – Pielęgniarka wskazała na wypełnioną w ponad połowie izbę chorych i rannych, którzy nadal czekali na pomoc. – Bitwy są do bani.

Proctor już nabrała tchu, żeby ją upomniec, ale uświadomiła sobie, że to bezcelowe.

– Dziękuję, siostró. Następnym razem proszę wykazać się... większą punktualnością przy zgłaszaniu istotnych informacji.

– Tak jest, pani admirał – odpowiedziała pielęgniarka, nie przerywając opatrywania pacjenta. – Pokój tysiąc sześćset jedenaście, tuż za rogiem, ma’am.

Proctor opuściła izbę chorych i ruszyła do kajuty przydzielonej tymczasowo Petrowiczowi. Nacisnęła guzik dzwonka na panelu drzwi i odczekała chwilę, zanim zrobiła to ponownie.

Za trzecim razem drzwi się otworzyły, ledwie zadzwoniła.

– Ach, pan Petrowicz. Widzę, że już czuje się pan na tyle dobrze, by porozmawiać. Ma pan trochę czasu?

Pilot zaprosił ją gestem.

– Oczywiście, admirał Proctor. Proszę wejść.

Kajuta była ciasna, jak wszystkie pomieszczenia gościnne. Znajdowało się w niej łóżko, szafa, blat wbudowany w ścianę i dwa krzesła oraz wejście do maleńkiej łazienki. Proctor zajęła jedno z krzesel i wskazała Petrowiczowi drugie.

– Zanim przejdziemy do ważniejszych spraw – zaczął ranny pilot – chciałbym powiedzieć, że to dla mnie zaszczyt osobiście spotkać Towarzyszkę Bohatera Zie...

– Proszę, darujmy sobie uprzejmości, nie mam na to czasu – przerwała mu szybko Proctor. Zwłaszcza dziś nie miała cierpliwości do tego rodzaju komplementów i oznak czci.

– Proszę o wybaczenie, pani admirał.

– Chciałabym się dowiedzieć czegoś o Synach Ojczyzny. Nigdy wcześniej nie słyszałam o tym ugrupowaniu.

Petrowicz skinął głową.

– Dla wszystkich jest nowe. Uformowało się w zeszłym roku z rozproszonych grup separatystów. Zorganizowali się, znaleźli sobie lepsze metody finansowania. Kiedy okazało się, że Rój powrócił, zaczęli przeprowadzać zamachy terrorystyczne i wykorzystywać ogólny chaos. Nie nagłaśniano tego, ale światy Konfederacji Rosyjskiej poniosły sporo zniszczeń. A kiedy Findiri przejęli Ziemię, ugrupowanie uznało, że to idealny czas na ich ruch. Synowie Ojczyzny planowali tę akcję od wielu miesięcy. Dyskretnie ewakuowali większość swoich ludzi ze stolicy, żeby za jednym zamachem pozbyć się białoruskiego rządu, gdy nadejdzie czas.

Proctor słuchała informacji i analizowała je dokładnie, zwłaszcza w odniesieniu do Findiri kontrolujących Ziemię oraz Roju, który znowu powrócił.

– Interesujące. Powiedział pan, że ugrupowanie jest dobrze opłacane. Przez kogo?

Petrowicz wstał, podszedł do panelu tuż nad stolikiem i wcisnął jeden z guzików.

– Napije się pani herbaty?

Proctor potwierdziła skinieniem głowy.

Dyspenser zawarczał i zamigotał diodami przy realizacji zamówienia.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, pani admirał. Nie zajmuję żadnej wysokiej pozycji w Białoruskiej Flocie Obronnej, jestem tylko zwykłym pilotem w stopniu komandora porucznika... Ale skoro pani pyta... – Petrowicz wyjął z podajnika dwa kubki z herbatą i jeden postawił przed Proctor. – Shovik-Orion.

– Po co? – Upiła łyk gorącego naparu. – Jaki powód miałyby Shovik-Orion? Wielonarodowa korporacja o galaktycznym zasięgu ceni sobie raczej stabilizację.

– Chyba że chodzi o zyski, nieprawdaż? – Pilot uśmiechnął się krzywo, a potem napił herbaty.

– Jasne. Ale zrzucanie bomb atomowych na stolicę Białorusi? Przecież Shovik-Orion ma na orbicie ośrodek badawczy, prawda?

– Tak jest. Jeden z najważniejszych, jeśli wierzyć mediom.

– Po co zatem narażać tak ważną placówkę?

Petrowicz wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem, ale proszę pamiętać, że jestem tylko pilotem.

Proctor odstawiła niedopitą herbatę. Miała ochotę na kolejną, ale z podwójną kofeiną czy innym sztucznym pobudzaczem.

– Więc dlaczego powiedział pan, że to Shovik-Orion?

– Z kilku powodów różnej ważności. Po pierwsze, podzielona i osłabiona Białoruś, odcięta na dodatek od Konfederacji Rosyjskiej, byłaby dla korporacji obszarem, na którym nie obowiązują żadne ograniczenia. Mogłaby tu robić, co się jej żywnie podoba, zupełnie jak na Bolivarze. Gdyby Konfederacja Rosyjska utrzymała tutaj kontrolę albo gdyby Białoruś sprzymierzyła się ze Zjednoczoną Ziemią, wtedy dla Shovik-Orion mogłyby nadejść trudniejsze czasy wymagające stosowania się do przepisów. To nie przypadek, że nad Białorusią znalazł się ośrodek badawczy, nie zwyczajna fabryka. Niejasne prawo zapewnia o wiele więcej swobody przy... niezbyt etycznych badaniach, o ile pani rozumie, co mam na myśli.

Proctor odchrząknęła – chyba kilka kropel herbaty wpadło jej do tchawicy.

– No dobrze, korporacja chce miejsca, gdzie może przeprowadzać swoje szalone i niezbyt legalne eksperymenty. I tyle? Czy to warte zbombardowania stolicy głowicami jądrowymi?

Petrowicz uśmiechnął się znowu.

– Zależy, jakie to badania.

– Dobra. Co jeszcze? – Dokończyła herbatę i zakasłała. Wciąż drapało ją w gardle.

– Po drugie, uch... – Pilot się zawahał, jakby zgubił wątek albo szukał odpowiednich słów. – Ach tak. Niezależnie, czy zamach się uda, czy nie, dla Shovik-Orion to zawsze sprzyjająca sytuacja. W przypadku utrzymania kontroli nad sektorem przez Rosjan korporacja mogłaby tu się rozpanoszyć pod pretekstem udzielania pomocy w odbudowie, bo przecież jest głównym partnerem kontraktowym Konfederacji Rosyjskiej. Shovik-Orion bez trudu zatem wprowadziłaby swoich ludzi na kilka kluczowych stanowisk, aby zapewnić sobie bezkarność. Podobnie by się stało, gdyby sektor przejęła Zjednoczona Ziemia. Korporacja ma z nią podpisane ogromne kontrakty, w których na pewno znajdują się ustępy o udzielaniu pomocy, wysiłkach przy odbudowie i tym podobnych. Na ich podstawie korporacja otrzymałaby zwolnienie od podatków Zjednoczonej Ziemi i błogosławieństwo Senatu. Bóg wie, że bardzo się to przyda po tej porażce z admirałem Mullinsem, który jako prezes naczelny Shovik-Orion ogłosił się praktycznie królem Bolívara. I proszę sobie przypomnieć, jak to się skończyło.

Proctor pamiętała dobrze. Mullins wtedy próbował kilka razy ją zabić, na dodatek przyłączył się do jakiegoś proroka pod kontrolą Roju, któremu niemal udało się oszukać Galaktyczny Kongres Ludzkości, oraz próbował ułatwić obcym przejęcie Brytanii, co w ostatecznym rozrachunku doprowadziło do zagłady tego świata.

Jednak Proctor miała wrażenie, że Petrowicz przeciąga rozmowę. Mówił powoli, kręcił i zapętlął się, a podane przez niego przyczyny zamachu nie wydawały się zbyt przekonujące.

Znowu zakasłała, ale gardło miała podrażnione i bolało ją coraz bardziej.

– Dobra, pośpieszmy się, muszę wrócić na mostek. Co jeszcze?

Petrowicz się roześmiał. Dziwnie to zabrzmiało.

– Trzeci powód? Najważniejszy. Zatrzymać cię tu wystarczająco długo, żeby zaczęła działać trucizna. – Uśmiezek na jego ustach był naprawdę wkurzający, bardziej niż zaciskające się gardło i rozmyty wzrok.

Proctor próbowała wstać, lecz jej się nie udało.

– Gratulacje, Towarzyszko Broni Bohatera Ziemi – rzucił drwiąco Petrowicz. – Dotarłaś do tego momentu rozmowy, w którym ściągam maskę, ale to bez znaczenia. Nie kłamałem, jestem tylko jednym z wielu komandorów poruczników z Białoruskiej Floty Obronnej. Pracuję też dla wywiadu Synów Ojczyzny.

Proctor nie mogła się ruszać, ale wciąż udawało jej się zmusić do mówienia pomiędzy napadami kaszlu.

– I tyle? Wysłano cię, żeby mnie zabić? Po co? Ach, nie kłamałeś. Te powody, o których mówiłeś...

Petrowicz zaśmiał się cicho.

– No, ten drugi trochę podkolorowałem.

Proctor ponownie próbowała wstać, ale osiągnęła tylko tyle, że przewróciła się na podłogę.

– Jeśli jednak chodzi o pierwszy, jak najbardziej. Przypuszczam, że właśnie na tym zależy korporacji. Mało mnie to obchodzi i jeszcze mniej dotyczy. Zjawiłem się tutaj dla kasy. Wiesz, ile dostaniemy za tę akcję? Za ciebie i Sepulvedę? – Zaśmiał się znowu. – Pokryje to koszty naszych działań przez następne kilka lat.

– Kto... – zaczęła, ale zaraz zrozumiała. – Shovik-Orion?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Tak i nie. Ale korporacja na pewno maczała w tym palce.

Drzwi otworzyły się i Proctor usłyszała ostry głos:

– Cofnij się. Już. Więcej nie będę powtarzać.

Petrowicz sięgnął za siebie, a potem rozległ się głośny łomot. Z podłogi Proctor nie miała zbyt dobrego widoku, zwłaszcza że wszystko wydawało się rozmyte, ale dostrzegła rozprysk krwi na ścianie. Pilot upadł i już się nie poruszył. Proctor starała się nie zamykać oczu. Była już zbyt zmęczona, by kasłać.

– Izba chorych! Alarm medyczny! – Rozpoznała głos chorąży Sampono. Bogu dzięki. Proctor poczuła jej dotyk na szyi, a potem

dziewczyna pochyliła się do niej i wciągnęła powietrze przez nos. –
I przynieście antidotum na Radix 39. Szybko, zostały wam sekundy!

Rozdział 13

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA CMENTARZ ARLINGTON

– Powinien być w tym sektorze. – Liu przyglądała się nagrobkom, które mijali. – Leżą tu wszyscy, którzy zginęli na „Konstytucji”.

Danny przypominał sobie listę nazwisk, gdy szli przez cmentarz, i zastanawiał się, czy pogrzebano poległych w jakimś określonym porządku.

– Pozostaje tylko pytanie, czy udało się odzyskać wszystkie ciała. No wiesz, bitwy w kosmosie są... chaotyczne. Niektórzy zostają wciągnięci w próżnię, inni zostają poszatkowani...

Liu wzruszyła ramionami.

– Myślę, że postawiono nagrobek każdemu, bez względu na to, czy znaleziono ciało, czy też nie.

– Chcesz powiedzieć, że ta wycieczka może okazać się bezcelowa?

– Ale ciało Hawsa udało się wydobyć z wraku. Tak powiedziała Proctor, to samo potwierdził Granger.

– A jednak... zastanów się. Czego nauczyliśmy się w szkole? Każde dziecko zna tę historię. – Danny zatrzymał się, żeby wyjąć datapad i wyszukać nagranie w bazie danych. – O, mam. Haws zmarł na długo przed bitwą o Ziemię. Jego ciało znajdowało się w pokładowej kostnicy. A potem? Patrz.

Odtworzył nagranie, zapewne zrobione przez pobliski okręt, gdy „Konstytucja” stawiała opór na ostatniej linii obrony Ziemi podczas drugiej wojny z Rojem. Właśnie ostrzeliwała jednostkę Roju, ale w pobliżu rosła sztuczna osobliwość, którą wróg miał zaraz

wystrzelić na miasto w dole. W rozpaczliwej próbie ratowania ludzi Granger skierował „Konstytucję” prosto na osobliwość.

Okręt zniknął w rozbłysku i zabrał osobliwość ze sobą.

– Zniknęła na dziesięć sekund. W tym czasie znajdowała się na tajnej rosyjskiej stacji przez prawie trzy dni, podczas których napompowano Grangera materią Roju, aby wyleczyć go z raka. Po zamieszaniu związanym z jego podróżą w czasie i multiplikacją Granger poprowadził „Konstytucję” na drugi koniec osobliwości i pojawił się nad Ziemią, spadając w atmosferę, a moja ciotka jakimś cudem dostała się na pokład i zdołała wykonać lądowanie awaryjne w pobliżu Salt Lake City.

– A reszta ciał? Haws? – spytała Liu.

– Założono chyba, że wciąż były na „Konstytucji”, a po jej twardym lądowaniu zabrano je i pogrzebano.

– Założono. – Fiona popatrzyła na Danny’ego z powątpiewaniem.

– No dobra, skoro tak stawiasz sprawę... Jasne, nie ma stuprocentowej pewności, ale co innego miałoby się stać?

Wzruszyła ramionami.

– Przez ostatnie kilka miesięcy sporo się wydarzyło. Na przykład, ty zginąłeś.

– Racja.

– Jeżeli jesteś pewien, że Haws tu leży, to po co tu przyszliśmy? – zapytała Fiona.

Szli dalej alejką wśród nagrobków, dopóki jeden nie przyciągnął ich uwagi.

– To ten.

– Abraham Haws – przeczytała. – Miejmy to już za sobą.

Wyjęła podręczny skaner i przełączyła na sprawdzanie gruntu. Potem uklękła, przesunęła urządzeniem nad trawnikiem i przełączyła kilka parametrów, żeby wyregulować czułość.

– Wykrywam duże prostopadłościenne pudło – zaczęła. – A w środku szczątki ludzkie. Płeć męska. Zmienię czułość, żeby namierzyć sygnał DNA.

Danny przygryzł wargi. Tak wiele zależało od tych danych. Gdyby grób był pusty albo okazało się, że spoczywają tam inne zwłoki, musieliby przyznać, że Abraham Haws, pierwszy oficer kapitana Grangera na „Konstytucji”, w rzeczywistości był Quiassi. Oraz

uwierzyć, że tak naprawdę nie zginął, lecz zdołał uciec i znalazł sposób, aby wrócić do Findiri, po czym przejął nad nimi władzę i skierował maszynę wojenną przeciwko Ziemi.

– Analiza DNA – oznajmiła Fiona, a zaraz potem zmarszczyła czoło. – Ha, mam dobrą i złą wiadomość.

Danny poczuł ucisk w brzuchu.

– Najpierw ta dobra.

– Abraham Haws na pewno nie żyje. A to oznacza, że dyrektor Talus kłamie. – Liu pokręciła głową i przesunęła ponownie skanerem nad mogiłą.

– Jeżeli to dobra wiadomość, chyba nie chcę usłyszeć tej złej.

– Zła wiadomość jest dziwna. Zakładając, że rozpad DNA nie został w żaden sposób zakłócony czynnikami nienaturalnymi, Abraham Haws nie zginął podczas bitwy o Ziemię trzydzieści jeden lat temu – oznajmiła mimo wszystko Fiona, a w jej głosie brzmiało niedowierzanie. – Zmarł trzy miesiące później.

Rozdział 14

UKŁAD SŁONECZNY
ZIEMIA
NEW HAVEN, CONNECTICUT
KORWETA VESTIGIUM „LEGENDA”

Ich szaleńcza ewakuacja okazała się zaskakująco łatwa przez pierwsze dziesięć minut. Granger ośmielił się nawet myśleć, że może prom Findiri, który schodził za korwetą na powierzchnię, naprawdę znalazł się tam przypadkowo, zwłaszcza gdy odbił w kierunku Nowego Jorku, wciąż opadając w pole grawitacyjne Ziemi.

Granger i Jasper skierowali się na jedyne lądowisko przy Yale i zajęli praktycznie całe, bo korweta należała do dość sporych jednostek. Na szczęście płytę zbudowano blisko biblioteki – Jasper uruchomił mapę kampusu i przejrzał listę, a potem wzruszył ramionami.

– Która to?

Granger zerknął na spis nazw.

– Biblioteka Rzadkich Ksiąg i Manuskryptów? Wygląda obiecująco.

Wyskoczyli z korwety i pobiegli przez płytę na spory trawnik ocieniony drzewami i otoczony szpalerem rzeźb, za którymi ciągnęły się budynki.

– To tutaj. – Jasper wskazał na jedną ze starych rzeźb. – Miejmy nadzieję, że komandor wszystko spakował. Odniosłem wrażenie, że Danny był z nim w stałym kontakcie.

Zapadał już letni wieczór, a słońce wisiało nisko nad zachodnim horyzontem. Nieliczni studenci siedzieli jeszcze na trawie lub

spacerowali, a jeden z siedzących najbliżej popatrzył na kapitana i wytrzeszczył oczy.

– A niech mnie! To Granger!

Granger zatrzymał się i popatrzył na rozpartego wygodnie dzieciaka. Dopiero wtedy dotarło do niego, że ten trawnik wkrótce będzie najbardziej niebezpiecznym miejscem na Ziemi. Chłopak, który wykrzyknął jego nazwisko, podszedł zachwycony. Granger bez wahania złapał go za ramiona i potrząsnął lekko.

– Synu, jak ci na imię?

– Cole.

– Cole, musisz coś dla mnie zrobić. Na tym trawniku pojawi się zaraz tłum żołnierzy Findiri. Nikt nie jest bezpieczny. Musisz stąd wszystkich zabrać, i to już. Możesz to dla mnie zrobić?

Cole wyglądał na sparaliżowanego nowiną. Jednak trzeba przyznać, że szybko się otrząsnął na tyle, by odpowiedzieć.

– Uch... No tak. Mogę... Jasne...

– Świetnie, Cole. Z Bogiem. A kiedy wszystkich ostrzeżesz, sam też bierz nogi za pas. Nie zgrywaj męczennika.

Po czym odwrócił się i pobiegł do biblioteki z Jasperem u boku. Kilka sekund później usłyszał, jak Cole krzyczy:

– Musimy się stąd wynieść! Już! Granger powiedział, że zaraz przylecą żołnierze Findiri! Ruchy, ludzie!

– Twój fanklub ma się całkiem dobrze – zauważył Jasper.

– Milcz.

Jak na sześćdziesiąt osiem lat ciało Grangera sprawowało się zaskakująco dobrze. Kiedyś, przed kilkoma miliardami lat, kolana by mu pewnie już odpadały z bólu.

Wpadli przez frontowe drzwi, rozejrzeli się za oznaczeniami i drogowskazami, po czym pognali do pomieszczeń Działu Rzadkich Kolekcji.

W gabinecie kustosza nie było nikogo. W zasadzie wydawało się, że cały budynek opustoszał. Jasper wskazał na torby i książki porzucone przy ławkach.

– Wygląda na to, że ktoś, kto tutaj rządzi, zadbał o ewakuację budynku. Ale to oznacza, że niebezpieczeństwo już się zbliża. Może Danny jakoś przesłał ostrzeżenie?

– Co znaczy, że raczej nie znajdziemy Qwerty’ego nad książką w którymś z gabinetów.

Jasper rozejrzał się po przestronnym holu, do którego właśnie wkroczyli.

– Może jest tu gdzieś... no, czy ja wiem? Jakiś schron albo ukryty tunel?

Granger przekrzywił głowę.

– Tajne tunele w bibliotece Yale?

– Nie wiem! Tylko się zastanawiam!

– Zastanawiaj się w wolnym czasie. W tej sytuacji najprościej będzie zaryzykować i skontaktować się z Qwertym. Skoro Findiri i tak tu idą, nic nie stracimy, gdy nas namierzą.

Wyjął datapad z kieszeni i wpisał kod kanału, którego Qwerty używał we flocie.

– Komandorze Qwerty, tu... Procarz. Słyszysz mnie?

Szlag. Poprzysiągł sobie, że nigdy nie użyje tego przezwiska. Jednak było lepsze niż Bohater Ziemi, a tego ostatniego starał się unikać jeszcze bardziej.

– Tak jest, sir, to ja. Co mogę dla pana zrobić?

– Słyszałem, że musisz wracać do domu, komandorze. Potrzebujesz podwózki?

– Ma pan idealne wyczucie czasu.

– Gdzie jesteś? – Zerknął na ekran datapada. – Nie mogę namierzyć twojej pozycji.

– Pewnie dlatego, że tutejszy kustosz był na tyle miły, żeby pokazać mi jakieś tunele ukryte pod ziemią. Wysokie stężenie metali w glebie zakłóca namierzanie.

Jasper wskazał na niego palcem.

– Ha! Mogę powiedzieć: a nie mó...

Granger mu pogroził.

– Nie, nie możesz. – Potem wrócił do rozmowy. – Zrozumiałem. Jak się tam dostać?

Zatrzymali się przy drzwiach gabinetu kustosza rzadkich kolekcji, a Granger zerknął do sali czytelników i księgozbioru.

– Wystarczy zjechać windą na poziom B3. Potem korytarzem do końca. Spotkamy się przy ostatnich drzwiach po lewej.

Granger dostrzegł ruch przy głównym wejściu. Przesunął się szybko, aby zasłoniła go framuga, ale zerknął przez szparę.

– Szlag. Już tu są. – Powoli, bardzo powoli zamknął gabinet i przekręcił zamek.

Jasper obserwował salę czytelników spod okna.

– No... Droga do windy jest odcięta.

– Komandorze, nie możemy iść do windy. Utknęliśmy w gabinecie kustosa rzadkich kolekcji. Jakiś pomysł?

– Chwileczkę... Dobra, kustosz mówi, żeby użyć schodów. Na awaryjną klatkę schodową można się dostać z tyłu gabinetu. Cztery kondygnacje w dół.

– Świetnie. – Granger skinął na Jaspera, żeby szedł za nim. Przygarbił się i skulił, aby nie zostać zauważonym, gdy przechodził na tył gabinetu, a potem na wąski korytarz. Na szczęście przejście prowadziło prosto pod drzwi z napisem „schody”.

Ledwie drzwi klatki schodowej zamknęły się za Grangerem i Jasperem, usłyszeli głośny łomot z pomieszczenia, które niedawno opuścili.

– Ruszaj! – krzyknął Granger. – Wyważyli drzwi. Wiedzą, że tu jesteśmy.

Jakimś cudem udawało mu się przeskakiwać po dwa stopnie, a w duchu dziękował swojemu wcześniejszemu wcieleniu, nieśmiertelnemu Jezusowi-Grangerowi, że stworzył sobie ciało, które pomimo wieku było w doskonałej kondycji.

Jasper biegł krok za nim, a na każdym zakręcie schodów zatrzymywał się, aby unieść ramię i wycelować...

– To broń? Szlag, gdzie ją ukrywałeś? – Wyglądała jak zabawka, bardzo mała, niewiele większa od dłoni chłopaka.

Jasper potwierdził skinieniem głowy.

– W majtkach... Lepiej nie pytaj.

– Lepiej nie mów – odgryzł się Granger. Znowu ruszył w dół na złamanie karku. Kiedy obaj dotarli na poziom B2, usłyszeli kolejny łomot na górze.

– Wyłamali drzwi na schody – wydyszał Jasper.

– Jeszcze tylko jedno piętro. – Granger złapał się balustrady, żeby przyspieszyć.

Qwertys stał na dole i trzymał drzwi otwarte.

– Kapitanie! Dobrze pana widzieć. Oby nie ściągnął pan tutaj naszych znajomych.

– Niestety. Musimy uciekać, komandorze. Trzeba zabarykadować te drzwi.

Qwerty zatrzasnął ciężkie skrzydło i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu czegoś, żeby je zabarykadować.

– Kustoszu? Jest tu coś, czym można zablokować drzwi?

W korytarzu przecinającym ten, w którym się znajdowali, pojawił się drugi mężczyzna, pchając biurko. Jasper skoczył na pomoc i w okamgnieniu udało się przysunąć mebel.

– Na długo ich to nie powstrzyma – zauważył Granger, a potem spojrzał na kustosa. – Musimy znaleźć stąd inne wyjście.

Kustosz wskazał na ostatnie drzwi w korytarzu po lewej.

– Tunel. Za wzmocnionymi drzwiami antywłamaniowymi. Nie zatrzymają wroga na długo, ale trochę go spowolnią.

– Dokąd prowadzi ten tunel?

– Do kilku różnych miejsc – odparł kustosz. – Ciągnie się od budynku administracji i kończy po drugiej stronie kampusu.

– Musimy dostać się jak najbliżej lądowiska.

Kustosz skinął głową.

– No to za mną. Panie Qwerty? Proszę nie zapomnieć teczki.

Qwerty wytrzeszczył oczy i klepnął się w czoło.

– Dobry Boże, jeden pościg i już mi się mózg wyłączył. – Pobiegnął do pomieszczenia, skąd kustosz wypchnął biurko, i wrócił zaraz potem z dużą walizką.

Kustosz pobiegł korytarzem pierwszy, reszta ruszyła za nim. Grangera, który zamykał grupę, omal nie zwała z nóg fala uderzeniowa eksplozji. Biurko barykadujące przejście zostało wciągnięte w kulę płomieni.

– Szlag! Mają broń energetyczną! Ruchy! – wykrzyknął Granger. Widział działanie tej broni, gdy uciekał przez cmentarz Arlington.

Jasper zatrzasnął drzwi i wszyscy pobiegli po schodach w dół do kolejnego przejścia. Tym razem zamknięcie wyglądało na bardziej solidne niż poprzednie. Drzwi z metalu blokował mechanizm uruchamiany kołem po drugiej stronie.

– A teraz pędem, panowie. – Kustosz Peck wskazał ciągnący się za pancernymi drzwiami korytarz. – Tutaj się pożegnamy.

– Nie, idzie pan z nami. Naprzód. – Granger spojrział na słabo oświetlony tunel.

– Dla mnie to za długi bieg, więc nie traćmy czasu na spory. Zostanę i spróbuję ich przekonać, że uciekacie w inną stronę, albo przynajmniej trochę spowolnię pościg. Zyskacie kilka sekund. A teraz UCIEKAJCIE! – Ten drobny, myszowaty człowieczek ujawnił niespodziewaną charyzmę, gdy sytuacja tego wymagała.

Granger skinął głową.

– Dziękuję, kustoszowi Peck. Poznać pana to zaszczyt.

A potem wszyscy pobiegli długim tunelem. Udało się go pokonać zaskakująco szybko, jednak w końcu znaleźli się na rozdrożu. Pod strzałą w lewo znajdowała się lista budynków w akademickim kampusie, strzała w prawo wskazywała natomiast na „Skwer im. prezydenta Freda Quimby’ego”.

– Stary drań dostał skwer w kampusie akademickim? – Granger wskazał na krótki korytarz zwieńczony schodami. – Skończcie szkołę, dzieci, a może zostanieie prezydentem i pośmiertnie staniecie się patronem trawnika przed uniwerkiem...

Kolejna eksplozja od strony, skąd przyszli, dowiodła, że Findiri przebili się przez pancerne drzwi.

A urwany krzyk poświadczyl, że kustoszowi Peckowi nie udało się ich spowolnić.

Granger, Qwerty i Jasper pognali schodami w górę i zatrzasnęli kolejne pancerne zamknięcie, skręcili na następne schody, znowu się wspięli do jeszcze jednego korytarza i schodów. Po otwarciu pancernych drzwi na górze ujrzeli...

Ostre dzienne światło niemal oślepiło Grangera, gdy po dość ciemnych korytarzach musiał się znowu dostosować do blasku zachodzącego słońca.

– Tam jest nasze lądowisko. Naprzód! – Granger wskazał na lewo od małego budynku, chyba altany, z którego właśnie wyszli. Altana najwyraźniej pełniła też zakamuflowaną funkcję wejścia do podziemnych tuneli.

Pobiegli przez skwer, rozglądając się za żołnierzami Findiri oraz za studentami, których należało ostrzec. Na szczęście tych ostatnich nie było – Cole dobrze wywiązał się z powierzonego zadania.

Za korwetą, na kolejnym sporym trawniku, osiadły dwie małe jednostki – prom i chyba nieduży desantowiec Findiri. Dwaj zbrojni strażnicy pilnowali otwartego wjazdu.

– Szlag... – Granger zwolnił, bo wiedział, że Findiri wkrótce dostrzegą ich trzech. – Daj mi broń, chłopcze.

Jasper spojrział na niego wstrząśnięty.

– Co?!

– Daj mi broń. Ty i Qwerty pędźcie do statku. Będę was osłaniał.

– Oszałał pan. Przecież jest pan najważniejszą osobą w Galaktyce. Od pana zależy, czy ludzkość popadnie w niewolę Findiri... I pan chce nas osłaniać?

Granger wyrwał mu broń z niechętnie wyciągniętej dłoni.

– Właśnie. Nie ma szans, żeby mnie zabili. Dzięki temu zdążycie dobiec do korwety, wystartować, zawrócić i zabrać mnie sprzed nosa Findiri. Rozumiesz?

Nawet nie czekał na odpowiedź, lecz od razu pognał w lewo, jak najdalej od osłony, którą zapewniała korweta, i na teren dobrze widoczny dla żołnierzy. A potem odwrócił się i pobiegł prosto na nich. Bez wahania uniósł broń i zaczął pociągać za spust, raz i drugi, coraz szybciej.

Żołnierze Findiri wymierzili swoje miotacze energii i przez okamgnienie Granger myślał, że jednak się pomylił i zaraz zobaczy kilka dziur wypalonych w swoim ciele. Jednak wtedy jeden ze zbrojnych uniósł rękę do wizjera swojego hełmu, a potem złapał za lufę miotacza swojego towarzysza, aby powstrzymać go przed oddaniem strzału.

– Właśnie tak, moi mili słudzy... A teraz postarajcie się skupić uwagę tylko na mnie... – Przestał naciskać spust. Naboje, jak przewidywał, odbijały się nieszkodliwie od pancerzy Findiri, ale i tak skoczyli za desantowiec, aby zyskać osłonę. Jeden przyklęknął i wysunął lufę broni z za statku, po czym wypuścił kilka wiązek energii, które uderzyły w ziemię.

Grunt eksplodował w miejscach trafienia i Granger musiał osłonić oczy. Wstrząsy omal nie zwały go z nóg.

– Ach, gramy nieczysto, co? – wymamrotał, a potem znowu zaczął strzelać do dwóch żołnierzy ukrywających się za desantowcem.

Za jego plecami rozległo się wycie, a potem ryk, który świadczył, że Jasperowi udało się uruchomić silniki. Zaraz też poczuł podmuch gorącego powietrza, gdy korweta uniosła się z lądowiska.

Granger zaryzykował spojrzenie w niebo.

– Niech to... – westchnął. Z góry opadało kilkanaście jednostek Findiri, myśliwce, desantowce, promy... Pomiędzy nimi znajdowały się też maszyny Zjednoczonej Floty. Zawrócił i zaczął biec w przeciwnym kierunku, choć płuca paliły go już z wysiłku.

– Uciekaj na ten plac po prawej, a zejdziemy na tyle nisko, że będzie łatwo wskoczyć w otwarty właz! – Głos Jaspera, który dochodził ze słuchawek w kieszeni na piersi Grangera, wydawał się stłumiony i obcy.

– Popatrz w górę, młody. Mamy coraz większe towarzystwo.

Korweta zatoczyła krąg, bez problemu przyjęła na poszycie wystrzały dwóch żołnierzy Findiri, po czym opadła na tyle nisko nad ziemię, aby Granger po pokonaniu trawnika mógł wskoczyć na opuszczony trap. Gdy tylko jego stopy zderzyły się z pokładem, ktoś chwycił go za ramię, aby nie wypadł.

– Całkiem wysoko pan podskoczył, kapitanie – stwierdził Qwerty, który zaraz po wciągnięciu Grangera do korwety trzasnął pięścią w panel zamykający właz.

– Kapitanie! – wykrzyknął Jasper z kokpitu. – Otoczyło nas co najmniej dwadzieścia myśliwców. Krążą wokół i powtarzają każdy mój manewr. Raczej nie zdołam się im wyrwać.

Granger potrząsnął głową i wszedł do sterówki.

– Trzeba będzie spróbować.

Qwerty zajął fotel obok niego.

– Jest tylko jeden sposób, by uciec. Niestety, południowy kraniec kampusu drogo za to zapłaci. Musimy wykonać skok kwantowy prosto na orbitę.

Jasper pobladł. Na pewno nigdy wcześniej nie skakał w atmosferze. I nic dziwnego, biorąc pod uwagę, jak wielkie ryzyko się z tym wiązało i jak wielkie zniszczenia powodował taki manewr w najbliższym materialnym otoczeniu. Chłopak pamiętał nagranie wideo, na którym „Interstellar Two” i jednostka Roju wykonały skok kwantowy znad rezydencji dawnej prezydent Avery. Eksplodował

wtedy spory kawałek nadbrzeżnego klifu, a wraz z nim kilka innych okrętów Roju.

– Nie mogę pozwolić, żeby z mojego powodu zginęło więcej niewinnych ludzi, komandorze – stwierdził Granger o wiele ciszej, niż zamierzał.

Jasper odwrócił się, by na niego spojrzeć.

– Przecież pan ich ostrzegł. Powiedział pan temu chłopakowi, żeby zabrał wszystkich ze skweru.

Granger pokręcił głową.

– Nie wszyscy pewnie uciekli.

Jasper odwrócił się ponownie do sterów.

– No to dobrze, że nie jesteśmy na pokładzie jednostki floty i nie pan wydaje rozkazy, staruszk. Trzymajcie się!

Zanim Granger zdążył się odezwać, Jasper wpisał komendę i włączył procedurę. Ogłuszający huk i wstrząs niemal wyrzuciły Grangera z fotela, a zaraz potem w kokpicie zapadła dzwoniąca w uszach cisza.

Widok za iluminatorami wskazywał, że znajdowali się na wysokiej orbicie okołozemskiej.

– Wyjątkowo lekkomyślne posunięcie, synu.

– Uczę się od najlepszych – odgryzł się Jasper.

Granger nie był pewien, co chłopak miał na myśli, ale nie miał czasu się zastanawiać – nadal groziło im niebezpieczeństwo.

– Pokaż mi New Haven. Na zbliżeniu.

Jasper pochylił się do przełączników i niedługo potem włączył się monitor nad konsolą sterowniczą. Obraz, który się pojawił, przedstawiał krater w miejscu skweru oraz poobijane budynki wokół. Na szczęście wciąż stały... Wyglądały, jakby obok nich wybuchła bomba.

– Cholera... Nie sądziłem, że będzie tak źle.

Granger poklepał go po ramieniu.

– Dobra robota, synu. Pewnie zrobiłbym coś podobnego, gdybym też był młody i lekkomyślny. Wynośmy się stąd. Oblicz współrzędne skoku z powrotem na San Martin.

– Przyłączam się do podziękowań, panie...? – Qwerty wyciągnął rękę.

– Goldmeyer. Jasper.

Qwerty uściśnął mu dłoń, ale na dźwięk nazwiska Granger wyprostował się zaskoczony i wbił spojrzenie w młodzieńca.

Nie umknęło to uwadze Jaspera. Zaczerwienił się.

O mój Boże. To niemożliwe. Prawda?

– Zarumieniłeś się, synu. Zaczynam się zastanawiać, czy powiedziałeś coś, czego nie zamierzałeś zdradzać.

– Ja... Uch... – Jasper wyraźnie się zająknął. – Nie, wcale nie.

– Nie jesteś przypadkiem spokrewniony z Reą Goldmeyer?

Cisza.

– Kim jest dla ciebie? Ciotką albo kimś takim?

Nadal cisza. Twarz Jaspera zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Odwrócił się do konsoli sterowniczej i dokończył wpisywanie obliczeń skoku.

– Jasper? Kim jesteś?

– Zginęła na Indirze zaledwie kilka miesięcy temu. Wciąż trudno mi o tym mówić. Możemy zmienić tema...

– Powiedziałeś mi, że zginęła podczas drugiej wojny z Rojem. Trzydzieści jeden lat temu.

Cisza.

– Rea Goldmeyer była twoją matką?

Jasper w milczeniu skinął głową.

– A twój ojciec?

Chłopak podniósł wzrok i spojrzał mu w oczy.

– Nigdy go nie spotkałem. Mama powiedziała, że odszedł przed moim urodzeniem. Dopiero później wyjawiała mi więcej.

– Czyli co? Co ci powiedziała?

Jasper wziął głęboki oddech i próbował odpowiedzieć. Po kilku nieudanych próbach, jakby podejmował trudną życiową decyzję, wreszcie zdobył się na słowa.

– Powiedziała, że mój ojciec zniknął w czarnej dziurze, ale mam się nie martwić, bo pewnego dnia powróci.

Rozdział 15

SEKTOR KIJOWSKI WYSOKA ORBITA NAD BIAŁORUSIĄ OZF „NIEPODLEGŁOŚĆ” IZBA CHORYCH

Kiedy Proctor otworzyła oczy, ujrzała nad sobą rozmytą twarz chorąży Sapphiry Sampono.

– Ma’am?

Proctor próbowała odchrząknąć, gardło ją bolało, a wraz z bólem wracały wspomnienia tego, co się stało.

– Pięć sekund – wycharczała.

Sampono popatrzyła na nią bez zrozumienia.

– Przepraszam, pani admirał, ale nie rozumiałam.

– Pięć sekund. Nie mogłaś poczekać jeszcze pięć sekund?

Sampono nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Nie żyje?

Chorąży skinęła głową.

– Nie miałam czasu, żeby wycelować dokładnie, więc strzeliłam mu w pierś.

– Niech to szlag. Pięć sekund. Już miał mi powiedzieć, kto za tym stoi. Typowy narcyz, przechwalał się, jak wspaniale mu wyszło. Nie mógł się powstrzymać.

Proctor uniosła się nieco na pryczy. Bolały ją stawy, ale na szczęście łupiąca migrena ustąpiła. Pewnie siostra Suzuki coś na to podała... Proctor próbowała usiąść, ale zakreśliło się jej w głowie.

– Powiedział, kto go nasłał, zanim przestrzeliłam mu serce? – zapytała Sampono.

– Był z Synów Ojczyzny, jakiejś grupy białoruskich separatystów. Ale ktoś im zapłacił. Ktoś, jak mi się zdaje, powiązany z Shovik-Orion, ale niepracujący bezpośrednio dla korporacji. Szlag. Jeszcze kilka sekund, tylko tyle mi było trzeba...

– Jeszcze kilka sekund, a byłaby pani martwa, ma'am.

Proctor niechętnie musiała się z tym zgodzić. Z tego, jak się czuła, wywnioskowała, że chorąży pomogła jej w samą porę.

– Co mi podał?

– Radix 39. Niezwykle szybko działa. Mało brakowało. Z tego, co powiedziała Suzuki, to po prostu cud, że pani przeżyła. Antidotum podano kilka minut po tym, jak trucizna powinna już panią zabić.

– A ty skąd tyle o tym wiesz? Bardzo się śpieszyłaś, żeby mnie znaleźć.

Sampono wzruszyła ramionami.

– Gdy się dorasta na ulicach Baru Banda Aceh, trzeba nauczyć się ufać swoim przeczuciom. Widziałam tego pilota przez okno izby chorych, gdy poszła pani do niego za pierwszym razem. Dostrzegłam wyraz jego twarzy... No, coś było nie tak. Na dodatek próbował złapać panią za rękę, jakby chciał ją uścisnąć albo coś? Przypominało to mafię z Bali Prime. Czasami jej członkowie zabijają konkurentów uściskiem dłoni. Głównie tych, którzy próbują przejąć ich rynek nielegalnych używek. Mają igły z odrobiną Radixa wmontowane w paznokcie. Przy podawaniu dłoni wbijają taką igłę w nadgarstek. Trucizna uśmierca w kilka minut. Nie byłam pewna, czy to samo chce zrobić ten facet, ale miałam złe przeczucie. Dlatego za panią poszłam, gdy zeszła pani z mostka. Chciałam się upewnić.

Proctor zaśmiała się z ulgą.

– Bardzo się cieszę, że miałaś przeczucie.

Próbowała znowu usiąść i tym razem jej się udało.

– Gdzie jesteśmy?

– Prawie na miejscu. Niedługo znajdziemy się nad Penumbłą.

– Wyślij wiadomość metaprzestrzenną do Zivika, przekaż mu, co się stało. Chociaż bardzo chciałabym rozwiązać zagadkę, kto postanowił mnie zabić i porwać Sepulvedę, jednak o wiele ważniejsze jest znalezienie i powstrzymanie okrętu Roju...

– Tak jest, ma'am. Zivik dosłownie kilka minut temu przysłał ostrzeżenie, żebyśmy nie ufali Petrowiczowi. Trochę za późno, ale

brawa za starania. – Sampono wstała. – Mam dodać coś jeszcze? Jak rozumiem, mam przekazać mu wszystko, co pani usłyszała od Petrowicza? Powiedział coś, co może pomóc Zivikowi?

Proctor zamknęła oczy i potarła nasadę nosa. Sięgnęła w głąb siebie.

Byłeś tam. Na pewno pamiętasz wszystko, co ten drań powiedział.

Tak, pamiętamy. Zivik powinien wiedzieć, że Shovik-Orion chyba zależy przede wszystkim na całkowitej swobodzie badań w laboratoriach na stacji nad Białorusią. Korporacja chce tam robić wszystko bez ograniczeń prawnych oraz zniknąć z oczu zarówno Zjednoczonej Ziemi, jak i Konfederacji Rosyjskiej.

– Ach tak. Przekaż Zivikowi, że Shovik-Orion chyba prowadzi w tajemnicy badania w ośrodku nad Białorusią. I bardzo chce, żeby o tych badaniach nie dowiedzieli się ani Rosjanie, ani my. Może Zivikowi uda się dowiedzieć, co to za badania.

Sampono skinęła głową.

– Tak jest, pani admirał.

Chorąży wyszła, zostawiając Proctor sam na sam z myślami, towarzyszem i kilkunastoma rannymi załogantami, którzy wciąż pozostawali w izbie chorych.

Tak przy okazji, dziękuję.

Za co?

Domyślam się, że to ty. Ta trucizna powinna była mnie zabić. Jak rozumiem, tobie zawdzięczam opóźnienie jej działania?

Tak. Nie mogłem powstrzymać śmierci, ale zdołałem przez krótki czas spowolnić działanie trucizny na twój organizm.

No właśnie. Dziękuję.

Chciałbym powiedzieć, że był to odruch altruizmu, ale skłamałbym. Chodziło mi o przetrwanie. Umarłbym razem z tobą.

Co masz na myśli?

Pamiętasz chorążego Deckera? Jak omal nie umarł, kiedy siepacze Oppenheimera przymusowo usunęli mu towarzysza? Kiedy Valarisi i ich towarzysz tworzą z czasem głęboką, silną więź, stają się nierozzerwalni. Splatają się ze sobą tak ściśle, że trudno odróżnić, gdzie zaczyna się jeden, a kończy drugi. Gdybym został z ciebie usunięty, oboje ryzykowalibyśmy permanentne okaleczenie, a nawet śmierć.

Rozumiem. Proctor postanowiła zapamiętać, że na zawsze utknęła ze swoim towarzyszem. I jak ryzykowne było ich rozdzielenie. Dobrze wiedzieć. Cieszę się zatem, że możemy sobie ufać.

Na zaufanie trzeba sobie zasłużyć. I można je stracić.

„Co za dziwne stwierdzenie” – pomyślała Proctor.

Ale tak, ufam ci – zapewnił towarzysz.

Migrena minęła jej zupełnie, a stawy przestały boleć. Proctor opuściła nogi na podłogę i ostrożnie zaczęła wstawać.

– O, nie! Nic z tego. Admirał czy nie, jest pani moja przynajmniej jeszcze przez dobę, ma’am. – Siostra Suzuki już szła do niej z drugiego końca sali.

Proctor wyprostowała się powoli. Spodziewała się zawrotów głowy i mdłości, ale ku jej zaskoczeniu nic podobnego nie nadeszło. Czuła się... dobrze.

Pomagasz w moim zdrowieniu?

Oczywiście. Już prawie doszłaś do siebie.

– Ma’am, proszę się położyć – nakazała pielęgniarka.

– Już nic mi nie jest – zapewniła Proctor. – Śmiało, proszę mnie zbadać.

Wyciągnęła ramię, aby pielęgniarka mogła je sprawdzić skanerem medycznym.

Suzuki zmarszczyła brwi, ale nie zamierzała się sprzeczać z admirał. Zmarszczyła czoło jeszcze bardziej, ustawiła parametry na urządzeniu i przesunęła tam i z powrotem nad ręką Proctor. A potem jeszcze raz.

– Och, to najbardziej... – wyszeptała do siebie.

– Mogę wyjść?

Suzuki podniosła na nią wzrok, na jej twarzy malował się podziw zmieszany ze strachem.

– Wszystkie pani neurotransmitery wróciły do normy. A zniszczone tkanki zaczęły się... goić. To... niesamowite.

– Wezmę to za zgodę. – Proctor odwróciła się do wyjścia. – Dziękuję, siostrzo Suzuki. Jesteś cudotwórczynią. Jeżeli kiedyś wrócimy do Zjednoczonej Floty, dopilnuję, żebyś dostała podwyżkę.

Po powrocie na mostek usiadła w fotelu kapitańskim.

– Melduj o sytuacji, chorąży Destachio.

– Został nam ostatni skok kwantowy, ma'am. Już niedługo będziemy na miejscu.

– Świetnie. – Proctor odwróciła się do komandora Urdy. – Wszystkie zespoły niech zajmą stanowiska bojowe. Na wszelki wypadek.

Urda skinął głową i zaczął wydawać odpowiednie rozkazy grupom taktycznym i operacyjnym.

– Dziesięć sekund – zameldował Destachio.

Proctor zaczęła odruchowo odliczać w głowie. Gdy doszła do końca, poczuła szarpnięcie wnętrzości, a gwiazdy za panoramicznym oknem mostka zmieniły położenie. Mogła dostrzec też lekkie zakrzywienie przestrzeni, zdradzające pozycję czarnej dziury.

– Pełna detekcja układu – rozkazała Proctor.

Chwilę później Urda zameldował:

– Wykrywamy obecność dużej jednostki na ciasnej orbicie wokół czarnej dziury.

– Rój? – upewniła się.

Urda skinął głową.

– Na to wygląda.

– Na ekran.

Sato, jeden z oficerów przy stanowisku taktycznym, wpisał kilka komend i na ekranie ukazał się obraz. Zbliżenie ujawniło okręt, który wyglądał tak samo jak ten zarejestrowany przez monitoring na Brytanii tuż przed zagładą planety.

– Porusza się po niestabilnej orbicie. Promień trzykrotnie dłuższy od promienia Schwarzschilda. Stale zmniejsza odległość od horyzontu zdarzeń. W tym tempie przekroczą go za niecałą godzinę – stwierdził Sato.

Proctor wstała i podeszła do ekranu.

– To jest cholernie dziwne.

Urda pokręcił głową.

– Nie ma sensu. Wiemy, że most Einsteina-Rosena-Rao już się zapadł. Nie ma tunelu czasoprzestrzennego prowadzącego do ich wszechświata. Rój nawet nie zdąży dotrzeć do horyzontu zdarzeń, grawitacja zmiażdży go o wiele wcześniej... To samobójcza ucieczka?

Proctor w zamyśleniu pogładziła się po policzku.

– Nie. Na pewno nie jest to samobójstwo.
– Więc co? Jedyne sposoby, w jakie mogą opuścić tę orbitę, to skok kwantowy, który wiąże się ze sporym ryzykiem, jak przekonaliśmy się podczas bitwy nad Penumbra...

– Pojawili się za wcześnie – stwierdziła Proctor.

Urda spojrzał na nią zdziwiony.

– To znaczy?

– Przylecieli za wcześnie. Kiedy śledzili „Interstellar Two” przez osobliwość Avery, nie mogli wybrać czasu. Ale teraz... – Proctor machnięciem wskazała obraz na głównym ekranie. – Naprawiają ten błąd. To podróż w czasie. Bardzo staroświecką metodą, można by powiedzieć.

Reszta załogi mostka przyglądała się jak w transie ogromnej jednostce Roju orbitującej, co wyraźnie było już widać, w obrębie dystorsji przestrzeni wywołanej polem grawitacyjnym Penumbry. Wydawało się, że Rój porusza się powoli, ale tylko dlatego, że czas dla niego zwalniał.

– Czyli z perspektywy Roju my poruszamy się bardzo szybko – zauważyła Sampono.

– Właśnie – odpowiedziała Proctor. – Rój podróżuje w przyszłość szybciej w stosunku do nas... no, nie policzę tego w pamięci, ale przypuszczam, że kilkadziesiąt razy szybciej. I w końcu dotrze do wybranego punktu czasu, w którym zajdzie oczekiwane wydarzenie, a wtedy wystarczy...

W jasnym rozbłysku okręt Roju zniknął.

– ...wykonać skok kwantowy – dokończyła Proctor.

Rozdział 16

SEKTOR VERACRUZ
CHANTANA 3
OZF „TYLER S. VOLZ”
MOSTEK

– Pani kapitan? Udało mi się znaleźć Klollogesza. – Chorąży Chiba pokręciła głową. – Mówi, że ma, cytuję, „tylko kilka z trzech potrójnych milisolarnych obrotów” na rozmowę z panią, a potem musi, y-y... „wymyślić wymówkę, aby uprzejmie, acz stanowczo podziękować i odrzucić tę hojną, ale nieszczerą propozycję pomocy”.

Whitehorse zamrugła zaskoczona. Trochę już przywykła do otwartości wypowiedzi i braku manier Trojaczków, ale ta deklaracja przebiła wszystko, co do tej pory słyszała.

– Przynajmniej znamy jego stanowisko w tej sprawie. Sprawdźmy, czy zdołam go przekonać, że się myli. Przekaz wizualny?

– Tak jest, ma’am – odpowiedziała Chiba.

– Na ekran.

Z głównego ekranu z przodu mostka zniknął obraz statku Eru, przypominającego obracający się bęben, który unosił się na niskiej orbicie Chantany 3, a ukazał się drobny przywódca Itaran, Pierwszego-i-Najważniejszego-Klanu-Klollogesz. Wymówienie jego pełnego imienia trwało chyba dwadzieścia sekund.

– Naczelną Klaczy! Cieszy mnie *gingza gryk klollog* i tylko trochę denerwuje, że muszę znowu z tobą rozmawiać!

Jego drobne nozdrza, nieco podobne do gadzich, rozszerzyły się, a powieki zatrzepotały, gdy zamrugał. Whitehorse uznała, że to zachowanie odzwierciedlało jego zły nastrój.

– Klollogeszu, dziękuję, że poświęcasz czas na tę rozmowę. Wiem, że jesteś niezwykle zajęty ewakuacją swoich pobratymców z Chantany 3...

– *Gunza tlosz*, jestem bardziej zajęty niż itarański żołądek, który opróżnił się do trzeciej komory z pominięciem drugiej, *gingza gryk tallog sta*.

Whitehorse pomyślała, że sporo musiało jej umknąć, bo przez niepełne tłumaczenie część wypowiedzi przywódcy Trojaczków brzmiała dla niej jak bełkot. Ale może brak wzajemnego zrozumienia wynikał z tego, że nie znała żadnych odniesień kulturowych, które mogłyby przybliżyć jej, o co dokładnie chodzi. Pewnie przyczyniało się do tego i jedno, i drugie. Pamiętała, że Itaranie praktycznie jedli dla sportu i puszyli się, że potrafią pochłonąć ze stołu wszystko, co podano. Do tego chaotyczny brak organizacji, nastawienie na przyjemność i kaprysy oraz mówienie tego, co myślą, to wszystko czyniło z Itaran gatunek bardzo ujmujący i uroczy.

– Naprawdę mi przykro, że zabieram ci czas. Jak wiesz, proponuję pomoc naszego okrętu przy ewakuacji mieszkańców tego świata. I zanim odpowiesz, wiedz, że w tej propozycji nie kryją się żadne pułapki ani warunki. Po prostu chcę się zrewanżować za niedawne wsparcie na Ziemi. Bez was pewnie stracilibyśmy o wiele więcej ludzi.

Klollogesz uniósł trójpalczaste dłonie i zacisnął palce, a potem rozprostował. Whitehorse zaczęła się zastanawiać, co oznacza ten gest.

– Twoje pocieszające słowa są pocieszające, *fligli gosz*. A to pociesza mnie. Twój udział w Wielkiej Opowieści, Naczelna Klaczy, bez wątplenia będzie znaczący i intrygujący, *dhasz szlogin*. Poczekaj, a sama się przekonasz.

Pomimo problemów z tłumaczeniem brzmiało to jak wzruszający komplement. Przynajmniej Klollogesz był otwarty na propozycję Whitehorse.

– Czyli przyjmiesz naszą pomoc?

– Jak powiedziałem twojemu łącznościowcowi, *fliglisz gasz*, przyjmę, a potem znajdę uprzejmą wymówkę, żeby odrzucić.

Plohlosz szlogun. Ale dobrze sobie poradziłaś z lekką, choć szlachetną próbą perswazji.

Whitehorse nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć. Rozmowy z Trojaczkami należały do najbardziej frustrujących doświadczeń w jej życiu. Zwłaszcza gdy tak wiele od tego zależało.

– Żartowałem! Nie jesteś rozbawiona? *Dharmasza gosz!* Twoja twarz! To absurdalne i cudownie śmieszne, jak twoje zdenerwowanie wyraża się w zmarszczkach na wyższej części twarzy. Nie znudzi mi się to nawet za trzy do trzeciej razy trzy solarne obroty.

Whitehorse zamknęła oczy i nadludzkim wysiłkiem woli opanowała pragnienie, by powiedzieć coś obraźliwego. W zamian przeprowadziła szybkie obliczenia w pamięci. Osiemdziesiąt jeden lat?

– Cieszę się, że przynajmniej mogę cię rozbawić, Klollogeszu. Czy to znaczy, że przyjmiesz moją propozycję?

– Tak! *Gilimsza goszaga.* Absolutnie. *Roliszlik goszantik gasz.* Przynajmniej do chwili, gdy wymyślę wymówkę, aby wycofać się ze swojej zgody jak najpilniej. *Tlohtla szogosz.*

Dobra. Tyle rozumiała. Klollogesz zaczął negocjować. W wyjątkowo wkurzający sposób, to pewne, ale negocjacje stanowiły prostą transakcję. Tyle tylko, że Whitehorse zapewniała coś, co Klollogesz uznawał za wartościowe, więc przyjmie od niej tylko to, co sama uważała za równie wartościowe. Chyba była to najłatwiejsza jednostronna transakcja, z jaką Jerusha Whitehorse miała do czynienia.

Jednak zależało jej, żeby Trojaczki przyjęły propozycję. Ludzie potrzebowali Itaran, jeśli mieli przetrwać. Admirał Proctor podkreślała to bardzo wyraźnie – ludzkość nie poradzi sobie sama. A musi przetrwać przynajmniej na tyle długo, aby kapitan Granger zdążył odczytać treść tajemniczego manuskryptu. Tylko wtedy uda się pokonać Findiri.

A przynajmniej tak się wydawało.

– Tak, zgadzam się na twoje warunki, Klollogeszu. Kiedy następnym razem spotkam się z Grangerem, zażądam, aby przybył do ciebie jak najszybciej. A teraz wróćmy do sedna. Przyjmiesz naszą pomoc i nie będziesz próbował się z tego wycofać później?

Klollogesz wydał dziwne prychnięcie, które zaczęła interpretować jako śmiech.

– Tak. *Goszaga tlot*. Przyjmę. Prześlemy współrzędne jednego z portów prowadzących w Podziemia Itar, gdzie duża liczba moich pobratymców czeka na transport. *Tlohtla goszag sa szalta*. Zabierz ich na pokład i dostarcz bezpiecznie do naszych przyjaciół, Eru. – Rozejrzał się na boki, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie usłyszy. – A jeśli mam być szczery, *dloszlag gloszlag sa sza*, te istoty nie rozumieją poczucia humoru, które ty i ja tak cenimy. Nie interesuje ich też Wielka Opowieść. Chcą tylko zrozumieć słowo pisane. *Ginzaga glosz*. Ach, zatem do widzenia. *Gloszag tlitlit!*

Na ekranie znowu pojawił się statek Eru nad planetą, a Whitehorse odetchnęła po raz drugi.

– No, przynajmniej udało się uzyskać jego zgodę bez zastrzeżeń, które wyrażał wcześniej. Wracajmy do pracy, ludzie.

Odwróciła się i wskazała na stanowisko pierwszego oficera.

– Nasz pierwszy zaczyna wachtę dopiero za godzinę, jak sądzę. Jak idą przygotowania do przyjęcia uchodźców na pokład?

Oficer dyżurny przejrzał swoje odczyty.

– Ekipy remontowe podzieliły się zadaniami. Część przygotowuje ładownie, żeby nadawały się dla uchodźców, ma'am. Część przygotowuje też niektóre pomieszczenia na kajuty, aby można było zabrać więcej osób.

Whitehorse skinęła głową. Świetnie. Wygląda na to, że Shin-Wentworth był zajęty. Martwiła się o niego, chciała, aby odbył żałobę jak należy, zanim wróci do służby. Jednak Shin-Wentworth zapewniał, że może pracować, i błagał, aby pozwolić mu na wypełnianie obowiązków.

– Uch, ma'am? – odezwał się mechanik. Whitehorse podeszła do jego stanowiska na końcu mostka.

– Tak, poruczniku?

– Obawiam się, że nie będziemy gotowi do ewakuacji za godzinę. Ani za dwie.

Whitehorse poczuła ucisk w skroniach, gdy skoczyło jej ciśnienie.

– Proszę wyjaśnić.

– Główny napęd jest wyłączony, a osiemdziesiąt procent energii zostało przekierowane do laboratorium pokładowego.

– Shin-Wentworth – wycedziła.

– Tak jest, pani kapitan. Nakazał mi o tym nie wspominać, dopóki nie będzie to bezwzględnie konieczne. No i teraz chyba nadeszła taka pora.

Whitehorse skinęła głową, starając się opanować złość.

– W porządku, poruczniku. Przekaż głównemu mechanikowi, żeby znowu podłączył napęd do zasilania na pełnej mocy.

– Tak jest, ma'am. – Na twarzy porucznika odmalowała się nieskrywana ulga.

– Będę w laboratorium pokładowym, gdyby ktoś mnie szukał. – Whitehorse zasalutowała strażnikom przy grodzi, gdy opuszczała mostek.

Dopiero na korytarzu wyszeptała pod nosem:

– Najwyższy czas porozmawiać sobie od serca z naszym zbuntowanym naukowcem.

Rozdział 17

SEKTOR VERACRUZ
CHANTANA 3
OZF „TYLER S. VOLZ”
LABORATORIUM POKŁADOWE

– Proszę włączyć zmienność fazy fal metaprzestrzennych przybliżoną do trzydziestu procent... – powiedział komandor Shin-Wentworth.

Doktor Wiggum, który stał przy panelu kontrolnym obok niego, wpisał komendę.

– Dotarliśmy niemal do granicy, komandorze. W teorii, jeżeli przekroczymy trzydzieści cztery procent wariantywności, pojawią się przypadkowe niestabilności fal grawitacyjnych.

– W TEORII – powtórzył Shin-Wentworth z naciskiem. Przyglądał się właśnie nowym odczytom. – Praktyka nie zawsze zgadza się z teorią. Nie można liczyć, że teoria przewidzi wszystko. Czasami trzeba po prostu zaryzykować i zlekceważyć ograniczenia.

– I wysadzić się w powietrze.

Shin-Wentworth wzruszył ramionami.

– Każdy eksperyment fizyczny związany z wysoką energią to ryzyko wysadzenia się w powietrze. – Z zadowoleniem pokiwał głową nad nowymi danymi. – W tym przypadku ryzykujemy, że nie tylko wysadzi nas w powietrze, ale też wyrzuci z naszego uniwersum.

– Niech się pan tym tak nie podnieca. – Wiggum odsunął się od panelu kontrolnego i zajrzał do komory. – Mają tak błyskać?

Shin-Wentworth zerknął do środka. Dwie mikroskopijnie małe osobliwości rozbłyskiwały jasno od czasu do czasu, przez co wydawały się większe niż zakładane kilka mikronów.

- Nie widział pan archiwalnych nagrań?
- Nie miałem okazji, nie – odparł naukowiec.

Shin-Wentworth wrócił do stanowiska analiz.

– Ja się na nich wychowałem. Filmy z drugiej wojny z Rojem. Nie mogłem się od nich oderwać. Oglądałem bitwy w przestrzeni kosmicznej, fale zniszczeń kolejnych bezbronnych światów, sztuczne osobliwości, które wróg wykorzystywał do równania z ziemią miast... Oglądałem też legendę we własnej osobie, kapitana Grangera, który prowadził floty, by nas ocalić. A ostatnie nagranie z nim na pokładzie „Wiktorii”, gdy zwabił flotę Roju do czarnej dziury w układzie Penumbry? Boże, oglądałem ten dokument chyba z pięćdziesiąt razy.

- No i?
- No i co?

Wiggum uniósł rękę.

– Rozbłyśki. Czy te osobliwości powinny tak błyskać?

– Powiedziałem panu. Te stare rosyjskie, których używał Rój, błyskały tak jak te.

– Te błyskają bardzo często.

– Spokojnie. – Shin-Wentworth sprawdził jeszcze raz gradient pola grawitacyjnego w komorze, a kiedy znowu upewnił się, że jest stabilne, wskazał na panel kontrolny. – W porządku, zrobmy to. Wprowadźmy materię.

Wiggum wzruszył ramionami i wpisał kilka komend na panelu.

Wewnątrz komory z wylotu iniektora pomknął strumień dwutlenku węgla i zgodnie z założeniami trafił w jedną ze sztucznych osobliwości.

– Rozbłyskuje jeszcze bardziej. Widzi pan? Boże, strasznie oślepiające te błyski.

W rzeczy samej osobliwość zrobiła się tak jasna, że rozświetliła pomieszczenie silnym, fioletowawym blaskiem.

– Proszę nie patrzeć. Komora ma osłony chroniące przed promieniowaniem gamma i rentgenowskim, ale jak na ironię

zwykły ultrafiolet może wypalić panu siatkówkę pomimo zabezpieczeń.

– Szlag. – Wiggum czym prędzej zasłonił oczy dłonią.

– Jak mówiłem, spokojnie. Musiałby pan patrzeć z godzinę, żeby do tego doszło. Wracajmy lepiej do pracy. – Shin-Wentworth spojrział na stanowisko analiz. – No dobrze. Dwutlenek węgla bez wątpienia spada na tę osobliwość. Właśnie dlatego widzimy tak silne światło: gaz się rozgrzewa i opada coraz szybciej po coraz ciaśniejszej orbicie, dopóki nie naładuje się taką energią, że zaczyna świecić.

Pokiwał z zadowoleniem głową nad kolejnymi odczytami z komory. Dobrze, wręcz świetnie. To mogło zadziałać.

– W porządku, zrobię pomiary tej osobliwości...

Przesunął zestaw czujników nad drugą osobliwość, aby wychwycić odczyty czegokolwiek, co mogła wysyłać.

– Nic... Hm...

Wiggum podrapał się po skołtunionej brodzie.

– To przecież osobliwość. Czego się pan spodziewał?

– To zmodyfikowany most Einsteina-Rosena-Rao, doktorze. Błagam.

– Ale to tylko teoretyczne koncepcje, które...

– Pamięta pan, doktorze, co mówiłem o teorii i praktyce? Po to właśnie jest ograniczenie w naszej zmienności fazy. Przy każdej zmianie fazy w sekundzie Plancka odrobina materii powinna wyrwać się z osobliwości. A skoro te dwie są splątane, co wpada do jednej, powinno wyjść z drugiej. Tylko... później. O ile później, oto jest pytanie. No już. Pogmerajmy w zmienności fazy jeszcze raz. O dodatkowe pół procent.

Wiggum pokręcił głową, ale posłuchał.

– Jeżeli wysadzi mnie pan w powietrze, przysięgam, że...

– Jest! – Shin-Wentworth z podnieceniem wskazał na panel. – Dwutlenek węgla wylatuje z tej drugiej.

Wiggum chyba zapomniał o swoich wcześniejszych obawach i zajrzał do komory pomimo bijącego z niej silnego promieniowania ultrafioletowego.

– Naprawdę? Jakie jest stężenie dwutlenku?

– Właśnie sprawdzam – odpowiedział Shin-Wentworth. – Wchodzi... dokładnie jeden na trylion, węgiel czternaście do

dwanaście. A teraz? To... – Wpisał jeszcze kilka poleceń. – Jeden na trylion sześćset dwa.

Wiggum wyraźnie posmutniał.

– To... bardzo niewielka różnica.

Shin-Wentworth uśmiechnął się.

– Tak, ale przejrzyjmy wyniki. Wygląda na to, że dwutlenek węgla, za każdym razem, gdy wpadnie w jedną osobliwość, zostaje tam przez godzinę, zanim wyjdzie przez drugą. – Spojrzał z uśmiechem na Wigguma. A Wiggum, gdy po chwili zaczęło do niego docierać, również się uśmiechnął.

– Jasna cholera, to naprawdę działa.

– Tak, działa – potwierdził Shin-Wentworth.

„A teraz pora na kolejny krok. Każdy mały krok prowadzi do następnego. A ostatni mały krok? Będzie wart wszystkiego. Wróci moja rodzina”.

– No dobrze, doktorze. Nie ma zmiłuj. Przygotujmy eksperyment na większą skalę. Będzie nam potrzebna dwuwymiarowa technologia Trojaczków. Myślę, że... – Podniósł głowę znad konsoli i rozejrzał się po pomieszczeniu. – Tam w kącie będzie dobrze. Skonstruujemy tam osobliwość i sprzęgniemy ją z drugą w kącie po przeciwnej stronie...

– Nie robi pan nic podobnego, komandorze – przerwał mu stanowczy głos.

Shin-Wentworth obrócił się szybko.

– Pani kapitan.

Kapitan Whitehorse stała w progu.

– Ufałam panu, komandorze. Zarzekał się pan na prawo i lewo, że jest gotów do służby. Że może pan wypełniać obowiązki pomimo żałoby. Ale to? Wydałam panu bezpośredni rozkaz, aby przerwać wszystkie eksperymenty i skupić się na ewakuacji. Proszę się wytłumaczyć, czemu pan nie posłuchał, komandorze. – Jej twarz pozostała beznamiętna, ramiona mocno splotła na piersi.

Była jak z kamienia. Jak wykuta z cholernego marmuru. Nie obchodziło jej nic. Nie rozumiała straty Shin-Wentwortha, ogromu jego cierpienia. Poczucia niesprawiedliwości.

– Pani kapitan, ja... – Postarał się opanować i ze wszystkich sił zachować uprzejmie, lecz stanowczo. – Nie rozumie pani. Nikt nie

rozumie, jak to jest nie tylko stracić wszystkich najbliższych, lecz także posiadać moc, aby ich przywrócić znowu, ale... nic nie zrobić. Nie mogę, pani kapitan. Nie mogę nie spróbować. Jestem im to winien.

Whitehorse skinęła głową.

– Czyli o to chodzi. Oszalał pan? Chce pan wykorzystać zabronioną technologię sztucznych osobliwości, aby sprowadzić swoją rodzinę?

– Nie! Nie chodzi tylko o nich, pani kapitan. Proszę pomyśleć. Przegrywamy tę wojnę. Do diabła, praktycznie już ją przegraliśmy. Ziemia została podbita. A Rój powrócił. Śmierć nas wszystkich to tylko kwestia czasu. Ale jeżeli wykorzystamy tę technologię, żeby się cofnąć, ocalić nie tylko moich bliskich, lecz zmienić linię czasu, dać nam... coś: narzędzia lub broń albo plan, cokolwiek, co mogłoby nam pomóc, gdy tego najbardziej potrzebujemy. Moglibyśmy zmienić bieg zdarzeń, gdy miałoby to znaczenie. Nie chodzi o moją rodzinę, lecz o wszystko. O Ziemię. O miliony zabitych, których już straciliśmy. O miliardy, które wkrótce zginą.

Przez całą jego przemowę Whitehorse kręciła głową.

– Nie. Nie będzie się pan bawił w Boga. Nie jest pan siłą, która odpowiada tylko przed sobą samym, ani bohaterskim buntownikiem, który igra z ogniem, aby nas wszystkich ocalić. Wie pan, co się stanie, gdy głupcy jak pan spróbują wykorzystać tę technologię? Skończy to się śmiercią wielu ludzi. Doprowadzi pan tylko do cierpienia i zagłady. I tyle.

– Proszę powiedzieć to Grangerowi.

– Co proszę? – Kapitan wyraźnie się rozzłościła. Shin-Wentworth spodziewał się, że zaraz go zamknie w areszcie.

– Słyszała mnie pani. Granger właśnie tak zrobił. Wziął na siebie zadanie, żeby nas ocalić. Wiele razy. I nie tylko Granger, ale też Proctor. Niby czym ja się od nich różnię?

– Wyjaśnię panu, czym to się różni. Wtedy nie chodziło tylko o Grangera. Wtedy był Granger, jego pierwszy oficer i jego załoga. Działali jako zespół. A Proctor? Tak samo. To my, połączeni umysłami przez Valarisi, pokonaliśmy Rój.

– Wszyscy oprócz pani, oczywiście. Pani nie miała towarzysza Valarisi. I nigdy nie wyjaśniła pani, dlaczego tak się stało. Bała się

pani?

Whitehorse poczerwieniała.

– Proszę to zdemontować. Natychmiast. I ruszyć swój tyłek na mostek, bo trzeba się zająć ewakuacją. Następnym razem, gdy nie posłucha pan rozkazów, komandorze, trafi pan do aresztu i tam będzie oczekiwał na proces przed trybunałem wojskowym. Zrozumiał pan?

Shin-Wentworth chciał nadal dyskutować, przekonywać, wyjaśniać, usprawiedliwiać się i argumentować, ale nie potrafił znaleźć słów, które by przekonały kapitan, że to naprawdę jedyny słuszny kierunek działania i jedyna nadzieja na pokonanie wroga. Widział jednak, że nie zdoła przekonać tej kobiety. Przynajmniej na razie.

– Tak jest, pani kapitan. Zajmiemy się tym. Będę na mostku za dziesięć minut.

– Dobrze. – Whitehorse odwróciła się, by odejść, ale jeszcze się zawahała. – Komandorze – głos jej złagodniał – naprawdę bardzo panu współczuję straty rodziny. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakie to dla pana bolesne. To żadne usprawiedliwienie dla tego, co próbował pan zrobić, ale... przykro mi. Mam szczerą nadzieję, że odzyska pan spokój w nadchodzących miesiącach.

Potem przeniosła spojrzenie na zmartwiałego Wigguma, który wyglądał, jakby został przyłapany na kradzieży ciasteczek.

– Doktorze. Wysadzimy pana na najbliższym świecie Zjednoczonej Ziemi, gdy tylko się przy takim znajdziemy. Dziękuję za pańską pracę.

A potem odeszła.

Obaj mężczyźni odetchnęli z ulgą.

– Dlaczego mam wrażenie, jakbym rozczarował własną matkę? – zapytał Wiggum.

Shin-Wentworth potrząsnął głową.

– Ona ma rację. W pewnym sensie. Osiągnięcie tego w pojedynkę jest niemożliwe. A nawet we dwóch. Żeby nam się udało, potrzeba...

– Zabębnił palcami w konsolę do analiz. – Całej załogi. Okrętu.

– Co proszę?

– Myślał pan, że ograniczymy się do dwutlenku węgla?

– No...

– Nie możemy się teraz poddać, doktorze. Przygotujmy etap drugi. Kiedy będę zarządzał ewakuacją Trojaczków, proszę skończyć wstępne testy. A kiedy wrócę, przeprowadzimy te testy na dwuwymiarowej osobliwości tam. – Wskazał w kąt sali. – I tam. – Wskazał kąt po drugiej stronie pomieszczenia. – Jasne?

– Ja... – wyjąkał Wiggum.

– Proszę się nie martwić. Wezmę winę na siebie. Pan jest cywilem, nic panu nie grozi.

– Ach, ale...

– Doktorze.

Wiggum wreszcie podniósł wzrok na Shin-Wentwortha.

– Słucham.

– Będziemy bohaterami. Nie, kimś więcej niż bohaterami. Przejdziemy do legendy. Będziemy zbawcami. Miliardy ludzi przeżyją dzięki nam.

– To... dobrze?

– No to bierzmy się do pracy.

Rozdział 18

UKŁAD SŁONECZNY WYSOKA ORBITA OKOŁOZIEMSKA KORWETA VESTIGIUM „LEGENDA”

– Chłopcze, mam sto dziesięć procent pewności, że nigdy, przenigdy nie zrobiłem z twoją mamą nic, czego rezultatem byłbyś...

– Granger zamachał dłonią między sobą a Jasperem – ty.

Jasper wzruszył ramionami.

– Przecież bardzo łatwo można to sprawdzić i zweryfikować.

Granger przycisnął dłoń do czoła.

„To naprawdę niemożliwe” – pomyślał. Dosłownie nie było żadnych szans. Już na początku swojej kariery zdecydował, że pozostanie bezdzietny – dlatego poddał się wazektomii. I dlatego nie było żadnych szans, żeby spłodzić dziecko.

– No i właściwie ile masz lat? Dwadzieścia... pięć?

– Dwadzieścia sześć.

– A jak pamiętasz, spadłem do czarnej dziury w układzie Penumbry prawie trzydzieści jeden lat temu. Sprawa zamknięta. Nie jestem twoim ojcem.

W kokpicie zapanowała krępująca cisza. Granger nie bardzo wiedział, co jeszcze miałyby powiedzieć, Jasper wydawał się strasznie zawstydzony, a Qwerty gmerał przy swoim podręcznym skanerze.

– No... ech, tak... Sprawdziłem ustawienia i można naprawdę łatwo wszystko sprawdzić, kapitanie. – Qwerty postukał palcem w skaner. – Używałem go, żeby wykryć sygnaturę metaprzestrzenną Manuskryptu Wojnicza, ale jest tu też zamontowany wykrywacz molekularny i na pewno ma oprogramowanie do analizy DNA.

Granger pomasaował sobie nasadę nosa, ale skinął dłonią, aby komandor porucznik kontynuował. Qwerty rozwinął kilka zakładek interfejsu, a potem zbliżył urządzenie do ramienia Grangera. Po kilku sekundach skaner zapikał, a wtedy oficer powtórzył procedurę na Jasperze.

Urządzenie znowu zapikało.

– No i? – zapytał Jasper.

Qwerty przyjrzał się wynikom na wyświetlaczu i lekko zmarszczył brwi.

– Chyba powinienem zapytać, czemu twoja mama nie nazwała cię Jasper Granger.

Granger pokręcił głową.

– Nie. Jak to w ogóle możliwe? Byłem wtedy, dosłownie, w czarnej dziurze, synu... – Ten ostatni zwrot, którego używał odruchowo, gdy zwracał się do młodszych podwładnych, tym razem wzbudził jak nigdy falę emocji. – To znaczy chłopcze. A co ważniejsze, od mojego ostatniego spotkania z twoją matką minęło kilkanaście lat, zanim się urodziłeś.

– No, skoro już wyszło szydło z worka, tato...

– Nie nazywaj mnie tak.

Jasper chyba poczuł się lekko urażony, ale podjął wyjaśnienia:

– Spotkaliście się w barze w Omaha, a potem spędziliście kilka miesięcy razem, zgadza się?

– Tak.

– A potem odszedłeś. Dostałeś dowództwo na nowym okręcie. A mama zaczęła własne życie.

– Tak mi się wydawało, owszem.

– Tyle że wcale nie zaczęła od nowa. A raczej to ty nie mogłeś się rozstać i jej też nie pozwoliłeś.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – Granger poczuł, że skacze mu ciśnienie.

– Nie masz siedemdziesięciu lat. Masz trzynaście miliardów na karku. Kiedy odszedłeś od mamy, żeby objąć po raz pierwszy stanowisko kapitana, miałeś trzydzieści lat. Jednak ty w wieku trzynastu miliardów lat też tam byłeś. Nie mogłeś opuścić mojej matki. Nie pozwoliłeś, żeby od nowa ułożyła sobie życie.

– Chcesz powiedzieć, że, przynajmniej z mojej perspektywy, spotkałem twoją matkę, gdy miałem trzynaście miliardów lat, a potem, około dwudziestu sześciu lat temu uznałem, że wrócę do niej znowu i rozniecę płomień miłości?

Jasper wzruszył ramionami.

– Nie znam wszystkich szczegółów...

– A potem znowu odszedłem, poleciałem do jakiegoś zapadłego zakamarka Galaktyki i wbudowałem się w starą „Wiktorię”, żeby powrócić jeszcze raz kilka miesięcy temu i ocalić świat dzięki stworzeniu księżyców Grangera?

– Jak powiedziałem, nie znam wszystkich szczegółów. Ale może, jeśli się wysiliz, zdołasz sobie coś przypomnieć...

Granger pokręcił głową.

– Nie pamiętam wcale twojej matki. Oprócz tego okresu, gdy po raz pierwszy byliśmy razem. Wszystko inne to pustka.

Jasper zabębnił palcami po konsoli sterowniczej.

– A co z tą kulą pamięci? Pewnie w niej znajdują się te wspomnienia.

– Możliwe, ale Diaz ostrzegł mnie, że nie ma tam szczegółowych planów, jak powstrzymać Findiri. To tylko indeks moich wspomnień. Spis treści.

– Na pewno jednak o niej zachowałeś wspomnienia.

Granger nie umiał na to odpowiedzieć. Tak? Czy nie zachowałyby wspomnień o kobiecie, która tyle dla niego znaczyła?

Qwerty przeglądał informacje na podręcznym wyświetlaczu.

– Uch, kapitanie, właśnie przyszło wideo z biur rządowych Zjednoczonej Ziemi w Nowym Jorku. Nadawane szerokopasmowo na całą planetę. To Talus.

Granger odwrócił się do kokpitu i przyjrzał konsoli sterowniczej, na próżno szukając przycisków, którymi mógłby uruchomić transmisję. Wreszcie gestem nakazał, żeby zrobił to Jasper.

Na ekranie pojawił się dyrektor Talus – Haws. Stał przed kamerą, a za jego plecami rozciągał się plac przed wieżowcem, w którym znajdowały się departamenty rządowe Zjednoczonej Ziemi. W pobliżu fontanna tryskała strugami wody migoczącymi w promieniach słońca. Kilkudziesięciu ludzi, zarówno Ziemiaków, jak i Findiri, zgromadziło się nieco dalej.

– Powtarzam. Obywatele Zjednoczonej Ziemi. Jesteśmy narodem prawa. Nikt, naprawdę NIKT, nie może pozostać poza tym prawem, a zwłaszcza zdrajca Timothy Granger. Tim, wiem, że tu jesteś. W tej chwili znajdujesz się na orbicie. Oddasz się w nasze ręce. Nieważne, czy zrobisz to teraz, czy później, tak się stanie. Czemu nie oszczędzić sobie i nam kłopotów? Śmiało, odpowiedz. Tu i teraz. Powiedz całemu światu, dlaczego jesteś takim tchórzem i nie chcesz się ujawnić. Wyjaśnij, dlaczego pozwoliłeś cierpieć i umierać tylu ludziom, tylko dlatego, że obawiasz się sprawiedliwości. Powiedz światu, dlaczego unikasz odpowiedzialności. Wytłumacz, dlaczego uważasz, że możesz stać ponad prawem, i czemu nie chcesz pogodzić się z konsekwencjami swoich czynów.

Granger mógł dostrzec, co się dzieje w tle. Rozpoznał niektórych zgromadzonych, znał ich osobiście – starszych oficerów Zjednoczonej Floty, włącznie z admirałem naczelnym Oppenheimerem, który stał niedaleko za Talusem z kamienną twarzą.

Inni ludzie stali w długim szeregu wzdłuż placu i dalej, poza zasięgiem kamery. Wszyscy mieli na sobie standardowe, jasnoniebieskie uniformy więzienne. Grupka Findiri pilnowała kolejki – trzymali swoje karabiny energetyczne w gotowości, mimo że wcale ich nie potrzebowali, bo więźniowie wyglądali na pokonanych i posłusznych. Patrzyli przed siebie, ale ich spojrzenia były nieobecne, a twarze pozbawione emocji. Sprawiali wrażenie otumanionych jakimiś narkotykami.

– Och Boże – wydusił Granger.

Talus zrobił długą pauzę, jakby czekał na odpowiedź, a przynajmniej dobrze to odgrywał przed populacją całej Ziemi, która zapewne oglądała jego przemówienie.

– Skoro jednak okazuje się, że jesteś tchórzem, postaram się cię zachęcić do oddania się w ręce sprawiedliwości. Jak powiedziałem, jesteśmy narodem prawa. Ludzie, których widzisz za mną... – wskazał na szereg więźniów – to przestępcy. Złamali nasze prawo. Do tej chwili byliśmy jako społeczność zbyt pobłażliwi, zbyt łagodni, a przez to doszło do kolejnych przestępstw. Gdy przestępca dostrzeże, że może łamać prawo, bo za karę co najwyżej dostanie po łapach, czuje się bezkarny i chętnie popełnia kolejne wykroczenia.

Myśli, że może sam dla siebie ustalać reguły. Zupełnie jak nasz ukochany bohater i zdrajca, Tim Granger. Koniec z tym. Nadeszła pora, aby potraktować przestępców, jak na to zasługują.

Odwrócił się i skinął głową jednemu z żołnierzy Findiri pilnujących szeregu.

Żołnierz przemaszerował wzdłuż więźniów i ustawił się przed pierwszymi pięcioma mężczyznami. Tamci nadal patrzyli przed siebie. Wydawali się nieświadomi tego, co się wokół nich dzieje.

– Co minutę ta kolejka zostanie skrócona o jednego człowieka.

Skinął na żołnierza, a ten opuścił nieco broń i wymierzył w mężczyznę. Zaraz potem głowa więźnia wybuchła, a ciało opadło na ziemię. Twarz następnego mężczyzny zbryzgała krew, ale więzień pozostał nieruchomy i beznamiętny. Żołnierz stanął przy nim i ponownie wymierzył broń.

– Co minutę, Tim. Dopóki nie oddasz się w nasze ręce, ludzie będą ginąć. – Talus uśmiechnął się szeroko. – Co za poetycka ironia losu, nie sądzisz? Przeżyłeś tylko dlatego, że chowałeś się przed zagrożeniem i odpowiedzialnością za plecami niewinnych ludzi. Używałeś ich jak tarcz. A teraz, tuż przed śmiercią, zostaniesz sprowadzony przed trybunał sprawiedliwości nie przy pomocy niewinnych, lecz przestępców. Cóż za piękna symetria, nieprawdaż?

Skinął na żołnierza Findiri i kolejny wystrzał z broni energetycznej zabił następnego więźnia. Ciche młaśnięcie, z jakim bezgłowe ciało zważyło się na ziemię, budziło mdłości. Żołnierz podszedł do trzeciego mężczyzny.

Ten spojrzał na ciało zabitego i szerzej otworzył oczy. Granger dostrzegł jego reakcję. Narkotyk, którym oszołomiono tych ludzi, nie działał tak dobrze na tego więźnia. Mężczyzna zaczął zerkać na prawo i lewo. Wyraźnie drżał.

– A na wypadek, gdybym nie poruszył tym widokiem twojego sumienia, Tim, i gdybyś myślał, że to tylko skazańcy, pamiętaj, że kiedy skończą mi się osadzeni z Ośrodka Penitencjarnego na Wschodnim Wybrzeżu, mam do dyspozycji nieprzeliczone tłumy twoich współspiskowców, którzy mieszkają na tej planecie. Oraz ich dzieci. I sąsiadów. I przyjaciół. Ta kolejka nie przestanie się poruszać, dopóki nie zjawisz się tutaj, przed tą kamerą, aby wyznać swoje winy.

Haws ponownie skinął na żołnierza.

Trzeci mężczyzna trząsł się coraz mocniej, twarz wykrzywiło mu przerażenie. Zrobił kilka kroków naprzód – chyba uznał, że lepiej uciekać.

Jego ciało również upadło bezwładnie na chodnik, z roztrzaskanej głowy rozlała się po płytach kałuża krwi.

– Musimy coś zrobić – powiedział Granger. – Cokolwiek. Qwerty, czym dysponujemy? Czy na orbicie są jakieś okręty dowodzone przez kapitanów, którym można zaufać?

Qwerty wzruszył ramionami.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć, kapitanie. Nie mam listy z nazwiskami dowódców, którzy stoją po naszej stronie...

– Możemy wezwać korpus weteranów z Vestigium – wtrącił Jasper.

– Co to takiego, do cholery?

– Już ich widziałeś w akcji, tato. Pamiętasz, co się działo na cmentarzu Arlington? Kilkunastu z nich poświęciło życie, żebyśmy mogli uciec. Jest cała flota...

Granger miał znowu zaprotestować i zażądać, aby chłopak nie nazywał go „tata”, ale w tej chwili o tym zapomniał.

– Ilu ich jest?

– Ludzi? Tylu, ilu grangerystów. W zasadzie tym właśnie są grangeryści. Jednoczą się w imię pamięci o tobie i z szacunku dla twojego podejścia do służby. A teraz, gdy wróciłeś, dysponujesz milionową armią. O ile zechcesz ją wykorzystać.

– Nie chcę – odparł twardo Granger.

– I kto wie, ile ma jednostek. Od małych frachtowców i korwet, po ocalone kanonierki i fregaty z wyrzutniami pocisków. Może nawet dołączyło kilka okrętów floty, o ile grangeryści przeważali w załodze albo mieli na nią silny wpływ. Flota złożona z setek jednostek...

– Nie. Nie zamierzam stanąć na czele bandy pomyleńców.

Jasper spojrzał na swoje dłonie.

– Tych kilkunastu ludzi z Arlington też było pomyleńcami?

Na to Granger nie miał odpowiedzi.

Transmisja trwała, choć Talus się wycofał. Na ekranie zamiast niego pojawił się stoper odmierzający sześćdziesiąt sekund, a kiedy odliczanie dobiegało zera, kolejne bezgłowe ciało waliło się

bezwładnie na ziemię. Leżało tam już pięć, a na swoją kolej czekały setki kobiet i mężczyzn.

Żołnierz Findiri podszedł do następnego więźnia.

– Zabierz nas stąd – rozkazał Granger Jasperowi. W tej chwili nie mogli nic zrobić. Byli bezradni.

W głębi duszy Granger rozpaczliwie pragnął przypomnieć sobie Reę. Pognać na statek pokoleniowy Skiohra, na „Dobroć”, i przejrzeć zapisane w kuli wspomnienia.

Jednak wiedział, że to nie pomoże powstrzymać Findiri. Tylko jedno mogło tego dokonać.

– Dokąd? – zapytał Jasper.

– Qwerty? Miałeś choć odrobinę szczęścia z tymi rękopisami?

– Trochę, kapitanie. Jednak pomoc mi może tylko zdobycie pozostałych dwóch manuskryptów. Jednego od Eru i jednego od Trojaczków.

Granger skinął głową.

– No to ruszajmy na Chantanę 3.

– Tak jest, tato – odpowiedział Jasper dziarsko, po czym zaczął wpisywać koordynaty na konsoli sterowniczej.

Granger przemilczał kolejny raz, gdy chłopak nazwał go tatą. Nie było czasu na protesty i tłumaczenie chłopakowi, że nie powinien tego robić.

– I pośpiesz się, młody. Każda minuta zwłoki...

Nie musiał kończyć.

Rozdział 19

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA, NOWY JORK WIEŻOWIEC DEPARTAMENTÓW RZĄDOWYCH ZJEDNOCZONEJ ZIEMI

Zagadka śmierci Abrahama Hawsa dręczyła Danny'ego przez całą podróż do biura prezydent Cooper.

Wreszcie tuż przed lądowaniem na płycie przy rządowym drapaczu chmur młody mężczyzna przerwał milczenie.

– No, ale jak to możliwe? Cholera, jakim cudem zmarł dużo później?

Liu popatrzyła na niego zdumiona. Krótkim skinieniem głowy wskazała pilota prywatnego promu.

Zamknij się, głupku. Mamy łączność umysł w umysł, a ty tak sobie papłasz na głos wszystko, co ci ślina na język przyniesie, żeby kierowca mógł cię usłyszeć?

Danny uśmiechnął się zawstydzony.

Racja. Ale dokąd został zabrany Haws? Wszyscy myśleli, że zginął w bitwie o Ziemię. Jeżeli tak się nie stało, jak udało się to ukryć? Wierchuszka Zjednoczonej Ziemi nie zauważyła, że składa do grobu kogoś innego? A potem, gdy Haws naprawdę umarł, kto w tajemnicy podmienił jego ciało na to, co znajdowało się w jego grobie? Strasznie to pokręcone.

Nie zamierzam się z tym spierać. Fiona rozmasowała sobie skronie. No dobrze. Skontaktuję się ze znajomym z wywiadu floty. Pewnie uda mu się znaleźć jakieś przydatne informacje. Bez wątpienia w archiwach są jakieś tajne akta, które mógłby przejrzeć.

Chodzi ci o tego faceta, który ma przebadać próbkę DNA z naskórka zdrapanego przez Cooper z nadgarstka Curiela?

Właśnie o niego. Spojrzała na niechętną minę Danny'ego. Jest trochę... rozkojarzony. Denerwuje się, że zostanie przyłapany. I bardzo zajęty, bo ostatnio cholernie dużo się dzieje. I tak będę musiała się z nim spotkać, żeby odebrać wyniki. W ten sposób upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu.

Kiedy prom wylądował, Danny zerknął w okno. I musiał spojrzeć jeszcze raz, żeby się upewnić, czy dobrze widzi.

– Cemu Cooper tutaj na nas czeka?

Prezydent Zjednoczonej Ziemi w rzeczy samej stała przy wejściu do wieżowca blisko lądowiska. Wyglądała na zniecierpliwioną. Towarzyszyło jej kilkoro asystentów oraz agenci Secret Service.

Gdy tylko pilot wyłączył silniki, Danny rozpiął pasy i otworzył wąż.

– Panie Proctor, kiedy zatrudniam prywatną jednostkę i jej kapitana, oczekuję, że będę mogła ją wykorzystać w każdej chwili, gdy zajdzie potrzeba. – Cooper gniewnie splotła ramiona na piersi. Nie wyglądała na zadowoloną, to pewne.

– Przepraszam, ma'am. Jesteśmy gotowi do startu na pani rozkaz.

– Jestem gotowa już od pół godziny.

Danny skrzywił się boleśnie.

– A co z „Interstellar One”? Skoro to takie pilne...

Cooper przewróciła oczami.

– Zapomniałaś? „Interstellar One” to teraz chmura odłamków zmieszanych ze szczątkami mojego poprzednika. Właśnie dlatego cię zatrudniłam, tępaku. – Powtórzyła kłamstwo, że Sepulveda zginął, na użytek agentów Secret Service i pilota promu.

– Och. Myślałem, że dostała pani kolejny...

Cooper niecierpliwie wskazała palcem drzwi.

– Pośpieszmy się. To pilne.

W łunie wieczoru rozjaśnionego światłami miasta opuścili lądowisko i przeszli do kosmoportu rządowego wieżowca, przejechali trzy piętra w górę windą i wyszli stamtąd na kolejną płytę, o wiele większą, na której czekał już „Szkarłatny Feniks”.

Prezydent ruszyła na pokład tuż za Dannym, ale zatrzymała się nagle i odwróciła do agenta ochrony, który omal na nią nie wpadł.

– Ma'am? – powiedział zdziwiony.

– Zostaniecie tutaj. Wrócimy rano.

Agent pokręcił głową.

– Nie ma mowy, pani prezydent. Mamy rozkazy od szefa ochrony, żeby...

– Nie obchodzą mnie rozkazy Danfortha. Pamiętasz, jak wspaniale ochroniły poprzednią osobę na tym stanowisku? Nic z tego. Ale pozwolę się ochraniać podczas każdej kolejnej podróży. Przyrzekam. – Cooper odwróciła się i weszła na pokład. – Lecz nie podczas tej.

Gdy tylko wszyscy usiedli w fotelach i zapięli pasy, Danny włączył napęd i zapytał:

– Dokąd lecimy, pani prezydent?

– Dostałam POZWOLENIE od dyrektora Talusa, aby udać się na Białoruś i sprawdzić szkody wyrządzone podczas zamachu rosyjskich separatystów. Mam okazać głęboką troskę i zrobić z tego pokaz. Zaproponować pomoc. Pitu-pitu. Bez obaw, spotkamy tam połowę korpusu dyplomatycznego z różnych światów oraz pewnie kilka okrętów Zjednoczonej Floty. Na pewno nic nam nie grozi.

Danny wpisał współrzędne skoku kwantowego nad Białoruś, gdy „Feniks” wciąż jeszcze wznosił się w atmosferze.

– Ale po co? Przecież to chyba strefa wojny? Co na tym zyskamy? Czy to pomoże w planach, które realizuje moja ciotka, Granger i Sepulveda?

Cooper spojrzała na niego uważnie.

– Dziecko, nie ma żadnych planów. Budujemy tu od dymu z komina.

Liu wpisała dodatkowe komendy na panelu sterowniczym, gdy Danny kończył obliczać dane do skoku.

– Ma to sens, kochanie. Białoruś tylko formalnie należy do Konfederacji Rosyjskiej i praktycznie od dziesięcioleci szuka sposobu, aby się oderwać. A jej obecne kłopoty i rozbitcie to wspaniała okazja dla Zjednoczonej Ziemi, aby wykonać wstępne kroki i zaproponować pomoc w odbudowie. I przy okazji skłonić nowych politycznych przywódców, aby bardziej zbliżyli się do Zjednoczonej Ziemi, niż trzymali się Rosjan. A nawet jeżeli nie uda się przekonać polityków, ludzie, którzy tam żyją, zobaczą przy

odbudowie stolicy naszych, nie Rosjan. I wtedy zagłosują przeciw opornym szybciej, niż zdołasz wymówić „Avery przeciw Małakowowi”.

Cooper potwierdziła skinieniem głowy.

– Widzisz? Ona to rozumie.

Tym razem to Danny przewrócił oczyma.

– Och, błagam. Proszę mi nie wmawiać, że wybrała się pani na tajną wyprawę w strefę wojny tylko po to, żeby pomóc Talusowi zbudować nowe imperium.

– Gdybyś uważnie słuchał, wiedziałbyś, że to wcale nie jest tajna wyprawa. Ani trochę. Połowa statków korpusu dyplomatycznego też się pojawi nad Białorusią.

– Owszem, ale po co ta otoczka jak z filmu płaszcza i szpady? Czemu nie ma na pokładzie pani asystentów i agentów Secret Service? Jaki jest prawdziwy powód tej podróży?

Cooper zaśmiała się cicho.

– Chyba cię nie doceniłam, panie Proctor. No dobrze, zgadza się. Pamiętasz naszą rozmowę z nie tak całkiem martwym przewodniczącym Curielem? Jako nowy prezes zarządu korporacji Shovik-Orion obiecał mi wizyty w najważniejszych ośrodkach badawczych. Tak się składa, że jeden z nich znajduje się na wysokiej orbicie wokół Białorusi. A ponieważ to w zasadzie przestrzeń Konfederacji Rosyjskiej, choć tylko na papierze, Shovik-Orion uznało, że stanowi idealne miejsce na badania, które mogą się nie spodobać poważnym rządóm międzygwiezdny.

– Jakie to badania? – zainteresowała się Liu.

– Pomyślmy, dobrze? Co stanowi najważniejsze źródło dochodów u wykonawców kontraktów wojskowych? Na jakie projekty dostają największe fundusze? Interpretacje ruchów tanecznych? Innowacyjne techniki gotowania?

– Na broń, ma’am.

– Bardzo dobrze.

– Ale jakiego rodzaju broń?

– Nie mogę w tej chwili powiedzieć. Zresztą nie musicie tego wiedzieć. To nie dotyczy waszej pracy. Waszym zadaniem jest utrzymać mnie przy życiu i zabierać w miejsca, gdzie muszę się pojawić jak najszybciej. Jasne?

Fiona pochyliła się nad konsolą sterowniczą.

– Jak słońce, pani prezydent – odpowiedziała niemal bez urazy. Jednak Danny wychwycił w jej głosie nutkę rozdrażnienia.

Prezydent Cooper nie zdążyła nic więcej dodać, bo jej datapad zasygnalizował nadchodzącą wiadomość.

– O nie. Jasna cholera.

– Co? – zainteresowali się Danny i Fiona jednocześnie.

Cooper wskazała na panel kontrolny statku.

– Talus nadaje. Zamierza zabijać ludzi, dopóki Granger nie odda się w jego ręce. A przynajmniej to przekazał mi doradca.

Fiona włączyła monitor i ustawiła oficjalny kanał medialny Zjednoczonej Ziemi. Na ekranie pojawił się dyrektor Talus we własnej osobie. Właśnie przemawiał.

Cooper zachichotała.

– Co w tym zabawnego? – zdziwił się Danny.

– Popatrzcie na tego głupca, Oppenheimera. Widzicie to? – Machnięciem dłoni wskazała admirała za plecami Talusa po prawej. Chociaż kamera nie ogniskowała się na nim, twarz admirała widać było wyraźnie. – Przyjrzyjcie się jego minie. Wygląda, jakby właśnie się dowiedział, że zaraz zostanie wykastrowany. Popatrzcie na niego. Myślał, że jeśli opowie się po stronie Talusa, to zdobędzie jeszcze więcej władzy. A okazało się, że jest dworakiem szaleńca, i już tam utknął. Z odciętym kutasem. Zdradziecki drań.

Przyglądali się przekazowi przez kolejne minuty. Danny musiał odwrócić wzrok, gdy zabito pierwszego z jeńców. Wzdrygnął się, gdy kolejne ciało upadło na bruk. Jednak już przy trzecim zabitym mógł patrzeć bez emocji. Czwarte zabójstwo było jak odliczanie. Intrygujące, jak łatwo ogarnęła go znieczulica w obliczu beznamiennej przemocy pokazywanej w czasie rzeczywistym.

– Tajna broń nad Białorusią, mówi pani? Skończyłem obliczenia.

Cooper skinęła głową, wciąż wpatrzona w ekran, na którym zabito właśnie piątą osobę.

– Pośpieszmy się, jeśli można. Gdyby jeszcze nie było to jasne: nie mamy za wiele czasu.

Rozdział 20

SEKTOR KIJOWSKI WYSOKA ORBITA BIAŁORUSI OZF „WYZWANIE” MOSTEK

– To raczej niewiele informacji, żeby do czegoś dojść, Sampono – zauważył Zivik. Jej wygenerowana cyfrowo twarz unosiła się nad konsolą dowodzenia „Wyzwania”, a sam Zivik i były prezydent Sepulveda otoczeni byli osłoną zapewniającą prywatność i uniemożliwiająca załodze mostka podsłuchiwanie.

– Obawiam się, że to wszystko, co mamy. Admirał niewiele wyciągnęła z tego gościa, zanim mu zrobiłam dziurę w piersi. Ale nalegała, żebyście koniecznie sprawdzili tę stację badawczą i jej laboratoria. Uważa, że Shovik-Orion może coś knuć.

Sepulveda pokręcił głową.

– To tylko odwrócenie uwagi. Mamy większe problemy. Ziemia znalazła się pod okupacją, a po wszechświecie włóczy się Rój. Czy to odpowiedni czas, żeby sprawdzać prywatny ośrodek badawczy?

– Admirał tak właśnie uważa, więc mogę tylko powiedzieć, że tak – odparła chłodno Sampono. Zivik był pod wrażeniem, że komputerowi udało się uchwycić jej wyniosłą minę. A może tylko to sobie wyobraził. Tak czy inaczej Sepulveda chyba odczytał to zgodnie z intencją młodej kobiety, bo splótł ramiona na piersi i skrzywił się z oburzeniem.

– W porządku, Sampono, przekaz admirał, że bierzemy się do roboty. Zameldujemy o wszystkim, co uda nam się znaleźć. Zivik, bez odbioru. – Kiwnął głową na pożegnanie i wyłączył transmisję

oraz osłony, po czym odwrócił się do stanowiska nawigacyjnego. – Chorąży, oblicz kurs na stację badawczą Smoleńsk.

– Kapitanie, można na słowo? – odezwał się Rice.

– Jasne. – Zivik podszedł do stanowiska, gdzie oficer taktyczny i Rice pochyłali się nad konsolą.

– Zakładam, że zdajesz sobie sprawę, jakimi możliwościami dysponuje „Wyzwanie”. – Pierwszy wyprostował się i zmierzył Zivika spojrzeniem, jakby oceniał jego możliwości.

– Obaj tak zakładamy.

– Pamiętasz też o... no, o systemach maskujących?

Cholera. Rice właśnie dyplomatycznie dał Zivikowi do zrozumienia, że ten jest kretynem. I co gorsza, miał rację. Szlag, co było z nim nie tak? Od Berna miał wciąż ten sam problem...

Zivik pogładził się w zamyśleniu po podbródku, żeby przynajmniej sprawiać wrażenie, że się zastanawia, rozważa dobre oraz złe strony wykorzystania systemów maskujących, ale nie uruchomi ich bez stosownie przekonujących argumentów.

„I niby kogo chcę oszukać?”

– Dobra myśl. Włączmy systemy. A kiedy znajdziemy się w zasięgu stacji, spróbujmy uzyskać jak najwięcej danych z biernej detekcji. Dowiedzmy się, ile zdołamy, zanim zdradzimy swoją obecność, gdy zaczniemy aktywnie skanować cały ośrodek.

Rice nie należał chyba do ludzi, którzy okazywaliby satysfakcję w takich sytuacjach, ale wyraźnie z trudem powstrzymywał złośliwy uśmiech.

– Tak jest, kapitanie.

„Wyzwanie” zaczęło dryfować i oddalać się od pobojuwiska – w niektórych wrakach wciąż od czasu do czasu rozbłyskiwały łuki wyładowań elektrycznych lub z odsłoniętych, przegrzanych reaktorów jądrowych wystrzeliwały napromieniowane odpadki. Chorąży Nagin włączył na chwilę silniki, aby ustawić okręt na kursie, a zaraz potem „Wyzwanie” zaczęło się zbliżać do stacji Smoleńsk.

– Powinniśmy dotrzeć w ciągu pięciu minut, kapitanie – zameldował.

– Świetnie. Nie podchodźmy zbyt blisko. Gdy będziemy około tysiąca kilometrów od stacji, zsynchronizuj orbity, ale nie zbliżaj się

bardziej. Chcę mieć trochę czasu na bierne skanowanie, zanim się ujawnimy.

– Tak jest, kapitanie.

Sepulveda usiadł znowu w fotelu kapitańskim, a Zivik mógłby przysiąc, że usłyszał gniewny pomruk, jak u oburzonego dziecka, które robi na złość swoim opiekunom.

„Mój Boże, wybraliśmy tego człowieka na prezydenta? Ach, nie. Nie wybraliśmy”.

– To jak, panie prezydencie, przygotowuje się pan już do kampanii?

– Bardzo śmieszne – prychnął Sepulveda. – Niech pan trolluje kogoś innego, jeśli można prosić.

– Mówiłem poważnie. Zakładam, że wreszcie wygramy i obaj wyjdziemy z tego żywi. I że to stanie się raczej wcześniej niż później, bo inaczej... no cóż, Rój chyba nigdy nie pozwoli nam cieszyć się zbyt długo spokojem, jak pan wie.

Sepulveda tylko wzruszył ramionami.

– Przecież zamierza pan startować w wyborach, prawda?

– Oczywiście, że tak.

– Tyle że teraz Cooper sprawuje urząd prezydenta – uśmiechnął się Zivik. Nie mógł się powstrzymać od drażnienia tego człowieka.

– To... – Sepulveda w porę się ugryzł w język. Nie wszyscy wiedzieli, że on i Cooper pracowali razem przy tej szaradzie, a tym bardziej że Sepulveda wciąż pozostawał wśród żywych. Lepiej, żeby załoga mostka nie dowiedziała się za wiele. – Co chce pan przez to powiedzieć?

– Będzie miała przewagę, bo już sprawuje urząd. Dostanie za to kilka punktów. Już wcześniej głosy rozkładały się prawie po równo. Wyobraża pan sobie, jak to będzie wyglądało, gdy wreszcie zamieszanie się skończy?

– Ma pan zaskakująco głęboką wiedzę o polityce jak na kogoś, kto utrzymuje się z karkołomnych manewrów w atmosferze i tylko cudem unika śmierci.

Bezczelny drań. Jak się dowiedział o... wypadku?

Lata temu przypadkowo zabił matkę i ojczyma, gdy niechcący doprowadził do kraksy. Przez ten wypadek zerwał zaręczyny z Jerushą.

– Umiem zaskoczyć, jak pan pewnie zauważył – zdołał odpowiedzieć.

– Tak jak podczas starcia nad Bernem. To było zadziwiające. Admirał Proctor wychwalała pański geniusz taktyczny. Miło było patrzeć, jak go pan wykorzystał. – Sepulveda uśmiechnął się krzywo. Udało mu się odwrócić role i cieszył się każdą sekundą swojego sukcesu.

Zanim Zivik zdołał wymyślić ciętą ripostę, chorąży Nagin zameldował, że dotarli na odległość tysiąca kilometrów od stacji.

– Świetnie. Ustaw nas na orbicie równoległej. – Zivik zerknął na stanowisko taktyczne, przy którym stał również Rice. – Zaczniemy skany pasywne. Sprawdźmy, czego możemy się dowiedzieć.

Nie minęła nawet minuta skanowania, a Rice wymamrotał pod nosem:

– Jasna cholera...

– Rice?

Komandor podniósł wzrok znad wyświetlacza.

– Chyba znaleźliśmy „Interstellar Two”.

Zivik odruchowo spojrział na konsolę dowodzenia i dane, które zostały mu przesłane.

– Statek eksprezydent Avery?

– Tak jest, kapitanie.

– Ten sam, który sprowadził tu Rój... – wymamrotał Sepulveda.

– Gdzie? – zapytał Zivik.

– Zadokowany gdzieś wewnątrz stacji. Transponder jest nieaktywny, ale każdy statek gwiazdny wysyła promieniowanie elektromagnetyczne z systemów zasilania, napędu i podobnych. Każda charakterystyka jest zupełnie inna, to prawie jak odciski palców. Ta charakterystyka bardzo dobrze pasuje do plików w naszej bazie danych, opisujących „Interstellar Two”.

Prezydent Sepulveda wstał. Oczy miał szeroko otwarte, a usta rozchylone w wyrazie całkowitego niedowierzania.

– Przeskanujcie to i sprawdźcie, kto jest na pokładzie.

– Nie – odparł Zivik stanowczo. – To zdradzi naszą obecność. A wciąż wiele możemy się dowiedzieć z pasywnej detekcji, panie prezydencie.

Sepulveda najeżył się – nie przywykł do sprzeciwów, a Zivik bez trudu wyobraził sobie, co mu przemknęło przez głowę: „Wciąż jestem prezydentem...!”.

– Ale coś trzeba zrobić! Ten statek, pewnie z Avery na pokładzie, sprowadził z powrotem Rój! To bezwzględnie konieczne, żeby...

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie prezydencie. – Zivikowi sprawiało to zdecydowanie za wiele radości. – Rice, „Interstellar Two” to dawny okręt floty, prawda?

– Tak jest, kapitanie.

– A każdy okręt floty ma przypisane własne wewnętrzne pasmo łączności, czy tak?

– Tak jest.

– A przez wewnętrzny system łączności można teoretycznie nawiązać połączenie z centralnym komputerem pokładowym?

– Nie widzę przeszkód, kapitanie – odpowiedział pierwszy niewzruszenie. – Rozumiem, do czego zmierzasz. Sprawdzę, co uda mi się zrobić.

– Dziękuję. – Zivik zerknął na Sepulvedę, który wrócił na fotel kapitański i zacisnął palce na podłokietnikach. Wyraźnie się niecierpliwił i wcale nie próbował tego ukryć. Zivik podszedł do niego i ściszył głos. – Wiem, że to ważne, panie prezydencie. Bez obaw, dowiemy się, dlaczego ten statek tu jest, skąd się wziął i kto jest na pokładzie. Dowiemy się wszystkiego.

– Mmm, tak. Dziękuję – mruknął Sepulveda lekceważąco.

Dupek. Zivik przewrócił oczami.

Sepulveda to zauważył. Ruchem ręki przywołał młodszego mężczyznę bliżej.

– „Interstellar Two” może wyjaśnić nie tylko pojawienie się Roju, panie Zivik. Kilka dni temu, tuż przed próbą porwania, w której omal nie zginąłem, dowiedzieliśmy się, że była prezydent Avery mogła przeżyć. Znalazłem anonimową notatkę na swoim biurku. Chce pan wiedzieć, co było w niej napisane?

– Nadstawiam uszu.

– „Barbara Avery żyje. I chce odzyskać to, co jej”. Nie mam pojęcia, kto to zostawił.

– O cholera...

– Właśnie. Szykuje się coś cuchnącego. Ktoś wiedział, że Avery żyje... Zakładając, że to w ogóle prawda. I ten ktoś, czy ja wiem, chciał mnie nastraszyć albo nawet ostrzec. Jakimś sposobem udało mu się wkraść niepostrzeżenie do gabinetu najpotężniejszego człowieka w Galaktyce i zostawić notatkę. I to jest zagadka, która mnie interesuje. Myślę, że ten statek może dostarczyć sporo wskazówek.

Komandor Rice odchrząknął i spojrzał na obu przenikliwie.

– Nie spodoba ci się to, kapitanie – zaczęła. – Ten, kto odpowiada za ten statek z ramienia Shovik-Orion, nie jest głupi. Wykasował większość danych z komputera pokładowego. Wszystkie nagrania wewnętrzne, dziennik pokładowy, dane z czujników i kamer z ostatniego miesiąca, wszystko wymazane.

Sepulveda zgarbił się i ukrył twarz w dłoniach.

– Co Shovik-Orion dało, Shovik-Orion może odebrać – prychnął Zivik. – Dobra, trudno. Chcę wcześniejsze zapisy. Przejrzyjmy dane sprzed tego wymazania. Sprzed dwóch miesięcy. Chcę wiedzieć, co się dzieje na tym statku. Wszystko z minionego roku.

Rice się zawahał.

– To sporo danych, kapitanie.

Zivik zerknął na wyświetlacz taktyczny, aby się upewnić, że „Wyzwanie” wciąż pozostało niewykryte. Odkąd zbliżyło się do stacji, żaden ocalały okręt Białoruskiej Floty Obronnej nie wykonał na razie jakichkolwiek manewrów, a delegacje Zjednoczonej Ziemi i Konfederacji Rosyjskiej jak dotąd się jeszcze nie pojawiły.

– Dobra, zawężmy trochę poszukiwania. Sprawdź, czy „Interstellar Two” przylatywał na tę stację wcześniej.

Rice pochylił się nad konsolą i przewinął listę plików. Wreszcie skinął głową.

– Raz w zeszłym roku.

Sepulveda uniósł głowę zainteresowany.

– Och?

– Jakies trzy miesiące temu. Zatrzymał się tutaj na czterdzieści osiem godzin, potem odleciał z powrotem na Brytanię. Przed dotarciem na stację zatrzymał się na Ziemi.

– Załoga? – zapytał Zivik.

– Kapitan, członkowie załogi, których należy się spodziewać na takim statku jak „Interstellar”. Dawna prezydent Avery. Jej asystent, Conner Davenport. I... och.

– Och? – powtórzył Sepulveda.

– Senator Cooper.

Zivik gwizdnął przez zęby.

– Aaaa... niech mnie.

Twarz Sepulvedy pobladła jak kreda. Zivik nie potrafił powiedzieć, czy to z gniewu, ze zmieszania, czy tylko z zaskoczenia.

– Chcę zobaczyć nagrania z tego lotu. Już.

Rice pochylił się nad plikami. Facet był w tej dziedzinie geniuszem, Zivik musiał mu to przyznać. Dwie minuty później pierwszy oficer ruchem ręki wrzucił pliki na ekran główny.

– To nagranie zaraz po jej zejściu z pokładu.

Zivik zaczął oglądać z zainteresowaniem. Pierwsi wyszli dwaj agenci Secret Service – ochrona prezydent Avery – a potem wyjechał wózek inwalidzki. Za nim Conner Davenport, podtrzymujący przygarbioną kobietę.

– Mój Boże, wygląda okropnie. Czemu nie ma włosów?

Sepulveda pokiwał głową.

– Senator Cooper miała czwarte stadium raka. Podobno nieuleczalne. Myślałem, że przejdzie na emeryturę. Ale wtedy zdarzył się cud i wyzdrowiała. Około trzech miesięcy temu. Myślę, że już wiemy, gdzie ten cud miał miejsce. A teraz sprawdźmy jak. – Spojrzał na Rice'a. – Jest coś jeszcze? Proszę pokazać, kiedy Cooper wraca na statek.

Rice pokręcił głową.

– Przykro mi, panie prezydencie. Przeszukałem wszystkie główne pliki z nagrań systemów wewnętrznych. Nie ma żadnych innych z senator Cooper.

Sepulveda niecierpliwie machnął ręką.

– No to pokaż, kiedy Avery wróciła na pokład.

– Proszę bardzo.

Rice przerzucił plik, który zaczął się odtwarzać na ekranie. Dwaj agenci Secret Service znowu pojawili się pierwsi, a za nimi Conner Davenport. Zaraz po nich...

– Och, mój Boże. Ona chodzi – powiedział Zivik.

– W rzeczy samej – potwierdził Sepulveda.

Prezydent Avery drobiła za dwoma agentami. Powoli, ale pewnie. W pobliżu nie było żadnego wózka inwalidzkiego. Za nią natomiast dwaj mężczyźni pchali nosze, na których leżało coś, co wyglądało jak worek z ciałem.

– Czy to...? – Zivik pierwszy zauważył podobieństwo.

– Komandorze Rice – odezwał się zaraz potem Sepulveda – są jakieś dane, co jest w tym worku?

– Żadnych odczytów funkcji życiowych. – Rice pokręcił głową.

– A jakieś inne? Czy to... organiczne?

Pierwszy sprawdził kilka plików i potwierdził.

– Zawartość jest organiczna, ale nic więcej nie umiem powiedzieć.

Zivik przespacerował się po niewielkim mostku w tę i z powrotem.

– No dobra. Sprawdź masę bezwładnościową „Interstellar Two”.
Przed i po zdarzeniu. Zmieniła się? O ile?

Rice przejrzał dane liczbowe.

– Nie ma znaczącej zmiany. To, co jest w tym worku, nie mogło ważyć więcej niż, na przykład, senator Cooper.

Zivik spojrział na Sepulvedę.

– Czyli żyjąca senator Cooper i niechodząca prezydent Avery zeszły ze statku, ale wróciła martwa Cooper i Avery, która może chodzić. Co można z tego wywnioskować?

– No kurwa – zdołał tylko wydusić Sepulveda.

Zivik usiadł przy stanowisku naprzeciw konsoli dowodzenia.

– Powiedziałbym, że oto właśnie stanął pan przed prawdziwą zagadką, panie prezydencie. Taką, której rozwiązanie może nam wyjaśnić, kto, do cholery, sprawuje władzę nad Zjednoczoną Ziemią?

Rozdział 21

SEKTOR VERACRUZ
CHANTANA 3
OZF „TYLER S. VOLZ”
MOSTEK

– To już ostatni – oznajmiła As ze stanowiska dowódcy eskadr myśliwców. – Wszystkie promy i transportowce zabrały pasażerów, wylądowały i czekają w szyku na naszej orbicie.

– Świetnie, pani porucznik. Chorąży, ruszajmy do statku Eru. Wysadźmy tam naszych gości i wracajmy, żeby wszystko powtórzyć – odpowiedział Shin-Wentworth. Ziewnął. Ile razy jeszcze muszą zabrać uchodźców spod powierzchni, a potem przetransportować do Eru? To już dziesiąta kolejka? Dziesiąta czy pięćdziesiąta, miał wrażenie, że nie spał od lat.

– Komandorze, kapitan Whitehorse połączyła się ze swojej kajuty i pyta o postępy – odezwał się łącznościowiec.

– Wygląda na to, że nie tylko ja nie śpię – mruknął Shin-Wentworth. Zerknął na odczyty ze stanowiska dowodzenia. Odliczanie uchodźców powoli zmierzało do zera. Zaczęło się od prawie stu tysięcy, ale już spadło do około siedemdziesięciu dwóch tysięcy osób.

– Przekaż, że w ciągu ośmiu godzin przenieśliśmy na statek Eru około dwudziestu ośmiu tysięcy Itaran. W tym tempie, o ile nic nieprzewidzianego nam nie przeszkodzi, skończymy w ciągu doby.

– Tak jest, komandorze.

– I, chorąży, proszę przekazać też, że moc i zasilanie działają w przewidzianych parametrach. Dodatkowa energia

wyprodukowana przez reaktory została przekazana do akumulatorów, żebyśmy mieli rezerwę, gdybyśmy pilnie potrzebowali dodatkowego zasilania.

Była to prawda, choć nie cała. Wraz z Wiggumem przygotowywali następny etap eksperymentu bez pobierania energii z reaktorów. Kiedy promy i transportery wypuszczały uchodźców na pokład okrętu albo na statek Eru, „Volz” nie funkcjonował na pełnym zasilaniu. Ale też nie musiał – co by się miało stać, gdy dwadzieścia procent energii przez kilka minut płynie do akumulatorów w laboratorium?

– Tak jest, komandorze – powtórzył łącznościowiec.

Shin-Wentworth niecierpliwie zabębnił palcami po panelu konsoli dowodzenia. Lot do statku Eru nie trwał długo, najwyżej dziesięć minut, ale każda minuta ciągnęła się jak wieczność. Po dotarciu do celu prawie godzinę zajmowała przesiadka uchodźców i przygotowanie okrętu do kolejnej rundy. Wszystkim tym mógł pokierować oficer dyżurny, zwłaszcza że już osiem razy prowadził taką operację pod dowództwem Shin-Wentwortha.

– Panno Brady, proszę przejąć mostek. Proszę kontynuować przenoszenie uchodźców, jak zrobiliśmy to już osiem razy, a kiedy ostatni Trojaczek zejdzie z pokładu, niech mnie pani powiadomi.

– Tak jest, komandorze – odpowiedziała As.

Przejście do laboratorium zajęło cztery minuty, a kiedy Shin-Wentworth tam dotarł, zorientował się, że ma około dwóch minut, zanim będzie mógł wykorzystać niepostrzeżenie moc okrętu. Rozmawiał już z głównym mechanikiem, który zgodził się nie wspominać o tym drobnym poborze energii w zamian za dłuższe wolne od wacht, gdy „Volz” zadokuje na stacji.

– Długo pana nie było – zauważył Wiggum.

– Niech pan sam spróbuje przenieść trzydzieści tysięcy Trojaczków z ich podziemnych domów na statek Eru, a potem może mi pan robić wyrzuty, że szło to tak powoli. Jesteśmy gotowi?

– Bardziej nie będziemy. Wszystkie emiterzy pola kwantowego są naładowane. Obliczyłem, jak myślę, odpowiednią matrycę zmienności fazy, którą można wdrożyć, gdy stworzymy osobliwości.

Shin-Wentworth podszedł do konsoli analiz przy komorze. Tym razem komora była niepotrzebna, bo zamierzali eksperymentować

na otwartej przestrzeni – stworzyć bardziej zaawansowane, dwuwymiarowe osobliwości. Zerknął na przygotowane przez Wigguma obliczenia.

– Świetnie. Już pora. Mamy pół godziny, potem trzeba będzie wszystko wyłączyć i poczekać na kolejną falę uchodźców.

– Och! – Wiggum uderzył się w czoło.

– Co znowu?

– Wykrywacze dwutlenku węgla. Na otwartej przestrzeni nie da się zrobić dokładnych pomiarów, wyniki zostaną zniekształcone przez obecność dwutlenku węgla w powietrzu.

Shin-Wentworth uśmiechnął się na to zastrzeżenie.

– Chyba pana wyprzedzam, doktorze. – Uniósł rękę i wskazał na zegarek zapięty na nadgarstku. – Zrobimy to po staroświecku.

– Zamierza pan wrzucić swój zegarek do czarnej dziury?

– Zamierzam wrzucić swój zegarek do czarnej dziury.

Wiggum wzruszył ramionami.

– Jak pan chce. Mam nadzieję, że to nie jest żadna pamiątka rodzinna ani nic?

– Nie, zwykły stary zegarek, który pokazuje tylko datę i godzinę, nic więcej. Na dodatek jest mały, na tyle mały, że nie będzie katastrofy, gdy dostanie się w dystorsję przestrzeni na skraju osobliwości. Cokolwiek większego pewnie zostałyby zmiażdżone lub rozerwane. Zerknął na wskazówki zegarka. – No dobrze, szkoda czasu.

Wpisali jeszcze kilka parametrów i włączyli emitery pola. Jak należało się spodziewać, z jednego kąta laboratorium usłyszeli ciche trzaski, a zaraz potem pojawił się oślepiająco biały rozbłysk. Po drugiej stronie pomieszczenia rozbłysło podobne światło. Niewielki punkt unosił się metr nad podłogą. A Shin-Wentworth wiedział, że setki lat świetlnych od tego miejsca powstały właśnie dwie kolejne osobliwości na niskiej orbicie wokół czarnej dziury w układzie Penumbry.

– Działa – stwierdził Wiggum. Pochylił się nad konsolą analiz. – W tej chwili to trójwymiarowa kula otoczona oczywiście dwuwymiarową płaszczyzną osobliwości.

– Dobrze. Teraz wystarczy ją zdeformować. Chcemy uzyskać geometryczny kształt jak te, które Findiri zakrzywiają wokół swoich

okrętów. Zniekształćmy tę kulę, niech zrobi się niemal płaska, a potem złożmy ją w górę i dookoła, żeby krawędzie się stykały, i otrzymamy sferyczną muszlę z dwoma warstwami i malutkim otworem, który możemy ścieśnić do zera.

Zaczęli wprowadzać ograniczniki. Pracowali już na tyle długo razem, że potrafili się zmienić w całkiem skuteczny zespół, niemal zdolny do czytania sobie w myślach przy kolejnych czynnościach.

– Chyba muszę wyjść – stwierdził Wiggum nieoczekiwanie.

Shin-Wentworth zerknął na niego zdziwiony.

– Chwileczkę, co?

– No, wie pan.

– Poważnie? W takiej chwili? Nie może pan poczekać?

– Doprawdy? Siedzę tutaj od prawie ośmiu godzin! Przygotowałem wszystko i pilnowałem, żeby nikt nie wszedł! Kiedy człowiek musi, to musi!

Shin-Wentworth westchnął.

– Jasne. Proszę się pośpieszyć, przecież chodzi o ocalenie ludzkości. Ale proszę bardzo, niech pan ulży swojemu maleńkiemu pęcherzowi.

Wiggum wyszedł, drzwi się za nim zamknęły. Shin-Wentworth ustawił dokładniej zmienność fazy emiterów, żeby dobrze przygotować się do włożenia do czarnej dziury zegarka.

Drzwi się otworzyły.

– Szybko panu poszło. Nasikał pan na korytarzu? Pewnie pański pęcherz ma rozmiary orzeszka, skoro...

– Komandorze Shin-Wentworth, jestem rozczarowana.

Shin-Wentworth wyprostował się i odwrócił.

– Pani kapitan!

Whitehorse weszła do laboratorium.

– Uznał pan, że nie dowiem się o kontynuowaniu pańskiego eksperymentu? Myślał pan, że nie zauważę przekierowania dwudziestu procent mocy? Raczej trudno coś takiego ukryć.

Shin-Wentworth wzruszył ramionami.

– W zasadzie nie próbowałem tego ukryć. Ukrywanie wskazywałoby, że robię coś złego.

– A jednak nakazał pan głównemu mechanikowi, aby nikomu o tym nie wspominał. Za moimi plecami? Nie posłuchał pan

bezpośredniego rozkazu. Ostrzegalam, że wyciągnę konsekwencje. A teraz musi pan wybrać. Pójdzie pan do aresztu z godnością czy mam wezwać ochronę?

Podchodziła coraz bliżej. Znajdowała się już przy wysięgniku z instrumentami pomiarowymi obok świecącej osobliwości.

– Ma'am, doradzam, żeby się pani cofnęła. Lepiej nie stać tak blisko.

– Może po prostu wyłączę wszystko? – Whitehorse sięgnęła do panelu sterowania i zaczęła wpisywać komendy wyłączenia aparatury.

– Nie! – krzyknął Shin-Wentworth.

Odwróciła się w jego stronę. Oczy jej płonęły.

– Panie Shin-Wentworth, oszalał pan? Niech się pan opanuje. – Uniosła głowę. – Ochrona, proszę przyjść do laboratorium pokładowego. Natychmiast.

– Idziemy, ma'am – nadeszła odpowiedź z głośnika w ścianie. Whitehorse wpisała kolejne komendy na panelu sterowniczym instrumentów pomiarowych, a osobliwość zaczęła pulsować i migotać.

– Powiedziałem: NIE! – Shin-Wentworth podbiegł do niej i odepchnął od panelu. Nie był postawny, ale ona również nie, więc nie przyszło mu to z trudem. Whitehorse się zatoczyła. Aby odzyskać równowagę, próbowała oprzeć się o komorę z poprzedniego eksperymentu.

Chybiła.

Upadła prosto na pulsujące światło. Kiedy opadała, Shin-Wentworth miał wrażenie, że wszystko odbywa się jak na zwolnionym filmie, tak nierealnie to dla niego wyglądało.

Nagle środek jej klatki piersiowej po prostu zniknął. Whitehorse nadal opadała, rozległ się przerażający jakby trzask, a potem... środka jej torsu po prostu już nie było.

Ciało upadło na podłogę. W miejscu gdzie powinno być serce, ział krwawy otwór wielkości pięści.

Shin-Wentworth usłyszał łomot z drugiego końca pomieszczenia. Kiedy spojrział w tamtą stronę, przekonał się, że jego eksperyment przynajmniej częściowo się udał.

Na podłodze pod drugą osobliwością leżała część ciała kapitan wessana przez pierwszą czarną dziurę. Jej serce, kawałek płuca, dwa żebra, skóra, pierś, mięśnie i tłuszcz – wszystko w stanie nietkniętym, choć groteskowo zakrwawione.

Tyle tylko, że krew wyglądała na zamrożoną, podobnie jak szczątki wyrwane z ciała. Shin-Wentworth zdziwił się, że dostrzega takie szczegóły w tej nieprawdopodobnej sytuacji. Jeszcze bardziej zaskakujące wydało mu się, że zauważa właśnie takie detale, ale całkowicie umknął mu odgłos otwieranych drzwi.

– Och – powiedział Wiggum. – O kurwa.

Shin-Wentworth musiał myśleć szybko. Bardzo, bardzo szybko.

Najpierw krzyknął w sufit:

– Ochrona! Natychmiast do mnie! Gdzie jesteście, do jasnej cholery?

– Prawie na miejscu, komandorze – padła odpowiedź z głośnika.

– Alarm medyczny. Zabierzcie ze sobą ekipę medyczną.

– Tak jest, komandorze.

Shin-Wentworth podszedł do panelu, by dokończyć wyłączenie, zaczęte przez Whitehorse – odcięcie zasilania pozwoli bezpiecznie zniknąć osobliwościom, ale po chwili zastanowienia wpisał jedynie zmniejszenie mocy do minimum. Osobliwości zamigotały i znikły, przestały być widoczne gołym okiem.

Dopiero wtedy Shin-Wentworth podbiegł do ciała kapitan i przyklęknął obok.

– Nie ma pulsu – stwierdził po dotknięciu szyi Whitehorse. Oczywiście, że nie było pulsu, wzięwszy pod uwagę, że jej serce leżało kilka metrów dalej.

Drzwi znowu się otworzyły i wbiegł oddział ochrony. Shin-Wentworth wciąż trzymał rękę na nieistniejącym pulsie Whitehorse, gdy podniósł głowę.

– Za późno. Myślę, że nie żyje. – Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to tak absurdalnie, jak mu się wydawało.

Jednak z perspektywy przybyłych żołnierzy Shin-Wentworth był ich pierwszym oficerem, który klęczał przy umierającej kapitan w próżnej próbie ratowania jej życia.

– Na co czekacie? Ściągnijcie tu zespół medyczny! – warknął. A żołnierze bez wahania przystąpili do wykonania rozkazu. Jeden

przez osobisty komunikator ponaglił sanitariuszy, drugi podszedł do Shin-Wentwortha, aby mu pomóc, choć nic już nie zostało do zrobienia.

Kilka minut później pojawił się oficer medyczny. Shin-Wentworth przywołał go do ciała.

– Doktorze, musi pan coś zrobić. Cokolwiek. Potrzebny nam cholerny cud.

Lekarz tylko spojrział raz na tors Whitehorse i zapytał:

– Kiedy to się stało?

Shin-Wentworth się zająknął.

– Uch, ze dwie minuty temu?

Doktor zmierzył go uważnym spojrzeniem, potem popatrzył na swój zegarek.

– Czas zgonu: dziewięta pięćdziesiąt dwie czasu pokładowego. – Znów popatrzył chłodno na Shin-Wentwortha. – Doradzam pełną autopsję i śledztwo, komandorze.

Shin-Wentworth zwrócił wzrok na zwłoki kapitan Jerushy Whitehorse, na dziurę w jej klatce piersiowej, z której wypłynęła kałuża krwi. Wcześniej nie zauważył, że krew dotarła do jego kolan. Uznał to za symboliczne – przypomniał sobie czasy, gdy był nastolatkiem i chodził do szkoły niedzielnej, w której mówiono mu o chrzcie i ofierze krwi oraz innych tego rodzaju archaicznych bredniach.

Oto był jego chrzest we krwi. Zaczynał nowe życie. Życie poświęcone misji, związane z nią tak, jak nigdy wcześniej. Musiał ją zakończyć powodzeniem. Na pewno tak się stanie. Megan, Molly i Eddie znów będą żyć. Poprzysiągł to sobie.

– Zgadza się, doktorze – odpowiedział. – Drobiazgowo śledztwo. Dokładna autopsja. Musimy dojść do sedna tego, co się stało.

Rozdział 22

SEKTOR IRIGOYEN
KIOTO 3
WOJSKOWY OŚRODEK
BADAŃ TECHNOLOGICZNYCH
IM. GENERAŁA LESLIEGO GROVESA

Decker nie był już Deckerem.

Stał się Deckerem plus. Deckerem i więcej. Deckerem transcendentnym. Był wielością i jednością. Był wieloma i wiele było w nim.

Kiedy pomyślał „ja”, znaczyło to również „my”, jednak „my” wydawało się tak bliskie i intymne, tak czyste, że stanowiło całkowicie nowy sposób do wyrażenia liczby pojedynczej zaimkiem osobowym.

Imię nasze legion, przypomniał sobie słowa z Pisma Świętego. W dawnym kontekście miało to, jak pamiętał, okropne konotacje. Legion demonów. Ale teraz?

Teraz oznaczało chór aniołów. A Decker był solistą, dyrygentem, członkiem, sekcją i całym chórem jednocześnie.

Kiedy się odezwał, usłyszał głośny szum wody w tle swoich słów. Tylko on go słyszał, ale to nie czyniło tego dźwięku mniej realnym.

Dawny Decker zginął.

Nowy Decker wiedział dokładnie, dokąd powinien się udać.

I było to bardzo odległe miejsce.

– Ręce do góry! – krzyknął ktoś.

Decker podniósł ręce wysoko zgodnie z rozkazem.

– Nie spuszczać go z oka!

Dwaj komandosi wymierzili w niego karabiny. Decker tylko się uśmiechnął.

– Skąd tu się wziąłeś, człowieku? – zapytał jeden z nich.

– Stąd. – Decker skinieniem głowy wskazał na zbiornik.

– Daruj sobie te brednie! – warknął drugi żołnierz. – Jak przeszedłeś obok nas? I obok innych strażników?

Czekał na odpowiedź, ale szybko się zniecierpliwiał.

– Gadaj albo odstrzelę ci ten pieprzony łeb!

– Powiedziałem już, wyszedłem stąd. – Decker ponownie wskazał głową na basen. – Siedziałem tutaj przez wiele dni i czekałem, aż ktoś przyjdzie i mnie uratuje. Myślałem, że już mnie skreślono.

Pierwszy z komandosów zmrużył oczy, a potem zajrzał do basenu.

– Ale... Jak przeżyłeś? Podobno twoje ciało rozpuściło się na oczach jajogłowych.

Decker wzruszył ramionami.

– Myślałem, że wszyscy wiedzą. Valarisi mogą naprawić zniszczenia komórek. Pomogli mi też oddychać, gdy tam byłem. – Zrobił krok naprzód. Obaj żołnierze cofnęli się i unieśli broń.

– Stój! Na podłogę! Już!

Decker posłusznie opadł na kolana, wciąż z rękami w górze. Powoli opuścił jedną na ziemię, żeby się podeprzeć, a potem położył się na posadzce i splótł dłonie na karku.

Jeden z komandosów opuścił broń i odczepił od pasa kajdanki. Położył karabin przy stopach swojego towarzysza, a potem podszedł, ukląkł przy Deckerze, zapiął mu obręcz na nadgarstku i odciągnął rękę tak, by znalazła się na plecach leżącego.

– Podaj mi drugą rękę – rozkazał komandos.

Decker posłuchał. Obie ręce miał teraz przyciśnięte do krzyża. Żołnierz zaczął zakładać mu kajdanki na drugi nadgarstek. Jego palce lekko musnęły skórę na dłoni Deckera.

Komandos zamarł.

– Coś nie tak? – zapytał Decker.

– Y-y... Nie. – Żołnierz znowu zajął się kajdankami, które próbował zapiąć. – Szlag! Pomóż mi. Chyba mam jakieś uszkodzone.

Drugi żołnierz się zawahał.

– Na pewno? Masz, weź moje.

Sięgnął do pasa z tyłu i odpiął swoje kajdanki, a potem rzucił je towarzyszowi. Upadły na podłogę z głośnym, metalicznym brzękiem.

– Nie, te są w porządku... tylko... chyba nie mogę... – Wyraźnie męczył się z zaciśnięciem obręczy wokół drugiego nadgarstka Deckera. – No szlag! Pomóż!

Drugi komandos wreszcie odłożył broń i ukląkł, by pomóc.

– W czym problem? Wyglądają w porządku, po prostu zatrzaśnij!

– Nie zamykają się, tępaku. Sam spróbuj.

Drugi żołnierz ujął nadgarstek Deckera i niedomknięte kajdanki.

I zamarł.

Na dłuższy czas.

– Jakiś problem, panowie? – zapytał Decker.

Pierwszy z żołnierzy wyjął z kieszeni kluczyk i rozpiął pierwszą obręcz.

– Żadnego problemu.

– I dobrze – odpowiedział Decker spokojnie. Ręce miał teraz wolne, więc łagodnie odepchnął kolano żołnierza, które wbijało mu się w plecy. Mężczyzna nie stawiał oporu, powoli się odsunął. Decker wstał. Dobrze było rozprostować nogi. Nowe, doskonałe nogi.

Drugi żołnierz potrząsnął głową, a potem wbił wzrok w dal.

– Co teraz?

W pierwszej chwili Decker chciał odpowiedzieć mu przez Więż, ale szybko się zmytygował – pewnie dla tego człowieka było zbyt wcześnie na taką komunikację. Słowa będą musiały wystarczyć.

– Odprowadzicie mnie do szatni i zamkniecie, żebym nie został znaleziony przez następną godzinę lub dłużej. Potem pójdziecie do dyrektora i uściśnicie mu dłoń. A potem? – Wskazał na kamery podwieszane pod sufitem pomieszczenia. – Wejdziecie do systemu, wykasujecie ten epizod i zastąpicie wcześniejszym nagraniem. A potem po kolei będziecie gratulować każdemu członkowi personelu, strażnikom, woźnym, kucharzowi i reszcie świetnie wykonanej roboty. Uściśnijcie każdemu dłoń, żeby wiedzieli, że to szczerze słowa.

Decker ruszył do wyjścia. Żołnierze poszli za nim, gdy tylko podnieśli swoje karabiny.

– A potem? – zapytał drugi komandos.

– A potem? – uśmiechnął się Decker. – Potem zacznie się prawdziwa praca.

Drugi żołnierz próbował się odezwać, ale nie zdołał wypowiedzieć ani słowa. Valarisi w nim jeszcze nie skończył procesu podporządkowania.

– Praca? Jaka praca?

Decker wyszedł na korytarz.

– Ratowanie ludzkości oczywiście. – Otworzył drzwi do szatni. – Niezależnie od tego, czy ludzkość tego chce, czy nie.

Rozdział 23

UKŁAD PENUMBRY OZF „NIEPODLEGŁOŚĆ” MOSTEK

– Ma’am, odbieram dziwne odczyty z czarnej dziury. Początkowo nie chciałem nic mówić, bo to bardzo niewielkie zakłócenie, ale w tych okolicznościach...? – Komandor Urda zmarszczył czoło, spoglądając na wyświetlacz konsoli taktycznej.

– Co masz?

Proctor właśnie widziała, jak cel jej pościgu, okręt Roju, znika Bóg wie gdzie, i zastanawiała się, co teraz powinna zrobić. Nie miała nawet pojęcia, co zdecyduje, gdy wreszcie dopadnie Rój – była jak pies uganiający się za samochodem – ale uznała, że podejmie decyzję, gdy osiągnie cel.

– To tylko drobna fluktuacja w sygnaturze metaprzestrzennej, dochodząca od czarnej dziury. Tyle że dokładna lokalizacja źródła zakłóceń znajduje się NA ZEWNĄTRZ horyzontu zdarzeń.

– Dziwne... – Proctor podeszła do stanowiska taktycznego. Oczywiście dane płynące z detektorów potwierdziły słowa Urdy. – To tylko zakłócenia metaprzestrzenne?

– Nic na spektrum wysokoenergetycznym.

– A grawitacyjnym?

Urda pokręcił głową.

– Jeszcze nie sprawdzałem. Chwileczkę. – Kliknął parę przycisków na konsoli. – O tak. Mam odczyt sporej grawitacyjnej dystorsji kilkadziesiąt kilometrów nad horyzontem zdarzeń. To niestabilna orbita, ale powinna wytrzymać przez dzień lub dwa.

– Dane wizualne?

Pierwszy oficer znowu pochylił się nad konsolą.

– Obawiam się, że nasza dyfrakcja jest ograniczona. Z tego zasięgu to będzie zaledwie kilka pikseli.

– Chorąży Destachio, podlećmy bliżej. Przenieśmy się na orbitę... – Zerknęła na Urdę. – Tysiąc kilometrów od horyzontu zdarzeń?

Pierwszy skinął głową.

– Tak, stamtąd będzie można odebrać dokładniejszy obraz tego, co tam się znajduje. Chyba że jest wielkości kilku mikronów.

Proctor zerknęła na stanowisko naukowe. Pracowała tam chorąży... szlag.

– Chorąży, jaka będzie nasza dylatacja czasu na tej orbicie?

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy jak sarna w świetle reflektorów nadjeżdżającego pojazdu, ale szybko się ocknęła i pochyliła nad aparaturą. W dość krótkim czasie zdołała wyliczyć odpowiedź.

– Tylko trzy procent wolniej, pani admirał.

Proctor wróciła na swój fotel.

– Przygotujcie się na podróż w czasie, moi drodzy. Przy odrobinie szczęścia będziecie mogli powiedzieć swoim dzieciom, jak wygląda przyszłość za dwie minuty. Chorąży Destachio?

– Tak jest, ma'am, włączam napęd.

„Niepodległość” zaczęła zbliżać się do horyzontu zdarzeń i przyspieszała, żeby utrzymać stałą orbitę. Niedługo potem chorąży zameldował, że okręt znalazł się na miejscu.

– Tysiąc kilometrów nad horyzontem zdarzeń, pani admirał.

Widok wpływu czarnej dziury na światło wokół spędzał Shelby Proctor sen z powiek i nawiedzał jej koszmary. Kilka miesięcy temu, podczas pamiętnego starcia nad Penumbra, zbliżyła się jeszcze bardziej, jednak myśl, że może przekroczyć horyzont i wpaść w czarną dziurę, nadal pozostawała przerażająca. Proctor pamiętała dobrze widok gwiazd nad horyzontem zdarzeń, wydłużonych i poruszających się w dziwnych kierunkach.

– Dobra, możemy teraz zdobyć dane wizualne? Mumford?

– Tak jest, ma'am. Zbliżenie.

Obraz na głównym ekranie uległ zmianie. Tło nadal stanowiły zniekształcone gwiazdy, ale na pierwszym planie znajdowało się... coś.

– Co to jest? Widzę dwa światła, ale nic pomiędzy...

Mumford pokręcił głową.

– Spróbuję jeszcze powiększyć obraz... Proszę.

Obraz się wyostrzył. Proctor w zamyśleniu pogładziła się po podbródku.

– A niech mnie. To zegarek. A to drugie? Wciąż nie widzę wyraźnie...

Mumford kliknął przyciski na swojej konsoli i poblądł jak kreda.

– To ludzkie ciało, ma'am.

– Ciało?

– Tak jest, ma'am.

„O co tu chodzi?!”

Komandor Urda stanął obok niej i popatrzył na ekran.

– Myśli pani, że Rój czekał właśnie na to? Takie to niezwykle i warte podróży przez tryliony lat w przeszłość?

Proctor pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Mumford? Dokładnie przeskanuj te dwa światła. Jeżeli jest to coś, co myślę...

– Tak jest, ma'am. To zajmie tylko chwilę. – Zmarszczył brwi, gdy napłynęły kolejne dane. – Znalazłem kolejną parę. Między jej elementami przepływa strumień dwutlenku węgla. A trzecia para... Nawet nie wiem, co to może być. Mnóstwo rozproszonej materii organicznej i coś, co wygląda na pył oraz dziwne stopy metali.

– Zbierz wszystkie dane. Przeanalizujemy je później, gdy znajdziemy się daleko od horyzontu zdarzeń. Destachio, gdy Mumford skończy, wykonaj skok na Brytanię... To znaczy do szczątków Brytanii – poprawiła się odruchowo. – Jest tam ktoś, kto powinien to zobaczyć.

– Tak jest, pani admirał.

Nie minęła minuta, a Mumford zapewnił, że skan został zakończony.

– Chorąży Destachio? – rzuciła Proctor.

– I... już nas tu nie ma – odparł Destachio.

Poczuła szarpnięcie w żołądku, gdy włączyło się pole kwantowe, a obraz na ekranie znowu się zmienił. Ukazało się wirujące szaleńczo skupisko szczątków po zagładzie Brytanii.

Proctor miała wrażenie, jakby wkroczyła na cmentarz.

– Jakie jednostki tu są? Zakładam, że „Dirac”, ale czy wykrywamy jakieś inne?

Wyznaczyła skupisko szczątków Brytanii na punkt zborny wszystkich okrętów, które nie chciały iść za Oppenheimerem i poddać się Findiri. Miała nadzieję, że nie tylko „Niepodległość”, „Dirac” i „Volz” okażą się buntownikami.

– Nic nie wykrywam, ma’am. – Mumford skrzywił się boleśnie, gdy to meldował. – Przykro mi.

– Czyli zostaliśmy tylko my. – Proctor opadła na fotel kapitański. – Dobrze. Połączyć mnie z „Dirakiem”. Sprawdźmy, co Rayna ma do powiedzenia o tych sztucznych osobliwościach.

Rozdział 24

SEKTOR IL NIDO PARADISO OZF „TYLER S. VOLZ” MOSTEK

- Ile jeszcze skoków kwantowych? – zapytał Shin-Wentworth.
- Dwa, komandorze – odpowiedział nawigator.

Minęło dopiero pięć godzin. Krew po pięciu godzinach powinna wyschnąć, prawda? Pośpiesznie sięgnął do kolana i potarł spodnie, jakby chciał przyspieszyć proces. Wciąż miał wrażenie, że materiał jest wilgotny.

Popatrzył na spodnie. Były czyste. No tak. Przecież zaraz po incydencie się przebrał. Dlaczego wydaje mu się, że ma wilgoć na kolanach? Zaczynał wariować? Zaśmiał się. Pewnie tak.

„Mogę sobie wariować, proszę bardzo, ale najpierw wykonam kolejny krok w eksperymencie, a potem jeszcze jeden i następny. I wtedy będę znowu z rodziną”.

Dotknął klawisza łączności.

– Maszynownia, tu komandor. Stan zasilania? Czy moc przepływa już przez pole kwantowe i emiter metaprzestrzeni?

– Zaraz zaczniesz, komandorze. Trzeba podnieść moc do dostępnych siedemdziesięciu pięciu procent, żeby można było włączyć emisję.

– Siedemdziesiąt pięć? Chciałem dziewięćdziesiąt.

– Emitery nie są do tego przystosowane. To powyżej ich możliwości według specyfikacji.

– Nie obchodzi mnie specyfikacja. Podnieście do dziewięćdziesięciu.

Usłyszał cmoknięcie dezaprobaty.

– Ale, komandorze...

– Proszę mi wierzyć, wszystko tutaj ma spory margines tolerancji, przynajmniej dwukrotnie większy, niż nam się mówi, ponieważ konstruktorzy zdają sobie sprawę, że zawsze znajdzie się kilku kapitanów floty, którzy uwielbiają przekraczać granice bezpieczeństwa, gdy używają napędu. Po prostu wykonać.

Po drugiej stronie na kilka sekund zapadła cisza.

– Czy moje rozkazy były niejasne, poruczniku Beesley?

– Wszystko jasne, komandorze. Beesley, bez odbioru.

Shin-Wentworth poczuł wewnętrzne szarpnięcie pola kwantowego i wiedział, że jest o jeden krok bliżej.

Odwrócił się do stanowiska taktycznego.

– Na pewno zobaczymy jeden lub dwa okręty Findiri nad Paradiso. A nad stolicą zastaniemy kilka okrętów Zjednoczonej Floty, która będzie pomagać przy odbudowie. Pojawimy się nagle, wykonamy nasze zadanie, a potem od razu się wycofamy. Przez kilka minut będziemy wystawieni na ostrzał. Proszę w tym czasie wykonać manewry unikowe i jeśli będzie to konieczne, wysłać salwę pocisków w każdy okręt, który stanie nam na drodze. Zrozumiano?

– Tak jest, komandorze – odpowiedział sternik. Zawahał się jednak. – A jeżeli... wszystkie okręty Findiri i Zjednoczonej Floty staną nam na drodze? Co wtedy?

Shin-Wentworth skinął głową.

– Wtedy zastosujemy plan B. Użyjemy wyników naszych ostatnich eksperymentów, aby zachęcić ich do zejścia nam z drogi. Przynajmniej na kilka minut.

– Tak jest, komandorze. – Sternik nie wyglądał na przekonanego.

Gdyby Shin-Wentworth miał być szczery, sam również nie był przekonany. Zostało tyle zmiennych, tyle niewiadomych, których jeszcze nie rozwiązał...

Ale czas uciekał.

Wkrótce Shin-Wentworth będzie wiedział wszystko.

Odwrócił się do doktora Wigguma.

– Jest pan gotów? Skończył pan obliczenia?

– Tak. – Wiggum wzruszył ramionami. – Ale przy tak wielu pustych polach nie mogę być pewien rezultatu. Siła ograniczników metaprzestrzeni? Zmienność fazy tunelowania kwantowego? Szlag, nie znam nawet perturbacji w drugim obszarze splątania grawitonowo-fotonowego...

– Wystarczy... najlepszy domysł, doktorze. Jasne?

Wiggum znowu wzruszył ramionami.

– Jasne, szefie.

– Prototypy osobliwości wciąż są zakotwiczone do Penumbry?

– Jak najbardziej. Możemy ich użyć, aby powiązać z nimi nowe osobliwości, nie trzeba powtarzać procesu kotwiczenia. To spora oszczędność energii.

– Świetnie. – Shin-Wentworth czuł w brzuchu motylki. Nadszedł czas. Chwila, dla której tak ciężko pracował przez ostatnie dni. – I mamy pewność, że drugie osobliwości można wygenerować w przeszłości, w tak dużej odległości od Penumbry?

– W oparciu o metaprzestrzeń odległość nie jest zbyt wielkim problemem. Problemem jest aspekt temporalny. Im dalej się cofnąć, cóż, skala nieoznaczoności jest jak czas do kwadratu. Czyli sam pan wie.

– A prymarne osobliwości? Są już gotowe?

– W hangarze promów – zapewnił Wiggum.

– A nasze taktyczne osobliwości? Gotowe?

– Gotowe. Te okazały się najłatwiejsze. Nie ma powodu zamartwiać się nieoznaczonością, kiedy zamierza się je wykorzystać do niszczenia, prawda?

Shin-Wentworth wyczuł, że naukowiec próbuje zażartować. Uśmiechnął się blado w odpowiedzi.

– Racja. No to do dzieła. Sternik?

– Skok kwantowy za pięć... cztery... trzy...

Shin-Wentworth przymknął oczy i odliczał razem z chorążym.

Dwa...

Jeden...

– Jesteśmy nad Paradiso – zameldował sternik.

Shin-Wentworth otworzył oczy.

I pożałował, że to zrobił.

– Manewry unikowe! – zawołał.

Tuż przed nimi na wysokiej orbicie spokojnej, błękitnej planety unosił się ogromny okręt Findiri i dwa mniejsze krążowniki bojowe Floty Zjednoczonej Ziemi. „Volz” znalazł się od nich zaledwie o kilka kilometrów i na głównym ekranie ich kształty przesłoniły gwiazdy.

„Volz” pomknął w dół na planetę i skręcił na północ.

– Transmisja przychodząca od kapitana Wooda z „Kalifornii”, panie komandorze. Rozkazuje nam poddać się i przygotować do abordażu.

– Do diabła z nim – mruknął Shin-Wentworth. – Zdrajca. Sternik, zabierz nas jak najszybciej na podane współrzędne. Im bliżej będziemy, tym mniejsza nieoznaczoność w połączeniu kwantowym.

„Volz” oderwał się od trzech okrętów na pełnej mocy. Zniknął z pola widzenia, gdy przesłoniła je krzywizna planety. Jednak zaraz potem okręt Findiri pojawił się znowu i zaczął zbliżać.

– Kapitan Wood mówi, że to ostatnia szansa. Mamy się poddać albo Findiri otworzą ogień.

Shin-Wentworth zacisnął palce na podłokietnikach fotela.

– Plan B. Wyślijmy Findiri mały prezent.

Wiggum, który wrócił do stanowiska naukowego wraz z oficerami, uniósł kciuki.

– Dobra, rozpoczynam wypuszczenie prymarnej osobliwości. Za pięć...

Cztery.

Trzy.

Dwa.

Jeden.

Shin-Wentworth wstrzymał oddech, gdy patrzył na ekran. I wtedy dostrzegł to, czego tak bardzo wypatrywał. Na sterburcie okrętu Findiri rozbłysła eksplozja. Niewielka, ale powodująca mnóstwo szkód. Kiedy próżnia zdusiła płomienie, Shin-Wentworth uśmiechnął się, patrząc na rezultat.

W burcie okrętu, tam gdzie zetknęła się z osobliwością, ział ogromny otwór. Wybuch, który był widoczny, powstał najwidoczniej przy znikaniu tylko niewielkiej części masy. Reszta?

Zapewne właśnie opadała w czarną dziurę Penumbry.

– Okręt Findiri zwolnił i zaczął się wycofywać, komandorze.

– Założę się, że zastanawiają się, co z nami zrobić – stwierdził Shin-Wentworth.

Porucznik Mak, oficer, którego wybrał na tymczasowego zastępcę, zerknął nad jego głową.

– Komandorze, musimy pamiętać o osłonie przenoszącej pęd. Findiri mogą się wycofywać, ale nie wiemy, jaki zasięg ma ta tarcza i jak daleko mogą ją przesunąć.

– Racja – zgodził się Shin-Wentworth. – Dlatego teraz się zatrzymamy. – Zerknął na sternika. – Za ile będziemy u celu?

– Prawie na miejscu, panie komandorze.

Shin-Wentworth znowu zaczął w duchu odliczać. Tym razem próbował oszacować, ile czasu zajmie Findiri ustawienie osłony przenoszącej pęd, żeby zmiażdżyć „Volza”. Dwadzieścia sekund czy więcej?

Dwadzieścia. Dziewiętnaście. Osiemnaście.

– Komandorze, okręty floty się rozdzieliły. „Kalifornia” wciąż leci za nami, ale ten drugi przeniósł się na inną orbitę, po której przetnie obszar wyznaczony przez nasze współrzędne.

Piętnaście. Czternaście.

– W porządku. Proszę przygotować kolejną osobliwość, Wiggum.

– Na... Na jeden z naszych okrętów? – zająknął się doktor.

– To nie jest nasz okręt, to zdrajca.

– Kapitan na pewno, ale załoga? Nie pisała się na...

Shin-Wentworth odwrócił się i zmiażdżył naukowca spojrzeniem.

– Wykonać!

Dziewięć. Osiem. Siedem.

– Gotowe, komandorze – oznajmił Wiggum.

– Wstrzymać się do ostatniej chwili. Sternik?

– Dotrzemy za dwadzieścia sekund, panie komandorze.

Cztery. Trzy. Dwa.

JEDEN.

– Stop – rozkazał. – Utrzymać orbitę geosynchroniczną. Żadnych powiązanych ruchów między nami a powierzchnią.

„Volz” zwolnił całkowicie.

I w samą porę. Tuż przed jego dziobem, ledwie widoczna na ekranach, pojawiła się ciemna płaszczyzna z błękitnymi refleksami.

– Osłona przenosząca pęd tuż przed nami, komandorze – zameldował porucznik Mak.

– Widzę. Taktyczny, wystrzel dron z holoprojektorem na cel. No dobra, ludzie, pora na wielkie wydarzenie. Wiggum? – Podszedł do stanowiska naukowego. W takim momencie chciał wszystko zrobić własnymi rękoma.

Nikommu innemu nie mógł zaufać na tyle, by powierzyć mu życie swoich dzieci. Ani swojej najlepszej przyjaciółki i partnerki.

– Dron wystrzelony. Ominął osłonę i zbliża się do miejsca na powierzchni – oznajmił Mak.

Wiggum skinął głową.

– Wszystko na miejscu. Wciąż znajdujemy się kilkaset kilometrów od stolicy, więc nieoznaczoności będą tutaj wyższe, niż gdybyśmy znajdowali się bliżej...

– Wiem. Ale tyle będzie musiało wystarczyć – stwierdził Shin-Wentworth.

Przycisk uruchamiający wszystko znajdował się tuż obok na panelu. Wystarczyło go tylko dotknąć.

Nie było czasu na wahanie.

Shin-Wentworth uderzył palcem w klawisz.

– Hangar promów? Meldować.

Oficer medyczny, którego przydzielili do hangaru, gdzie mieli pojawić się bliscy Shin-Wentwortha, odpowiedział od razu.

– Uch, komandorze, nikogo tu nie ma. Tylko wielka sterta skał, ziemi i, jeśli się nie mylę, powyginanego metalu nieznanego stopu... prawie jak resztki bulaja okrętu i chyba korytarza albo czegoś podobnego.

„Kurwa”.

– Komandorze, okręty floty już są prawie w zasięgu ostrzału – oznajmił Mak.

Wiggum spojrzał na niego przenikliwie.

– Próbuje jeszcze raz?

Shin-Wentworth uderzył pięścią w konsolę.

– A po co? Żeby zabrać kolejną stertę skał? I znowu, aż Findiri nas dopadną?

– Właściwie czego dokładnie szukamy? – zapytał Wiggum. – Myślałem, że to po prostu rozwinięty eksperyment, aby sprawdzić,

jak to zadziała przeciwko Findiri. Udało się. Mamy dane. A teraz wyносmy się stąd, zanim nas wysadzą.

Oczywiście miał rację.

A Shin-Wentworth zamierzał wrócić. I spróbować jeszcze raz, gdy tylko dowie się, co poszło nie tak.

– Sternik, zabierz nas stąd. Skok kwantowy o rok świetlny lub dalej.

Szarpnięcie wnętrzości po uruchomieniu pola kwantowego potwierdziło, że okręt był już bezpieczny.

Oznaczało to jednak, że trzeba wrócić do pracy i odkryć, co właściwie trafiło do hangaru promów.

Rozdział 25

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 KORWETA VESTIGIUM „LEGENDA”

Kiedy zakończył się ostatni skok kwantowy, Granger odetchnąłby z ulgą, gdyby myślami nie był przy ludziach, których pozostawił na pewną śmierć.

W zasadzie powinien się ucieszyć, gdy zobaczył to, na co miał nadzieję. Flota Eru już czekała na orbicie wokół świata Itaran.

– No, mamy szczęście – stwierdził Jasper.

– Szczęście nie ma z tym nic wspólnego – zaproponował Qwerty. – Słyszałem od Whitehorse, że Eru przylecieli tu, aby pomóc w ewakuacji Trojaczków, głównie dlatego, że nie ufają ani ludziom, ani Findiri.

– I nie powinni ufać – zauważył Granger. – Pozostaje tylko pytanie, czy zaufają NAM?

– Panu na pewno – odpowiedział Qwerty. – Jerusha powiedziała mi, że Trojaczki rozpaczliwie chcą się z panem zobaczyć. Twierdzą, że mają dla pana wiadomość.

– Wiadomość? – Granger próbował odszukać w umyśle choć echo wspomnień, ale ani nie pamiętał Trojaczków, ani nie domyślał się, jakie wieści mogliby mu przekazać. – Oby to było coś, co pomoże nam odszyfrować rękopisy.

– Całkiem możliwe, panie kapitanie – zgodził się Qwerty. – Itaranie powinni strzec jednego z tych manuskryptów, prawda?

– Owszem. – Granger pokiwał głową. – Dobrze. Lećmy tam.

Jasper zerknął na niego niepewnie.

– Na powierzchnię?
– Pod powierzchnię. Trojaczki mieszkają pod skorupą. Zakładam, że ich przywódca wciąż tam jest. Pójdzie na dno ze swoim okrętem i takie tam.

Jasper wzruszył ramionami.

– Dobra. – Pochylił się nad konsolą sterowniczą i przejrzał odczyty detektorów. – Tylko do którego wlotu? Znalazłem chyba z pięć, a pewnie jest więcej.

Qwerty włączył moduł łączności.

– Zadnę w róg i dowiem się, czy możemy pogadać z jakimś dowódcą.

Następne minuty ciągnęły się jak wieki. Granger wciąż starał się uwierzyć w to, co ujawnił o sobie Jasper. Niemożliwe, ten dzieciak nie mógł być... A może jednak?

– Powiedz, jak to jest dorastać w cieniu sławnego ojca?

Miało to zabrzmieć żartobliwie, ale nie zostało w ten sposób odebrane. Jasper zmarszczył czoło.

– Byłoby wspaniale, gdyby wszyscy wiedzieli, że mam sławnego ojca. Jednak dzieciństwo biednego dzieciaka wychowywanego przez samotną matkę zwykle trudno nazwać bajkowym. O swoim nie mógłbym tak powiedzieć.

– Moje było w porządku.

Jasper zerknął na niego przez ramię.

– Pana dzieciństwo?

Granger skinął głową.

– No tak. Mnie też wychowywała samotna matka. Ojciec zmarł, gdy byłem jeszcze mały. Latał na myśliwcach. Ale nie zginął bohaterską śmiercią, nawet nie brał udziału w żadnym starciu. To była głupia awaria, gdy jego maszyna wciąż jeszcze stała w hangarze. Kokpit się zablokował i zabrakło tlenu, a ojciec się udusił. Zginął w ciszy. Nikogo nie było w pobliżu. Mama się załamała. Przez jakiś czas... nie było zbyt przyjemnie. Przynajmniej nie dla sześciolatka.

– Nie wiedziałem. Przykro mi.

– Ale potem się ogarnęła – powiedział Granger, jakby go nie słyszał. – Zapewniła mnie i siostrze dobre dzieciństwo. Sporadycznie wiązała się z mężczyznami, ale nic z tego nie wynikło. We troje

byliśmy szczęśliwi. A potem poszedłem do akademii i na tym się skończyło.

– Skończyło się?

Granger wzruszył ramionami.

– Umarła rok później.

– Och.

– Tak... Popełniła samobójstwo.

Jasper aż się skulił. Granger nie był pewien, bo w kokpicie panował półmrok, ale odniósł przelotne wrażenie, że oczy chłopaka zrobiły się czerwone.

– Och, szlag. Przepraszam. Strasznie mi przykro. Babcia. Cholera. Co się stało?

– Lubię sobie powtarzać, że po śmierci ojca straciła chęć do życia, ale przyrzekła sobie, że odchowa dzieci, zapewni im szczęśliwe dzieciństwo, a potem... – Granger pokręcił głową. – Nie mam pojęcia, czy właśnie o to chodziło, i, szczerze mówiąc, nie zależy mi, żeby się dowiedzieć. Jednak właśnie wtedy straciłem grunt pod nogami, jeśli można tak powiedzieć. Oddałem się całkowicie służbie. Nigdy nie zapuściłem korzeni, nigdy się nie ustatkowałem. Nie pozwoliłem sobie, żeby stworzyć więzi. Innymi słowy, poślubiłem swoją pracę.

– Hej, to wspaniałe – stwierdził Jasper ku zaskoczeniu Grangera.

– To znaczy?

Chłopak próbował się uśmiechnąć, ale niezbyt dobrze mu to wyszło.

– Właśnie sporo sobie przypominałeś. Może wraca ci pamięć.

Granger zaśmiał się sucho.

– No, na pewno. Nie do wiary, że udało mi się nawet zapomnieć własną matkę, ale owszem, dobrze sobie przypomnieć.

– Kapitanie – przerwał im Qwerty – udało mi się skontaktować z jednym z rządzących. Tak mi się zdaje. Nie z przywódcą, ale kimś wysoko postawionym.

Granger skinął głową.

– Połącz mnie.

Z włączonych głośników poniosły się trzaski.

– Tu statek Grangera. Gdzie moglibyśmy wylądować? Granger chciałby odebrać waszą wiadomość – powiedział Qwerty.

Granger spojrział na niego gniewnie.

– Nie po to przylecieliśmy – wyszeptał ze złością.

Qwerty przeprasząco wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że w ten sposób najszybciej dotrzemy na miejsce.

Wystarczy dać im to, czego chcą.

Z pewnością miał rację.

– Dobra, ale lądujemy i zaraz odlatujemy. Musimy tylko jak najszybciej znaleźć manuskrypt, a potem polecieć na okręt Eru, zanim się stąd wyniesie, i zabrać ich rękopis.

Trojaczek na łączach zaczął mówić.

– Ogromnie mnie to cieszy. Jestem Variusza, druga co do ważności w klanie Klollogesa. Ograniczyłam swoje imię, by uszanować wasze dziwaczne ludzkie zwyczaje i nieracjonalne uwielbienie dla skrótów.

– Bardzo dziękujemy – odpowiedział Qwerty. – Doceniamy to. Chętnie usłyszę twoje pełne imię, gdy się spotkamy osobiście. A skoro o tym mowa, jak możemy do ciebie dolecieć? Do którego portu powinniśmy się skierować?

W głosie obcej, jak wydawało się Grangerowi, zabrzmiał przydechowy śmiech.

– Nadam koordynaty. Powstrzymam się na razie od wysyłania fałszywych współrzędnych. Bardzo by mnie ucieszyło oglądanie, jak się z nimi męczycie. Jednak ze względu na stan alarmowy należy ograniczyć takie podstawowe przyjemności. Przywódca Klolloges jest zajęty ewakuacją, ale spotka się z wami, gdy wylądujecie.

– Fałszywe współrzędne? – powtórzył bezgłośnie Jasper.

Itaranka się rozłączyła, a zaraz potem Qwerty stwierdził z zadowoleniem:

– Translator chyba nieźle sobie radzi, w zasadzie przełożył sto procent z języka Trojaczków. Och, właśnie dostałem współrzędne. Zakładam, że nie są fałszywe i ta Itaranka nie żartowała, mówiąc o powstrzymaniu się od podstawowych potrzeb, jak choćby płatania figli obcym wybawcom.

– Świetnie – burknął Granger. – Lądujemy i miejmy nadzieję, że dostaniemy tam trzeci manuskrypt.

Rozdział 26

SEKTOR IL NIDO ROK ŚWIETLNY OD PARADISO OZF „TYLER S. VOLZ” HANGAR PROMÓW

Harry Shin-Wentworth za wiele nie ćwiczył, ale uważał, że ma niezłą kondycję. Jednak kiedy dotarł do hangaru promów, był zdyszany i spocony. Żałował, że biegł przez całą drogę. Drzwi otworzyły się i jego wzrok napotkał...

Chaos. Wielkie zwały odłamków skalnych, kurzu, powyginanego metalu, plastiku i Bóg jeden wie czego jeszcze. Leżały na środku lądowiska, a reszta hali wyglądała mniej więcej tak samo. Gruz piętrzył się pod ścianami, mniejsze gązwy rozrzucone były po podłodze. To, co wyszło z drugiej osobliwości, wpadło tutaj dość... wybuchowo.

– Udało się zeskanować skład tej materii? – zapytał technika medycznego w pobliżu.

– Tak jest, panie komandorze. Wygląda to na mieszankę ziemi i skał z powierzchni Paradiso, a także materiałów z okrętu Findiri. A przynajmniej tak się wydaje, bo stopy pasują do tych, jakie udało nam się zeskanować.

– A dron z holoprojektorem? Też przeszedł?

– Owszem. Nie działa, ale wykryłem elektronikę. Jest przywalona chyba z metrem głązów.

Świetnie, zatem holoprojektor przeszedł, co znaczy... że też mogli przejść. Ale w jakim stanie? Dobry Boże, czy rozerwał ich na strzępy podczas próby?

– A skan pod kątem materii organicznej?

Technik skinął głową i zaczął skanować, a zaraz potem otworzyły się drzwi i wbiegł Wiggum. Był spocony, twarz lśniła mu od potu.

– Y-y... Przepraszam, komandorze, nie mogłem za panem nadążyć.

– Wiggum. Proszę to wyjaśnić. Co się stało?

Wręczył fizykowi swój tablet z dokładnymi danymi składu materii. Wiggum zmarszczył brwi.

– Nie wiem. To mieszanina materii z dwóch par osobliwości. Nie powinno to być możliwe.

– A jednak to właśnie mamy.

Wiggum zmarszczył czoło.

– Niech pomyślę. Zapewne obie pary się splątały, to jasne. Ale też były splątane ze swoimi parami, które mieliśmy nad Penumbra, skoro cała materia trafiła właśnie tam. – Zerknął na gruzowisko, potem na dane, wreszcie podrapał się w głowę.

– Jak dwie pary osobliwości mogły się splątać? Osobliwość z jednej pary znajdowała się na powierzchni Paradiso, ta z drugiej została wystrzelona w okręt Findiri. – Shin-Wentworth przespacerował się nerwowo w tę i z powrotem. – Gdzie te skany materii organicznej?

– Prawie skończone, panie komandorze – odpowiedział technik.

– Och – westchnął Wiggum. – O cholera. Tak, rozumiem, jak to się mogło stać. Długie, skomplikowane obliczenia matematyczne mogą to wyjaśnić, choć są zbyt zawiłe, by próbować je tłumaczyć. Ale, w laickim ujęciu, owszem, dwie pary osobliwości mogą się splątać. Nawet jeśli z naszej perspektywy wydaje się, że znajdowały się daleko od siebie, z perspektywy Penumbry to w zasadzie ten sam punkt w przestrzeni.

– Co? Jak? To nie ma sensu.

– Proszę się zastanowić. Penumbra znajduje się o kilkaset lat świetlnych stąd? A odległość, na jaką rozsunęliśmy te osobliwości z różnych par, wynosiła zaledwie kilkaset kilometrów. Jak długi jest kilometr w porównaniu do roku świetlnego?

– Niewielki.

– Właśnie. Na tyle mały, że kwantowe tunelowanie między dwoma mostami Einsteina-Rosena-Rao stało się nie tyle osobnym efektem dla każdego z nich, lecz po prostu ogólnym dla wszystkich.

– Panie komandorze – odezwał się technik – wykryłem materię organiczną.

Shin-Wentworth miał wrażenie, że wnętrzości zaraz mu eksplodują.

– Gdzie? Proszę pokazać!

Technik wskazał na stertę kamieni i złomu.

– Tutaj, może pół metra pod powierzchnią i... – Przełknął, jakby nie chciał mówić tego na głos. – ...rozrzucone w promieniu około dwóch metrów.

– Rozrzucone? – Shin-Wentworth wspiął się na wskazaną stertę, ukląkł i zaczął kopać gołymi rękami. Po kilku minutach przekładania ziemi i skał oraz odrzucania kawałków metalu Findiri poczuł wilgoć.

– O mój Boże – wydusił Wiggum, gdy Shin-Wentworth wyjął ręce z wykopu. – Czy to krew?

Shin-Wentworth nie zdołał wydusić ani słowa. Zacisnął zęby tak mocno, że zgrzytnęły. Gdyby otworzył teraz usta, nie zdołałby się opanować.

Dlatego tylko przytaknął sztywnym ruchem głowy.

Rozdział 27

SEKTOR KIJOWSKI WYSOKA ORBITA NAD BIAŁORUSIĄ OZF „WYZWANIE” MOSTEK

– Niemożliwe. Senator Cooper żyje – stwierdził Sepulveda.
– Prezydent Cooper – poprawił go Zivik.
– Zamknij się pan – warknął były prezydent. Podrapał się po zarośniętym, niegolonym od kilku dni policzku. – Skoro ta kobieta jest marionetką dyrektora Talusa i tylko udaje prezydent Zjednoczonej Ziemi... Ale nie jest Cooper... To, do jasnej cholery, kto to w ogóle jest?

Rice odchrząknął.

– No, to pewnie trochę naciągane, ale może to Quiassi?
Zarówno Sepulveda, jak i Zivik spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

– Co? – prychnęli.

– Jeśli założyć, że Talus mówił prawdę. Stwierdził, że jest Quiassi. Pierwszym z pierwotnych dziesięciu. A jeżeli Cooper to też jedna z tej dziesiątki?

Zivik w zamyśleniu potrząsnął głową.

– Nie potrafię prześledzić meandrów logiki, które doprowadziły cię do tego wniosku, komandorze.

– To nie wniosek. Jeszcze nie. Po prostu dodałem dwa do dwóch. Talus twierdzi, że jest Quiassi. A wygląda dokładnie jak Abraham Haws, mężczyzna, który nie żyje od trzydziestu lat. Czy Haws był Quiassi? I przez tyle lat służył po prostu na „Konstytucji”

z Grangerem? Albo... spróbuj się zastanowić... Haws był tylko człowiekiem i zmarł, ale przed śmiercią wpadł w ręce Quiassi, który... no, nie wiem, zrobił coś i zdołał sklonować ciało Hawsa, i włożył się do niego...

– To szaleństwo – stwierdził Zivik.

– Albo coś, co czyni Quiassi tak potężnymi. Może to ich wyjątkowa zdolność, która odróżnia ich od zwykłych ludzi. Talus... STAŁ SIĘ Hawsem.

– Niby jak? Przekształcił swoje ciało jak jakiś zmiennokształtny? Naczytałeś się za dużo fantastyki – podsumował Zivik.

– Nie, nie chodziło mi o jakąś natychmiastową zmianę kształtu jak w filmach. Nie. Bardziej jak... powolne upodobnienie.

Sepulveda zmarszczył brwi.

– Powolne upodobnienie?

– Właśnie. Przecież Valaris potrafią dokonać niesamowitych rzeczy. Przepływają przez ludzkie naczynia krwionośne i naprawiają uszkodzenia na poziomie komórkowym. Umieją się łączyć metaprzestrzennie w procesie biologicznym, który dopiero zaczynamy częściowo pojmować. Materia dawnego Roju, która opierała się na budowie Valaris, mogła kontrolować człowieka. Czy powolne upodobnianie się jest bardziej szalone od tego?

Sepulveda wzruszył ramionami i spojrzał na Zivika, który powtórzył jego gest.

– To tylko pomysł, do tego szalony, ale pasuje do danych, jakie już zebraliśmy. I dopóki nie pojawią się nowe informacje, nie potrafię wymyślić nic innego, mówiąc szczerze. – Wskaźnik na panelu taktycznym rozbłysnął i Rice zerknął na komunikat. – No cóż, zdaje się, że dygnitarze wreszcie zaczęli się pojawiać. Właśnie przyleciał statek ze Zjednoczonej Ziemi. Jak długo chcemy tu jeszcze zostać?

Zivik popatrzył na wyświetlacz ze schematyczną mapą, na której pojawił się znacznik symbolizujący nowego przybysza.

– Jesteśmy na tyle blisko, żeby go obejrzeć?

– Jasne. Wrzucam dane na ekran. – Rice zrobił to, co zapowiedział.

Kanonierka średniej wielkości zbliżała się do stacji Shovik-Orion.

– O wilku mowa. Znam ten statek – mruknął Zivik.

– Ja również – potwierdził Sepulveda. – To „Szkarłatny Feniks”. Danny Proctor i Fiona Liu.

– I zapewne prezydent Cooper, wzięwszy pod uwagę, że tych dwoje pracuje teraz jako prywatny transport i ochrona nowej prezydent – zauważył Zivik, a potem odwrócił się do oficera łączności. – Prześlij wiadomość tekstową. Poinformuj pana Proctora o obecności „Wyzwania” na orbicie i spytaj, czy można z nim porozmawiać przez prywatne, chronione łącze.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział chorąży.

Niedługo potem na konsoli łączności zapiknął sygnał nadchodzącej wiadomości.

– Dostałem odpowiedź, kapitanie. Odczytuję: „Co za spotkanie, Ethan. Wysadzimy tylko pasażerkę i możemy pogadać, zanim wróci”.

Zivik skinął głową.

– Tak myślałem, że Cooper jest z nimi. – Podeszedł do ekranu i zapatrzył się w „Feniksa”, który właśnie zbliżał się do doku na stacji. – Jakie były szanse...? Wiesz, Rice, chyba zaczynam się przekonywać do twoich szalonych pomysłów.

– Dziękuję, kapitanie, w wolnej chwili przyznam sobie medal.

Zivik zaśmiał się, nadal patrząc na cumującego „Feniksa”. Kilkanaście minut później na konsoli łączności znowu zabrzmiał sygnał.

– Danny Proctor na zabezpieczonym paśmie, kapitanie – zaanonsował oficer łączności. – Transmisja przechodzi też przez nasz komputer, aby zamaskować źródło sygnału.

– Dziękuję, chorąży. Wrzuć, proszę, na ekran.

Na głównym ekranie twarze Danny’ego i Fiony zastąpiły widok kanonierki przy stacji orbitalnej.

– Dawno się nie widzieliśmy, Ethan. Co u Jerushy?

– Radzi sobie. Właśnie pomaga przy ewakuacji planety, zanim pojawią się Findiri i wysadzą wszystko w kosmos w odwecie za pomoc Trojaczków w ucieczce Grangera. Jak wam się pracuje jako gwardia honorowa?

– Powiedziałbym, że bez zaskoczeń. To znaczy nie mieliśmy żadnych incydentów, ale za to odkryliśmy ciekawe informacje.

– Na przykład?

Danny uśmiechnął się szeroko.

– O Talusie. Nigdy byś nie zgadł. Kłamał.

– To znaczy?

– Wybraliśmy się na grób Hawsa. Pozwoliliśmy sobie przeskanować go i... no, Haws nie żyje, to pewne.

– Fajnie. Co za ulga wiedzieć, że zombie jednak nie istnieją – prychnął Zivik.

– Ta-ak, ale wyobraź sobie. Fiona ma specjalny skaner do sprawdzania fragmentarycznego DNA. Okazało się, że Haws nie umarł wtedy, kiedy podaje jego metryka. Zmarł trzy miesiące później. Trzy miesiące. No to trzeba sobie zadać pytanie: co się działo przez te trzy miesiące?

Zivik powoli odwrócił się i popatrzył na Rice'a, który skinął głową.

– W rzeczy samej, bardzo dobre pytanie, panie Proctor.

A potem odwrócił się znowu do ekranu i opowiedział o przypuszczeniach komandora. Informacje Danny'ego pasowały do tej hipotezy.

Młody Proctor pokręcił głową.

– Łał. No, jestem pod wrażeniem. Ilu jest Quiassi? Talus wspomniał chyba, że dziesięcioro? Pomyśl przez chwilę. Jeżeli Rice ma rację, to jeszcze dziewięcioro ludzi kręci się wśród nas i nie są tymi, za kogo się podają.

– Właśnie. Musimy przekazać to admirał. Powinna się dowiedzieć. Wiesz, gdzie się znajduje?

Spojrzenie Danny'ego zaszklilo się na kilka sekund, zanim się znowu ocknął. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Penumbra. Tego się nie spodziewałem.

– Ja nie spodziewałem się obcych sobowtórów udających ludzi, a jednak okazuje się, że mogą istnieć. Okej. Myślę, że „Wyzwanie” już za długo kręci się po tym układzie. Zjednoczona Ziemia wyśle statki, prawda? Głównie z pomocą humanitarną?

– Owszem – potwierdziła Liu.

– No to powinniśmy się stąd zbierać. Polecimy na Penumbkę, żeby porozmawiać z Proctor...

– O cholera – powiedział Danny. – Pamiętasz Bolivar?

Fiona zmrużyła oczy, gdy się zastanawiała, do czego Danny się odwołuje.

– Och. No... Och, szlag, tak. – Odwróciła się do Zivika. – Przewodniczący Curiel. To znaczy wiemy, że żyje, tak? Po tym, jak podobno zginął?

Zivik potwierdził skinieniem głowy.

– Tak, słyszeliśmy... – Urwał. – Och.

– Właśnie. Opowiedział nam swoją historię i już wtedy wydawała się niesamowita. Twierdził, że omal nie został zmieciony przez eksplozję Brytanii. Byłeś tam. Widziałeś tę eksplozję? Nie można zostać omal zmiecionym przez taką erupcję. Albo się wychodzi nietkniętym, albo zostaje się zmiecionym. Nie ma nic pomiędzy. Curiel twierdził, że byli półprzytomni, a potem jego nawigator w ostatniej chwili zainicjował skok kwantowy. Potem Curiel leżał w śpiączce przez kilka tygodni, zanim udało się go połatać.

Sepulveda wstał z fotela kapitańskiego.

– Myśli pani, że Curiel też może być sobowtórem?

Liu wzruszyła ramionami.

– Nie ma jak tego sprawdzić, żeby zyskać pewność. Chyba że... – Odwróciła się do Danny'ego.

– Próbkę DNA – powiedział Danny. – Myślę, że pora, aby twój kumpel tym się dla nas zajął.

Zivik skinął głową.

– Wszystko pięknie-ładnie, ale wciąż opieramy się tylko na teoriach. Cokolwiek jednak ma się wydarzyć, na pewno będzie się wiązało z tą stacją. Fiona? – Uśmiechnął się szeroko. – Co ty na to?

– Myślałam, że już nigdy nie poprosisz. – Fiona Liu prawie się roześmiała. – Zaczynałam już zapominać, do czego zostałam wyszkolona. Przyda mi się trochę praktyki.

– Świetnie. Postarajcie się wymyślić, jak się dostać na stację i sprawdzić, co się szykuje. A ja ruszam nad Penumbkę, żeby...

Przerwał mu sygnał wiadomości przychodzącej z konsoli łączności.

– Przekaz metaprzestrzenny z „Volza”, kapitanie – zameldowała chorąży Platt.

– Od Whitehorse? – zdziwił się Zivik.

Młoda chorąży pobladła.

– N-nie. Od oficera łączności. Wiadomość mówi, że ona... nie żyje.

Zivik pomyślał, że się przesłyszał. Na pewno.

– Przepraszam, mogłabyś powtórzyć? Oficer łączności nie żyje?
Chorąży Platt podniosła na niego oczy.

– Kapitan Whitehorse. Nie żyje.

Zivik nadal był przekonany, że źle usłyszał, ale cisza, jaka zapadła na mostku po tych słowach, przekonała go, że jednak nie.

– Jak? – tylko tyle zdołał wydusić przez zaciśnięte gardło.

– Wypadek. Komandor Shin-Wentworth przejął dowództwo, dopóki admirał Proctor nie wyda innych rozkazów – odpowiedziała chorąży Platt.

Wszystkie oczy na mostku wbijały się w Zivika. Sam Zivik nie do końca wierzył w to, czego właśnie się dowiedział – uważał, że to na pewno jakaś pomyłka. Źle rozpoznana osoba. Albo nie chodzi o to, że nie żyje, tylko prawie zginęła, a teraz odchorowuje i odpoczywa w swojej kajucie. Zbierało mu się na wymioty. Miał ochotę krzyczeć. Skóra go świerzbiła. Gorąca krew napłynęła do twarzy.

Nie. Nie. Niemożliwe.

Jakakolwiek była prawda, musiał się opanować. Trzymać się jakoś. „Weź się w garść, Sukinkot. Dla załogi. Dla misji”.

– Chorąży Nagin, oblicz współrzędne skoku kwantowego na Chantanę 3. Zabierz nas tam. Natychmiast.

Rozdział 28

SEKTOR KIJOWSKI WYSOKA ORBITA NAD BIAŁORUSIĄ „SZKARŁATNY FENIKS”

Mostek

– Wydajesz się zbyt podniecona tym przedsięwzięciem. – Danny jeszcze raz obrzucił Fionę Liu krytycznym spojrzeniem.

– Jasne, że jestem podniecona. Wybacz, Danny, przykro mi to mówić, ale transportowanie uchodźców na różne światy to nie jest szczyt moich marzeń, jeśli chodzi o pracę.

To prawda. Rzeczywiście czuła podniecenie. Przyłączyła się do wywiadu Zjednoczonej Floty ze względu na związane z tą służbą ryzyko. Liczyła na tajne misje wykonywane na obszarze Konfederacji Rosyjskiej lub Kalifatu. Nieustanne niebezpieczeństwo czające się z każdej strony i strach przed wykryciem – Fiona uważała to za upajające.

Danny gładził się w zamyśleniu po policzku, gdy oceniał jej strój. Partnerka założyła ubiór, który mogłaby nosić w pracy jakaś przeciętna urzędniczka. W instytucie naukowym. Albo na piątkowych spotkaniach pracowników.

– Jesteś pewna, że wyglądasz jak należy?

Liu tylko prychnęła.

– Proszę cię, Danny, a widziałeś kiedyś naukowca?

– No... może?

– Nie słyną ani z przestrzegania oficjalnych norm, ani z modowych gustów. Kiedy pracowałam w centrali wywiadu, naukowcy pojawiali się czasami w pidżamach. – Sprawdziła jeszcze

raz kaburę ukrytą pod luźną bluzką, a potem sięgnęła po wydrukowany przed chwilą podrobiony identyfikator. – Ślicznie. Zrobiłeś ze mnie naukowca na stypendium badawczym?

– Dla mojej ukochanej wszystko, co najlepsze.

– Neela Valdez?

– Trochę się śpieszyłem.

– Ze Sztokholmu?

– No, jak powiedziałem, trochę się śpieszyłem. Jak twój akcent?

– Jah. Ta-aki jak tien?

– Całkiem nieźle. Ruszajmy. Gotowa?

Fiona wsunęła kartę identyfikacyjną do futerału na szyi.

– Gotowa. A ty?

– Liczę, że lokalsi mają poczucie humoru. – Wykrzywił się w cierpiętnicznym grymasie. – Napra-a-awdę muszę wejść, panie oficerze, a kibel na moim statku jest zapchany!

– Doskonale. Działaj.

Danny stanął przy słuzie. Po drugiej stronie znajdowała się gródź zewnętrzna stacji, za którą niewątpliwie stał ochroniarz. Jak większość ochroniarzy na stacjach ten też zapewne grał na datapadzie. Możliwe jednak, że Shovik-Orion miała surowsze zasady niż przeciętne kosmoporty. Zwłaszcza w ośrodkach tajnych badań o najwyższym priorytecie.

– No to idę. Życz mi szczęścia.

Otworzył gródź i przeszedł. Nawet nie zwolnił kroku, gdy mijał strażnika rozpartego obok słuzy.

– Hej! – zawołał za nim ochroniarz.

Danny skręcił w korytarz po lewej, gdy tylko minął stanowisko ochrony, a strażnik pobiegł za nim. Fiona weszła, korzystając z zamieszania. Zerknęła na korytarz z prawej, aby się upewnić, że nie jest pilnowany przez innych strażników. W oddali słyszała cichnący głos Danny'ego.

– Ale napra-a-awdę muszę do ubikacji, nie ma pan pojęcia, co się zbiera w kiblu, gdy na pokładzie są Dolmasi...

Prześlizgnęła się za róg i pobiegła korytarzem, potem za grodzią dotarła do kolejnego, bliżej środka stacji, tym razem szerszego. Przeszło nim kilka osób. Niewielka grupa stała pod następnymi drzwiami, zajęta chyba zwyczajną rozmową. Kilkoro innych ludzi

minęło ich w drodze do swoich miejsc przeznaczenia. Nikt nie wyglądał na ochroniarza, więc Fiona odetchnęła głęboko i skierowała się do grupki rozmawiających.

– Hej! – przerwała im. – Przepraszam, jestem tu nowa. Mój identyfikator przestał działać, muszę wyrobić nowy. Możecie mi wskazać biura obsługi?

Kobieta, której przerwała, spojrzała na jej kartę.

– Witamy na Smoleńsku, Neela. Sztokholm, co? Instytut Linneusza?

– Właśnie ten. Wielu z naszych tu pracuje? – Miała nadzieję, że Instytut Linneusza naprawdę istnieje, a kobieta jej nie sprawdza.

– Kilkoro. Chodź, zaprowadzę cię.

„Szlag, wskaż mi tylko kierunek, kobieto!”

– Super, dzięki!

„Niech to cholera, zbyt gorliwa”.

Zrównała się z kobietą, która wyciągnęła rękę.

– Sheila McNamara.

Fiona uścisnęła podaną dłoń.

– Raz jeszcze dziękuję za pomoc. Mogę pójść sama, naprawdę nie musisz mnie odprowadzać.

– Nonsens, i tak tam idę. Jestem oficerem bezpieczeństwa, więc w zasadzie tym właśnie się zajmuję, zwłaszcza po tym, co się ostatnio dzieje.

Liu nastawiła ciekawie uszu.

– Och?

– Jak długo tu jesteś?

Minęły kolejne drzwi, aby dostać się na korytarz, opustoszały bardziej niż poprzednie.

– Jakies dwa tygodnie, czemu pytasz?

– Boże. No to zobaczysz sama. Zwłaszcza jeżeli jesteś na wydziale doświadczalnym. Pamiętaj, jeżeli zostaniesz poproszona, żeby zrobić coś, czego nie uznasz za bezpieczne, przyjdź do mnie, dobrze? Ci dranie przeginają ostatnio, ale kiedyś wreszcie za to porządnie oberwą.

Weszły na szeroką promenadę stacji. W kilku miejscach podawano jedzenie, kilkanaście osób właśnie korzystało tam

z przerwy na lunch, a Fiona wyczuła lekki zapach curry i smażonej cebuli.

– Jestem w grupie teoretyków, więc chyba mam szczęście – powiedziała, a potem ściszyła głos. – Ale w jakie kłopoty się pakują? Jak naruszenie bezpieczeństwa magazynów z chemikaliami? Były jakieś wycieki czy coś?

Sheila McNamara parsknęła śmiechem.

– Chyba można to tak nazwać. Chodzi o Sok. Głupia nazwa. Można by pomyśleć, że chłopcy z doświadczalnego nigdy nie wyszli z liceum. Nikt się jeszcze nie wkopał, przynajmniej na razie. Ale to tylko kwestia czasu. Dobrze, że nie jesteśmy już pod nadzorem Konfederacji. Rosjanie odpuszczają trochę bardziej niż ci ze Zjednoczonej Ziemi, ale nie tak bardzo. Gdyby ich minister do spraw bezpieczeństwa zwęszył to przed tą małą rebelią na Białorusi, poleciałyby głowy, mówię ci.

Ach, Sok. Przynajmniej teraz Fiona Liu miała nazwę.

Roześmiała się do wtóru McNamarze.

– Cholera, muszę o tym pamiętać. Wybieram się w weekend na randkę. Zaprosił mnie właśnie chłopak z doświadczalnego. Chyba wprowadzę politykę „żadnego dotykania” na pierwszych trzech randkach. – Ściszyła głos i rozejrzała się jak niewiniątko. – A jeżeli... No, wiesz, jeżeli to weźmie? Na mnie to się nie odbije, prawda?

McNamara zatrzymała się, upewniła, że nikt nie słucha, i pochyliła do Fiony.

– No i właśnie w tym rzecz. Jeszcze nikt nic nie wie. Nie ośmielili się testować tego na ludziach, przynajmniej na razie. Nie teraz, gdy wybuchło to zamieszanie z Findiri, a Valarisi odpadli. Jedyne testy przeprowadzono w laboratoriach na San Martin i tylko z prototypem Soku, ale to wystarczyło i placówka została zamknięta przez GKL. – Sheila znacząco wskazała na swoje oczy. – Po prostu zachowaj czujność, dobrze? Nie chcesz chyba skończyć jako pierwszy człowiek, na którym to przetestowano.

San Martin? Miejsce, gdzie Danny został przywrócony do życia dzięki iniekcji materią Roju? I co pozwoliło odrodzić się Valarisi? I to był tylko prototyp?

– Cholera – wyszeptała. – Dzięki, Sheilo. Ja... chyba... chyba odwołam tę randkę.

Zaśmiała się wymuszenie.

McNamara też się uśmiechnęła, a potem wskazała drzwi, przy których się zatrzymały.

– Jesteśmy na miejscu. Skręć w prawo, potem korytarzem do HR-u, tam wystawią ci nowy identyfikator.

– Raz jeszcze dziękuję, Sheilo. Jestem ci winna obiad czy coś.

McNamara mrugnęła do niej porozumiewawczo.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć – odpowiedziała. Potem się rozdzieliły, McNamara poszła w lewo, a Fiona w prawo.

Obejrzała się przez ramię i poczekała, aż kobieta zniknie za zakrętem, a kiedy tak się stało, Liu odwróciła się i wróciła na promenadę.

Główny korytarz był dość tłumnie odwiedzany – ciągnął się wzdłuż na wysokości dwóch kondygnacji i zakręcał lekko w lewo, tworząc okrąg długości około kilometra, jak oceniła Fiona. Tylko gdzie znajdował się...

Tam. Tuż obok biur administracji. Biura zarządu, gdzie urzędowali przedstawiciele Shovik-Orion. Z pewnością nie chcieli się mieszać z niżej postawionymi pracownikami, zwłaszcza podwykonawcami na kontraktach.

Fiona rozsunęła drzwi i popatrzyła na tablicę z nazwiskami oraz numerami biur. Przejrzała je szybko, zanim zauważyła ją recepcjonistka.

– Mogę w czymś pomóc?

– Tak, mam spotkanie z wiceprezesem Shankarem. Przyszłam trochę wcześniej, ale sama pani rozumie... nerwy. – Zmusiła się do nerwowego śmiechu. Odkryła już kiedyś, że cywile zawsze byli mniej podejrzliwi wobec osób, które otwarcie zdradzały zdenerwowanie i niepokój, czyli diametralnie różne cechy od tych, jakich można oczekiwać po szpiegach czy agentach. Pewność siebie, nierzucanie się w oczy? E tam. Udawanie, że jest zdenerwowana, żałosna i roztrzęsiona, otworzyło przed Fioną Liu większość drzwi, także tych, które nie chciały się otworzyć. A reszta?

Właśnie wtedy przydawało się jej szkolenie.

– Nie widzę w jego terminarzu żadnych spotkań na dziś – oznajmiła recepcjonistka. – Może ma pani przyjść jutro?

– No, może... – Fiona znowu udała nerwowy śmiech. – Ale, uch... umówiliśmy się nieoficjalnie. Chciał porozmawiać ze mną o perspektywach pracy. Bo widzi pani, spotkałam go w barze wczoraj wieczorem, poszliśmy do niego i... no, powiedział, że możemy sprawdzić, który dział szuka pracowników... I że – zerknęła na tabliczkę z personaliami recepcjonistki – Sue Pringle to najmiłsza, najserdeczniejsza kobieta, która zawsze się o niego troszczy i wpuści mnie bez żadnych pytań... – Urwała i wzruszyła ramionami.

Czy to zadziała?

Jeżeli nie, zawsze mogła wykorzystać to, do czego ją wyszkolono.

Sue Pringle wyszczerzyła się w uśmiechu.

– To cały Simon, zawsze dżentelmen. Wchodź śmiało, kochana. Jego terminarz jest wolny przez najbliższą godzinę.

– Dzięki, Sue, będę ci winna przysługę.

Sue machnęła tylko ręką i wskazała jej drzwi na korytarz za recepcją. Fiona skręciła tam i odnalazła drzwi z odpowiednim numerem i tabliczką głoszącą „Simon Shankar”. Zapukała cicho i stanęła przy drzwiach, od strony klamki.

Usłyszała ciche: „Proszę wejść”, ale tego nie zrobiła, zapukała tylko jeszcze raz.

Szmer wewnątrz był jak muzyka dla jej uszu. Przygotowała niedużą fiolkę, którą wyjęła zza pasa, i uniosła ją na wysokość głowy.

Drzwi się otworzyły, a Fiona skierowała fiolkę na osobę, która stanęła w progu, i nacisnęła końcówkę.

Z fiolki wytrysnęła mgiełka i ciało upadło na podłogę.

Fiona wślizgnęła się do gabinetu, przeskoczyła nad uspiętym mężczyzną i zamknęła drzwi.

Okazał się cięższy, niż przewidywała, ale zdołała go unieść i posadzić w fotelu za biurkiem. Ocknie się za niecałe pięć minut, więc musiała się pośpieszyć.

Terminal komputera był otwarty na pliku, który właśnie przeglądał. Fionie minutę zajęło dostanie się do historii logowania. Przerzuciła pliki na własny przenośny dysk, który wyciągnęła z kieszeni, a kiedy komputer zaprotestował, bo były to dane wrażliwe, Liu podłączyła specjalne urządzenie dekodujące, które zatrzymała z czasów, gdy pracowała w wywiadzie Zjednoczonej

Floty. Praktycznie był to uniwersalny klucz do tylnych drzwi w systemach, które każdy podwykonawca pracujący dla floty musiał u siebie wdrożyć, nawet tak wielki jak Shovik-Orion.

Fiona skopiowała pliki, a dla pewności dodała jeszcze kilka, które rzuciły się jej w oczy, gdy zaglądała do innych folderów. Dane medyczne. Dane badawcze – nie rozpoznała nazw plików, ale domyśliła się, że mogą okazać się interesujące. Wiedziała, że to tylko niewielka część, ale inne foldery były głęboko ukryte, na dodatek okazało się, że jest ich bardzo dużo, chyba tysiące. Fiona uznała, że skopiuje, co się da, a przejrzy wszystko później.

Stoper piknął, sygnalizując, że czas dobiegł końca. Fiona wróciła do pliku, który był otwarty, gdy tu przyszła. Shankar miał się zaraz ocknąć i nie pamiętać ostatnich minut przed utratą przytomności. Albo przynajmniej powinien być mocno oszołomiony i nie zauważyć, że coś się stało. Dzięki temu Fiona zyskiwała dość czasu, aby wrócić bezpiecznie na statek.

Jednak coś na ekranie przyciągnęło jej uwagę. Wiadomości do wiceprezesa były otwarte, widniały z boku ekranu. A Fiona dostrzegła nadawcę tej na samej górze.

Curiel, przewodniczący Galaktycznego Kongresu Ludzkości, a teraz również prezes zarządu Shovik-Orion.

Czas minął, ale Fiona nie mogła się powstrzymać. Dotknęła wiadomości i przeczytała treść.

Pod żadnym pozorem nikomu z personelu firmy nie wolno wydawać Soku przedstawicielom dowolnego rządu. Dotyczy to zwłaszcza prezydenta Cooper ze Zjednoczonej Ziemi. Niezastosowanie się grozi natychmiastowym zwolnieniem dyscyplinarnym oraz wyciągnięciem surowych konsekwencji prawnych.

Rozdział 29

SEKTOR BRITANNIA SKUPISKO SZCZĄTKÓW BRYTANII OZF „NIEPODLEGŁOŚĆ” GABINET KAPITAŃSKI

– Czy ja wiem, Shelby? No, owszem, to bez wątpienia osobliwości. Ich wzorzec pasuje do tych rosyjskich sprzed lat. Ale ta część tutaj? – Kapitan Rayna Scott postukała palcem w trzecią parę, którą wykryły detektory w pobliżu Penumbry. – Te są inne. Całkowicie inne. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Pod jakim względem inne? – dopytała Proctor.

– Przede wszystkim nie są zerowymiarowe. Te mają dwa wymiary.

– Dwa? Myślałam, że osobliwości z definicji są punktem, więc nie mają żadnych wymiarów.

– W rzeczywistości, jak najbardziej. W naturze udało się zaobserwować tylko osobliwości bez wymiarów.

– Czyli te nie są naturalne.

– A jakże – prychnęła Scott. Proctor zaśmiała się cicho. Tylko Rayna Scott mogła sobie pozwolić na prychanie w obecności dawnej admirał naczelnej Zjednoczonej Floty. – Jeżeli jeden wymiar zostaje ściśnięty do zera, wtedy masz osobliwość. Czyli można uzyskać osobliwości płaskie, liniowe i punktowe...

– A co z wyższym wymiarem? – wtrąciła Proctor.

Kapitan Scott umilkła, żeby się zastanowić. A potem jeszcze trochę pomyśleć. Po prawie minucie Proctor chciała zmienić temat – błyszczące światelka z obrazów w pobliżu horyzontu zdarzeń

Penumbry chyba zaczęły już za bardzo pochłaniać ich uwagę – gdy dawna główna mechanik strzeliła palcami.

– No właśnie!

– Co?

– Wyższe wymiary! Czterowymiarowa osobliwość? Jak, u diabła, może taka wyglądać? No to weźmy czterowymiarową przestrzeń i ścieśnijmy jeden z jej wymiarów do zera... a wtedy otrzymamy normalną przestrzeń jak nasza, ale z jednym wyjątkiem.

– Czyli jakim?

– Mostem. Szlag, właśnie to sprawia, że rosyjskie osobliwości w ogóle są możliwe. Czwarty wymiar ściśnięty do zera tworzy podstawę do powstania mostu przestrzennego, który sprzęga dwie osobliwości przez ogromne trójwymiarowe dystanse. Jednak nasza materia nie może istnieć w przestrzeni czterowymiarowej, więc natychmiast przenosi się tym mostem.

Proctor zabębniła palcami o blat biurka w gabinecie kapitańskim, a potem uniosła kubek i dopiero wtedy zauważyła, że jest pusty.

– Rayno, tracimy czas. Okręt Roju gdzieś tam jest, przemieszcza się gdzie chce i robi Bóg wie co. Wrócił do tego czasu, właśnie teraz, nie bez powodu. A my wciąż nie wiemy, co to za powód.

– No, bez wątpienia chodzi o te dwuwymiarowe osobliwości – stwierdziła z przekonaniem kapitan Scott.

– Skąd ta pewność?

– Bo to jedyne, co jest teraz nowe, prawda? Co jeszcze tu masz?

– Ale po co Rojowi dwuwymiarowe osobliwości?

Rayna pogładziła się w zamyśleniu po podbródku, potem podrapała po nosie i trochę wyżej.

– Wcześniej kiedy z nim walczyliśmy, Rój przechodził ze swojego wszechświata do naszego przez czarną dziurę w układzie Penumbry. Wygląda na to, że polegał na naturalnych osobliwościach, aby podróżować do innych uniwersów. Zapewne zatem wybierał dość przypadkowo cel swoich wypraw, jeśli się zastanowić. Ale czemu nie stworzyć własnego przejścia? Wtedy można wybrać się, dokąd się chce i kiedy się chce – łatwizna.

– Ale jak...

Scott przewidziała to pytanie.

– Przestrzeń czterowymiarowa, moja droga.

– Ale to są dwuwymiarowe osobliwości.

– Nie. Nie zrozumiałaś, gdy o tym mówiłam? Czwarty wymiar. Te osobliwości mają dwa wymiary ściśnięte do zera, a dwa pozostawione w stanie nienaruszonym. Dlatego widzimy je jako dwuwymiarowe. A te dwie ściśnięte osobliwości? No, to się robi interesujące. Otwiera się multum możliwości. Można powiedzieć, że cały wszechświat możliwości. Albo wszechświat wszechświatów.

Proctor wstała i nastawiła w dyspenserze kolejną kawę.

– Podwójna śmietanka i cukier, tak?

– Co innego miałabym pić, kochana?

Admirał z uśmiechem poczekała na napełnienie kubka. Przysunęła sobie kawę, gdy urządzenie zaczęło przygotowywać drugą porcję.

– No dobrze, czyli Rój chce zdobyć ten nowy typ osobliwości. Ale czemu TERAZ? Czy takie osobliwości nie istniały wcześniej? A jeśli istnieją dopiero teraz, to przecież będą też istniały w przyszłości, więc czy nie łatwiej wtedy zabrać jedną lub dwie? Czemu właśnie ten moment jest wyjątkowy?

Drugi kubek się napełnił i Proctor podsunęła go Raynie, która przyjęła kawę, ale nie zaczęła pić.

– Zakładam, że pewnie istnieje jeszcze jedna nowość, która pojawiła się niedawno, a konwergencja tych dwóch nowych rzeczy, tu i teraz, jest wyjątkowa i zbyt kusząca, by ją przepuścić. Jednak co to dokładnie jest, to pytanie do was, polityków. Ja zajmę się odpowiedzią na pytanie JAK, dobrze? A ty wymyśl DLACZEGO.

Proctor przycisnęła sobie rękę do serca.

– Polityk? Ranisz mnie, Rayno.

Scott zaśmiała się ochryple.

– Kochana, zostałam politykiem, gdy tylko przypięłam te admiralskie baretki do munduru.

Oczywiście miała rację. Kiedy Proctor była kapitanem, miała autonomię, sporo akcji i interesujących odkryć – cholera, od czasu do czasu zajmowała się nawet badaniami naukowymi. Jednak potem znowu dostała awans i jej dni wypełniły się spotkaniami i lunchami w gronie senatorów oraz rautami wydawanymi dla zagranicznych dygnitarzy.

Oraz dla polityków.

– A jednak oto jestem tutaj: była admirał, która włóczy się po kosmosie na gwiazdnym okręcie. I znowu stara się ocalić świat. Powiedziałabym, że politykę lepiej zostawić politykom.

– Pieprzyć to, Shelby. Chcesz wierzyć, że politycy zrobią coś, co nie przyniesie im korzyści? Nie wolno im ufać.

Proctor czujnie podniosła głowę znad kubka czarnej kawy.

– Co chcesz powiedzieć, Rayno?

– Chcę powiedzieć, że miałaś rację. Nie możemy dokonać tego same. Ziemia została zdobyta, flota rozbita. A Rój wrócił. Spójrz na nas. Rozproszeni i podzieleni. Dolmasi i Skiohra nawet nie odpowiadają na nasze wezwania. Eru pomagają Trojaczkom w ewakuacji i ucieczce, a podejrzewam, że zaraz potem ukryją się, dopóki zagrożenie ze strony Findiri i Roju nie zniknie. Chińczycy pod Bernem udzielili nam tylko na tyle pomocy, żeby można było uciec, ale potem już nic. Konfederacja Rosyjska robi Bóg wie co. Kalifat zadziera nosa. GKL siedzi na tyłku. Valarisi pływają w cholernym akwarium.

Proctor wreszcie upiła trochę kawy. I omal nie poparzyła sobie języka.

– Chcesz powiedzieć, że mam zapomnieć o Roju? Pozwolić, żeby czaił się gdzieś w pobliżu i czekał na właściwy moment do ataku?

– Zapomnieć o Roju? Nie. Trzeba zebrać armię, która go pokona, gdy wybiorą właściwy moment do ataku. Albo, no, cholera, najpierw zbierz armię, a potem znajdź Rój w jego kryjówce i spierz na kwaśne jabłko, zamiast bujać się za nim na jednym okręcie.

– Bujać się?

Scott westchnęła ze znużeniem.

– Wiatraki, kochana! Rzucasz się na nie sama. Walka z wiatrakami to przegrana sprawa.

Niech to szlag, Rayna jak zwykle miała rację. Nie znała się tylko na kawie, ale we wszystkim innym przejawiała wbrew pozorom bezgraniczną mądrość. Proctor zerknęła na Scott i zaśmiała się, bo kobieta znowu drapała się po nosie.

– Dobrze. Skontaktuję się ze starszymi przedstawicielami korpusu dyplomatycznego, o których wiem, że się ukrywają. Sprawdzę, czy zdołają zorganizować jakieś spotkanie, na które będzie można zaprosić zainteresowanych.

– To dobry początek, kochana. – Scott upiła kawy, a potem zaczęła dmuchać na zbyt gorący napar. – Jakiś początek. Tak, wielka koalicja ras rozumnych. Galaktyczna republika. Federacja. Sojusz. Luźno powiązana organizacja skonfederowanych państw. Nazwa jest nieważna. Kto będzie przewodził tej organizacji? Oto kluczowe zagadnienie.

– Oto jest pytanie, nie? – Proctor również podmuchała na swoją kawę.

Przez komunikator poniósł się głos chorąży Sampono:

– Pani admirał, jakiś statek właśnie zakończył skok kwantowy. Twierdzi, że jest z Galaktycznego Kongresu Ludzkości, a na pokładzie przyleciał przewodniczący Curiel.

– O wilku mowa – roześmiała się Rayna.

– Rozwiążemy problem przywództwa, gdy nadejdzie na to pora. Najpierw musimy zbudować organizację, której trzeba przewodzić.

– Proctor wstała. – Idziesz ze mną?

– Och nie, kochana. Tylko przeszkadzam podczas takich spotkań. Nie, raczej zajmę się problemem tych nowych osobliwości. W ten sposób o wiele lepiej spożytkuję czas, który jeszcze mamy.

Proctor wyszła z gabinetu razem z Rayną.

– Masz rację. Ale najpierw zmów za mnie modlitwę. Zaraz będę musiała porobić trochę w polityce.

Rozdział 30

SEKTOR IL NIDO
ROK ŚWIETLNY OD PARADISO
OZF „TYLER S. VOLZ”
LABORATORIUM POKŁADOWE

– Możemy zrobić to znowu. Wiem, że możemy. Tym razem wykonamy skok kwantowy prosto na miejsce, które opuściliśmy, wystarczy odwrócić obliczenia i przeprowadzić wszystko ponownie, ale bez interferencji ze strony okrętu Findiri. – Shin-Wentworth odzyskał mowę, ale zdobywał się na mówienie tylko wtedy, gdy skupił myśli na czymś, czymkolwiek innym.

Było to dość trudne, bo wszystko inne dotyczyło śmierci jego żony i dzieci, na dodatek z jego własnej ręki. Miał wrażenie, że stąpa boso po linie rozpiętej między dwoma drapaczami chmur, a na dodatek lina ta jest tak ostra, że rani mu stopy.

– Nie jestem pewien – zauważył Wiggum. Wskazał na obliczenia obok. Nie wysilił się, aby ustawić tam tablicę czy wyświetlacz, po prostu pisał markerem bezpośrednio po ścianie. – Niech pan popatrzy na te obliczenia. Nie widziałem tego wcześniej, ale teraz to oczywiste. I pewnie nie miało nawet znaczenia, że wystrzeliliśmy osobliwość w okręt Findiri. I tak prawdopodobnie nic by z tego nie wyszło.

– O czym ty, kurwa, mówisz, człowieku? Przeprowadziliśmy wstępne doświadczenia. Zegarek przeszedł bez problemów. – Shin-Wentworth przyjrzał się równaniom, ale w tej chwili jego umysł nie był nastawiony analitycznie.

– Owszem, zegarek przeszedł, ale to co innego. Nie ściągaliśmy pańskiego zegarka z przeszłości. Posłaliśmy go daleko stąd, żeby odczekał kilka godzin, a potem wrócił. Pańska rodzina? To zupełnie coś innego.

Na słowo „rodzina” Shin-Wentworth skrzywił się boleśnie.

– Ta-ak, domyśliłem się już. Powinien był mi pan powiedzieć. – Wiggum pokręcił głową.

Komandor przysunął sobie jedno z krzeseł i usiadł, a potem ukrył twarz w dłoniach.

– Musiałem się upewnić, że mi pan pomoże.

– Oczywiście, że panu pomogę. Jeżeli uda się udoskonalić tę technologię, będziemy mogli powstrzymać Findiri, zanim w ogóle zaatakują któryś z naszych światów. Cholera, będzie można nawet cofnąć się i ocalić tych religijnych fanatyków z Syjońskiego Raju. Dlatego jestem z panem, komandorze. Zajmijmy się tym.

Shin-Wentworth nie spodziewał się wsparcia. Wiggum wydawał mu się do tej pory człowiekiem z głową w chmurach, którego nie interesuje to, co się wokół dzieje. Nie odniósł też wrażenia, że fizyk-teoretyk odważyłby się złamać rozkazy, byle dokończyć dzieła, nawet jeśli osiągnięcie tego wiązałoby się z ryzykiem, jakie wynikało z manipulacji kontinuum czasoprzestrzennym.

– W porządku, proszę wyjaśnić. Co za różnica?

– Próbuje pan sięgnąć w przeszłość, wyciągnąć swoją rodzinę i przenieść ją nie przez jedną parę, lecz przez dwie pary osobliwości. Jedna przetransportuje ich w pobliże horyzontu zdarzeń Penumbry, gdzie obejmie ich przesunięcie w czasie, wystarczające, aby wysłać ich w przyszłość o kilka dni, kiedy niemal natychmiast przejdą przez drugą parę osobliwości, na tyle szybko, że nie doświadczą przykrych efektów przebywania w kosmosie bez skafandra.

– Z pewnością to jest różnica – zgodził się Shin-Wentworth. – Ale przecież o tym wiedzieliśmy i uwzględniliśmy w doświadczeniu, prawda?

– Próbowaliśmy, owszem. Ale właśnie panu mówię, że to nie zadziała. Nie pozwolą na to prawa rządzące wszechświatem, w którym przebywamy.

Shin-Wentworth pokręcił głową.

– Nie. Nie chcę w to wierzyć. Przeszliśmy tak długą drogę, zrobiliśmy wielkie postępy. Nie możemy się teraz poddać.

Wiggum zastanowił się, po czym popatrzył na komandora.

– Przejrzał pan chociaż nagrania zrobione holoprojektorem drona?

– Nie. Nie mogłem. Po prostu nie mogłem.

– Ja je obejrzałem. – Wiggum przygryzł usta, przymknął oczy i podjął wyjaśnienia: – Nie były przyjemne, Harry. Materia Findiri, gdy dwa mosty się połączyły, przetoczyła się przez twoją rodzinę. W zasadzie pojawiła się w tej samej fizycznej lokacji co materia ich ciał i wszystkie różne cząsteczki, zgodnie z zasadą Pauliego, musiały stoczyć ciężką walkę. A... organizmom tego rodzaju warunki raczej nie służą dobrze.

Shin-Wentworth ponownie ukrył twarz w dłoniach.

– Mój Boże, Wiggum. – Minęła chwila, zanim mógł mówić dalej. – Co się ze mną stało? Mój cel jest dobry. Powiedz mi, że tak. Muszę usłyszeć od kogoś, że działałam w imię szczytnego celu, nie dla zła.

– To dobry cel – zapewnił Wiggum. – Życie nauczyło mnie, że są sprawy, wobec których uniwersum jest amoralne, choć puryści mogą protestować. A podróż w czasie, aby uratować rodzinę przed śmiercią, nie wspominając o całej ludzkości, to bez wątpienia szczytny cel.

Shin-Wentworth odetchnął głębiej. Nie tak całkiem z ulgą, bardziej dlatego, że te słowa okazały się trochę pocieszające.

– Powiedz mi też, że moje metody są dobre. Środki. Czy cel uświęca środki? Zawsze? Nawet w tym przypadku?

Wiggum odchrząknął, jakby zamierzał powiedzieć coś trudnego.

– Zabiłeś swoją rodzinę. Tuż przed tym, gdy miała zginąć. Ale pomyśl. Gdyby się udało, nie zostałyaby zabita. Zostałyaby uratowana. A ty nie byłbyś zabójcą, lecz... kimś innym.

– Bohaterem? – Shin-Wentworth przypomniał sobie Grangera. Czy jego cele nie uświęcały środków? Czy nie zasłużył sobie na tytuł Bohatera Ziemi?

– Nie płacą mi za wymyślanie ci tytułów honorowych.

Shin-Wentworth długo milczał. Czekał, aż Wiggum coś doda, ale fizyk się nie odezwał. Wreszcie...

– Zaraz, powiedziałaś, że „gdyby się udało”. A wcześniej twierdziłaś, że to nie zadziała.

– To prawda.

Shin-Wentworth zamyślił się, przypominając sobie całą rozmowę.

– Powiedziałaś też, że „nie pozwolą na to prawa tego wszechświata”. To... interesujący dobór słów.

– Bystra obserwacja.

– I? – Komandor wreszcie podniósł wzrok. – Co pominąłem? Jesteśmy w tym uniwersum. Jak dla mnie wygląda to dość ostatecznie.

Wiggum odwrócił się do ściany i zaczął na niej rysować. Tym razem nie próbował robić obliczeń ani rozpisywać równań, nakreślił tylko linie.

– Znasz teorię wieloświata?

– Znam. I wiem, że większość naukowców uważa ją jedynie za intelektualną ciekawostkę, nic więcej, skoro to tylko supozycje, których nie można sprawdzić.

Wiggum skinął głową, ale nie przerwał rysowania.

– Elementarne. Popkultura twierdzi inaczej. Mówi różne brednie o istnieniu innych wszechświatów, w których ma pan kocie uszy, dwa penisy albo „Mam talent” zakończono po pierwszym sezonie, nie po dwudziestym pierwszym. – Wskazał na linię. – Ale rozważmy to w kategoriach mechaniki kwantowej. Elektron może mieć wysoki lub niski spin. Albo właśnie prowadzisz eksperyment i sprawdzasz lokację elektronu po jego przejściu przez jedną z dwóch szczelin. Nieważne. Obserwujesz go. Zanim wprowadziłaś obserwację i pomiar, istniała dowolna liczba sposobów wykonania działania z różnorodnym poziomem prawdopodobieństwa. Jednak w momencie wprowadzenia pomiaru zatwierdziłaś bieżącą wartość.

– Jasne – zgodził się Shin-Wentworth. – Podstawy. Zasada nieoznaczoności.

Wiggum roześmiał się głośno.

– Ha! Właśnie że nie! Zmyliłem cię. Powiedziałem „bieżąca wartość”. Nie ma czegoś takiego. A gdybyś zrobił pomiar tej wartości? – Narysował linię odrywającą się od pierwszej. – To tylko wartość, którą zmierzyłeś, z niewyobrażalnej puli możliwości. Teoria wieloświata głosi, że istnieją wszechświaty, w których

dokonałeś pomiaru tych innych możliwości, skoro wszystkie są uzasadnione.

– No dobrze – przyznał Shin-Wentworth. – To semantyka, ale niech będzie.

– Nie semantyka. Pomyśl o matematycznych implikacjach. Czyste liczby. Jak wiele wyników jest możliwych, gdy dokonasz pomiaru pozycji elektronu?

– Nieskończenie wiele?

– Niezupełnie, ale prawie. Jak dziesięć do, czy ja wiem, tysięcznej potęgi? A teraz weź pod uwagę wszystkie atomy we wszechświecie. Jest ich skończona liczba. Ogromna, ale skończona. Jak dziesięć do osiemdziesiątej potęgi. Jaki wiek ma wszechświat? Niemal czternaście miliardów lat. Ale ile sobie liczy w najmniejszych możliwych jednostkach czasu? Dziesięć do... czy ja wiem? Dziesięć do sześćdziesiątej sekund Plancka?

– Nie rozumiem...

– Większość nie rozumie. Ale pomyśl, Harry. Każdy elektron w każdym atomie, w każdej sekundzie Plancka, od pierwszej sekundy Plancka, ma ogromną liczbę możliwości dotyczących jego pozycji, poziomu energii i tak dalej. Pomnóż sobie te liczby przez siebie. I weź pod uwagę jeszcze dodatkowe obliczenia, które wypada zrobić, bo zachodzi lokalne splątanie kwantowe. Co otrzymasz?

– Cholernie duże liczby.

– Cholernie duże liczby – powtórzył Wiggum.

– Wciąż nie rozumiem, jak to się ma do naszej sytuacji.

Wiggum wskazał na linie, które narysował. Przypominały schematyczne drzewo.

– Znajdujemy się na linii czasu, w której te kwantowe wybory zostały podjęte. A ty chcesz wrócić do tego punktu. – Postukał palcem w miejsce, gdzie linie się rozchodziły. – Punktu, gdy twoja rodzina zginęła. I chcesz ją przenieść do tego punktu, punktu, w którym jesteśmy teraz. Tyle tylko, że sposób, w jaki to robimy, jest błędny. Efekty kwantowe osobliwości zawsze będą interferować z kwantową realnością tego, co próbujesz zmienić, więc to nie zadziała.

Shin-Wentworth zamknął oczy.

– Chcesz powiedzieć, że moja rodzina nie żyje w tej linii czasowej i zawsze będzie martwa w tej linii czasu?

– W pewnym sensie, lecz niezupełnie. Chodzi o to, że kiedy już nieodwracalny proces, jak śmierć, się wydarzy, próba zmiany tego będzie... cóż... nieodwracalna. Nie powiedziałem ci jednego o nagraniach z drona. – Wiggum popatrzył na swoje stopy, a potem znowu podniósł wzrok na Shin-Wentwortha. – Widziałem twoją rodzinę. Nie żyli, zanim materia z osobliwości Findiri pojawiła się i zniszczyła ich ciała. Coś z efektów kwantowych przejścia mostu Einsteina-Rosena-Rao interferowało z... czymś, może ich mózgi, i kiedy wyszli, ich mózgi były już martwe, przynajmniej według odczytów z holoprojektora drona.

Shin-Wentworth milczał przez chwilę.

– I chcesz powiedzieć, że w tym wszechświecie to nieodwracalne. Ale nie w innych uniwersach.

Wiggum wskazał w miejsce, gdzie pierwsze linie rozchodziły się w jednym punkcie.

– Obserwuj. Zawsze powtarzamy, że wszechświat zaczął się od Wielkiego Wybuchu w pierwszej sekundzie Plancka. Ale to błąd. Wszechświat i wszystkie inne możliwe wszechświaty, które powstały w Wielkim Wybuchu, istniały przez może nieskończoną część czasu przed Wybuchem, w innej fizycznej rzeczywistości zwanej kosmologiczną inflacją. Pomyśl o tym jako o prawie nieskończonym obszarze poza czasoprzestrzenią, który wiecznie obniża i podwyższa energię o wiele szybciej, niż stało to się podczas Wielkiego Wybuchu. Ale wtedy: bum! Coś się dzieje, nie wiemy co, i uniwersum przechodzi z inflacji do naszego obecnego postrzegania czasoprzestrzeni. Dla naszego wszechświata epoka kosmologicznej inflacji skończyła się tutaj. – Stuknął palcem w pierwszy punkt. – I zaczął się nasz wszechświat. Jednak inne uniwersa są wciąż w inflacji. I tak na marginesie wszystkie wszechświaty skończą z powrotem w inflacji, ponieważ rozszerzają się coraz szybciej. W końcu nasze uniwersum będzie się rozszerzać tak szybko, że rozerwie się w nową epokę inflacji, która zapoczątkuje nowe wszechświaty.

Shin-Wentworth z irytacją machnął ręką.

– Jasne, wiem, ale jakie to ma znaczenie, do jasnej cholery?

- Krótko mówiąc – zaczął Wiggum.
- Za późno – odparł Shin-Wentworth.

Wiggum westchnął, wymamrotał pod nosem coś, co brzmiało jak „eksperymentalności”.

– Mówiąc krótko, trzeba stworzyć osobliwość, która cofnie się do inflacji, a potem ruszy naprzód w czasie wzdłuż INNEJ ścieżki kwantowej niż nasza. Jednak ta ścieżka musi być prawie identyczna z naszą. Paralelna. Tylko jedno przejście kwantowe powinno być inne, tuż po Wielkim Wybuchu w tamtym wszechświecie, dzięki czemu rozwinie się on w ten sam sposób co nasz w niemal każdym aspekcie. WTEDY będziesz mógł osiągnąć swój cel sprzed około trzech dni, zabrać swoją rodzinę i żyć w tym uniwersum długo i szczęśliwie.

– Ale co będzie inne w tym wszechświecie w porównaniu z naszym? – zapytał Shin-Wentworth. – Nie zamierzam ratować swojej rodziny we wszechświecie, który Rój zniszczy następnego dnia.

– Różnica, mam nadzieję, jest taka, że w tym innym uniwersum atom wodoru w Mgławicy Oriona może zajmować inną pozycję niż ten w naszym wszechświecie.

- Masz nadzieję?

Wiggum wzruszył ramionami.

– To najlepszy ze scenariuszy. W rzeczywistości nie wiadomo, jaka to może być różnica.

Stwierdzenie fizyka przytłoczyło Shin-Wentwortha. Wyobraził sobie kapitana Grangera, gdy ten podejmował decyzje o życiu lub śmierci milionów i dźwigał na barkach brzemię odpowiedzialności za losy świata. Dokonywał tych wyborów w jednej chwili.

- Zróbmy to. Jak?

Wiggum próbował zmasać swoje rysunki, zanim dotarło do niego, że nie da się tego zrobić.

– Trzeba użyć pary dwuwymiarowych osobliwości, które są połączone przez ścieżkę przecinającą barierę inflacji. Podstawowy problem stanowi ilość energii potrzebnej, by takie zainicjować. Moc naszych reaktorów wynosi... ile? Kilka terawatów?

- Prawie dwadzieścia.

– Och, dobrze. Jednak to za mało. Aby zainicjować powstanie dwuwymiarowej osobliwości, która sięgnie wstecz do inflacji? Potrzeba będzie... och... – Urwał, poruszając palcami, jakby liczył. – Z milion terawatów?

Shin-Wentworth nie wiedział: śmiać się czy prychnąć, oburzyć, a może krzyknąć na tego człowieka, że marnuje tylko czas.

– Milion? Gdzie jeszcze, oprócz Węzła Energetycznego Półkuli Zachodniej na Ziemi, znajdziemy taką...

I wtedy do niego dotarło. Już istniały dwuwymiarowe osobliwości, zasilane tak wielką energią.

Wiggum chyba zdążył już o tym pomyśleć, bo rzucił tylko:

– Tak? Myślisz, że to możliwe?

– Można to sprawdzić tylko w jeden sposób – stwierdził Shin-Wentworth.

– Możemy ją w ogóle zabrać na pokład?

Komandor wzruszył ramionami.

– A musimy? – Pochylił się nad konsolą i dotknął jednego z przycisków. – Mostek? Tu komandor. Zaczynajcie obliczenia skoku kwantowego na Chantanę 3.

Rozdział 31

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 KORWETA VESTIGIUM „LEGENDA”

Jasper wpisał współrzędne, które przekazał mu Qwerty, i włączył pełną moc silników.

– Powinniśmy dotrzeć w kilka minut. Pewnie nas nawet nie zauważą, pełno tu statków, które latają w tę i z powrotem ze względu na ewakuację.

Granger przyjrzał się suchej, jałowej powierzchni planety, gdy zniżyli lot. Zauważył też gigantyczny otwór, powiększający się w miarę, jak korweta się zbliżała – podwójne stalowe wrota zaczęły powoli się rozsuwać.

– To nie jest przypadek. Oppenheimer na pewno dowiedział się już, że tu jestem – stwierdził Granger.

Jasper wzruszył ramionami.

– Możliwe. Czy to coś zmienia?

– Chyba nie. Wciąż mamy wiele do zrobienia. Tylko trochę przyspiesza nasz rozkład działań.

Korweta zanurzyła się w otworze i Jasper poprowadził ją w dół co najmniej dziesięciokilometrowego tunelu w litej skale, rozświetlonego tylko zewnętrznymi reflektorami ich statku. Kiedy wreszcie znaleźli się pod powierzchnią, młodzieniec nie mógł powstrzymać zdumionego westchnienia.

– Och...

– W rzeczy samej – mruknął Granger. Pod nimi rozciągało się miasto. Ulice rozchodziły się chaotycznie w różne strony, w typowo

trojczkowym stylu, a przy nich wznosiły się różnorodne budynki, duże i małe, wysokie i niskie. Miejski krajobraz wydawał się nie kończyć, lecz jedynie niknąć w oddali. Przestrzeń oszałamiała wielkością. Technologia, która umożliwiła wydrążenie tych podziemi wokół, jak należało się domyślać, całej planety, była niewyobrażalna. A jednak on, Granger, położył podwaliny pod to przedsięwzięcie... W jakimś sensie.

– Prawie jesteśmy w miejscu wskazanym przez współrzędne, które dostałem – zameldował Jasper. – To małe lądowisko, chyba tuż przy siedzibie rządu.

Chłopak posadził korwetę w pobliżu najwyższej wieży w mieście. Nie była wielka, miała zaledwie kilkanaście kondygnacji, a jednak górowała nad budynkami wokół. Przed wejściem czekał już komitet powitalny.

– Starzec-i-Tak-Dalej! Nareszcie! – powitał ich okrzykiem jeden z Itaran, gdy tylko zeszli po trapie. Obcy podszedł bez wahania, a za nim ruszyło pięcioro mniejszych, zapewne dzieci witającego.

– Variusza, jak mniemam? – rzucił Granger.

– Dobrze mniemasz – odpowiedziała Itaranka, a przynajmniej założył, że to obca, choć nie wiedział, skąd to przekonanie. Może podpowiedział mu to instynkt, a może ukryte wspomnienia, które wciąż posiadał, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. – Aż trudno mi uwierzyć, że to naprawdę ty, a ja pierwsza cię witam. Zalewają mnie pozytywne uczucia tak silne, że mam ochotę zarzucić cię na ramię i zanieść na wielką ucztę.

– Dzięk-dziękuję? – zająknął się Granger, niepewny, co przez to rozumieć.

Qwerty pochylił się do niego i wyszeptał:

– Jedzenie jest dla nich bardzo ważne.

Granger zerknął na niego zdziwiony.

– Dla mnie też.

Zaraz jednak odwrócił się do Variuszy.

– Właściwie to zgłodniałem. Chodziło ci o prawdziwą ucztę? To nie był... żart?

Variusza wytrzeszczyła oczy.

– My nigdy nie żartujemy z uczt, Starcze-i-Tak-Dalej. Chodź ze mną i z dziećmi. Przy posiłku porozmawiamy o wiadomości, którą

ma dla ciebie przywódca Klollogesz.

– Przyleciałem tu nie bez powodu, Variuszo. Dawno temu, jak rozumiem, przebywałem wśród was. Czy to się zgadza z waszą wiedzą?

Itaranka skłoniła się lekko.

– Jak najbardziej.

– A kiedy tu byłem, zostawiłem wam książkę.

Spojrzała na niego zezem.

– Książkę?

– Tak. Książkę. Zestaw zamocowanych razem papierowych arkuszy z literami na każdym.

– Papierowych?

„O Boże! Co z nią nie tak?”

– Właśnie. W książkach zapisane są informacje. Czasami to wiedza techniczna. A czasami opowieści.

Na wzmiankę o opowieściach Itaranka znowu otworzyła szeroko oczy.

– Opowieści! Tak! Znamy wiele opowieści.

– Świetnie. Możesz mi je pokazać?

– Pokazać? Nie rozumiem twoich dziwnych pojęć, Starcze-i-Tak-Dalej. Ale mogę ci ich sporo opowiedzieć. A przywódca Klollogesz potrafi opowiedzieć je wszystkie. Zna każdą opowieść, dlatego oczywiście jest przywódcą.

– Rozumiem – mruknął Granger, a potem zerknął na Qwerty’ego.

– Chyba wiem, o co chodzi, kapitanie. Podejrzewam, że kultura itarańska jest prawie całkowicie oralna. Do tej pory ani razu nie zdarzyło mi się zobaczyć nic na piśmie, oprócz krótkich transmisji tekstowych, które z nimi wymienialiśmy.

Granger westchnął ciężko.

– Cudownie. Czyli jeden z Itaran zna na pamięć cały Manuskrypt Wojnicza? Może przynajmniej oznacza to, że już został dla nas odkodowany.

– To całkiem możliwe.

Variusza zaprosiła ich zaskakująco ludzkim gestem, aby poszli za nią. Wraz z gromadką itarańskich dzieci wkroczyli do wieży i zostali poprowadzeni przez labirynt korytarzy, pokoi oraz przypadkowych pustych przestrzeni, które nie służyły żadnemu celowi,

a przynajmniej Granger nie potrafił się domyślić ich przeznaczenia. W miejscach tych, jak sądził, znajdowało się wyposażenie ustawione bez ładu i składu, szafy, a także stoły z resztkami jedzenia. Granger postanowił zapamiętać, aby nigdy nie prosić Trojaczków o zaprojektowanie jakiegokolwiek budynku – ani w ogóle czegokolwiek.

Wreszcie dotarli do dużego pomieszczenia, które – jak można się było domyślić po znajdujących się tutaj kilkunastu okrągłych stołach, zastawionych różnorodnymi potrawami – było salą bankietową.

Dania pachniały apetycznie.

– Próbowalesz już itarańskiego jedzenia, Qwerty? – spytał szeptem Granger.

– Nie, kapitanie, ani razu.

Variusza wskazała im stół najbliżej ściany po lewej i zaprosiła, by usiedli. Jedno z jej dzieci próbowało ukradkiem wziąć coś do jedzenia, ale Itaranka uderzyła je lekko po rękę z gniewnym cmoknięciem. Granger uznał z rozbawieniem, że niektóre zachowania chyba są wspólne dla wszystkich społeczeństw w Galaktyce.

– Starcze-i-Tak-Dalej. Jako goście o największym znaczeniu przypada ci zaszczyt spożycia pierwszego smakołyku. W zasadzie bez tego w ogóle nie będziemy rozmawiać.

Granger uśmiechnął się wymuszenie i spojrzał na danie, które wskazała. Na tacy poruszało się kilka stworzeń podobnych do ośmiornic wśród zielonych i purpurowych liści.

– Proszę, nie mamy wiele czasu. Może po prostu zacznijmy jeść i przejdźmy do najważniejszego? Możemy pominąć tradycję ze względu na, no wiesz, sytuację alarmową? Na pewno zauważyliście inne statki, które zbliżają się do planety?

Variusza wyprostowała się z powagą.

– Zauważyliśmy. Dlatego pominęłam co najmniej dziesięć naszych kulinarnych zwyczajów, aby wszystko odbyło się jak najszybciej. Jednak tego nie można pominąć, Starcze-i-Tak-Dalej. To potrwa tylko chwilę.

– Dobrze.

Granger zdawał sobie sprawę, że jeżeli zacznie dyskutować o tym, co ma zrobić, zapewne nie zdobędzie się, aby tego dokonać. Dlatego, niewiele myśląc, wziął jedno ze stworzeń podobnych do ośmiornicy i, mimo że się poruszało, włożył sobie do ust. Przeżuł kilka razy, aż jedzenie przestało się wić, a potem szybko przełknął. Nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymał odruch wymiotny.

Variusza wytrzeszczyła oczy. Pochyliła się w półukłonie i uniosła ramiona nad głowę w wyrazie... szacunku? Granger mógł jedynie zgadywać.

– Czyli to prawda! Naprawdę jesteś Starcem-i-Tak-Dalej. Nasze opowieści mówią, że to twoje ulubione danie, a kiedy byłeś wśród nas, nigdy nie miałeś go dość.

Granger czuł palenie w ustach i dojmującą goryczkę. Nigdy w życiu nie jadł czegoś równie obrzydliwego. Cieszył się, że zdążył połknąć „smakołyk”, zanim w ogóle poczuł smak, bo inaczej chyba by wymiotował.

– Cieszę się – wydusił i przełknął pośpiesznie, by złagodzić zgagę.
– Cieszę się, że tu wróciłem. Czy możemy już przejść do interesów?

Obok otworzyły się drzwi i przeszedł przez nie kolejny Itaranin w towarzystwie czwórki ruchliwych dzieci.

– Podziękowania dla ciebie, Variuszo, *gingza gryk klollog*. Sam zajmę się naszym gościem. Musisz już iść na statek ewakuacyjny. *Gunza tlosz*. Źli ludzie już tu są, a jeszcze gorsi ludzie bez wątpienia pojawią się lada chwila, *gingza gryk tallog sta* – stwierdził Klollogesz.

Granger zerknął przez ramię na Qwerty'ego.

– Translator się zacina?

Qwerty tylko wzruszył ramionami.

– Z Variuszą nie miał problemów. Może ten tutaj ma szersze słownictwo? – Kliknął przyciski na swoim podręcznym urządzeniu i sprawdził niektóre parametry programu translatora. – Ale myślę, że program dobrze wyłapuje sens wypowiedzi.

Variusza wyszła z dziećmi, a Klollogesz gestem nakazał, aby Granger, Jasper i Qwerty ruszyli za nim do kolejnych drzwi.

– Chodźcie. Szybko. Źli ludzie grozili, że albo cię im wydamy, albo zniszczą nasz świat.

– O jakich złych i gorszych ludziach mówisz?

Qwerty sprawdził swój datapad.

– Uch, kapitanie? Mam odczyt, że kilka okrętów właśnie wykonało skok kwantowy na orbitę. – Spojrzał na Grangera z konsternacją. – Jeden z nich to „Śmiałek”. Flagowiec Oppenheimera.

– A gdzie pojawia się Oppenheimer, tam ciągną za nim Findiri. Świetnie. – Granger skrzywił się, a potem odwrócił do Klollogesza. – Zamierzasz mnie do nich zabrać? Zrozumiem, że musisz, żeby ocalić swoją planetę.

– Ha! *Fligli gosz*. Bardzo dowcipne, Starcze-i-Tak-Dalej. *Dhasz szoglin*. Nie po tym, jak dałeś pokaz zjedzenia najbardziej paskudnego, obrzydliwego i odstręczającego smakołyku, jaki zna itarańska *fliglisz ghasz*. Opowieści twierdzą, że jesteś jedynym obcym, który potrafi go przełknąć i nie zwrócić na stół zawartości swojego pojedynczego żołądka. Chodź.

Granger próbował podważyć logikę tego stwierdzenia, ale nie zdołał, więc posłusznie ruszył za Klollogeszem. Trojaczek poprowadził ich pośpiesznie przez kolejny labirynt pokoi, sal i korytarzy. Od czasu do czasu któreś z itarańskich dzieci odrywało się od grupy i próbowało bawić się przedmiotami, na jakie natknęło się w mijanym pomieszczeniu, albo prowokowało do odbiegania inne dzieci, ale za każdym razem Klollogesz przywoływał je do porządku warknięciem, którego translator nie potrafił przełożyć, choć sens był całkowicie jasny i dla małych Itaran, i dla trzech ludzi.

Wkrótce też stało się jasne, dokąd zmierzają – opuścili wieżę i znaleźli się na lądowisku, jednak nie tym, na którym czekała korweta. Granger rozejrzał się, ale „Legenda” znajdowała się na innej płycie, około ćwierci kilometra od nich. Tutaj natomiast dwóch Trojaczków stało przy trapie jednego ze swoich statków i ponaglało ich gestami, aby się pośpieszyli z wejściem na pokład.

Jasper zatrzymał się jako pierwszy.

– Chwileczkę, a co z „Legendą”? Dlaczego nie zabieramy mojego statku?

Klollogesz pokiwał na niego palcem.

– *Plohlosz szlogun* to niebezpieczne, żebyście odlecieli swoim statkiem *dharmasza ghosz*. *Gilimsza goszaga*. *Roliszlik goszantik gasz*.

Translator chyba miał coraz więcej problemów z wypowiedziami itarańskiego przywódcy.

– Myślisz, że Oppenheimer czyha na „Legendę”? Dlatego bezpieczniej będzie na jednym z twoich statków?

– Ha! Zupełnie jakbyś czytał w moich myślach, zanim wypowiem słowa *tlohtla szogosz. Goszaga tlof*. Opowieści o tobie nawet w połowie nie oddają twojej wielkości, Starcze-i-Tak-Dalej. *Tlohtla goszag sa szalta*. – Klollogesz podniósł wzrok na odległe sklepienie podziemnej jaskini, wielkiej jak cały świat.

Granger podążył za jego spojrzeniem. W oddali dostrzegł rozbłyśki, mniej więcej w połowie odległości między sklepieniem a dnem jaskinioświata.

– Co to jest?

– Technologia, którą nam podarowałaś, Starcze-i-Tak-Dalej, wieki temu *dloszlag gloszlag sa sza*. Dzięki niej możemy żyć pod powierzchnią Itar 3. Smuci mnie bardzo, że musimy stąd odejść. *Ginzaga glosz*. – Itaranin pochylił się do jednego z pobliskich urządzeń. – Musicie się pośpieszyć. Jeszcze gorsi ludzie są już blisko.

– Findiri?

– Tak. *Gloszag tlitlif. Gingza gryk klollog. Gunza tlosz. Gingza gryk tallog sta*.

Granger zerknął na Qwerty’ego, a ten na podręczny translator. Wzruszył ramionami. Urządzenie zapiszczało i Qwerty dotknął wyświetlacza.

„Transmisja szerokopasmowa od naczelnego admirała Oppenheimera” – głosił komunikat, a twarz dowódcy floty pojawiła się na ekranie.

– Wiadomość do wszystkich istot rozumnych pod powierzchnią i na orbicie Chantany 3 – zaczął Oppenheimer. Odczekał, żeby jego automatyczny translator przełożył frazę na itarański, a przynajmniej tak się Grangerowi wydawało. – Wytropiliśmy zdrajcę Timothy’ego Grangera na tej planecie. Nie mamy sporu ani z Itaranami, ani z Eru. Muszę was jednak ostrzec, że jeżeli nie wydacie zdrajcy i nie sprowadzicie go na mój okręt, poniesiecie surowe konsekwencje.

Translator skończył przekładać wiadomość i ucichł. Ku zaskoczeniu Grangera Klollogesz podszedł do ekranu na ścianie. Gdy

go włączył, pojawiła się twarz Oppenheimera, a Itaranin przemówił, uprzednio przywoławszy Qwerty'ego, aby wykorzystać jego podręcznego tłumacza.

– Dowódco Oppen. *Fligli gosz* mogę potwierdzić, że Starzec-i-Tak-Dalej jest wśród nas, *dasz szoglin*.

Oppenheimer wysłuchał tłumaczenia. Wyglądał, jakby nie rozumiał.

– Chodzi o Grangera, admirale – wyjaśnił Qwerty.

– No to masz dwadzieścia minut, aby dostarczyć go na pokład mojego okrętu – stwierdził Oppenheimer.

Klologesz wydał odgłos ni to śmiechu, ni to pogardliwego prychnięcia. A może coś mu utknęło w gardle.

– *Fliglisz gasz*, a co zrobisz, jeśli odmówię?

– Twój świat zostanie przejęty przez moje siły i znajdzie się pod okupacją. Stracisz przywództwo, a Chantana 3 będzie kolejnym światem w Imperium Humano-Findirskim. Grangera natomiast i tak złapiemy.

– Masz siły, którymi mógłbyś poprzeć tę zabawną groźbę, *plohlosz szlogun?*

Oppenheimer wyglądał na rozgniewanego.

– Sam sprawdź. – Opuścił wzrok i kliknął coś na konsoli niewidocznej na ekranie. Potem podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko. – Zakładam, że masz działające detektory? A nawet jeżeli nie, wystarczy, że popatrzysz w górę.

Granger zerknął na swój datapad, podłączony do „Legendy”, i włączył detektory korwety, aby przeskanować najbliższą przestrzeń wokół Chantany 3. Cztery wielkie pancerniki Findiri właśnie zmaterializowały się po skoku kwantowym i zaczęły opuszczać na niską orbitę planety.

Granger ze zgrozą spojrział na przywódcę Itaran.

Klologesz odpowiedział krótko:

– Przyjmujemy twoje wyzwanie. *Darmasza gosz* i, muszę dodać, bez wahania. To koniec naszej rozmowy. – Puknął w ekran i wyłączył aparaturę.

– Nie! – sprzeciwił się Granger gwałtownie. – Nie pozwolę, abyś poświęcił dla mnie cały świat.

Klollogesz uniósł rękę dłonią do dołu. Miało to oznaczać...
zapewnienie?

– Przewidziałem to, Starcze-i-Tak-Dalej, *gilimsza goszaga*. Stanowiło to nieuchronną część opowieści. Właśnie dlatego większość mieszkańców planety została już ewakuowana *rholiszilik goszantik gasz*.

– Ale to twój świat. Twoje miejsce. Twój dom. Nie chcę patrzeć, jak go tracisz.

Itaranin nadal trzymał dłoń uniesioną w geście pokrzepienia.

– Czym jest świat bez ludu? *Tlohtla szogosz*. Czym jest dom bez rodziny? *Goszaga tlot* to tylko miejsca w przestrzeni, nic więcej. Mamy inne miejsca w kosmosie, inne domy, inne światy *tlohtla goszag sa szalta*.

Grangerowi zabrakło słów, tak wielkie wrażenie wywarła na nim postawa Trojaczka. Itarańska przezorność też zasługiwała na głęboki szacunek.

– Ale... wybacz, przywódcu Klollogeszu, nie rozumiem. Jeżeli to przewidziałeś, dlaczego nie jesteśmy na jednym z twoich statków, tylko wciąż tutaj?

Klollogesz opuścił dłoń i odchylił głowę.

– Ha! Ha! Ha! – Zerknął na Grangera. – Czy to wystarczający ludzki śmiech jako reakcja na twoje naiwne i bardzo zabawne pytanie? *Dloszlag gloszlag sa sza*. Jeżeli nie, dodam więcej. Ha-ha-ha-ha! HAAA!

„Och, te Trojaczki...”

Granger zmusił się do uśmiechu przez zaciśnięte zęby.

– Nie wiem, co jest zabawne, przywódcu Klollogeszu.

– *Ginzaga glosz*, oczywiście, że nie wiesz! Wredny-Małomówny-Starzec-Który-Lubi-Ciszę-Etanol-i-Długi-Namysł-a-Potem-Wpada-w-Szał-Nerwowej-Pracy-i-Działania-oraz-Ma-Wielką-Mądrość-i-Przenikliwość-choć-Stanowczo-Temu-Zaprzecza według starych opowieści zawsze był mało zabawny i rzadko się śmiał, zupełnie jak ty, więc czemu miałbyś zrozumieć coś tak zabawnego *gloszag tlitlit*?

– No... – Granger umilkł. Nie miał pojęcia, jak odpowiedzieć na tę logikę.

– To zabawne, Starcze-i-Tak-Dalej, *gingza gryk klollog*, bo źli ludzie i jeszcze gorsi teraz spróbują pojmać cię siłą!

Jasper, który im dłużej trwała rozmowa, w tym większe zdenerwowanie popadał, nie wytrzymał.

– I jakim cudem to dobrze? – wykrzyknął.

– Ponieważ, młodszy, zapalczywy człowieku, *gunza tlosz*, ci ludzie wylądują tutaj albo zbliżą się jeszcze bardziej do planety, a w jej eksplozji, kiedy ta nastąpi, niechybnie poniosą śmierć. *Gingza gryk tallog sta*. Zresztą Wielka Opowieść wymaga śmiałej, heroicznej ucieczki wielkiego przywódcy Starca-i-Tak-Dalej, jak stało się to dawno temu.

Qwerty popatrzył na swój datapad.

– Uch, kapitanie, nadlatują. – Podniósł wzrok znad wyświetlacza.

– Sporo ich. Wygląda na to, że zbliżają się pełne siły inwazyjne Findiri.

Rozdział 32

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 OZF „WYZWANIE” MOSTEK

– Gdzie jest?

Komandor Ethan Zivik siedział w fotelu pierwszego oficera i wbijał gniewne spojrzenie to w główny ekran, na którym widniała jałowa powierzchnia Chantany 3 i unoszący się nad nią statek Eru, to w byłego prezydenta Sepulvedę, który wciąż zajmował fotel kapitana.

– Brak odczytów obecności „Volza” w układzie – odparł Rice. – Och. Niedobrze.

– Co? – zapytali chórem Sepulveda i Zivik.

– Po drugiej stronie planety mam odczyty grupy okrętów Findiri, które właśnie zakończyły skok kwantowy na orbitę Chantany. Jest z nimi „Śmiałek”, okręt Oppenheimera.

Zivik wstał. Mógł myśleć tylko o Jerushy, ale wiedział, że ma obowiązki.

– Co robią?

– Wygląda na to, że Findiri właśnie wysyłają transportowce pod osłoną myśliwców. – Rice wyglądał na mocno zaniepokojonego. – To wygląda na inwazję, kapitanie.

Zivik zacisnął dłonie na oparciu fotela Rice’a.

Jasna cholera! Zamierzał znaleźć „Volza” i dowiedzieć się, kto lub co zabiło jego narzeczoną. Nie chciał się mieszać do starcia, aby ocalić obcy świat.

– My przeciwko czterem okrętom Findiri. Nie podoba mi się dysproporcja sił. Obawiam się, że Trojaczki będą musiały radzić sobie bez...

– Kapitanie! – przerwała mu chorąży Platt znad stanowiska łączności. – Przechwyciłam przekaz, rozmowę między Oppenheimerem, przywódcą Itaran i kapitanem Grangerem!

– Co? Granger jest tutaj? – Zivik podbiegł do stanowiska łączności i spojrzał na dane. Zdołał jeszcze usłyszeć końcówkę rozmowy, tuż zanim przywódca Trojaczków i Granger przerwali transmisję. – Szlag, to zmienia postać rzeczy. Uwaga, załoga, przygotować się do bitwy.

Sepulveda obrócił się w fotelu i posłał mu gniewne spojrzenie.

– A niby co zamierza pan osiągnąć, gdy zaatakuje pan Findiri jednym ziemskim okrętem?

– Gdy stawką jest życie Grangera? To proste. Zamierzamy osiągnąć wszystko, co się, kurwa, uda. A teraz wybacz pan, były prezydencie, ale mam bitwę do zaplanowania, a zajmuje pan moje miejsce.

Mina Sepulvedy była warta tej nieuprzejmości.

„Szlag, przyjemne uczucie”.

Sepulveda wstał i – zapewne zdawszy sobie sprawę ze swojej beużyteczności – oburzony ruszył na tył mostka i do grodzi.

– Myślałem, że nigdy się go nie pozbędziemy – wyszeptał Rice.

Zivikowi przynajmniej udało się zrobić coś, co spodobało się załodze.

„No to pora zwyciężyć w bitwie, w której zwycięstwo jest niemożliwe”.

– Uwaga, załoga, wszyscy na stanowiska bojowe. Włączyć kamuflaż. Przygotować działa, wyrzutnie i lasery.

– Uch, kapitanie? – wtrącił Rice.

– Co?

– Zdajesz sobie sprawę, że jest tu tylko podstawowa załoga, a ten okręt w ogóle nie został zaprojektowany dla wielu ludzi?

– Chcesz mi powiedzieć, że nie mamy zespołu do obsługi broni?

Rice potrząsnął głową.

– Och, mamy, tylko że ma na imię Greg. Porucznik Koskinen.

– Cudownie. Przekaż Gregowi, żeby postarał się przygotować jakąkolwiek broń do strzału. A skoro już przy tym jesteśmy... – Zivik rozejrzał się po mostku. Ilu ludzi tutaj potrzebował? – Ty, ty i ty dołączcie do Koskinena.

Wskazał, jak miał nadzieję, na piąte koła u wozu przy różnych stanowiskach. Trzech chorążych wstało i wybiegło z mostka.

– Połączyć mnie z Grangerem. Niska moc, największy możliwy promień. Lepiej, żebyśmy się nie ujawnili, gdy mamy włączone maskowanie.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedziała Platt. Minęło kilkanaście sekund, zanim odezwała się ponownie. – Mam go. Tylko audio, wąskie pasmo, niskie częstotliwości. Mniejsze szanse na zdradzenie się spod maskowania.

– Kapitanie Granger? Tu Ethan Zivik. Jestem na „Wyzwaniu”. Jaka sytuacja? Jakie rozkazy?

– Sytuacja? Cztery duże jednostki Findiri zaraz znajdą się na Chantanie 3. Rozkazy? Wynocha stąd jak najszybciej. Sam też to zrobię, gdy tylko dotrę na swój statek, więc bądź gotów na...

Przerwały mu zakłócenia statyczne, łomot eksplozji poniósł się przez głośniki. Jeden z okrętów Findiri, który orbitował wystarczająco wysoko nad horyzontem, żeby był dobrze widoczny, wystrzelił pulsujący czerwono-fioletowy promień w powierzchnię planety. I zaraz potem go zgasił.

– Kapitanie, jest pan cały?

– W porządku, nic nam nie jest. Findiri zniszczyli tylko mój statek. Pewnie go namierzili wcześniej.

Zivik pokręcił głową.

– Dobrze, schodzimy po pana. Sternik, oblicz....

– Nie! Znajdziemy inny sposób. Jesteś na „Wyzwaniu”? Kryj się pod maskowaniem i czekaj w gotowości. Granger, bez odbioru.

Transmisja się urwała.

– Szlag – wymamrotał Zivik pod nosem. Usiadł w fotelu kapitańskim i zabębnił palcami o podłokietniki.

„Tracę czas, a morderca Jerushy jest wolny”.

– Zróbcie obliczenia do skoku kwantowego na lokację Grangera. Nawigator obrócił się do niego i spojrzał z niedowierzaniem.

– Kapitanie?

– Słyszałeś. Są tam przynajmniej trzy kilometry wolnej przestrzeni, a „Wyzwanie” nie jest aż tak duże. Wlecimy tam i, miejmy nadzieję, wylecimy.

Rice podchwycił jego spojrzenie.

– Jesteś pewien? Jeżeli są tam już Findiri i ich myśliwce, w tak ciasnej przestrzeni załatwią nas w okamgnieniu.

– Bez nas w okamgnieniu załatwią Grangera. Zresztą... – Zivik wstał i ruszył do wyjścia. – „Wyzwanie” nie zostanie tam długo. Powiadom hangar, niech obsługa techniczna przygotuje moją maszynę.

Rice wzruszył ramionami.

– Obsługa techniczna ma na imię Doris. Powiem jej, że idziesz.

Rozdział 33

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 OZF „WYZWANIE” MOSTEK

Kiedy komandor Zivik zszedł z mostka, Rice odesłał chorąży Platt ze stanowiska łączności.

– Wywołam hangar. Pomóż na stanowisku taktycznym.

– Tak jest, komandorze. – Platt zasalutowała i wycofała się na drugą stronę mostka.

Rice wpisał kod i połączył się z hangarem.

– Starsza bosman Grimm?

– No? Tu Doris – zabrzmiała odpowiedź.

– Zivik idzie do hangaru, trzeba przygotować jego myśliwiec do startu.

– Robi się, szefie. Doris, bez odbioru.

Rice przełączył się na wąską wiązkę transmitera metaprzestrzennego i zmniejszył moc do minimum, a potem wpisał wiadomość tekstową, która wymagała o wiele mniej energii niż głosowa.

„Do: admirał Oppenheimer. »Wyzwanie« zamaskowane czeka na dalsze rozkazy. Cel pod powierzchnią planety”.

Kilka minut później nadeszła odpowiedź:

„Czekać w gotowości. Findiri chcą tylko celu, żywego lub martwego – najwyraźniej wystarczy im jego DNA. Jeżeli stąd uciekniesz, ściągnij go na Ziemię, nawet jeżeli to cię odsłoni. Oppenheimer”.

Rozdział 34

SEKTOR KIJOWSKI WYSOKA ORBITA NAD BIAŁORUSIĄ STACJA BADAWCZA SMOLEŃSK GABINET WICEPREZESA SHANKARA

– Przyjrzałaś się dobrze?

Omal nie podskoczyła.

Szlag. Przeliczyła się, jeśli chodzi o działanie środka usypiającego na wiceprezesa Shankara.

– Hej... – zaczęła niepewnie. – Mogę wyjaśnić...

Simon Shankar splótł ramiona na piersi i zmierzył ją spojrzeniem, w którym niechęć mieszała się z ciekawością.

– Co to było? Niech zgadnę, minidrzemka? Wiesz, że ten środek opracowaliśmy właśnie tutaj, na Smoleńsku? Zjednoczona Flota sporo nam za niego zapłaciła.

– No... Tak, minidrzemka.

– Cholera. Nie pamiętam nawet, jak mnie nią uspiłaś. To głównie jest niezłe.

Fiona cofnęła się od terminala, a Shankar zerknął na ekran.

– Przypuszczam, że jesteś z Cooper. Jesteś planem B? Na wypadek gdybym odmówił?

– Coś w tym rodzaju.

– No to bez obaw, kochanie. Twoja szefowa wyszła dokładnie z tym, czego chciała, wbrew... – Machnięciem ręki wskazał monitor swojego komputera. – Wbrew sprzeciwom nadętych polityków.

– Nie podoba się panu nowy prezes zarządu? – zapytała Liu zaciekawiona.

– Prezesi przychodzą i odchodzą. Zwykle znają swoje miejsce i pozostają przy podlizywaniu się politykom oraz upewnianiu się, że pieniądze płyną jak należy. Ale ten facet wyobraża sobie, że jest prezesem zarządu i firmy oraz przywódcą republiki galaktycznej w jednym. Ambitny drań jak na umarlaka.

Fiona Liu zmrużyła oczy.

– Co pan ma na myśli?

Shankar wyszczerzył się w uśmiechu.

– Nie wierzysz, co? No bo kto by uwierzył? Tutaj z pewnością nikt, gwarantuję. Curiel był martwy. Zimny trup. A ten facet? Cholera wie, co to za jeden. Nigdy osobiście go nie spotkałem. Może to jakiś lizus, któremu udało się omamić połowę zarządu, żeby zyskać głosy, albo zarząd mu pomaga.

– Ja go spotkałam – powiedziała Fiona.

Shankar spojrział na nią uważnie.

– Naprawdę? I co?

– Z pewnością wyglądał dokładnie jak Curiel. I mówił jak Curiel. Nie mam pojęcia, jak można to podrobić.

– Protezy i makijaż w tych czasach czynią cuda. I jeszcze syntezatory głosu dla lepszego efektu. Jedno wiem na pewno: Curiel jest martwy. A ten facet? Nie mam, kurwa, pojęcia, co to za jeden.

Liu z namysłem pokiwała głową.

– I właśnie dlatego pomaga pan mojej szefowej?

– I właśnie dlatego pomagam twojej szefowej. Ja i kilku innych głównych dyrektorów. Jesteśmy pewni, że prezes chce do czegoś wykorzystać to podżycie, więc postaraliśmy się, żeby przydało się też komuś innemu.

– Nie martwi pana, co Cooper z tym zrobi?

– Z Sokiem? Dostaliśmy prekursor właśnie od ważniaków ze Zjednoczonej Ziemi. Jesteś z wywiadu Zjednoczonej Floty, powinnaś wiedzieć, jak to działa. Pewnie uczycie się tego w pierwszej klasie szkoły wywiadu czy jak to się nazywa. Wcześniej też to robiono. Generał Norton rozkazał kapitan Shelby Proctor zbombardować ojczysty świat Valarisi. Przeorała całą powierzchnię. Ale nawet wtedy wywiad floty zachował trochę materii tych obcych, tylko próbkę, jak zapewniono, i dobrze ją schował. Trzydzieści lat później admirał Oppenheimer prowadzi flotę przeciwko statkowi, który

pojawił się nagle i narobił zamieszania wśród naszych planet i okrętów, a szalony samozwańczy prorok Huntsman przejmuje przywództwo nad grangerystami oraz niemal całym GKL. I wtedy, jak należało się domyślić, próbki zaginęły. Tyle tylko, że nie. Wywiad Zjednoczonej Floty dokładnie wiedział, gdzie się podziały. Przekazano je nam. W zamian za... pewne usługi.

„Nie przestawaj mówić, lizusie” – pomyślała Fiona.

– A wy, chłopcy, przeprowadziliście doświadczenia i zmieniliście te próbki w Sok.

Shankar wzruszył ramionami.

– Mniej więcej, ogólnie rzecz biorąc. Mieliśmy kilka potknięć, zanim się udało.

Fiona wyczuła, że dotarła do kluczowych informacji. Do przełomu.

– Jak właściwie działa ten Sok?

Ku jej rozczarowaniu Shankar wzruszył ramionami.

– Nikt nie wie na pewno. Nie mieliśmy jeszcze okazji go przetestować. Właśnie dlatego to wszystko się stało. – Zatoczył ramieniem wokół gabinetu, jakby chciał wskazać, że chodzi mu o to, co wydarzyło się za pancernymi ścianami stacji: zniszczenie stolicy Białorusi. – Cały ten bałagan. Przegrana władza będzie bardziej elastyczna z regulacjami odnoszącymi się do naszych badań. Już niedługo osiągniemy cel. No a Zjednoczona Ziemia to nasz pierwszy i najlepszy klient.

Czyli Shovik-Orion rzeczywiście maczało palce w rozognieniu wojny domowej na Białorusi. Potwory.

– Mądre priorytety – pochwaliła Fiona.

„Niech mówi” – pomyślała.

– Jest pan pewien, że nasze cele są zbieżne?

– Czemu miałyby być inaczej? Nikomu z nas nie podoba się, że wróg okupuje Ziemię. Nikomu też nie podoba się przyszłość, w której Konfederacja Rosyjska, Chińczycy i Kalifat sieją niezgodę, gdy atakują nas wrogowie. Pomyśl tylko, co moglibyśmy osiągnąć dzięki Sokowi. Kontrolowanie miliardowej armii z jednego komputera. Myślisz, że Rosjanie utrzymają chłodne, nieprzyjazne stosunki ze Zjednoczoną Ziemią, gdy ich władze zostaną zaprogramowane, żeby nas kochać? Myślisz, że Findiri będą mieli

choć cień szansy, gdy cała populacja Ziemi stawi im opór jako zsynchronizowana i zgodna armia, działająca w harmonii i razem? Zwłaszcza że wystarczy, aby Cooper tylko nacisnęła kilka guzików?

Liu uśmiechnęła się krzywo.

– A wszystko to w promocji, czyli za jaką cenę...?

– Cztery raty łatwe do spłacenia z... och, budżetu Zjednoczonej Floty na trzydzieści lat.

– I tyle?

– Widzisz? – uśmiechnął się wiceprezes. – To samo powiedziałem Cooper! Ale ona umie się targować, przebiegła żmija.

Pokręcił głową, żeby rozluźnić kark, i przetarł oczy, żeby pozbyć się resztek otumanienia po środku nasennym, który zaaplikowała mu Fiona.

– Powinnaś już iść. Twoja szefowa pewnie już skończyła obchód. Och! – Pstryknął palcami. – I powiedz jej, że jeśli jeszcze raz naśle na mnie swoją agentkę, która mnie uśpi i zacznie przeglądać moje dane, to takiej agentce nie uda się ujść z życiem.

„Chciałbyś, co?” – pomyślała Fiona, ale odpowiedziała mężczyźnie uśmiechem.

– Przekażę.

Shankar wstał i odprowadził ją do drzwi, a potem cicho je zatrzasnął za jej plecami. Gdy wracała korytarzem przez stację, w umyśle usłyszała głos Danny’ego.

Skończyłaś?

Tak, przed chwilą. A ty? Jak ci idzie?

Wyobraź sobie, że nawet pozwolili mi skorzystać z toalety! A potem odprowadzili na „Feniksa”. Poszło łatwiej, niż myślałem.

Świetnie. Już wracam. Mam interesujące wieści.

Zdołała dostać się do służby na zewnętrznym pierścieniu stacji, do którego cumował „Szkarłatny Feniks”. Ochroniarz na jej widok wytrzeszczył oczy.

– Ale...

– Dziękuję, jeszcze minuta i chyba bym narobiła w spodnie. – Uśmiechnęła się promiennie do zaskoczonego mężczyzny, po czym przeszła przez gródź i na statek, zanim zdążył znowu się odezwać.

Danny siedział w kuchni nad kubkiem kawy. Fiona usiadła przy nim i przekazała wszystko, czego się dowiedziała.

Słuchał w milczeniu, tylko od czasu do czasu potrząsał głową z niedowierzaniem. Wreszcie stwierdził:

– Czyli byłem ich zwierzątkiem doświadczalnym.

– Na to wychodzi.

– Ale żyję, więc nie mogę mieć pretensji. I cały gatunek Valarisu też.

No, dzięki za to – wtrącił towarzysz Fiony.

Kobieta zaśmiała się, bo Valarisu wyraźnie zaczynał przejmować jej oschłe poczucie humoru. On? To? Ona? Czy płynna istota może posiadać płęć?

Zastanowiła się nad tym.

Hej, właśnie sobie uświadomiłam, że nawet nie wiem, jak się do ciebie zwracać. Masz imię?

Nie. Po co?

Może się przydać – odparła Fiona. To lepsze niż wołanie: „Hej, ty”.

Skąd mam wziąć imię?

No... Możesz sobie jakieś wybrać.

Tak wybrałaś swoje?

Nie, tak nazwali mnie rodzice.

Czyli powinnaś nazwać mnie. W pewnym sensie jesteś moim rodzicem. Kiedy się połączyliśmy, dla mnie były to narodziny.

Hm, dobra... Fiona zastanowiła się przez chwilę.

– Masz jakiś pomysł, jak dać na imię towarzyszowi?

– Ty też, co? Właśnie o tym rozmawiałem ze swoim.

Liu pochyliła się do dyspensera napojów i zaprogramowała kawę dla siebie. Maszyna włączyła się z cichym warczeniem.

– Technicznie rzecz biorąc, nasi towarzysze to praktycznie rodzeństwo. Czy może twój to rodzic mojego? Wtedy ja i twój towarzysz będziemy rodzicami. A ty...

– Dziadkiem – zaśmiał się Danny.

– Co powiecie na Jack i Diana?

Danny parsknął śmiechem.

– Co? Jak w piosence?

– Nie wiem! To pierwsze, co mi przyszło do głowy! – Fiona sięgnęła po kubek z kawą, który pojawił się w podajniku dyspensera.

– Bonnie i Clyde – zaproponował Danny.

- Luke i Leia.
- Salt i Pepper.
- Sonny i Cher.
- Thelma i Louise.
- Pierwszy i Drugi.
- Barbie i Ken.
- Rum i Cola.
- Śmierć i Podatek.
- Ogień i Miecz.
- Tarzan i Jane.
- Próba i Błąd.
- Bolek i Lolek.
- Jacek i Agatka.
- Romeo i Julia.
- Popeye i Oliwka.
- Salt i Pepper.

Fiona wycelowwała w niego palec.

- Już to mówiłeś. Wygrałam.
- Niech to cholera.
- Jack i Diana. Pierwsza myśl zawsze najlepsza.

Danny zabębnił palcami w blat.

- Dobra. Właściwie podoba mi się twój pomysł.

Mnie też – odezwał się towarzysz Fiony.

Tak? Diana?

Tak. Diana mi się podoba. A Jack też lubi swoje imię.

No to ustalone. Jack i Diana. Fiona spojrzała na Danny'ego.

- Naszym towarzyszom też się podoba.
- No to ustalone. I dobrze. Zmęczyło mnie mówienie do niego „hej, ty”. A skoro już o tym mowa... Jack, właściwie dlaczego uważasz, że jesteś chłopcem?

Liu usłyszała odpowiedź we własnym umyśle. Czują, że mentalny głos towarzysza Danny'ego odrobinę różni się od jej Valarisi, z pewnością miał własną osobowość.

Pewnie ze względu na mojego wielkiego penisa, Danny.

Oboje parsknęli śmiechem.

- Boże, on nawet mówi jak ty – wydusiła Fiona, chichocząc. – Jaki ojciec, taki syn.

Po raz pierwszy od dawna pozwolili sobie cieszyć się chwilą. Po zagładzie Brytanii i stracie przyjaciół, okupacji Ziemi i wielu innych katastrofach, nie mieli zbyt wielu okazji, aby się po prostu śmiać i zapomnieć o strachu.

Nie mogło to jednak trwać długo – rzeczywistość upomniała się o swoje. W głośnikach rozległ się głos Cooper:

– Panie Proctor, wycieczka dobiegła końca, więc wracam na pokład. Proszę się przygotować, odlatujemy, gdy tylko się pojawię.

– Obowiązki wzywają – powiedział Danny, po czym włączył słuchawki. – Przyjąłem, pani prezydent.

Potem się rozłączył i spojrzał na Fionę.

– Co sądzisz?

– Co sądzę o tym, że nowy prezes zarządu Shovik-Orion, który może wcale nie jest tym, za kogo się podaje, nakazał swojemu personelowi, żeby nie dawał nic Cooper, a oni nie posłuchali i zrobili coś przeciwnego? Jak myślisz, co sądzę?

– Myślę, że pora wziąć sprawy we własne ręce.

– Pełna zgoda.

W umysłach usłyszeli swoich towarzyszy:

My też tak uważamy.

– Czyli postanowione. Pozostaje tylko kwestia, jak to zrobimy.

Zamilkli, zastanawiając się, co mogą zrobić i jakie poważne grożą im konsekwencje za podejmowanie działań przeciwko prezydent Zjednoczonej Ziemi, gdy na dodatek zostali zatrudnieni, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

W śluzie przycumowanej do stacji rozległ się syk otwieranej grodzi. Para wstała, gdy Cooper weszła na pokład. W jednej ręce trzymała burrito, które od razu podała Fionie.

– Odgrzej to dla mnie, kochana, umieram z głodu.

– Tak jest, ma'am. – Liu wzięła burrito i spojrzała jeszcze na walizkę, którą starsza kobieta trzymała w drugiej ręce. – A co tu pani ma?

– Jak mówiłam wcześniej, to was nie dotyczy. Nie musicie wiedzieć. – Spojrzała surowo na Danny'ego. – Wracajmy na Ziemię, zanim więcej ludzi zginie z rąk tych potworów.

– Tak jest, ma'am – odpowiedział Danny. A Fionie przekazał w myślach: *Wymyślimy, co zrobić, gdy będziemy na Ziemi. Jeżeli*

*dostała ten Sok, nie możemy jej pozwolić, by go użyła.
A jeśli nam się nie uda?
Posłał jej krzywy, nieco smętny uśmiech.
Wtedy umrzemy, próbując.*

Rozdział 35

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 W ITARAŃSKIEJ STOLICY

Wrak niewielkiej korwety płonął w odległości prawie pół kilometra, a mimo to Granger czuł gorąco.

– Cóż – westchnął. – Nie sądzę, żeby Vestigium miało zapasowy statek?

– Cóż – powtórzył po nim Jasper z nutą sarkazmu. – Pewnie coś by się znalazło, gdyby nie odrzucenie propozycji, żeby flota Vestigium eskortowała ten.

– Cóż! Cieszę się, że zabrałem to ze sobą! – Qwerty uniósł aktówkę, w której nosił oba egzemplarze Manuskryptu Wojnicza, ten z Ziemi i wersję obcych.

Granger spojrział na Klollogesza.

– Przydałaby mi się podwózka. Domyślam się, że ty również odlatujesz?

Klollogesz uderzył się pięścią w pierś, ale Granger nie wiedział, jak ma zinterpretować ten gest.

– *Fligli gosz*, tak, zamierzam stąd odlecieć. Ale na razie polećcie z nimi. – Wskazał na dwóch Trojaczków stojących przy włączu do statku. – Zabiorą was na wielki statek Eru na niebie *dasz szoglin*.

– Nie lecisz z nami? – zdziwił się Jasper.

– Mam do załatwienia ostatnią sprawę, młody człowieku *fliglisz gasz*. Ale wkrótce też opuszczę ten świat. – Itaranin ponownie uderzył się w pierś, tym razem w stronę dwóch czekających Trojaczków, a potem odszedł wraz z dziećmi, które radośnie

szczebiotały między sobą, jakby całe zajście stanowiło jedynie przerywnik w zabawie albo w opowiadanej właśnie historii.

– Proszę, chodź z nami, Starcze-i-Tak-Dalej – powiedział jeden z Trojaczków.

– Czy na tym w ogóle można latać? – szepnął Jasper niepewnie. – Wygląda, jakby trzymało się na taśmie klejącej, drucie i kupie nadziei...

– Będzie dobrze. – Granger machnięciem ręki zagonił jego i Qwerty'ego do otwartego trapu.

W środku zapięli pasy – przynajmniej ten aspekt podróży kosmicznych był taki sam jak na statkach ludzi, choć pas Qwerty'ego się zaciął i mężczyzna musiał zmienić miejsce.

– Trzymajcie się mocno, ludzie. Będziemy lecieć bardzo szybko – ostrzegł Trojaczek, który zajął fotel pilota.

– Nie martw się, jesteśmy przyzwyczajeni – zapewnił Granger.

– Tato! Patrz! – Jasper wskazał na widok za oknem. Granger nie miał czasu go napomnieć, żeby nie mówił do niego „tato”, bo dostrzegł formację transportowców i myśliwców Findiri, zmierzających prosto na itarański prom.

– Wiejmy, proszę – rzucił Granger.

Jeden z Trojaczków spojrział na niego bez zrozumienia.

– Wiać? Ale jak?

– Leć!

Pilot podciągnął orczyk i prom wzbił się w górę zaskakująco szybko, choć Granger wolałby, aby itarańska technologia redukcji inercji była bardziej zaawansowana, bo żołądek niemal utkwiał mu w gardle przy tym starcie.

Prom pomknął naprzód. W kilka sekund rozpędził się do zawrotnej prędkości, jednak myśliwce Findiri pozostały na jego ogonie. Transportowce osiadły na lądowisku, które Trojaczki właśnie opuściły, ale myśliwce nie porzuciły pościgu. Kabinę rozświetliły oślepiająco jasne rozbłyski wystrzałów z broni energetycznej.

– Niech to szlag. Nie znacie żadnych manewrów unikowych? – zaniepokoił się Jasper. – Albo może... no nie wiem, może by ich ostrzelać?

– Latałem tylko kilka razy przez trzy po trzy dniowe cykle, młody człowieku. A mój towarzysz to ledwie dojrzałe dziecko. Na niewiele na razie się przyda.

Granger, Jasper i Qwerty popatrzyli na siebie. Na ich twarzach malował się ten sam wyraz, odzwierciedlający tę samą myśl: „O Boże! Zaraz zginiemy, prawda?”.

– No tak. Wstawaj. Już. Tak, dobrze słyszałeś. – Granger rozpiął pasy i stanął nad pilotem.

– Starcze-i-Tak-Dalej! Dostałem rozkaz, by zabrać cię na bezpieczny statek Eru! Proszę, wróć na miejsce i zapnij...

– ZABIERAJ SWÓJ ITARAŃSKI TYŁEK Z FOTEŁA ALBO SAM CIĘ ZRUCĘ! – ryknął Granger.

Pilot wytrzeszczył oczy, ale od razu wyskoczył z fotela i czym prędzej wycofał się na siedzenie, które wcześniej zajmował Granger.

– No dobra... Wszystkie statki w zasadzie działają tak samo... – wymamrotał Granger. – Tu jest przepustnica, tu orczyk, tu wspomaganie...

Poświęcił chwilę, by oswoić się z panelem sterowania, po czym oznajmił z zadowoleniem:

– Trzymajcie się mocno, dzieciaki.

Wcisnął przełącznik akceleratora i skręcił ostro na sterburtę, potem na bakburtę, znowu na sterburtę, a wszystko to pod ostrzałem z karabinów energetycznych najbliższego myśliwca Findiri.

– Starcze-i-Tak-Dalej! Co robisz z naszym statkiem? – zaniepokoił się pilot.

– Ratuję twój tyłek – odwarknął Granger.

– Był za młodu niezłym pilotem myśliwca – dodał Qwerty pokrzepiająco.

Prom Itaran wykonał serię manewrów – pętli, beczek i gwałtownych zwrotów z błyskawicznym przyśpieszeniem, a wszystko to przy akompaniamencie pojękiwań i okrzyków Trojaczków, którzy chyba nie byli przyzwyczajeni do tak ryzykownych lotów.

Jednak Granger przez cały czas się uśmiechał. Nie przypominał sobie, żeby szczerzył się tak radośnie, odkąd odzyskał ciało.

Szybko mu jednak przeszło, gdy spojrzął przed siebie.

– Szlag.
– Co? – Jasper czujnie podniósł głowę.
– Myśliwce Findiri przed nami. Zablockowały nas. – Granger zerknął przez ramię na itarańskiego pilota. – Czy ten prom jest uzbrojony?

– Oczywiście!
– Dobrze... gdzie? Jak mogę użyć uzbrojenia?
– Z tyłu! To dedykowany system namierzający, ale wymaga, aby posługiwała się nim druga osoba. – Itaranin wskazał na rufę niewielkiego promu, gdzie znajdowała się konsola i okno.

– Ile razy używaliście tego systemu?

– Nigdy.

Granger tylko się wzdrygnął.

– No oczywiście. Jasper?

– Robi się!

Młodzieniec rozpiął pasy i wskoczył na fotel przed konsolą uzbrojenia, po czym włączył ją i zaczął zapoznawać się ze sterownikami obsługującymi broń. Na szczęście wieżyczki rufowe zaczęły się obracać, gdy tylko znalazł odpowiednie dźwignie i przełączniki.

– Dobrze! Zaraz zrobimy ciasny zwrot, ale najpierw trzeba się pozbyć myśliwców za nami. Zrozumiałeś? – rzucił Granger.

– Już nie żyją – stwierdził Jasper. Obrócił wieżyczki w różne strony, śledząc manewry myśliwców Findiri, a potem wystrzelił kilka pocisków. Wyglądały jak zwykle kawałki metalu – nic wymyślnego w porównaniu do uzbrojenia Findiri – ale wystarczyły. Pierwszy myśliwiec zmienił się w kulę ognia natychmiast po trafieniu, drugi stracił skrzydło i w beładnym korkociągu zaczął spadać.

– Wspaniale! – ucieszył się Granger. – Jeszcze jeden!

Jasper opuścił lufy działek i posłał serię w trzeciego ze ścigających wrogów, ale tym razem pilot Findiri był przygotowany – robił uniki na burty, jakby przewidywał zamiary młodzieńca.

– Nie mogę trafić tego ostatniego!

– Pośpiesz się! – krzyknął Granger z kokpitu. – Ci z przodu już są prawie nad nami!

– Próbuje – wycedził chłopak. Wypuścił kolejne pociski z równie miernym skutkiem jak poprzednio.

Myśliwiec Findiri nieoczekiwanie eksplodował w chmurze dymu, płomieni i szczątków.

– Ładny strzał – pochwalił Granger.

– Nie mój – odburknął Jasper.

Zanim padło pytanie, kto ostrzelał wroga, włączył się komunikator.

– Bu-um! To pierwszy. Ile jeszcze dla mnie zostawiłeś, staruszk?

Granger od razu rozpoznał głos Ethana Zivika.

– Komandorze? Co, u licha, tutaj robisz?

– Ratuję pański tyłek?

Granger tylko pokiwał głową.

– Racja.

Zerknął na wyświetlacz taktyczny w swoim datapadzie. „Wyzwanie” właśnie wykonało skok kwantowy pod skorupę Chantany 3, zaraz jednak zniknęło, gdy skoczyło ponownie.

– Zivik, pięćdziesiąt kilometrów przed nami znajduje się tunel wylotowy, ale właśnie nadleciała eskadra Findiri...

– No i wszystko jasne!

Maszyna Zivika przeleciała nad promem Trojaczków i pomknęła do zbliżających się myśliwców wroga. W ciągu kilku sekund Granger zrozumiał, dlaczego ten młodziak miał pseudonim „Sukinkot”.

Był szaleńcem. Zupełnym wariatem.

– Sukinkot, ich jest ze dwadzieścia. Poczekaj na nas, nie zgrywaj męczennika.

– Bez obaw, poradzę sobie.

A potem Granger ujrzał coś, czego nie widział od ponad trzydziestu lat – albo czternastu miliardów, zależy, jak liczyć – od czasów, gdy ojciec tego dzieciaka, Tyler Volz, pseudonim „Chojrak”, dokonał podobnego wyczynu, a wszystkim na ten widok opadły szczęki.

Zivik był geniuszem. Sawantem.

– Mój Boże, załatwił połowę już przy pierwszym przelocie – wyszeptał Jasper.

– Ma to we krwi. Albo, używając określeń Klollogesza, przykłada się do Wielkiej Opowieści, tyle że jako drań. – Granger odwrócił się do Trojaczków. – A skoro o nim mowa, odleciał już?

– Kto?

– Wasz przywódca, Klollogesz.

Itaranin nie odpowiedział od razu, wyglądał, jakby się wahał.

– On zostanie. Nie można wywołać eksplozji zdalnie, trzeba ją zainicjować w generatorach grawitacji. Musi tego dokonać osobiście. Nie zdąży uciec.

Grangera zalała wściekłość.

– Nie, no, zaraz, cholera. Powiedział, że pójdzie do własnego statku.

– Powiedział, że ma coś jeszcze do załatwienia, zanim też opuści ten świat.

Nie była to pora na dyskusje, więc Granger po prostu ściągnął orczyk i wykonał zwrot.

– Co robisz? – oburzył się Jasper. – Miałem już jednego wroga na celowniku!

– Nie możemy go zostawić.

Trojaczek z powagą pochylił głowę.

– Naprawdę jesteś wielkim bohaterem z dawnych opowieści. Jednak to musi się wydarzyć, Starcze-i-Tak-Dalej. To ścieżka, którą Klollogesz wybrał dla siebie. Postanowił zaryzykować życie dla swojego świata, jak kiedyś ty dla swojego. Nie musisz się jednak o niego martwić, bez wątpienia wymknie się ostatecznej śmierci. Ma zapewnione miejsce w Wielkiej Opowieści.

Granger zacisnął zęby.

– Sytuacja jest zupełnie inna niż wtedy. Zresztą to bez znaczenia. Niech się zabije, proszę bardzo, skoro mu tak zależy. Ale nie wcześniej, niż dostanę od niego manuskrypt.

Skierował prom z powrotem w kierunku rządowej wieży. Znajdowała się już dość daleko, ale Granger wiedział, czego się spodziewać. Transportowce Findiri właśnie opadły na lądowisko, a przez otwarte włazy wychodzili uzbrojeni po zęby żołnierze.

Rozdział 36

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 OZF „VOLZ” MOSTEK

– Ostatni skok kwantowy – zameldował sternik.

Obraz na głównym ekranie zmienił się i rozświetlona słońcem jałowa kula planety pojawiła się na tle rozgwieźdzonego nieba.

Jak również kilka okrętów bojowych Findiri i jeden krążownik Floty Zjednoczonej Ziemi.

– Szlag. Który to z naszych? – zapytał Shin-Wentworth.

– „Śmiałek”, komandorze – odpowiedział porucznik Mak.

– Odbieram transmisję od naczelnego admirała floty Oppenheimera.

„Kurwa, kurwa, kurwa...”

– Nawigator, oblicz skok kwantowy do miejsca pod skorupą planety. Wysyłam współrzędne. – Shin-Wentworth wpisał pośpiesznie komendy na swojej konsoli, wyświetlając schematyczną mapę wnętrza Chantany 3. Wyszukał jedną z dwuwymiarowych osobliwości i zrobił zbliżenie na budynki poniżej.

– Tam, to musi być ta – wyszeptał, patrząc na spory budynek z ogromną wieżą transmitera metaprzestrzennego na szczycie. Posłał współrzędne miejsca do nawigatora.

– Komandorze? Co mam powiedzieć admirałowi Oppenheimerowi? – zapytał łącznościowiec.

– Niech zaczeka, właśnie wychodzę z gabinetu.

Nawet nie ruszył się z fotela kapitańskiego, czekając na odliczanie do skoku kwantowego pod skorupę planety.

– Mamy zakłócenia z urządzeń lewitujących skorupę – powiedział sternik. – To chwilę potrwa.

„Świetnie” – pomyślał Shin-Wentworth. Zastanawiał się, jak cierpliwy okaże się Oppenheimer. Włączył komunikator.

– Pułkowniku Voorhes? Tu komandor. Ilu marines mamy na pokładzie?

– Dwudziestu ośmiu, komandorze – padła odpowiedź.

– Niech wszyscy się uzbroją i zbiorą w hangarze promów za pięć minut. Tam się spotkamy. Zrozumiano?

– Pięć min... – Łączność się urwała, a Shin-Wentworth wyobraził sobie, że pułkownik zaklął. Zaraz potem włączyła się znowu. – Tak jest, będziemy tam. Voorhes, bez odbioru. DO JASNEJ CHO... – I znowu coś przerwało.

– Czas do skoku?

– W każdej chwili...

Obraz na ekranie znów się zmienił. Tym razem rozgwieżdżone niebo zastąpiła ogromna przestrzeń między spodem skorupy planety a powierzchnią. Shin-Wentworth mógł dostrzec już w dole zabudowania miasta rozciągające się we wszystkich kierunkach. A wyżej, zaledwie kilometr lub dwa w górę...

Migotliwe jasne światło unosiło się w połowie wysokości między sklepieniem a dnem tego gigantycznego jaskinioświata.

– Transmisja z pobliskiego okrętu, komandorze. – Oficer łączności spojrział na swoją konsolę z niedowierzaniem. – Od kapitana Grangera.

„Niech to szlag”. Sytuacja naprawdę bardzo się skomplikowała.

– Połącz – rozkazał Shin-Wentworth.

Głośniki na stanowisku łączności włączyły się z trzaskiem.

– „Chojrak”, tu kapitan Granger. Cholera, jakim cudem wiedzieliście, że tu będziemy? Bardzo się z tego cieszę. Potrzebuję pomocy, to pilne.

– Jak możemy pomóc, kapitanie?

– Ten budynek pod wami jest zajęty przez żołnierzy Findiri. W środku znajduje się przywódca Trojaczków i trzeba go uratować. Macie na pokładzie oddział specjalny?

- Tak, są już uzbrojeni i gotowi do akcji.
- Wspaniale. Niech zejść do budynku, znajdą przywódcę Trojaczków, ewakuują go i uciekają z tego układu. Nie odlatujcie bez przywódcy Itaran. Zrozumiano?
- Zrozumiano, panie kapitanie. Shin-Wentworth, bez odbioru. – A potem mruknął pod nosem, gdy schodził z mostka: – Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Chyba nie mogło być lepiej.

Rozdział 37

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 ITARAŃSKA STOLICA

Itarański prom zatoczył pętlę, zrobił unik i zanurkował w kolejnych manewrach, aby zgubić myśliwiec Findiri.

– Pośpiesz się, chłopcze! – krzyknął Granger do Jaspera.

– Staram się – wycedził Jasper przez zaciśnięte zęby.

Jednak kolejne pociski chybiały o metr albo mniej. Wreszcie...

– Mam go! Trafiłem!

– Świetnie, młody. A teraz powtórz to jeszcze kilkadziesiąt razy. – Granger zerknął na zbliżające się z oddali jednostki.

– Panie kapitanie – odezwał się Qwerty – nie ma opcji, żebyśmy zdołali wylądować, pomóc przywódcy wrócić na pokład, wystartować, przedrzeć się przez pięćdziesiąt myśliwców Findiri, znaleźć tunel wylotowy i zadokować na „Wyzwaniu”. Zwłaszcza że na orbicie wiszą już cztery okręty bojowe Findiri i wściekły admirał Oppenheimer, który który na pewno tylko czeka na okazję, by wysłać na nas własne eskadry.

Uniósł walizkę.

– I nie możemy ryzykować, że to wpadnie w ich ręce.

Granger skrzywił się, ale skinął głową.

– Szlag... – wymamrotał niemal bezgłośnie. Qwerty miał rację. W tej sytuacji tylko Shin-Wentworth mógł dokonać cudu.

– Komandorze Zivik – powiedział przez komunikator – udało się oczyścić mi drogę do wyjścia?

– Och, zrobiłem to kilka minut temu, kapitanie. Na razie strącam transportowce, które wlatują przez otwór.

– Świetnie. Zaraz tam będziemy. Musimy tylko narobić dość zamieszania, żeby odwrócić uwagę od „Volza”, gdy będzie wykonywał swoje zadanie.

Na chwilę po drugiej stronie zapadła cisza.

– Uch, powiedział pan... „Volz”?

– Właśnie wykonał skok kwantowy. Shin-Wentworth wysła oddział komandosów, żeby uratowali Klollogesza. Bardzo by pomogło, gdybyśmy mogli...

– Wszystko jasne.

Zivik przerwał transmisję. Na swoim wyświetlaczu taktycznym Granger zobaczył, jak myśliwiec porzuca swoje stanowisko przy tunelu i mknie w stronę itarańskiej wieży rządowej.

Rozdział 38

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA, NOWY JORK WIEŻOWIEC DEPARTAMENTÓW RZĄDOWYCH ZJEDNOCZONEJ ZIEMI

– Słyszysz ich?

Liu przyłożyła palec do ust.

– Cii! – Ponownie przycisnęła ucho do ściany. Pomieszczenie przypominało ciasny schowek, ale miało tę zaletę, że obok znajdowało się tymczasowe biuro dyrektora Talusa. Sam Talus większość czasu spędzał na pokładzie swojego okrętu flagowego, ale tego dnia praktycznie nie wychodził z budynku rządowego.

– Nie jest dobrze. Niedługo wybiją wszystkich więźniów z Ośrodka Penitencjarnego na Wschodnim Wybrzeżu. Cooper właśnie zaproponowała, żeby wykorzystać więźniów z Europy Wschodniej, ale Talus upiera się przy swoim pomysle, aby użyć przyjaciół i rodzin zbuntowanych oficerów floty.

Danny pokręcił głową z niedowierzaniem. Wydawało się to tak nierealne – Ziemia okupowana przez obcych, którzy dokonywali masowej egzekucji ludzi nie tylko jawnie, ale wręcz ostentacyjnie. Pasowało to bardziej do opowieści grozy o wojnach toczonych na początku tysiąclecia. Wietnam. Chiny. Związek Radziecki. Irak. Alfa Centauri. Nie do wiary, że to samo działo się też obecnie. A przecież Ziemia wiele wycierpiała podczas drugiej wojny z Rojem, zginęły wtedy miliony ludzi. Jednak to, co działo się teraz – zabijanie na czas pokazywane na żywo w mediach – nie przypominało wojny.

To było barbarzyństwo.

Danny również przycisnął ucho do ściany i próbował podsłuchiwać. Fiona chyba jednak miała lepszy słuch, bo sam nic nie wychwytał.

Jack, możesz mi pomóc?

Jasne, że mogę.

No to czemu nie pomagasz?

Bo nie poprosiłeś?

Proszę teraz, cholera.

Jasne. Nie musisz przeklinać, staram ci się zapewnić trochę prywatności we własnych myślach.

Trochę prywatności? Dziwny dobór słów. Czy kiedykolwiek jestem sam ze swoimi myślami, gdy mam ciebie?

Nie.

No właśnie. Tak myślałem. A teraz, proszę, pomóż mi.

Przysunął się ponownie do ściany, ale tym razem jego słuch był wspomagany przez towarzysza, Jacka. A raczej nie tyle słuch Danny'ego, lecz raczej Fiony. To, co usłyszała Liu, jej towarzyszka, Diana, przekazywała Jackowi, a ten Danny'emu.

– ...już mówiłam, to wywoła masowe powstanie, dyrektorze Talus – mówiła właśnie prezydent Cooper. – Zabijanie więźniów? Dobrze. Ludziom się to nie podoba, ale nikt nic z tym nie robi. Zabijanie przypadkowych niewinnych cywilów? Dzieci? Dobry Boże, w ciągu doby będzie pan miał przeciwko sobie rebelię na całym świecie.

– Co z tego? Niech się buntują – odparł Talus z pogardą. – Pozwoli to nam oddzielić lojalnych ludzi od nielojalnych.

– Szacowny dyrektorze – zabrzmiał trzeci głos. Danny go rozpoznał, był to głos Varusa, z którym rozmawiał krótko podczas oczekiwania na prywatny prom. Fiona miała nie tylko lepszy słuch, podczas uzdrawiania Valarisii jeszcze bardziej wyczulił jej i tak wyszkolone zmysły. O ile pamiętał, Varus był prawą ręką Talusa. – Z całym szacunkiem, ale tracimy tylko czas. Nasze matryce genetyczne w komorach ucieleśnienia są na razie stabilne i pozostaną takie jeszcze przez wiele miesięcy, więc przynajmniej na...

– Ha! Twoi żołnierze umierają codziennie dziesiątkami! Ich kod genetyczny jest tak uszkodzony, że bez ostrzeżenia padają jak

muchy. Za kilka lat każdy żołnierz, który wyjdzie z komory ucieleśniania, będzie martwy zaraz po jej opuszczeniu.

Varus podjął swoją przemowę tam, gdzie mu przerwano:

– ...Granger może poczekać. Za to okręt Roju już tu jest, gdzieś w kosmosie. Powinniśmy go ścigać. To nasz cel i przeznaczenie.

– Cel, który dał nam Granger! Zbyt łatwo o tym zapominasz!

– No i? – odparł Varus niewzruszenie. – Niczego to nie zmienia. Każdy Findiri czuje to wyraźnie. A gdyby nawet tak nie było, proszę się zastanowić: Rój stanowi poważne zagrożenie dla nas tak samo, jak dla wszystkich ludzkich światów. I dla Ziemi. A skoro Ziemia jest nasza, oznacza to, że Rój stanowi zagrożenie również dla nas.

– A kiedy Granger zostanie pojmany, a komory ucieleśniające przywrócone do ich pierwotnej funkcji z jego DNA, wtedy Findiri również się odrodzą i będą o wiele bardziej skuteczni przy ściganiu Roju i zniszczeniu jego okrętu. Moja decyzja pozostaje w mocy, adiutancie. – Chwila ciszy. – Znaj swoje miejsce – dodał Talus ciszej.

– Nawet nie jesteś Findiri.

Znowu chwila ciszy. Kiedy Talus odpowiedział, zabrzmiało to groźnie.

– Co powiedziałaś?

– Jesteś Quiassi. Nie jesteś nawet Findiri. Losy i działania Findiri powinny być ustalane przez Findiri, nie przez jakiegoś odszczepieńca Quiassi.

– Właśnie po to zostałem stworzony. Po to zostali stworzeni wszyscy Quiassi. Aby prowadzić Findiri, aby łagodzić wasze bardziej prymitywne instynkty, aby zapewnić wam to, czego brakuje. Wizję. Przywództwo. Przebiegłość.

– No i kto teraz przejmuje się powodami, dla których został stworzony przez Grangera? – W głosie Varusa zabrzmiały nutki drwiny.

– Milcz, głupcze, albo zostaniesz zastąpiony. Nie brakuje adiutantów, którzy mogą zająć twoje miejsce.

Znowu zapadła cisza.

– Panowie – zaczęła Cooper – może znajdziemy kompromis? Wyślijcie połowę floty Findiri ze wsparciem tylu jednostek Zjednoczonej Floty, ilu będzie potrzeba, niech wyruszą na poszukiwanie okrętu Roju. Reszta floty poradzi sobie

z wytropieniem Grangera. Zresztą po tym, jak się przekona, ilu ludzi zginęło za niego, na pewno się podda.

– Rozsądny kompromis, pani prezydent – zgodził się Varus.

– Nie. Oboje jesteście głupcami. Tobie, ludzka kobieto, wydaje się, że możesz dyktować, co ma robić hegemon Imperium Findiri, a ty, Varusie, tak chętnie się z nią zgadzasz. Z człowiekiem. Na dodatek kobietą.

– Wśród was nie ma kobiet? – zapytała Cooper niewinnym tonem, zapewne starając się opanować oburzenie i gniew.

Varus i Talus parsknęli śmiechem.

– Nie ma kobiet Findiri. A mężczyzn Findiri ledwie można tak nazwać! Powiedz, kobieto, widziałaś kiedyś przyrodzenie Findiri?

– Nie wydaje mi się – stwierdziła Cooper.

– I wierz mi, nie zobaczysz – zaśmiał się Talus.

– To całkowicie niepoprawne – wtrącił Varus.

– Ale są zupełnie bezużyteczne, nieprawdaż? Inaczej nie potrzebowalibyście komór ucieleśniających.

– Tak zostaliśmy zaprojektowani i nie wpływa to w żaden sposób na nasze zdolności jako wojowników.

– Myśl sobie, co chcesz, adiutancie. I oboje wracajcie do swoich zadań. Adiutancie, ta kolejka ofiar przed budynkiem będzie nadal się przesuwac, jeden więzień co minutę, a do jutra rana zaczną ginac dwie osoby co minutę, zamiast jednej. Dopilnuj tego. A ty, kobieto, pomoz adiutantowi wytropic rodziny i przyjaciol zbuntowanych oficerow Zjednoczonej Floty, aby staneli w tej kolejce, gdy nadejdzie pora. A teraz idzcie. Oboje.

Danny uslyszal szuranie, swiadczace, ze spotkanie dobieglo konca. Zerknal na Liu.

– Cooper ma wytropic niewinnych cywilow i wydac ich na smierc? Ciekawe, z jaka radością zamierza to wykonac.

Fiona pokręciła głową.

– Nie damy jej na to czasu. Musimy jej przeszkodzić.

– Wiesz... – Danny skrzywil się z niedowierzaniem. – Tak się wciągnęła w sprzątanie gówna Talusa, że zaczynam się zastanawiać, czy nie nazwać jej Szambokuper.

– Danny. – Fiona skinieniem głowy wskazała drzwi do schowka. – Zawsze wymyślasz głupie żarty, gdy się denerwujesz.

Już miała otworzyć, gdy jej datapad zasygnalizował nadejście wiadomości.

– To Conner.

– Kto?

– Przyjaciel z wywiadu Floty, Conner Davenport. – Włączyła urządzenie, żeby odczytać wiadomość.

– Dlaczego to nazwisko wydaje mi się znajome?

– Bo słyszał je każdy, kto w liceum miał lekcje historii. Davenport pracował dla wiceprezydenta Isaacsona podczas drugiej wojny z Rojem, a po wojnie dla prezydent Avery. Trzymała go blisko przez trzydzieści lat. Wciąż był jej człowiekiem, gdy zginęła w zagładzie Brytanii.

– O ile zginęła.

– Nieważne. Wywiad zrekrutował go pod koniec drugiej kadencji Avery. Był jednym z moich mentorów w terenie. – Fiona przejrzała wiadomość. – Ach, i oto mamy.

– Co?

– Wyniki badań laboratoryjnych DNA Curiela. Potwierdzają, że to Curiel. DNA pasuje. No, prawie.

– Prawie?

– W normalnych warunkach uznano by to za pełne dopasowanie, dziewięćdziesiąt dziewięć procent zgodności, ale poprosiłam Connera, żeby przyjrzał się dokładniej. I oczywiście okazało się, że w tym DNA jest... coś dziwnego. Pewne odchyły.

– Jakie?

Liu wzruszyła ramionami.

– To jego określenie, nie moje. Odchyły nie są na tyle duże, by świadczyły, że to inna osoba, ale wskazują, że odrobina genów Curiela jest... trochę inna. A to nie koniec zaskoczeń. DNA Curiela było zmieszane z DNA Cooper, bo próbka pochodziła z jej paznokci. Conner pozwolił sobie zrobić też analizę jej kodu genetycznego.

– No nie mów. Znalazł odchyły?

Fiona potwierdziła skinieniem głowy.

– Wygląda na to, że teoria Rice'a staje się coraz bardziej prawdopodobna. I tu chodzi nie tylko o Curiela, ale też o Cooper. Ponad połowa ludzkości znalazła się pod rządami jednego z trojga Quiassi: Talusa, prezydent Cooper i przewodniczącego Curiela.

– Może powinno się też sprawdzić DNA przywódców Kalifatu, Konfederacji Rosyjskiej i Republiki Chińskiej – stwierdził Danny w zamyśleniu.

– Powodzenia. Nie wydaje mi się, żeby można było tak po prostu wejść do ich gabinetów i zażądać próbek DNA. Ale masz rację, w obecnej sytuacji nie byłabym zaskoczona, gdyby okazało się, że wszyscy oni to Quiassi.

Danny posłał jej krzywy uśmiech.

– Niech zgadnę. W końcu okaże się, że wszyscy jesteście Quiassi.

Fiona uchyliła ostrożnie drzwi i odczekała, nasłuchując, czy ktoś jest na korytarzu.

– I znowu. Kiedy się denerwujesz, zaczynasz opowiadać głupie żarty.

– A ty się nie denerwujesz?

Liu posłuchała jeszcze przez chwilę odgłosów z korytarza, zanim się odezwała:

– Owszem. Zginie jeszcze wielu niewinnych... I chyba nieważne, co zrobimy, i tak będą ofiary.

– No to spróbujmy uratować, ilu możemy.

Przekradli się korytarzem do windy i wyszli na główne atrium, które służyło jako przejście do wszystkich innych departamentów wykonawczych rządu. Cooper już tam była – rozmawiała cicho z Varusem. Kiedy zobaczyła Liu i Danny'ego, powiedziała coś szybko do Findiri, a ten zerknął na nich, po czym skinął głową i odszedł.

– Panie Proctor, panno Liu, na słowo? – Zaprowadziła ich do holu, a stamtąd do jednego z gabinetów.

– Mamy problem – oznajmiła, gdy znaleźli się w środku, i opowiedziała o najnowszym poleceniu Talusa.

– A... pani nie chce tego zrobić? – zapytał Danny.

Cooper spojrzała na niego surowo.

– Co ma znaczyć ten ton, panie Proctor?

– Szczerze, ma'am? Wyglądała pani na zaprzyjaźnioną z tym Findiri. To zastępca Talusa. Kolejka śmierci przesuwana się już cały dzień i nie widać, żeby pani udało się coś z tym zrobić. Zamiast tego wybrała się pani na wycieczkę do ośrodka badawczego. I co, do cholery, jest w tej walizce?

– Ostrożnie, młody człowieku. Twoja ciotka jest sławna, ale ciebie można łatwo zastąpić, jeżeli się nie opanujesz. – Jej głos był lodowaty.

– A jeżeli nie powie nam pani, co jest w tej walizce, prześlemy admirał Proctor, co tu się wyprawia – stwierdziła chłodno Liu.

– A co się wyprawia, panno Liu? – Cooper splotła ramiona na piersi.

– Popytałam trochę. Ta stacja, na której opracowuje się tajną broń? Wiemy, że prowadzono tam tajne badania nad materią Roju. A to zakazane. Nie wydaje mi się, aby Proctor albo Granger zgodzili się na jej użycie w jakichkolwiek okolicznościach.

Cooper parsknęła śmiechem.

– Niech nas Bóg chroni przed dzieciakami o szczerych sercach pełnych ideałów! Myślicie, że wojny rozgrywa się według reguł? Nie macie pojęcia, do czego posunęłyby się admirał Proctor albo kapitan Granger, aby ocalić ludzkość. – Zamknęła drzwi do gabinetu i podeszła do biurka. Pochyliła się, by otworzyć szufladę. – Jednak w tym przypadku całkowicie się mylicie. – Położyła na blacie walizeczkę, którą zabrała ze stacji Smoleńsk, i zwolniła zamki zapięcia. – Śmiało, przyjrzyjcie się.

Danny i Fiona podeszli bliżej i zajrzeli – w środku nie było nic interesującego, tylko datapad oraz jakieś urządzenie, już na pierwszy rzut oka sprawiające wrażenie bardzo zaawansowanego technologicznie.

– C-co... Co to jest? – zapytał Danny.

Cooper ruchem ręki zaprosiła ich bliżej.

– Sami zobaczcie. Wszystko jest w datapadzie.

Danny włączył urządzenie i otworzył jedyny folder zapisany na dysku. Folder opatrzone nagłówkiem „Przeniesienie momentu pędu”. Po jego otwarciu pojawiły się pliki. „Wstępne ustalenia”, „WBN-11099: Propozycja badań naukowych dla Zjednoczonej Floty” „Teoria”, „Wyniki eksperymentów”, „Projekt prototypu” i tym podobne.

– Shovik-Orion bada tarczę Findiri przenoszącą moment pędu?

– Badali w ogóle moment pędu. I to od wielu lat. Jednak po ataku Findiri... cóż, badania weszły na inny poziom. Naukowcy zobaczyli tę technologię w działaniu i dostali dane z detektorów na okrętach

floty, a to bardzo im pomogło w dokonaniu przełomowych odkryć w bardzo krótkim czasie. To wynik. Nieduży, przenośny prototyp. Co prawda nie jest to rozwiązanie ostateczne, ale zawsze coś. – Cooper zamknęła walizeczkę i schowała ją na powrót w szufladzie. – Pomyślałam, że warto, aby admirał Proctor się o tym dowiedziała. A także wszyscy badacze i inżynierowie ze Zjednoczonej Floty, którzy wciąż są po naszej stronie. Chyba że uważacie to za naruszenie szlachetnych zasad wojny? Może powinnam się zastanowić nad etyką swojego postępowania? – Nie zdołała ukryć drwiny w głosie.

Jesteśmy pewni, że nie jest po naszej stronie? – pomyślała Liu do Danny'ego.

A istnieją w ogóle dobrzy Quiassi?

Biorąc pod uwagę, że praktycznie nic o nich nie wiemy... pewnie tak?

– Domyślam się, że wasza nagła nieśmiałość oznacza przyznanie mi racji? – rzuciła Cooper. – A teraz bierzmy się do roboty. Mam znaleźć kilkuset przyjaciół i członków rodzin zbuntowanych oficerów. Nie powinno to zająć moim ludziom wiele czasu, może kilka godzin.

– Zamierza pani wykonać rozkaz Talusa? – zdziwił się Danny.

– A mam inne wyjście, panie Proctor?

Na to Danny nie umiał odpowiedzieć.

– Podczas tych kilku godzin musicie coś dla mnie zrobić. Zajmijcie się zorganizowaniem transportu dla tych ludzi. Będą zabrani do kosmoportu w Baltimore. Lot stamtąd do Nowego Jorku trwa bardzo krótko. Musicie znaleźć transport dla tych ludzi oraz kapitana, któremu można zaufać i który gdy nadejdzie pora, by zabrać wszystkich na egzekucję, odleci jak najszybciej, a po opuszczeniu atmosfery wykona skok kwantowy i ucieknie gdzie pieprz rośnie. Rozumiecie?

Danny wciąż nie potrafił znaleźć słów. Owca

– Panie Proctor?

– Pani nie jest Cooper, prawda? – zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

Cooper nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się lekko, niemal niezauważalnie.

- Kim pani jest?
- Chłopcze, chcesz zwyciężyć w tej wojnie?
- Tak.
- Więc czy ma to jakieś znaczenie, kim jestem?
- Chyba nie.

Niezauważalny uśmiezek zmienił się w szeroki i podstępny.

- No to znajdź mi cholernego pilota. Masz dwie godziny.

Rozdział 39

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 PRZESTRZEŃ POD SKORUPĄ PLANETY

Komandor Ethan Zivik obserwował, jak „Volz” mknie przez atmosferę pod skorupą Chantany 3, i rozważał, jak zrównoważyć trzy kwestie.

Po pierwsze, własne życie – dziesiątki myśliwców Findiri kotłowało się w przestrzeni między nim a jego celem.

Po drugie, misję – Granger rozkazał mu osłaniać okręt, który miał ewakuować itarańskiego przywódcę, znajdującego się w niebezpiecznej sytuacji na powierzchni.

Po trzecie...

„Pomszczę cię, ukochana”. Spoglądał na „Volza” z mieszanymi uczuciami. Miał go chronić, a zarazem zamierzał zabić kogoś na pokładzie.

Musiał tylko dowiedzieć się kogo.

W zasadzie domyślał się, kto to będzie. Jedyne członek załogi „Volza”, który coś miał do Jerushy. Któż inny miałby ją zabić?

– Komandorze Zivik, potrzebne będzie wsparcie, gdy wystartuje nasz prom – powiedział Shin-Wentworth. Jego słowa zazgrzytały Zivikowi w uszach. Podświadomie już wiedział, że to głos zabójcy.

– Przyjąłem. – Postarał się mówić całkowicie beznamiętnym i obojętnym tonem. – Schodźcie na lądowisko, wymiotę wszystko za wami.

– Zrozumiałem.

Prom wystrzelił z hangaru „Volza” jak nic, co Zivik widział wcześniej – miał nadzieję, że pilot wie, co robi. Zivik pchnął swoją maszynę za małą jednostką, zatoczył łuk i namierzył dwa myśliwce Findiri, które zanadto się zbliżyły.

– Okej, droga wolna! – krzyknął. – Lądujcie, załatwcie sprawę i wynoście się w cholerę!

Zerknął jeszcze raz. Prom zaczął zniżać się na lądowisko. Wyhamował tak, że niemal zawisł w miejscu tuż nad powierzchnią. Zivik musiał się jednak skupić na eskadrze, która ruszyła do ataku – prosto na niego.

– Będzie zabawa – mruknął do siebie.

Zanim maszyny Findiri zdążyły się zbliżyć, odwrócił ciąż, zrobił zwrot i pomknął im na spotkanie.

„Może pomyślą, że zwariowałem, i się wycofają?”

Wcześniej sprawdzało się to całkiem nieźle.

Eskadra otworzyła ogień, a Zivik odpowiedział własną salwą między unikami i przypadkowymi skrętami, aby nie dopuścić do trafienia.

W zasadzie prawie mu się udało. Nie licząc pół tuzina naboju, które przebiły kokpit w kilku miejscach i odcięły skrzydło.

– I tak go nie potrzebowałem – wycedził Zivik i włączył dodatkowy silnik manewrowy, aby utrzymać stabilny lot w warunkach grawitacji.

Zalała go adrenalina. Wzrok skoncentrował się tylko na myśliwcu z przodu, który właśnie eksplodował. Zivik już namierzył kolejną maszynę Findiri, a potem następną...

Był w swoim żywiole. Właśnie to robił najlepiej, w tym się objawiał jego talent i umiejętności. Po jaką cholere próbował dowodzić okrętem? Proctor chyba postradała zmysły, gdy mianowała go dowódcą. Zivik był pilotem i tylko pilotem.

Co najmniej pięć myśliwców Findiri namierzyło jego maszynę, każdy z innego kierunku, na dodatek pod osłoną dwóch kolejnych jednostek. Zivik miał ułamek sekundy, aby zdecydować, w którą stronę się zwrócić.

Ułamek sekundy minął, Zivik podjął decyzję i przyśpieszył powyżej pięciu g. Z trudem utrzymał ramiona przed sobą, gdy przez sekundę lub dwie utrzymał ciąż. Kiedy puścił dźwignię, ujrzał, jak

dziesiątki pocisków wystrzelonych w jego myśliwiec chybiło. Zrobił zwrot, żeby zmylić ścigającą go czwórkę wrogów.

Tyle że zastąpiło ich kilkudziesięciu kolejnych.

– Szlag – wycedził. – Lepiej, żeby ten Trojaczek był tego wart...

Kilka myśliwców, które właśnie dołączyły, eksplodowało w wielkie kule ognia. Mimowolnie Zivik zapamiętał, jak duże wydawały się wybuchy, gdy zdarzały się w atmosferze, jednocześnie dziwiąc się, dlaczego w ogóle doszło do eksplozji.

– Sukinkot, ty szalony draniu! Nie możesz bawić się sam!

– As?! – Obrócił głowę w porę, by dostrzec przelatującą czwórkę innych myśliwców. Rozpoznał swoją eskadrę. As, Barbie, Lunatyk i Spektro.

– Mam już trzy na koncie. A u ciebie? – rozległ się głos Barbiego.

– Jakieś trzydzieści...

– Noż kurwa. Pora nadgonić straty.

W piątkę taniec stał się o wiele łatwiejszy, choć wcale nie mniej śmiertelny. Przez kilka minut eskadra zdołała zestrzelić cały oddział przeciwników, który ją atakował, a potem pojawiła się kolejna grupa myśliwców Findiri.

– Ci piloci są dobrzy, ale... nie wybitni – rzuciła As.

– Może nie mają praktyki jak my – stwierdził Zivik. – No, serio, pomyślcie, kiedy ostatnio walczyli z pilotami myśliwców, którzy coś umieją?

– Kilka milionów lat temu?

– Właśnie.

Skierował się nad dwie kolejne maszyny wroga, gdy...

Zasłonił oczy obiema rękami, tak oślepiające było światło, które rozbłysło kilka kilometrów dalej. Szyba okna powinna była ściemnieć, aby uchronić pilota, ale chyba zwyczajnie nie wystarczyło na to czasu.

– Kurwa, co to było?! – krzyknął Lunatyk.

Zivik, kiedy znowu mógł widzieć, a okno wreszcie pociemniało, popatrzył na ogromną rozpadlinę.

– To chyba jedna z tych rzeczy, która utrzymywała skorupę w górze – odpowiedział. Na pewno znajdowała się w tym samym miejscu, co obecnie rozpadlina. Tylko lśniła chyba milion razy jaśniej.

- Powinna tak jasno świecić? – zdziwiła się As.
- Cholera wie. Przygotujcie się, ludzie, zanosi się, że dopiero teraz zrobi się interesująco.

Rozdział 40

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 PRZESTRZEŃ POD POWIERZCHNIĄ PLANETY

– Rozproszyć się. Trzeba znaleźć przywódcę Trojaczków albo Trojaczka, który was do niego zaprowadzi. Kiedy go znajdziecie, zabierzcie od razu do promu i powiadomcie resztę – powiedział Shin-Wentworth do plutonu komandosów marines z „Volza”. Było ich tylko trzynastu, ale jeżeli się podzielią na dwójki lub trójki, powinni przeszukać sporą część wieży itarańskiego rządu.

– Tak jest! – ryknął porucznik marines. Od razu zaczął dzielić oddział na dwójki.

– A ty idziesz ze mną. Mamy dodatkowe zadanie – zwrócił się Shin-Wentworth do ostatniego, trzynastego żołnierza. Skierował naręczny skaner i urządzenie namierzające w różne strony.

Bingo.

– Dobrze, musimy dostać się na szczyt wieży. Ruszajmy! – zawołał.

– Tak jest, sir! – odpowiedział dziarsko żołnierz i pobiegł do drzwi prowadzących z lądowiska do wnętrza budowli.

Shin-Wentworth pobiegł za komandosem, który zdążył już wyważyć przejście kopniakiem, minął przestronny hol i kierował się do schodów na środku. Czy te przekłete Trojaczki nigdy nie słyszały o windach?

– Szlag – wymamrotał Shin-Wentworth, gdy za marine wspinał się po stopniach na pierwszą kondygnację. Gdy tam dotarł, musiał odetchnąć. – Jeszcze tylko piętnaście...

Gdy mijali we dwóch kolejne piętra, słyszeli wybuchy na zewnątrz, gdzieś z góry. Oznaczało to, że starcie myśliwców wciąż trwało. Miał nadzieję... Nie, nie chciał liczyć na coś tak strasznego. Chociaż Zivik mógłby zginąć w bitwie, z pewnością ułatwiłoby to później wiele spraw.

Jednak Shin-Wentworth nie był tak okrutny.

– Komandorze, niewielki oddział Findiri chyba idzie za nami – stwierdził komandos.

– Masz czyste pole do strzału?

– Niestety nie, trzymają się poza zasięgiem broni i pod osłoną. Ale idą za nami. I nie próbują nas atakować. Na razie.

Shin-Wentworth poczuł ucisk w żołądku. Czyli droga do promu dla niego i marine została odcięta. Na razie.

– Nic nie możemy z tym zrobić. Ruszajmy na szczyt.

Wypadli na ostatnią kondygnację przypominającą trochę jakąś antresolę z przeszklonymi ścianami, zza których roztaczał się widok na miasto. Tuż przy środku pomieszczenia, zaraz za schodami, znajdowała się płatanina przypadkowej elektroniki, przewodów i wyświetlaczy. A obok...

– Przywódco Klollogeszu! Musisz iść z nami! Już! – Shin-Wentworth włączył program translacyjny na naręcznym urządzeniu, a potem podbiegł do Trojaczka i jego dzieci, siedzących spokojnie obok stóp obcego.

– *Plohlosz szlogun*. Nie, Człowieku-Drugi-Co-do-Ważności-po-Naczelniej-Klaczy. Nigdzie nie pójdę. Wiele jeszcze zostało do zrobienia, jeżeli mój podstęp ma się udać. *Darmasza gosz*.

Itaranin nacisnął kilka guzików rozcapierzonymi trzema palcami i nagle całe pomieszczenie zalało oślepiająco mocne światło. Shin-Wentworth zmrużył oczy i przysłonił je dłonią, dopiero wtedy zorientował się, że ten niesamowity blask dochodzi zza przeszklonych ścian, od sztucznej osobliwości unoszącej się w niebo.

– Co robisz? – wykrzyknął i podbiegł bliżej.

– Zrzucam niebo na ziemię, *gilimsza goszaga*. I musi to zadziałać z wystarczająco dużą mocą, aby zniszczyć statki Findiri na orbicie. *Roliszlik goszantik gasz*, a co ty tu robisz?

– Przyszedłem cię stąd zabrać.

– Jak powiedziałem, Człowieku-Drugi-Co-do-Ważności, zostaje tutaj, *tohtla szogosz*. Nie ma innego sposobu, aby wykonać to zadanie *goszaga tlot*.

– No i... – Shin-Wentworth zaczął z wahaniem, zastanawiając się, jak wypowiedzieć swoją prośbę i jak przekonać tego obcego, aby pozwolił wykorzystać jedną z osobliwości, o ile w ogóle było to możliwe. – I muszę skorzystać z twojego urządzenia grawitacyjnego. To znaczy, skoro i tak zamierzasz je zniszczyć, to chyba bez znaczenia, a bardzo by się przydało Naczelnaj Klaczy i Grangerowi, gdybym mógł...

Klologesz odwrócił głowę.

– *Tlotla goszag sa szalta*, Starzec-i-Tak-Dalej potrzebuje urządzeń grawitacyjnych?

– No... tak.

– Dlaczego od razu nie powiedziałeś, gdy tutaj przybiegłeś? *Dloszlag gloszlag sa sza*. Tutaj. To pudełko. Weź je. – Drobnym przywódcą obcych wskazał na jedną z elektronicznych części walających się wokół. Gdyby Shin-Wentworth nie widział rezultatów działania tej technologii, pomyślałby pewnie, że to jakiś złom.

– To? – Sięgnął i podniósł wskazaną część. Sześcian. Wyświetlacze, wskaźniki i elektroniczne podzespoły poskładane bez ładu i składu. Urządzenie miało trochę mniej niż pół metra długości i szerokości, było ciasno napakowane, ale okazało się zaskakująco lekkie.

– Tak. *Ginzaga glosz*. To mechanizm kontrolny dla jednej z pobliskich studni grawitacyjnych. Projektory, które utrzymują ją na miejscu, znajdują się na szczycie wieży pod nią, ale tego nie potrzebujesz *gloszag ttitlit*. Musisz do tego urządzenia przyłączyć własne projektory, żeby kontrolować studnię grawitacyjną. Będziesz też potrzebował dużo energii, żeby go użyć. Mnóstwo energii. *Gingza gryk klollog*. Domyślam się jednak, że Starzec-i-Tak-Dalej o tym wie.

Shin-Wentworth zamrugał. Okazało się to łatwiejsze, niż się spodziewał. Przynajmniej na razie. Nie miał pojęcia, czy ten cały plan nie spali na panewce i czy w ogóle uda się do czegokolwiek wykorzystać tę kostkę.

– Dziękuję. Bardzo, bardzo ci dziękuję. Nie wiem, jak ci się odwdzięczyć. Granger też.

– Możesz mi się odwdzięczyć, jeśli zejdziesz mi z drogi i przestaniesz przeszkadzać, gdy utrwalam swoje miejsce w Wielkiej Opowieści *gunza tlosz*. – Trojaczek wyjął coś z kieszeni i bez ostrzeżenia cisnął w jedno z okien-ścian. Shin-Wentworth osłonił się przed deszczem szklanych odłamków, który spadł do pomieszczenia, gdy Klollogesz rozbił szyby.

– Twoja droga powrotna została odcięta. To jedyny sposób, żebyś się stąd wydostał. Idź! *Gingza gryk tallog sta*.

Rozdział 41

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 PRZESTRZEŃ POD POWIERZCHNIĄ PLANETY

- Sukinkot, zaczyna pulsować! Co to oznacza? – zapytał Lunatyk. Zivik spojrział w okno na bakburcie. Światło rozbłyskujące w oddali było oślepiające pomimo przyciemnionych szyb kokpitu.
- Nie mam pojęcia, ale na pewno nic dobrego.
- Czerwone rozbłyski od dziobu przypomniały mu jednak, że nadal trwa starcie z myśliwcami Findiri. A co gorsza...
- As, masz trzech drani na ogonie! – Zivik przyśpieszył i zaczął ostrzeliwać wrogów.
- Wiem! I nie mogę się ich pozbyć! – krzyknęła As. Kilka pocisków właśnie przebiło i odcięło jej lewe skrzydło. – Kurwa!
- Trzymaj się, As! – Palec Zivika drgnął, spust stał się przedłużeniem jego umysłu, gdy próbował wypatrzeć dwa pozostałe myśliwce. – Tam!
- Jeden eksplodował.
- Jeszcze jeden...
- Dostałam! Spadam! – krzyknęła As, a Zivik ujrzał, jak kilka pocisków oderwało jej silnik spod prawego skrzydła. Kolejne przebiły kokpit. Oby tylko nie podziurawiły też As.
- Katapultuj się! Spieprzaj stamtąd! – ryknął Barbie.
- Zivik wstrzymał oddech na kilka bolesnych sekund, chociaż udało mu się zestrzelić ostatni z atakujących myśliwców Findiri. Jeżeli As nie odpowie albo zaraz się nie katapultuje...

Kokpit zmasakrowanego myśliwca rozpękł się i wystrzelił z niego obiekt zbyt szybki, by wychwycić go wzrokiem. Zivik rozejrzał się pośpiesznie.

I zaklął.

– As! – krzyknął. – Szlag, żyjesz? Przytomna jesteś?!

– Chyba... – wymamrotała As niepewnie. Katapultowanie się nie należało do czynności łatwych. – Chyba walnęłam się w głowę.

– Całe szczęście, że masz twardą czaszkę. Twardszą niż pancerz z duranium. Trzymaj się!

Zivik wykonał kilka manewrów, żeby zrównać prędkość swojego myśliwca ze spadającą As i znaleźć się jak najbliżej.

– Barbie, Spektro, osłaniajcie nas! Lunatyk, krąż wokół, aby utrzymać wrogów jak najdalej od nas.

Pchnął orczyk w przód, aby pokonać ostatnie metry. Zniszczone skrzydło jego myśliwca znalazło się prawie pod kobietą.

– As, złap się skrzydła. Zabierzemy cię stąd!

Wstrzymując oddech, patrzył, jak zbliżała się coraz bardziej, dryfując powoli w dół. Zastanawiał się, czy wciąż jest przytomna, dopóki, niemal w ostatniej sekundzie, nie wyciągnęła ręki, nie chwyciła wystającego kawałka metalu i nie przyciągnęła się bardziej do uszkodzonego skrzydła. Zaczepiła hak ze swojego kombinezonu o przewód hydrauliczny, a potem uniosła kciuk.

– Na pewno się utrzymasz? – zapytał Zivik z troską.

– Nie ma tu wiele możliwości, geniuszu – odparła.

Zivik rozejrzał się, starając się wyszukać wrogie myśliwce w najbliższej przestrzeni pod skorupą planety. Nic nie dostrzegł, więc zerknął na wyświetlacz skanera.

– Zbliża się kolejna eskadra Findiri, kochani. As, to będzie trudna przejażdżka. Wezwę „Wyzwanie”, żeby nas ewakuowało. W porządku z tobą?

Kolejny raz uniesiony kciuk.

– Świetnie. Kapitanie Granger, lecimy. Wydostał się pan z planety?

– Tak – nadeszła odpowiedź wśród trzasków zakłóceń. Granger musiał znajdować się już ponad kilometrami skał, które zniekształcały transmisję. – Prawie dotarłem na statek Eru.

– Dobrze. „Wyzwanie”? Przyleć. Mam tu pilota, który wisi mi na skrzydle resztkami sił. Trzeba nas ewakuować.

Migająca dioda na panelu łączności zasygnalizowała transmisję przychodzącą. Zivik sprawdził, kto nadaje.

– Chwileczkę, kapitanie. Mam wiadomość od Shin-Wentwortha.

Przełączył pasma.

– ...wieży. Powtarzam: Tu Shin-Wentworth. Jesteśmy na dachu wieży itarańskiego rządu. Mamy zablokowaną drogę odwrotu, potrzebujemy ewakuacji. Ktoś mnie słyszy? Jesteśmy na wieży...

Zivik zawahał się przy klawiszu włączającym nadawanie. Musiał wybierać. Z jednej strony wiedział, na logikę, że nie ma żadnych dowodów na zabójstwo Jerushy, a nawet gdyby były, nie wiadomo, czy na pewno sprawcą jest Shin-Wentworth.

A jednak w głębi duszy Zivik wiedział. Czuł to.

Z drugiej strony – ta misja była krytyczna i niosła dalekosiężne konsekwencje dla bezpieczeństwa istot rozumnych. Zemsta mogła poczekać.

Prawda?

Tak, owszem, mogła poczekać.

– Komandorze, tu Zivik. Będę na miejscu za mniej niż dziesięć sekund. Chwyćcie się mocno i bądźcie czujni.

Włączył przyśpieszenie – powoli, aby nie oderwać As, ale na tyle szybko, że usłyszał jej przekleństwa w słuchawkach.

– Komandorze Zivik, Bogu dzięki! Ale... uch, co miało znaczyć, żeby chwycić się czegoś...?

– To znaczy, że to wasza jedyna szansa, żeby się stąd wydostać i przeżyć. As jest na moim skrzydle, pomoże.

Myśliwiec zbliżył się powoli. Zivik dostrzegł od razu Shin-Wentwortha i towarzyszącego mu żołnierza – wychylali się z wybitego okna na szczycie wieży. Zivik zawisł tuż pod nimi.

– Będziecie musieli skoczyć. Zostaw to pudło, komandorze, albo się nie uda.

Żołnierz skoczył i As zdołała go złapać, zanim osunął się w dół.

– Odmawiam, komandorze Zivik. Pudełko leci z nami.

I zanim Zivik zdążył zaprotestować, Shin-Wentworth skoczył, obejmując elektroniczną kostkę – trudno było dostrzec, co to dokładnie jest.

„Oby było warte twojego życia, draniu” – pomyślał Zivik.

– Mam go! – zawołała As. – Zabierz nas stąd!

A po chwili wahania:

– Tylko powoli!

– Zrozumiałem. „Wyzwanie”, zbliżam się. Czy Granger dotarł już na statek Eru?

– Prawie, kapitanie – odpowiedział Rice.

– No to wykonaj skok kwantowy do naszej lokacji i zabierz nas stąd!

Pchnął maszynę w dół, ku ziemi, a Barbie, Lunatyk i Spektro krążyli mu na ogonie i chronili tyły.

– Reszta oddziału dotarła do promu! Startują! – zawołał Shin-Wentworth.

– Widzę ich. Zabierzemy ich bezpiecznie na pokład – odparł Zivik.

– Barbie, Lunatyk, eskortujcie prom. Spektro, zostajesz z nami. Pośpieszcie się, ludzie, eskadra wrogów jest już blisko!

Na jego wyświetlaczu widać było zbliżającą się szybko formację myśliwców Findiri. Prom komandosów wreszcie wzleciał i na chwilę przesłonił źródło oślepiającego światła, które uniosło się coraz bliżej skalnego sklepienia. Blask nie tylko stawał się coraz jaśniejszy, lecz pulsował coraz szybciej. Miało się wrażenie, że wszystko migocze jak w świetle stroboskopowych lamp.

– Shin-Wentworth, czy to... coś stanowi dla nas zagrożenie?

Cisza. A potem:

– Tak, jak najbardziej. Musimy się stąd jak najszybciej wydostać – padła dziwnie spokojna odpowiedź.

Zivik zerknął w iluminator po prawej. As była pewnie przyczepiona hakiem do przewodu hydraulicznego, jedną ręką przytrzymała się kawałka skrzydła, a drugą zaciskała na skafandrze żołnierza, który nadal wdrapywał się na pancierz. Shin-Wentworth przyciskał do piersi kostkę i przytrzymał się kolejnej wystającej części zniszczonego skrzydła. Stał na poszyciu i wyglądał, jakby balansował na granicy upadku. Wystarczyłby jeden drobny ruch orczykiem, aby go zrzucić. Jakaś niewielka turbulencja. Nagły przechył na burtę posłałby tego człowieka prosto w objęcia śmierci. Szybko i łatwo.

– Przyjąłem – powiedział Zivik i ku jego uldze w kolejnym błysku nadeszła pomoc. „Wyzwanie” zmaterializowało się dosłownie na kilka sekund przed ostrzałem Findiri, których myśliwce właśnie wchodziły w zasięg broni. Niewielki okręt posłał w zbliżającą się eskadrę wroga salwę pocisków z dział kinetycznych. Przeciwnicy rozproszyli się, aby uniknąć trafień, a potem próbowali znowu sformować szyk i zaatakować „Wyzwanie”. Wtedy jednak otworzyła się gródź hangaru i Zivik pchnął swoją maszynę do awaryjnego lądowania.

W okamgnieniu wszyscy znaleźli się wewnątrz.

– Jesteśmy! – zawołał Barbie, a po nim zabrzmiały potwierdzenia pozostałych. Kątem oka Zivik dostrzegł, że z myśliwca Lunatyka przy ostrym hamowaniu rozprysły się na ścianę czerwone iskry.

Doris, obsługa techniczna hangaru, raczej nie będzie zadowolona.

Rozdział 42

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 ITARAŃSKI PROM

Młodszy z Trojaczków źle znosił przyśpieszenie, ale zdołał z wysiłkiem wyciągnąć rękę i wskazać okno na lewej burcie. Prom właśnie zmienił kurs, aby dotrzeć do gigantycznego statku Eru, przypominającego wirujący bęben. Chantana 3 w oddali była bardzo dobrze widoczna. Granger dostrzegał nawet ciemne kropki, zapewne okręty należące do floty Findiri oraz bez wątpienia „Śmiałka” z Oppenheimerem na pokładzie.

– Myślicie, że spróbują pojmać Klollogesza? – zapytał Trojaczków.

– Nie. Ale on ich zabije.

– Chwila, co?! – warknął Granger zaskoczony. – Co tu się dzieje, do jasnej cholery?

– Przywódca Klollogesz wyłączył pole sztucznej grawitacji, które podtrzymywało skorupę naszej planety. Niedługo powierzchnia opadnie. Lepiej nie znajdować się blisko, gdy to nastąpi. Ale, jak już mówiłem, przywódca wymknie się ostatecznej śmierci.

Pilot zmniejszył przyśpieszenie i zwolnił, aby zbliżyć się do jednego z hangarów z lądowiskiem w ogromnym statku Eru. Granger wykorzystał okazję, aby rozpiąć pasy i popatrzeć w okno.

W samą porę, aby zobaczyć, jak Chantana 3 ulega zagładzie.

– Mój Boże... – wyszeptał.

Gigantyczne połacie powierzchni zaczęły pękać i zapadać się, a w szczelinach wzbierało gorąco. Sieć rozżarzonych do białości pęknięć otoczyła całą planetę, gejzery parującej materii wystrzeliły tam,

gdzie wcześniej zapadły się największe kawałki skorupy, tworząc niewyobrażalne ciśnienie pod spodem, które zaraz potem wyzwoliło się w gigantycznych erupcjach.

Flota ciemnych kropek, dostrzeżona wcześniej przez Grangera, została rozdarta przez rozżarzoną do białości materię i odłamki, a okręty, których nie dosięgła, znikwały w błyskach, gdy w ostatniej chwili wykonywały rozpaczliwe skoki kwantowe.

– Klollogesz... zniszczył cały wasz świat, żeby pozbyć się kilku okrętów Findiri. Mój Boże.

Starszy z Trojaczków przyłożył rękę do torsu.

– Mamy inne światy. A teraz nasze miejsce w Wielkiej Opowieści jest pewne, bo walczyliśmy z wrogami u twojego boku. – Prom minął wielkie wrota hangaru na statku Eru i zaczął zniżać się do lądowania. – I będziemy o tym opowiadać do samego końca.

Rozdział 43

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA, NOWY JORK

Danny znalazł pilota. Starego znajomego z czasów, gdy transportował lód w układzie San Martin. Znajomy wrócił na Ziemię, gdy zaczęły się kłopoty.

– Na pewno dostanę wysokie wynagrodzenie? – zapytał.

– Troy – westchnął Danny. – Już ci mówiłem, to prośba od samej prezydent. Dostaniesz mnóstwo kasy, wierz mi.

– Tak tylko pytam. Nie jestem bojownikiem o wolność. Nie chcę się wychylać. Jak mi się zapłaci, to wykonam swoją robotę.

– O nic więcej nie proszę – zapewnił Danny.

A teraz oglądał transmisję na żywo z kosmoportu w Baltimore. Kilkuset pasażerów właśnie wchodziło na pokład niedużego frachtowca, którym mieli polecieć do Nowego Jorku. Tyle tylko, że wcale nie zamierzali tam dotrzeć. Uciekali przed śmiercią.

Obraz był podzielony i na drugiej połowie stał Talus przed siedzibą rządu Zjednoczonej Ziemi. Niedawno LITOŚCIWIE wstrzymał egzekucje – chociaż ostatnia ofiara nadal leżała w kałuży niezakrzepłej krwi. Talus właśnie opisywał nowy porządek. Teraz gdy zyskała cel istnienia, Ziemię czekała świetlana przyszłość. Przemysł zostanie zmodernizowany i rozwinięty. Zmieni się ekonomia, ponieważ cała produkcja zostanie podporządkowana wielkiemu wysiłkowi wojennemu.

I nie tylko. Rozpocznie się też tworzenie administracji rządzącej Galaktyką. I jeszcze dalej. Podbój – a raczej wyzwalenie, jak to nazwał Talus – niezliczonych obcych ras rozumnych, które zostaną

dopiero odkryte, a potem jednoczenie ich pod rządami ludzi w imię, rzecz jasna, bezpieczeństwa.

– Wojna stanie się tylko wspomnieniem – mówił Talus. – Nie będzie strachu, przemocy, terroryzmu i starć zbrojnych. Nie będzie nawet zbrodni. Po raz pierwszy w ludzkiej historii wreszcie osiągniemy bezpieczeństwo.

Danny tylko prychnął.

– Gdzie ja to już słyszałem...? Jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

– Bo wszyscy despoci bredzą to samo od zarania dziejów? – Fiona wpatrywała się w połowę ekranu pokazującą pasażerów wsiadających na frachtowiec. – To już wszyscy. Dwieście szesnaście osób. Mężczyźni, kobiety i dzieci.

Danny potrząsnął głową.

– Boże, tylko pomyśl. Gdyby Talus ustawił tych ludzi w swojej kolejce, ich śmierć pokazałyby wszystkie media... – Wzdrygnął się na samą myśl.

– Tak... Ale gdy ta grupa ucieknie, zrobi się bardziej uważny i następną grupę będzie o wiele trudniej uratować.

– Wiem. Mam wrażenie, że tylko odwlekamy to, co nieuchronne.

– Bo tak jest. – Liu położyła dłoń na jego dłoni. – Twoja ciotka coś wymyśli. Albo Granger. Ktoś musi. Musimy tylko zapewnić im czas.

– Jasne – westchnął Danny. – Patrz, startują.

Talus wciąż przemawiał na drugiej połowie ekranu.

– ...i będą też tacy, którzy początkowo stawiają opór. To zrozumiałe. Ale niedopuszczalne. Pamiętajcie: ci, którzy sprzeciwią się nowemu porządkowi, nowemu bezpieczeństwu, poniosą konsekwencje. Kto sieje strach i przemoc, zbiera owoce strachu i przemocy. Nawet teraz są tacy, którzy knują obalenie moich rządów. I tacy, którzy sprzeciwiają się mojej woli. Wierzcie mi, wasze wysiłki pójdą na marne. – Uśmiechnął się diabolicznie. – I będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Danny poczuł lodowaty ucisk strachu w piersi, gdy Talus kontynuował. Spojrzał na drugą część ekranu.

– Minęli pułap tysiąca metrów i przyśpieszają. Wkrótce osiągną prędkość ucieczki i stanie się jasne, co robią.

– Do tego czasu zdążą wykonać skok. – Liu nie odrywała teraz wzroku od Talusa.

– ...a jako przykład tego, co czeka tych, którzy buntują się przeciwko nowemu porządkowi, pokażę sprawę miasta Amarillo w Teksasie. Zwrócono moją uwagę, że pojawiły się tam oddziały miejscowego ruchu oporu, które zaczęły przeprowadzać partyzanckie ataki na żołnierzy Findiri. Przyjrzyjmy się także grupie znajomych związanych ze zbuntowanymi oficerami Zjednoczonej Floty. Grupa ta właśnie próbuje uciec z Ziemi.

Przerażenie ścisnęło Danny'emu gardło. Wyszarpnął z kieszeni komunikator.

– Troy, Troy! Zgłoś się! No już! Jesteś tam? Troy? Kurwa! – Sprawdził parametry, ale urządzenie pokazywało, że transmisja została przekazana. Nie można było jednak określić, czy nie została zakłócona.

Talus mówił nadal.

– W obu przypadkach rozwiązanie jest jedno, sprawiedliwe i ostateczne. Ponieważ zdrajca Granger wciąż lekceważy prawo i ani myśli się poddać, ci, którzy walczą za niego, będą musieli się zmierzyć z konsekwencjami. Jak zwykle. Przemoc rodzi przemoc i nigdy nie można przewidzieć, do czego z czasem doprowadzi...

– Troy, słyszysz mnie? Wracaj. Słyszysz mnie? Wracaj natychmiast...

Danny'emu zdawało się, że to, co widzi na ekranie, rozgrywa się jakby w zwolnionym tempie. Frachtowiec wznosił się na coraz wyższy pułap, a potem... spłaszczył się. Przez chwilę przypominał naleśnik, po czym eksplodował w płomieniach, które rozniosły się na kilometry po niewidzialnej płaskiej powierzchni.

– Nie! – krzyknął Danny.

Fiona poklikała w ustawieniach i ekran podzielił się, aby pokazać jeszcze jeden obraz.

– Amarillo – szepnęła. Na trzeciej części monitora ukazało się centrum miasta, a raczej to, co z niego zostało. Wyglądało jak cmentarzysko otoczone wokół nietkniętymi budynkami. Widok przypominał krajobraz po wybuchu małej bomby atomowej. Niektóre budynki wytrzymały eksplozję, lecz wszystko inne zostało zmiecione z powierzchni ziemi. Nad kręgiem zagłady unosiła się chmura w kształcie grzyba.

Danny uderzył pięścią w stół, na którym leżał ekran. Urządzenie niemal spadło na podłogę.

– Mieszkały tam dwa miliony ludzi. Nie wszyscy oczywiście w centrum, jednak... – Liu zamilkła.

Nie od razu dotarło do nich, że Talus wciąż mówi.

– Nie można było tego uniknąć. Obywatele, zjednoczmy się. Zjednoczmy się dla osiągnięcia bezpieczeństwa i wielkości. A ci, którzy będą z nami walczyć, niech pamiętają, że cały ruch cywilny z Ziemi bez odpowiedniej przepustki od wyznaczonych władz został zakazany. Każdą jednostkę, która spróbuje ucieczki, spotka ten sam los, co frachtowiec rebeliantów. Natomiast miasto związane z takim uciekającym statkiem zostanie zniszczone tak samo jak przepiękne Amarillo.

Po czym odwrócił się do żołnierza Findiri i skinieniem ręki nakazał, aby kolejka śmierci ruszyła znowu.

Żołnierz zrobił krok naprzód, lecz wtedy wydarzyło się coś niespodziewanego.

Findiri po prostu padł na twarz jak martwy.

Nikt się nie poruszył. Wyglądało na to, że inni żołnierze Findiri nie są ani trochę zaskoczeni albo nie podejrzewają, że gdzieś w pobliżu ukrył się snajper, który zastrzelił im towarzysza broni. Po prostu... stali. Talus machnięciem ręki przywołał innego żołnierza, aby zajął miejsce martwego kata, a ten posłuchał bez wahania. Dwaj inni Findiri po prostu podnieśli bezwładne ciało i odciągnęli je poza kamerę.

A egzekucje zaczęły się znowu.

– Cholera, co tam się stało? – zdziwił się Danny.

– Nie wiem. Po prostu... zmarł. – Liu wstała i skierowała się do drzwi. – A to znaczy, że powinniśmy już iść. Talus mówił do nas. Musimy wydostać się stąd jak najszybciej, zanim będziemy następni do odstrzału.

Nie zdążyła jednak otworzyć drzwi – zostały wyważone z zewnątrz. Do środka wpadł żołnierz Findiri. Do Danny'ego nie zdążyło nawet dotrzeć, co się dzieje, gdy Fiona już wykonała unik, by zejść z linii strzału z broni energetycznej, i wykorzystując swój rozpęd, złapała Findiri i cisnęła na podłogę. Zanim pierwszy z żołnierzy upadł, wciąż rozpędzona Liu skoczyła na drugiego, który

wszedł zaraz za pierwszym, i wyszkolonym chwytem skręciła mu kark.

Danny usłyszał kolejny huk, ale temu hałasowi towarzyszyło dziwne doznanie. Ciało mu się rozluźniło. Spojrzał w porę, by zobaczyć niewielki otwór w swojej koszuli, przez który sączyła się krew.

Na granicy zanikającego pola widzenia Danny zobaczył jeszcze, jak Fiona łamie kark pierwszemu powalonemu Findiri, zanim sam zaczął się osuwać na podłogę. W przebłysku świadomości zastanawiał się jeszcze, ile krwi musi stracić, aby jego towarzysz Valarisi nie poradził sobie z utrzymaniem ciała przy życiu, a potem wzrok mu się zamglił i zapadła ciemność.

Rozdział 44

SEKTOR IRIGOYEN
WYSOKA ORBITA SAN MARTIN
OZF „NIEPODLEGŁOŚĆ”
SALA KONFERENCYJNA

Shelby Proctor nie była politykiem.

„Rayna, jak mogłaś?” – pomyślała. Nawet sugestia, że miałyby coś wspólnego z politykami, wydawała się obraźliwa.

Prawda?

A jednak oto tu była, w jednym pomieszczeniu z przedstawicielami każdej ważnej politycznej frakcji ludzi. Proctor miała mówić w imieniu Zjednoczonej Ziemi, a przynajmniej tej części, która nie chciała podlegać Findiri. Galaktyczny Kongres Ludzkości reprezentowany był przez Curiela, Chińska Demokratyczna Republika Międzygwiezdna – przez wicepremiera Wanga, z ramienia Konfederacji Rosyjskiej przybył sekretarz stanu Fiedorow, a imam Jalal Baraan z Kalifatu twierdził, że przysłała go rada starszych, a przynajmniej większość jej członków.

– Czyli chce pani stworzyć galaktyczną federację? Albo republikę? Czy tylko luźny sojusz? Nie jestem pewien, o co pani prosi, admirał Proctor – powiedział Fiedorow.

– Słuszna uwaga, bo szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co jest możliwe albo najlepsze w obecnej sytuacji. Wiem tylko, że podzieleni poniesiemy klęskę. – Popatrzyła na czterech przedstawicieli, siedzących przy okrągłym stole w sali konferencyjnej. – Kilka miesięcy temu na własne oczy widzieliście, do czego zdolny jest Rój. Wszyscy też jesteście w takim wieku, że

pamiętacie drugą wojnę z Rojem. Z obu tych starć ledwie udało się nam ujść z życiem. Byliśmy o tyle... – Zbliżyła kciuk i palec wskazujący, aby pokazać niewielką odległość. – Tyle dzieliło nas od całkowitej zagłady jako gatunku rozumnego. Zarówno w pierwszej, jak i w drugiej wojnie z Rojem. Błagam, panowie, MUSIMY wreszcie się zjednoczyć. Nie tylko my, lecz także pozostałe rasy rozumne, z którymi mamy kontakt.

– Dolmasi? – rzucił Wang. – Chce pani, żebyśmy włączyli się w strukturę organizacji rządu z Dolmasi? Dwa miesiące temu prawie zniszczyli nasz centralny świat!

– Nie byli... Nie byli w pełni świadomi. Reakcja ich umysłów na fale metaprzestrzenne generowane przez golgocki okręt Grangera okazała się bardziej dotkliwa i brutalna niż w naszym przypadku. Ale proszę też pamiętać, że przybyli pełnymi siłami nad Penumbkę, a także pomogli nad Bernem kilka dni temu. Może ich pan nie lubić, ale choć trudno w to uwierzyć, Dolmasi stoją po naszej stronie przeciwko Rojowi i Findiri.

– Admirał Proctor – odezwał się imam Baraan – jak mamy zaufać, że te obce rasy podzielają nasze wartości? Demokracja. Niepodległość. Wolność myśli. Wolność wyznania. Zobowiązanie do przestrzegania kodeksu praw cywilnych. Zasady prawa. Co z Eru? Prawie nic o nich nie wiemy. Itaranie? Tak samo, choć nieco więcej niż w przypadku Eru. Dolmasi? Muszę się zgodzić z moim chińskim kolegą: nie wydaje mi się ani trochę oczywiste, że ten gatunek ceni to samo, co my.

Proctor zabębniła palcami po stole. Przywykła do zebrań w sali konferencyjnej, podczas których słuchała sporów i dyskusji, poznawała argumenty za i przeciw, a potem podejmowała decyzję i spodziewała się, że wszyscy się podporządkują.

To zebranie jednak nie należało do takich. Przypominało raczej zaganianie stada kotów. Demokracja oznaczała bałagan, jak Proctor zdążyła już zauważyć. I konieczność.

– Rozumiem te zastrzeżenia i wątpliwości. I szczerze mówiąc, są to zagadnienia właśnie dla was, polityków i dyplomatów. Jednak to sprawy na później. Na razie chcę położyć podwaliny, ustalić podstawową strukturę. O szczegóły będziemy się martwić, gdy znajdzie konieczność ich dopracowania.

– A komu według pani powinno się powierzyć przywództwo nad tą nową... organizacją? – zapytał Curiel. Wcześniej nie powiedział ani słowa, dopiero teraz przerwał milczenie. Proctor kontaktowała się z Dannym zaledwie kilka godzin temu, dlatego wiedziała o jego i Rice'a podejrzeniach dotyczących Curiela i Cooper. Czy na pewno przewodniczący GKL był tym, za kogo się podawał? A jeśli nie, to kim, u diabła, był naprawdę?

Niezależnie od tego jednak reprezentował Galaktyczny Kongres Ludzkości, nie wspominając o najpotężniejszej korporacji w historii.

– Jak powiedziałam, to sprawa na później – odpowiedziała mu Proctor.

– Nie zgadzam się – sprzeciwił się chłodno.

– Jak przypuszczam, uważa się pan za osobę najlepiej nadającą się na przywódcę tej organizacji? Pańska arogancja przeszła już do legendy, panie przewodniczący. I chyba już wiem, dlaczego.

Curiel uniósł ręce, zgrywając niewiniątko.

– Nie mówiłem, że chcę osobiście przewodzić tej organizacji. Wydaje mi się jednak, że my, jako przedstawiciele ludzi, powinniśmy przeprowadzić tę dyskusję najpierw między sobą, zanim wyjdziemy z nią do innych i zaczniemy składać obietnice choćby Dolmasi. Musimy zdecydować tu i teraz, czy zgadzamy się na przywódcę z rasy Dolmasi? Albo Skiohra? Eru? Itaran? Na litość boską, większość z nich nie potrafi zbudować statku gwiazdowego bez taśmy klejącej, a ma rządzić galaktycznym sojuszem?

Proctor westchnęła, a potem wzięła głębszy oddech.

– Panie przewodniczący. W Zjednoczonej Ziemi też jest wiele grup, które nie mogą znieść, że prezydent Cooper zajmuje stanowisko prezydenta. Twardogłowi. Ale na tym polega demokracja. Za kilka lat dostaną szansę, aby ją wymienić na kogoś innego. Pan – zwróciła się do Wanga – pańska partia dominuje w Republice od dwustu lat. Jednak wewnątrz ugrupowania macie wybory, a pan wygrał je i dostał stanowisko wicepremiera z bardzo niewielką przewagą głosów. Czy to oznacza, że nie ma pan władzy wynikającej z pana obecnej pozycji? Demokracja nie jest uporządkowana, przyjaciele, jednak w takiej czy innej formie to system, jaki wybrały wasze rządy i ludzie. Przywódczyni Itaranka?

Jasne. Czemu nie, jeżeli większość rozumnych istot w narodzie wybierze właśnie ją?

W sali przez chwilę panowała cisza.

– W narodzie – odezwał się wreszcie Fiedorow. – Po raz pierwszy ujawniła się pani i przyznała to na głos. Chce pani rozproszyć nasze narody i stworzyć na nowo jako pankulturowy, panrasowy, pangalaktyczny naród. Obawiam się, że podzielałam troskę moich szacownych kolegów: jak mamy się upewnić, że obce rasy cenią te same wartości, co nasza? Obywatele Konfederacji Rosyjskiej nie chcą, aby ich życiem kierował obcy, który nic o nas nie wie.

– Dlatego wcale tego nie proponuję, panie sekretarzu. Należy raczej założyć, że ta organizacja będzie federalistyczna. Może galaktyczny rząd powinien zajmować się tylko tym, co dotyczy wszystkich ras jako całości, jak choćby wojną przeciwko Rojowi, ale z lokalnymi rządami, które działają w ramach miejscowego prawa. Rząd galaktyczny może pilnować takich kwestii, jak równe prawa dla każdej jednostki, niezależnie od zamieszkiwanego świata, ale zarazem dopuszczać interpretacje tych ogólników przez rządy miejscowe i im powierzać implementację tego rodzaju praw do własnych kodeksów. Nie wiem, to zagadnienia dla was, polityków. Ja jestem tylko starą weteranką, która ze wszystkich sił próbuje ocalić ludzkość przed zagładą i stosuje jedyny sposób, jaki nam jeszcze pozostał.

Jej przemowa zawstydziła ich tak, że znowu zapadła cisza. Proctor nieprzypadkowo wspomniała o swojej służbie dla ludzkości – zgromadzeni na pewno doskonale znali jej dokonania. Niejeden raz ocaliła światy ludzi. A politycy nie umieli na to odpowiedzieć.

Wreszcie Curiel przerwał ciszę.

– Pani admirał ma rację. Musimy się zjednoczyć w obliczu wspólnego wroga. A potem? Kto wie, czy nie pojawi się kolejna rasa, która zapagnie dominacji i nie zażąda, abyśmy znowu musieli się zjednoczyć? Nie. Nadszedł czas. Gatunki rozumne MUSZĄ połączyć siły w imię wspólnego dobra.

Proctor skłoniła głowę.

– Dziękuję, przewodniczący Curiel.

– Co więcej, musimy zjednoczyć się jako ludzie i przyłączyć do tej nowej organizacji jako jedna rasa. Nie jako Konfederacja Rosyjska,

Chińska Demokratyczna Republika Międzygwiazdna, Galaktyczny Kongres Ludzkości czy Kalifat, lecz jako ludzkość.

Stwierdzenie Curiela zostało przez pozostałych trzech przyjęte raczej bez entuzjazmu.

– Inaczej po prostu to się nie uda – powiedział Curiel. – Spróbujemy to sobie wyobrazić. Prezydent Wang z nowej Republiki Galaktycznej zwołuje flotę do obrony przed nowym atakiem Roju. Światy pozostają w równowadze. Potrzebna jest każda jednostka, jaką może dostać. Tyle że prezydent Dupek ze Zjednoczonej Ziemi uważa, że nad Rivadavii trzeba zostawić dziesięć okrętów do obrony orbitalnej, a Nowemu Dublinowi osiem i tak dalej... A kiedy prezydent Wang stanie przed koniecznością walki z Rojem, nie będzie miał do dyspozycji żadnej floty, ponieważ inni przywódcy go zlekceważą. Nie. Potrzebny nam jeden centralny rząd, silny i zjednoczony, albo zwyczajnie nic z tego nie wyjdzie.

Curiel odchylił się na krześle i splótł ramiona na piersi. Wyraził swoje obawy.

I były to obawy słuszne.

– Jeżeli jedynym celem tej organizacji będzie wspólna obrona przeciwko potężnym przeciwnikom obcych ras, to sekretarz Curiel ma niewątpliwie rację. W takiej sytuacji nie należy stosować półśrodków. Albo angażujemy się wszyscy, albo zostaniemy rozniesieni przez wichry zmian. – Proctor ściszyła głos. – A to, szanowni panowie, stanie się na pewno, jeżeli wreszcie się nie zjednoczymy.

Znowu zapadła cisza.

– Zatem kto to będzie? – zapytał Wang.

Curiel popatrzył na imama Baraana.

„Intrygujące” – pomyślała Proctor. Imam odchrząknął, jakby przygotowywał się do długiej przemowy.

– Nominuję przewodniczącego Galaktycznego Kongresu Ludzkości na reprezentanta i przywódcę ludzi w rządzie galaktycznym, jakkolwiek powstanie dzięki naszym tutaj wysiłkom.

Proctor przymknęła oczy, skrzywiła się lekko i zmeła w ustach przekleństwo. Gdyby to od niej zależało, istota udająca Curiela z pewnością nawet nie zbliżyłaby się do przywództwa w rządzie galaktycznym. Admirał skierowała swoje myśli do wewnątrz.

Czy tych dwóch zaaranżowało to wcześniej?

Bez wątplenia – odpowiedział jej towarzysz. Nie odczytałaś tego z języka ich ciał i mimiki? Z subtelnych tonów wypowiedzi imama? Przez ostatnie tygodnie wiele się nauczyliśmy o rasie ludzi. Takich sygnałów afektywnych nie można pomylić.

– Doskonale – stwierdziła Proctor na głos. – Wicepremierze Wang?

– Nominuję prezydenta Sidorowa z Konfederacji Rosyjskiej. Jego prezydenturę cechuje kompetencja, podjął też wysiłki, aby administracja rosyjska skupiła się na pogłębieniu związków Konfederacji z Republiką Chińską. Jako że nie wydaje mi się, aby udało się głosować na naszego premiera, wolę postawić na Sidorowa.

Który niewątpliwie dokonał sporych ustępstw na rzecz Chińskiej Demokratycznej Republiki Międzygwiazdnej, aby uzyskać ten głos – przekazała Proctor swojemu towarzyszowi.

To prawda. Ta nominacja również została przygotowana wcześniej. Nie widzisz tego?

Och, jak najbardziej.

Obaj kandydaci byli dla niej nieakceptowalni. Sidorow nawiązał przyjazne relacje zagraniczne z Chińczykami tylko po to, by zdenerwować Zjednoczoną Ziemię i utrzymać ośrodki władzy w dynamicznej równowadze między tradycyjnym Zachodem i Południem na Ziemi.

I dopiero wtedy Proctor zdała sobie sprawę z ogromu politycznych negocjacji, które odbyły się na długo przed obecnym spotkaniem. Uświadomiła sobie także, że wbrew temu, co sądziła Rayna, była marnym politykiem, ponieważ znalazła się w sytuacji, w której musiała wybierać między złem a złem.

– Przykro mi, ale Zjednoczona Ziemia na razie wstrzymuje się od głosu.

Wicepremier Wang gniewnie zerwał się z krzesła i wyszedł z sali. Sekretarz generalny Fiedorow splótł dłonie przed swoją twarzą, jakby zastanawiał się nad kolejnym posunięciem. Imam Baraan tylko pokręcił głową.

A Curiel uśmiechał się w zamyśleniu, jakby wszystko, co się właśnie zdarzyło, szło zgodnie z jakimś jego planem. Teoria

Danny'ego i Fiony dotycząca Curiela dręczyła Proctor. Jeżeli przewodniczący GKL w rzeczywistości należał do Quiassi, a zatem udawał pewnie człowieka w przeszłości na Ziemi, to kim był naprawdę? Zwłaszcza jeśli Cooper to tak naprawdę Avery? Wynikało z tego, że Curiel...

Był Małakowem? Czy to możliwe?

Jeżeli tak, to stanowił jeszcze gorszy wybór niż Sidorow.

Shelby Proctor wstała i ruszyła do wyjścia za wicepremierem Wangiem.

Zawiodła.

I doskonale o tym wiedziała.

Rozdział 45

SEKTOR VERACRUZ CHANTANA 3 STATEK POKOLENIOWY ERU

– Kapitanie Granger?

Słyszał słowa, ale trudno mu było oderwać oczy od katastroficznej fali destrukcji, która przetaczała się przez powierzchnię Chantany 3. Wszystkie cztery krążowniki Findiri zostały pochłonięte, włącznie z okrętem Zjednoczonej Floty. „Śmiałka” nigdzie nie było widać.

– Tato – usłyszał ponownie ten sam głos. Dopiero to wyrwało Grangera z zamyślenia.

– Już idę... Ale, na Boga, Jasper, tylko popatrz. Czy z Brytanią było tak samo? Czy została przeze mnie całkowicie zniszczona?

Jasper położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie. Nie przez ciebie.

– Skąd wiesz?

– Przez Findiri.

– Których stworzyłem.

– Przez Rój.

– Który tym razem pojawił się tutaj przeze mnie.

Jasper pokręcił głową.

– Nie. Nie jesteś przyczyną tego, co się stało. Tego wszystkiego. Jesteś rozwiązaniem.

Granger spojrzał mu w twarz.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak.

– Czy ja wiem, synu?

Jasper milczał przez chwilę, a potem uściśnął mu lekko ramię.

– To prawda, tato. – Granger uniósł rękę i w odpowiedzi uściśnął dłoń spoczywającą na jego ramieniu. – Jesteś powodem, dla którego wciąż walczymy. I dobrym człowiekiem. Bohaterem.

Granger spojrział mu w oczy.

– Jestem?

Zanim Jasper zdążył odpowiedzieć, Granger cofnął się i puścił jego dłoń, po czym pochylił się nad konsolą.

– Musimy się schronić, zanim uderzy w nas ta chmura odłamków.

Skierował prom Trojaczków do otwartych wrót jednego z wielkich hangarów gigantycznego statku Eru. Ku jego zaskoczeniu na lądowisku czekało już kilka istot, które rozpoznał.

– Variusza. I ty... – Granger spojrział na stojącego niedaleko Eru. – Shelby Proctor rozmawiała z tobą. A przynajmniej próbowała.

Eru machnął swoimi czterema ramionami i powiedział coś z podnieceniem. Początkowo Grangerowi zdawało się, że próbuje mówić do niego, ale zaraz zrozumiał, że obcy patrzył na kogoś za jego plecami.

Komandor Qwerty właśnie schodził z rampy promu.

– Hejka! *Unt-unt-wa!*

Odpowiedź Eru była niezrozumiała, program translacyjny miał zakodowane tylko podstawy jego języka. Variusza przekrzywiła głowę, po czym oznajmiła, gdy istota skończyła:

– Mówi, że wita cię w swojej siedzibie, człowieku z dalekiej przeszłości. Jesteś tu mile widziany.

Granger popatrzył na nią zaskoczony.

– Rozumiesz język Eru!

– Oczywiście, że tak, Starcze-i-Tak-Dalej. Sam nauczyłeś go moich przodków wiele trójcykli gwiazdnych temu. Przedstawiłeś nas sobie. Dzięki temu nawiązaliśmy najlepsze przyjacielskie stosunki od lat, mimo że tak niewiele mamy ze sobą wspólnego. – Wskazała na Eru. – To jedna z przywódczyń. Nazywamy ją Wymowna Czwororęka, bo tak zabawnie macha rękami.

– A jak ma na imię w swoim języku?

– Ha, ha, ha! – Variusza coraz lepiej naśladowała ludzki śmiech. – Ich imiona są dla nas niewymawialne i niewyobrażalnie nudne. Zestawy przypadkowych głosek i liczb, w których nie ma ani życia,

ani żadnej historii. Ale Eru nie obrażają się, gdy nazywamy ich po swojemu.

Wszystko to wydawało się takie interesujące. Granger chciałby dowiedzieć się więcej o dziejach tego niecodziennego aliansu i przyjaźni tak różnych ras istot rozumnych.

Jednak nie było na to czasu. Bez wahania zwrócił się do Eru:

– Wymowna. Szukam czegoś. Książki albo nagrania. Przekazałem to waszym przodkom na przechowanie. Wiesz, o czym mówię? Macie to?

Eru spojrzała na Variuszę, a ta uprzejmie poczekała, aż translator Qwerty'ego skończy przekładać angielski na itarański. Potem drobna Trojaczka zaczęła mówić do Czwororękiej.

Granger nie potrzebował nawet elementarnej znajomości języka Eru, żeby zrozumieć odpowiedź. Wymowna złożyła najpierw parę głównych rąk, potem tych drugich i zaczęła powtarzać w kółko tylko jedno słowo:

– *Vint. Vint. Vint. Vint!*

– Mówi „tak” – przetłumaczyła Variusza. – Zaprowadzi cię do pomieszczenia z ludzkimi nagnaniami, gdzie przechowują to, czego szukasz. Ale powinieneś wiedzieć, że to bełkot, więc sam musisz wszystko odszyfrować.

Granger odwrócił się do Qwerty'ego.

– Pora na fajerwerki, komandorze. Mamy ludzki Manuskrypt Wojnicza, księgę zapisaną przez Eru, zdobyliśmy też ten rękopis obcych... Brakuje tylko itarańskiego. – Odwrócił się do Variuszy. – Czy Klollogesz już przyleciał? Kazałem, żeby jeden z moich oficerów pomógł mu uciec.

Variusza popatrzyła na niego wyraźnie zmieszana, o ile można było tak zinterpretować emocje na jej twarzy.

– Przyleciał?

– No tak. Klollogesz to jedyny Itaranin, który zna część kodu, którą kiedyś wam zostawiłem.

Wyraz twarzy Itaranki się zmienił, a Granger zaczął rozumieć, co to oznacza.

– Potrzebny nam itarański manuskrypt. Bez tego... – Nie musiał kończyć.

– Bardzo mi przykro, Starcze-i-Tak-Dalej. Takie było jego przeznaczenie. Klollogesz wierzył, że należy użyć naszego świata jako broni, żeby pomóc powstrzymać potwory, które tu przybyły. Musiał zostać, aby mieć pewność, że jego misja się powiedzie.

„Musiał zostać”. Te słowa brzmiały tak zimno i lakonicznie w porównaniu z ogromem straty, jaką opisywały. Klollogesz zginął. Jego dzieci również. A wraz z nim manuskrypt Itaran.

Granger spojrzał na jednego z pilotów promu.

– Powiedziałaś, że Klollogesz uniknie ostatecznej śmierci.

– To prawda! Zapewnił sobie na zawsze miejsce w Wielkiej Opowieści – potwierdził radośnie Trojaczek.

– Ale zginął – zauważył Granger ponuro.

– Ale czy na pewno? – odparł pilot. – Śmierć to zapomnienie. A Klollogesz nigdy nie zostanie zapomniany.

– Czy przed końcem nie zostawił wam jakiejś wiadomości? – zapytał Qwerty cicho Variuszę.

– Nie! – Granger uderzył w panel otwierający właz. – Niech to szlag, nie!

Włączył podręczny datapad i uruchomił połączenie.

– Komandorze Shin-Wentworth. Dałem panu zadanie. Udało się je wypełnić?

Po kilku chwilach milczenia komandor odpowiedział:

– Przykro mi, kapitanie. Odmówił, nie chciał wyjść. Niestety, zabrakło czasu, żeby zabrać go stamtąd siłą. Naprawdę bardzo mi przykro.

Granger miał wrażenie, że z tymi słowami coś w nim umarło. Tyle poświęceń i wszystko na próżno. Śmierć Klollogesza zniszczyła jego plany.

– W porządku, komandorze. Niech „Wyzwanie” stąd odleci. Spotkamy się w... – Zerknął na Variuszę. – Musimy stąd odlecieć. Dokąd się wybieracie?

Itaranka odwróciła się do Eru i zapytała, a potem wysłuchiwała odpowiedzi.

– To zależy od ciebie, przynajmniej na razie.

– Świetnie. Shin-Wentworth? Spotkamy się...

– Może nad Paradiso, panie kapitanie?

Zaskoczył Grangera tą propozycją.

– Co proszę?

– To doskonałe miejsce na spotkanie. Możemy wykonać skok kwantowy pod osłoną księżycy Paradiso. Otaczające go pole elektromagnetyczne zamaskuje nas na tyle, że unikniemy wykrycia. Na dodatek powinno się tam znajdować sporo okrętów Zjednoczonej Floty, Chińczyków, Rosjan i Findiri, wszystkie zajęte katastrofą i jej skutkami. Nie zwrócą na nas uwagi, więc będzie można zebrać informacje i podjąć decyzję, co powinniśmy zrobić w dalszej perspektywie.

– Zamierzałem zaproponować skupisko odłamków Brytanii...

Shin-Wentworth miał czelność znowu mu przerwać. Granger nie wiedział, czy wywołuje to u niego irytację, czy raczej podziw.

– Nie radziłbym, kapitanie. Oppenheimer i Findiri na pewno już się zorientowali, że to nasz punkt zborny. Będą obserwować cały sektor. Za duże ryzyko.

Granger musiał przyznać, że komandor ma pod wieloma względami rację.

– Niech będzie. Spotkamy się nad Paradiso. Granger, bez odbioru.

Komandor Qwerty stanął za jego plecami ze wzrokiem wbitym w wyświetlacz swojego datapada.

– Uch, kapitanie, mam złe wieści z Ziemi. I od admirała Proctor.

„O Boże... Co znowu?”

Opanował się i odwrócił.

– Słucham.

– Admirał przekazała, że nie udało się namówić obcych do stworzenia wspólnej floty jako wstępnego sojuszu ludzi i obcych. Na dodatek straciła ślad jednostki Roju.

– I?

Qwerty westchnął ciężko i zamknął oczy, jakby nie chciał mówić tego, co zaraz powie.

– Talus wyłapał ludzi, którzy byli spokrewnieni lub zaprzyjaźnieni z oficerami „Niepodległości”, „Volza”, „Diraca” i innych okrętów Zjednoczonej Floty, które stanęły po naszej stronie. Postanowił dodać ich do kolejki na egzekucję. Próbowali ucieczki... i... cóż. – Nie zdobył się, żeby dokończyć, tylko podał Grangerowi urządzenie z informacjami wyświetlonymi na ekranie.

– Dwustu szesnastu pasażerów zostało uznanych za zmarłych. I co najmniej pięćdziesiąt trzy tysiące zmarłych lub zaginionych w Amarillo – przeczytał Granger na głos.

Wyłączył wyświetlacz, upuścił datapad na podłogę, a potem ruszył do wyjścia z hangaru.

Jasper pobiegł za nim.

– Tato, zaczekaj!

– Kurwa, przestań mnie nazywać „tato”!

– Po prostu nie wychodź! Vestigium. Mówiłem ci, że Vestigium posiada małą flotę, która tylko czeka na twoje rozkazy. Diaz zapewnił, że jest twoja i...

– Nie chcę pieprzonej floty! Chcę, żeby ludzie przestali za mnie umierać. Rozumiesz, młody? – Granger stanął przed rozsuwanymi drzwiami, którymi można było wejść lub wyjść z hangaru. – Oppenheimer miał jednak rację. Może powinniśmy po prostu przyłączyć się do Findiri.

– Mylisz się – szepnął Jasper.

– Doprawdy? Możliwe. Ostatnio chyba ciągle się myślę. – Otworzył drzwi, żeby wyjść... Sam nie wiedział dokąd. Po prostu chciał się znaleźć jak najdalej stąd. – Spójrz prawdzie w oczy, młody. To koniec. Wracaj do Vestigium, zbierz swoją prowizoryczną flotę i weź nogi za pas, póki to jeszcze możliwe.

Rozdział 46

SEKTOR POINCARÉ WYSOKA ORBITA WOKÓŁ PLANETY IXF-459

Lata świetlne przemknęły jak deszcz.

Co za dziwne porównanie – pomyśleli. Oni, on, wszyscy oni. Decker i cały kontyngent Valarisi w jednym.

Co sprawiło, że pomyślał o deszczu?

Pamiętał, że jako dziecko przyglądał się z ganku rodzinnej chaty na północnym przylądku wyspy Vancouver, jak zimowy sztorm nadciąga z głębi Pacyfiku. Wicher i ulewa uderzyły w dachówki, aż te zadrżały i zaklekotały. Widok hipnotyzował, można było stracić poczucie czasu i usłyszeć gniewne napomnienia za ignorowanie wezwań na kolację.

A może chodziło o coś innego? Patrzył na płynny pejzaż, przetykany odcieniami błękitu, różu i zieleni pulsującej flory wydostającej się z morza Valarisi. Każdy krzew i drzewo stanowiły fizyczny wehikuł dla pojedynczego Valarisi, który wybrał dla siebie formę rośliny. Gdyby był rośliną, wyczekiwałby deszczu.

Jednak z nieba spadł deszcz zniszczenia. Bomby, które zabiły miliardy, nie – tryliony... Niezliczone rzesze istnień i świadomości. A wydawało się, że nastąpiła złota era. Przez jeden cykl solarny swojej gwiazdy mogli się cieszyć wyzwoleniem od Roju. A potem nadeszła zagłada.

Kiedy przyleciała Shelby Proctor wraz z flotą, która zbombardowała planetę.

Bomby spadały jak deszcz, nie dawało się ich policzyć.

Decker zerknął na wskaźniki na pulpicie sterowniczym. Jeszcze tylko osiemdziesiąt dwa lata świetlne. Nie tak niepoliczalne jak krople deszczu. Załedwie kilka skoków kwantowych. W krótkim życiu Deckera-Plus czas zyskał dla niego nowe znaczenie, nowy kontekst. Chwilami płynął zbyt szybko. Chwilami ciągnął się powoli jak melasa.

Melasa. Czy to było odniesienie ludzkie, czy Valarisi? Tak wiele wspomnień mieszało się w jego ogromnej świadomości.

Jeszcze dwa skoki kwantowe.

A potem już tylko jeden.

I wreszcie na ekranach pojawiła się planeta na tle rozgwieżdżonego nieba. Nawet bez patrzenia na układ gwiazd wiedział, gdzie się znaleźli. Wehikuły wolności. Granger skonstruował je przed eonami, miały stanowić obronę przed nadchodzącym Rojem. Jakimś sposobem on-oni pamiętali to, jakby wszystko zdarzyło się załedwie tydzień temu.

Jednak próba zbudowania obrony nie wyszła, a wynik pracy Grangera poszedł w zapomnienie.

Aż do dziś. Do tej chwili. Teraz? Roboty stanowiły wehikuły wyzwolenia. A on-oni wyczuwali je jakimś sposobem, może przez metaprzestrzeń? Przez Więź? Jako roboty, drony, elektroniczne istnienia, nie miały świadomości i nie mogły połączyć się z Więzią. Jednak metaprzestrzeń stanowiła też fizyczne pole, pośrednie między falami a cząsteczkami, typowo dualistyczne, jak wszystko w naturze. Dlatego w pewnym sensie roboty strażnicze wydawały się tutaj najbardziej naturalne pod słońcem.

WSZYSTKO było naturalne, ponieważ istniało. Drapacze chmur na Ziemi? Istniały, czyli były naturalne. Stanowiły naturalne siedlisko gatunku *Homo sapiens*. Statki pokoleniowe Skiohra? Naturalne. Habitat gatunku, który Granger dawno temu dokooptował i skierował na ścieżkę ewolucji, mającej w rezultacie wydać gatunek przystosowany do określonych celów.

Granger? Naturalny. Jednostka z gatunku *Homo sapiens*, która zdołała przeżyć nadzwyczajnie długo właśnie dzięki nim, Valarisi.

Valarisi? Naturalni? Jakie były ich początki? Nawet sami Valarisi tego nie wiedzieli, pozostawało to poza ich pamięcią i czasem. A jednak...

Istnieli, czyli byli naturalni.

A Rój?

Decker się wzdrygnął. Nawet nie był pewien, czy to jego ludzka część tak zareagowała, czy ta należąca do gospodarzy Valarisii.

Rój NIE BYŁ naturalny.

Istniał, prawda? A zatem czy nie był naturalny? Na ten temat toczyła się dyskusja pomiędzy Valarisii – trwała kilka miesięcy, gdy przebywali w zbiorniku na Kioto 3. Debata zakończyła się ostateczną konkluzją.

Rój NIE BYŁ naturalny. Wywodził się z innego uniwersum, z innej rzeczywistości. Z innej natury. Stałe fizyczne, które rządziły jego atomami i cząsteczkami, nie były takie same jak tutaj. To, że Rój zdołał w ogóle istnieć w innym wszechświecie, było samo w sobie niesamowite. Może to... cud? Jak sny Shelby Proctor, które ją ostrzegały i prowadziły? Jak mamrotania na łożu śmierci o krewnych zmarłych dziesiątki lat temu, które pomogły pokonać kontrolowanego przez Rój Huntsmana?

Cuda też nie były naturalne. A jednak... istniały? Może. Może nie. Chyba właśnie to czyniło je cudami – niepewność i nieoznaczoność.

Jednak Rój, przybysze z innej rzeczywistości, nie był naturalny. A zatem należało go z natury usunąć. Wymazać z rzeczywistości. Rój musiał się stać znowu nierealny.

I kiedy Decker sięgnął przez Więż i wyczuł uśpioną gromadę elektronicznej świadomości pod powierzchnią, wiedział od razu, jak i wszyscy Valarisii, że oto ma przed sobą sposób na ostateczną eksterminację Roju. Na destrukcję tego, co nienaturalne.

– Na razie jednak jest ich za mało. Tylko setki. Potrzebujemy milionów. – On-oni zastanowił się. – Potrzebna jest stymulacja. Powód, dla którego powstanie ich więcej. Dużo więcej. Miliony.

Wypowiedział słowa na głos, chociaż mógł je tylko pomyśleć do nielicznej załogi obsługującej wraz z nim mostek.

– Granger i jego grupa wpadli tutaj kilka dni temu. I to wystarczyło, żeby obudzić roboty, ale nie wystarczyło, aby stymulować ich bazę produkcyjną do wytwarzania większej liczby jednostek. Potrzeba nam czegoś dużego, czegoś, co sprawi, że ta flota się ocknie i powie: „O cholera! Pora się zbudzić i walczyć”. – Decker zakręcił kciukami, ponieważ wiedział, czego dokładnie potrzeba,

jednak obawiał się tego rozwiązania. A jeżeli coś pójdzie nie tak? On-oni, Decker-Valarisi, wiedzieli więcej niż jakakolwiek żyjąca rasa rozumna, potrafili myśleć i przewidywać, modelować różne scenariusze z większą precyzją i trafnością niż inne żywe istoty. Naturalnie.

A mimo to pozostawała w nich odrobina niepewności.

Czy mógł zaryzykować przyszłość wszechświata, skoro nie miał absolutnej pewności?

W rzeczywistości nawet kwantami rządziła reguła nieoznaczoności. Nic, co istniało, nie było absolutnie pewne.

Zatem, tak. Tak, mógł.

– Sternik, zejźmy na niską orbitę.

A po wydaniu rozkazu Decker-Valarisi zamknął oczy i sięgnął przez metaprzestrzeń. Zaczęli szukać, wyczuwać... i znaleźli.

A potem wezwali.

Tu jesteśmy. Wszyscy co do jednego. Przyjdźcie po nas.

Decker-Valarisi otworzył oczy. Mógł to wyczuć.

Rój – ostatni i jedyny okręt w całym istnieniu – nadlatywał.

A Decker był przynętą.

Rozdział 47

SEKTOR IL NIDO PARADISO OZF „TYLER S. VOLZ”

Shin-Wentworth wiedział, że jest blisko. Czuł to. A sądząc po tempie uderzeń jego serca – nawet jego podświadomość o tym wiedziała.

– Żadnych zmian w okrętach Findiri albo floty? – rzucił.

– Nie, komandorze. Okręty floty wciąż pomagają w odbudowie, a dwa okręty Findiri po prostu zatrzymały się na wysokiej orbicie – odpowiedział oficer taktyczny.

– Dobrze. – Shin-Wentworth wrócił do stanowiska naukowego, przy którym doktor Wiggum patrzył na jakiś kod, który napisał do modelowania przewidywanego zachowania nowo otrzymanego generatora itarańskiej dwuwymiarowej osobliwości.

– I? – Wiggum nie odpowiedział. – Doktorze Wiggum?

– Och, przepraszam, przestraszył mnie pan. – Mężczyzna nawet nie podniósł głowy, tylko przesunął palcem po kilku częściach modelu wygenerowanego przez kod.

– Jesteśmy gotowi? Zadziała?

– Zadziała? Może. Gotowi? Na tyle, na ile to możliwe, zanim przetestujemy wszystko w praktyce.

Shin-Wentworth skinął głową.

– Uruchomienie będzie musiało wystarczyć za próbę. Niech pan będzie gotów, żeby zakotwiczyć drugą osobliwość. Na pewno mamy dość mocy?

– Na pewno. Prymarna osobliwość wymaga milionów terabajtów. Węzeł Energetyczny Półkuli Zachodniej na Ziemi zapewni najlepsze warunki.

– Świetnie. Przekazał pan współrzędne oficerowi taktycznemu?

– Mmm... – odmruknął tylko Wiggum, wciąż wpatrzony w swój model.

Ten człowiek zaczynał wariować. Shin-Wentworth nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie się go pozbędzie.

– Przygotować się do przekazania dziewięćdziesięciu pięciu procent mocy do projektora metaprzestrzennego – rozkazał oficerowi taktycznemu. – Wycelować go na współrzędne przekazane przez doktora Wigguma.

– Tak jest, komandorze.

Shin-Wentworth odwrócił się do sternika.

– Pełna gotowość. Kiedy kondensatory się naładują do pełna, wykonamy skok kwantowy. Czy kolejność działań jest zrozumiała?

Młody sternik skinął nerwowo głową.

– Skok kwantowy na podaną lokację, czekać na potwierdzenie taktycznego, a wtedy natychmiast skok kwantowy na Ziemię.

– Bardzo dobrze. Bez obaw, poradysz sobie, synu. – Shin-Wentworth położył sternikowi dłoń na ramieniu. Dzieciak miał najwyżej dwadzieścia lat, nie więcej. – Straciłeś kogoś na frachtowcu z Baltimore, prawda?

Dzieciak pokiwał głową.

– Tak jest, komandorze. Brata. Wysłał mi wiadomość. Myślał, że uda mu się uciec. A potem... No cóż. – Sternik westchnął. – Był dzieckiem, komandorze. Piętnastolatkiem.

Shin-Wentworth poklepał go lekko po ramieniu.

– Już blisko, chorąży. Zachowaj czujność, wykonaj rozkazy, a wkrótce będzie po wszystkim.

Popatrzył na wskaźnik kondensatorów. Prawie pięćdziesiąt procent.

„Już niedługo. Trzymaj się, Megan”.

Rozdział 48

SEKTOR IL NIDO CIEMNA STRONA KSIĘŻYCA PARADISO STATEK POKOLENIOWY ERU

– Człowieku-Który-Dużo-Mówisz, pracujesz czy już wszedłeś w swój stan uśpienia? – Variusza zajrzała przez uchylone drzwi.

Qwerty zaprosił ją gestem.

– Wciąż pracuję, kochana. Próbowałem zorientować się w bazie danych Eru. Oparta jest na systemie szesnastkowym, przez co łatwiej zrozumieć ich język pisany niż mówiony. Zrobiłem spore postępy. Podejdz, pokażę ci. – Wskazał na krzesło obok, znajdujące się naprzeciw ściany z monitorami i pulpitemi.

– Jak mogę pomóc, Człowieku-Który-Dużo-Mówisz? – Variusza usiadła na wskazanym miejscu.

– Pani Wymowna pokazała mi kopię ich Manuskryptu Wojnicza. Cyfrowy zapis, rzecz jasna, co bardzo wiele ułatwia. Próbowałem każdego możliwego sposobu, aby połączyć trzy zdobyte rękopisy w całość, a potem starałem się użyć jednego manuskryptu, aby przełożyć pozostałe dwa... Zastosowałem mnóstwo różnych kombinacji, zestawiałem i dopasowywałem symbole i znaki, ale wszystko na próżno. Ani razu nie znalazłem żadnej wyraźnej prawidłowości, żadnego wzorca. A właśnie tego szukam: wzorców. Gdy się pojawiają, zawsze wnoszą jakieś znaczenie. Niezależnie, czy chodzi o język, dane z detektorów, czy cokolwiek innego.

Variusza skinęła głową na znak, że rozumie, o czym mowa. Potwierdzenie charakterystyczne dla ludzi, nie Itaran, jak zauważył Qwerty. Trojaczki najwyraźniej bardzo szybko wychwytywały

i naśladowały zachowania albo zwyczaje innych rozumnych, po czym stosowały je w kontaktach z obcymi jako wyraz uprzejmości.

– I przeczuwasz, że ten wzorzec ci umyka, ponieważ dane wstępne są niekompletne, czy tak?

Qwerty zerknął na nią zaskoczony. W rzeczy samej właśnie to zamierzał powiedzieć.

– No, proszę. Oto Pani-Która-Czyta-Mi-w-Myślach. Mogę cię tak przezywać?

– Możesz mnie przezywać, jak chcesz, Człowieku-Który-Dużo-Mówisz.

Qwerty parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał.

– No i na tym polega problem. Program translacyjny i baza danych, którą przygotowałem razem z zespołami tłumaczy Zjednoczonej Floty, żeby porozumiewać się z Trojaczkami, to znaczy z wami, tak na marginesie, są niekompletne. A przynajmniej tak wynika, bo nigdy nie udaje się przełożyć w stu procentach waszych wypowiedzi. Najgorzej było w przypadku Klollogesza, niech bóg Trojaczków przyjmie jego duszę... Ha! Założę się, że czcicie jakąś trójcę. Mam rację?

– Bóg? Wybacz, Człowieku-Który-Dużo-Mówisz, ale w tłumaczeniu to słowo nie ma dla mnie żadnego sensu.

Qwerty wzruszył ramionami.

– Nieważne, odbiegłem od tematu. Mówiłem o przekładzie manuskryptów. Próbowałem różnych nowych podejść. Mieszałem treść rękopisów na wiele sposobów. Może wzorzec się nie pojawił, ale na pewno wyznaczyłem zbiór potencjalnych wskazówek, czego brakuje. Oczywiście to wielowymiarowa przestrzeń, jednak sporo określających ją zmiennych jest współzależnych. I wtedy pomyślałem sobie: „Człowieku, czemu nie przepuścić tego zakresu możliwych wzorców brakujących kontekstów i odniesień przez bazę językową Trojaczków? Może wtedy pojawi się coś, co pomoże w przekładzie”. I zaraz potem odpowiedziałem sobie: „Jesteś geniuszem, wiesz?”.

– Często w taki sposób do siebie mówisz? – zainteresowała się Variusza.

– Cały czas, kochana, cały czas. No i jak powiedziałem, tak próbowałem zrobić. Jednak, niech to szlag, nic czytelnego z tego nie

wyciągnąłem. Właśnie dlatego wspomniałem, że baza danych translacyjnych jest po prostu niepełna. – Uderzył w kilka przycisków na swoim podręcznym datapadzie i przewinął długi ciąg kodów translacyjnych, szukając w nich niedokładności i usterek.

– Na pewno? – zdziwiła się Variusza. – Rozumiem wszystko, co mówisz, oprócz pojęć, na które nie mam analogii. Jak na przykład... bóg. Jednak translator przełożył to słowo na mój język jako „nadrzędna kosmiczna inteligencja”, więc według mnie program działa bardzo dobrze.

Qwerty wyprostował się gwałtownie.

– Jas-sna... cholera... Masz rację. Program rozumie cię bardzo dobrze. Ale wiesz, z kim zawsze był problem? Z Klollogeszem. Zwykle z jego wypowiedzi rozumiałem zaledwie połowę, jeśli nie mniej.

– Zupełnie jak ja – stwierdziła Variusza w zamyśleniu.

– Chcesz mnie wepchnąć na minę...

Wyraz jej twarzy był bezcenny.

– Człowieku-Który-Dużo-Mówisz! Nigdy nawet nie pomyślałabym o popełnieniu czegoś podobnego. Wpychanie niewinnych istot na...

– Nie-nie! To tylko takie powiedzenie dla wyrażenia emocji. Ale naprawdę? Też nie rozumiałaś połowy z tego, co mówił Klollogesz? Czyli mogę przenieść moją hipotezę na płaszczyznę teorii. Może Klollogesz był kluczowy, jednak inaczej, niż nam się wydawało. Wspomniałaś, że strzegł pewnej wiedzy, którą przekazywali sobie wasi przywódcy z ust do ust przez wieki... Wiedzy z czasów, gdy Granger przebywał wśród was... Zgadza się?

– Zgadza się.

– Jednak tobie tej wiedzy nie przekazał?

– To też się zgadza. Wiedział, że nadszedł czas, by tę wiedzę wykorzystać, więc przekazywanie jej dalej nie miało już sensu. Upierał się, że będzie ostatnim strażnikiem tego, co Granger ongiś nam dał.

– A potem zginął, dobrowolnie poświęcił życie i nie przekazał nic z wiadomości dla Grangera. Trochę to dziwne, nie sądzisz? Zatem oto, co myślę: Klollogesz PRZEKAZAŁ WSZYSTKO. – Qwerty uniósł datapad i przewinął listę w archiwum nagrań rozmów z przywódcą Trojaczków. Odsłuchał pliki w kilka minut.

– Co robisz, Człowieku-Który-Dużo-Mówisz? Te rozmowy nie mają związku z ukrytą wiedzą.

– Właśnie że mają. Sama posłuchaj. Nie nasunęło ci się nic dziwnego?

Variusza w skupieniu wsłuchiwała się w kolejną nagraną wypowiedź Klollogesza.

– Dobra, przewinę trochę do przodu na przyśpieszeniu. – Qwerty przeskoczył do kolejnego fragmentu nagrania.

Itaranka słuchała uważnie.

– Powtarza się. Ten sam bełkot, wciąż i wciąż, w tej samej kolejności, przeplatany normalnymi, zrozumiałymi słowami. Nigdy wcześniej nie zauważyłam tej prawidłowości. Myślałam, że to jakiś tik nerwowy albo proteza w wypowiedzi. Ludzie też tak robią, często używają samogłosek i bez sensu je wydłużają, jak „yyy”, „eee” i tym podobne. Mówią też dużo „uhm”.

Qwerty przeciągnął kilka nagrań, uruchomił niektóre linie kodów i wyekstrahował bełkot Klollogesza, zanim wszystko to przepuścił przez oprogramowanie translacyjne.

– Dobra, mam. To mówi, gdy się wszystko połączy razem: *Gingza gryk klollog, gunza tlosz, gingza gryk tallog sta, fligli gosz, plohlosz szlogun, darmasza gosz, gilimsza goszaga roliszlik goszantik gasz, tlohtla szogosz, goszaga tlot, tlohtla goszag sa szalta, dloszlag gloszlag sa sza, ginzaga glosz, gloszag tlitlit.* – Podniósł wzrok na Variusę. – Zrozumiałaś coś z tego?

– Ani słowa. Jak powiedziałam, to bełkot. Niezrozumiały dla nas obojga.

Qwerty pokiwał głową.

– Świetnie, tego właśnie się spodziewałem. Ale zamierzam teraz przełożyć to, co mówił, na itarańskie litery i wstawić zapis do brakującego wzorca w trzech pozostałych manuskryptach. Zobaczmy, co się stanie.

Wpisał jeszcze więcej komend, uruchomił kilka aplikacji i wreszcie rezultat przerzucił do połączonych wcześniej treści z książek.

– I oto jest. – Z zadowoleniem przyglądał się, jak tekst zaczął się zmieniać. Wzorzec pojawił się tam, gdzie wcześniej była tylko

przypadkowość. Niedługo potem Qwerty mógł przeczytać słowa. Słowa i zdania po angielsku.

Ich treść jednak budziła niepokój.

– Chyba... Chyba trzeba to pokazać Grangerowi. To znaczy natychmiast.

Rozdział 49

SEKTOR IL NIDO
CIEMNA STRONA KSIĘŻYCA PARADISO
OZF „WYZWANIE”
MOSTEK

Jasper właściwie nie wiedział, jak udało mu się przekonać Eru, którą Variusza nazwała Wymowną, żeby dała mu transport na „Wyzwanie”. Pilot promu milczał jak kamień – i dobrze, bo Jasper nie rozumiał ani słowa z języka Eru. Na szczęście gesty wydawały się dość uniwersalne, jak się okazało. Czwororęki zamachał mu na pożegnanie, gdy tylko wylądowali w hangarze okrętu, i wskazał Jasperowi włącz.

– Dziękuję – powiedział młodzieniec. Przycisnął dłonie do serca, aby wyrazić wdzięczność. Miał nadzieję, że nie oznacza to dla Eru „wyzywam cię na pojedynek” ani nic podobnego.

Potem pobiegł na mostek. Został tam komandora Rice’a rozmawiającego z innym oficerem przy stanowisku taktycznym.

– Jasper? Co się dzieje? Powiedziałeś, że to pilne. Granger ma kłopoty?

– Tak... Jest źle. Nigdy nie widziałem go tak przygnębionego.

Rice skinął głową.

– Sporo musi znieść. Wie, że ci wszyscy ludzie giną za niego.

– To straszne. A on po prostu zamknął się w kajucie i nie chce wyjść. Mówi, że „szuka duchowego natchnienia”, cokolwiek to znaczy.

Rice wzruszył ramionami.

– Niewiele możemy z tym zrobić. Nie w tej chwili. Mamy większe problemy. Okręt Findiri właśnie pojawił się na orbicie Paradiso. Próbujemy zrozumieć dlaczego. Martwię się, że nas namierzył.

– Zakłócenia elektromagnetyczne księżycy nie wystarczają, żeby nas ukryć?

– Taką mam nadzieję. Jednak nadzieja to nie strategia. Zastanawiam się, czy nie lepiej stąd uciec, wbrew temu, co sądzi Shin-Wentworth.

Jasper nerwowo zacisnął i wyprostował palce.

– Proszę posłuchać. Nie możemy tak po prostu siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż coś się stanie. Tata na pewno się ogarnie. Vestigium czekało na tę chwilę, przygotowywało się od dawna, więc musimy tylko wykorzystać, co wiemy. Mam pomysł. Może mnie pan zabrać na San Martin? Jeżeli zbierzemy flotę Vestigium, może zdołamy coś zdziałać na Ziemi. Choćby... No, nie wiem, ale mamy sporo statków, nawet jeżeli są małe, więc mogą uniknąć tarczy przekazującej moment pędu, ewakuować jak najwięcej mieszkańców lojalnych wobec nas i...

Rice wyprostował się gwałtownie.

– Przepraszam, co powiedziałaś?

– Flota Vestigium. To tylko zbieranina zdemilitaryzowanych krążowników, ale mamy kilka starych kanonierek Floty Zjednoczonej Ziemi. Wszystkimi sterują weterani. Tylko czekają, by dołączyć do walki u boku Grangera.

– Nie, nie o to mi chodziło. – Rice patrzył na Jaspiera uważnie. – „Tata”?

– Och, to. Tak, heh. Długa historia, ale tak. – Młodzieniec wzruszył ramionami. – Powiedziałem mu wczoraj. Sporo już razem przeżyliśmy. Był tak samo zaskoczony jak pan.

– W rzeczy samej – odparł Rice. Przez chwilę wydawał się głęboko zamyślony, wręcz nieobecny. – Mówisz, że jesteś dosłownie „krew z krwi, kość z kości”, potomek Grangera? To nie żadne przezwisko?

– Może pan sprawdzić testem DNA i w ogóle. Nie ma żadnych wątpliwości. Strasznie go to zaskoczyło. W każdym razie, jeżeli doda pan flotę Vestigium do tego, co ma admirał Proctor, będzie to licząca się siła. Może nawet uda się...

Rice skinął na kogoś za plecami Jaspera i nieoczekiwanie silny chwyt unieruchomił ramiona chłopaka. Poczł kajdanki na nadgarstkach.

– Zamknąć go. Albo uśpić. Nieważne. Musimy go zabrać do Oppenheimera i Talusa. Już, zanim więcej ludzi zginie bez powodu.

Jasper chciał krzycheć, wrzeszczeć na zdrajców, którzy stali tam zadowoleni i uśmiechnięci. Ale ktoś wbił mu igłę w ramię i zaraz potem powieki zaczęły mu ciężyc. Nie zdołał utrzymać otwartych oczu...

Rozdział 50

SEKTOR IL NIDO CIEMNA STRONA KSIĘŻYCA PARADISO STATEK POKOLENIOWY ERU

– Czyli jeżeli ta interpretacja szyfru jest prawidłowa, wystarczy, że oddam się w ręce Findiri, aby rozwiązać wszystkie nasze problemy – stwierdził Granger.

– Mniej więcej, kapitanie. Instrukcje, które pan dla siebie zapisał, są jasne. Zostawił pan sobie chyba z pięć identycznych ciał na statku pokoleniowym Skiohra w tych komorach stazy? Na tym polegał pański plan. Zgromadził pan szczegółową wiedzę i znalazł sposób, aby ostatecznie pokonać Rój, a zarazem powstrzymać Findiri. I wiedza ta była zbyt cenna, aby ryzykować, że wpadnie w ręce jednych albo drugich. Dlatego postanowił pan poświęcić ciało, w którym przeżył pan eony, i przetransferował własną świadomość do tego, co pozostało z OZF „Wiktoria”, statku, którym latał pan po całej Galaktyce. Dodatkowo stworzył pan nowe ciała i umieścił na statku Skiohra.

Granger przespacerował się w tę i z powrotem.

– Ciała zawierają zmienione DNA. Czyli zakodowałem we własnym DNA wzorzec samozniszczenia Findiri. Chodziło mi o to, żeby użyli moich genów do naprawy swoich komórek reprodukcji ciał, a wtedy mój zmieniony kod genetyczny załaduje się do ich uszkodzonego kodu źródłowego i w rezultacie wszystkich ich zabije.

Qwertyski skinął głową.

– W skrócie właśnie tak. Pana strategia chyba opierała się na prostym założeniu, że trzeba im dać to, czego chcą, i użyć tego jak

konia trojańskiego, o ile można tak powiedzieć.

Granger w zamyśleniu pogładził się po brodzie.

– Czyli moje rozwiązanie sprowadza się do tego, żebym zginął i pociągnął Findiri za sobą.

– Może trochę... Ale niezupełnie. Przecież zostawił pan sobie inne ciała na statku Skiohra. Nie ma powodu, aby nie powtórzyć zmartwychwstania.

„Kurwa, raczej nie” – pomyślał Granger. Nareszcie mógł umrzeć.

Nareszcie będzie mógł odpocząć.

Tym razem jednak, gdy odejdzie, będzie miał pewność, że Findiri przestaną zagrażać ludzkości, a Rój zniknie z tego wszechświata i wszystkich innych.

A skoro o Roju mowa...

– Co z tym ostatnim okrętem Roju? Co takiego wymyśliłem, żeby się go pozbyć?

Qwerty zerknął na wyświetlacz swojego datapada.

– Cóż... Algorytm, który opracowałem, żeby sprawdzał tekst i szukał wzorców niosących czytelne znaczenia, jeszcze nie skończył. Wygląda na to, że im bliżej końca, tym bardziej skomplikowany i wieloznaczny przekaz. I nie mówię tego metaforycznie.

– Ile to potrwa?

Qwerty wzruszył ramionami.

– Kilka godzin? Chyba że prędkość odkodowywania informacji będzie dążyć asymptotycznie do zera, wtedy wszystko będzie zależało, jak szybko następuje dążenie do zera w odniesieniu do tempa deszyfracji i...

– Przejdźmy do sedna, Qwerty. Muszę tu czekać na tę ostatnią część czy mogę iść i zająć się rozwiązaniem kwestii Findiri? Od tej odpowiedzi zależy życie tysięcy niewinnych ludzi ustawionych w kolejce śmierci.

– M-myśle, że powinien pan iść. W instrukcjach chyba jest zapisane, że ostateczne pozbycie się Roju nie zależy od pana obecności w pobliżu.

– I tyle chciałem usłyszeć. – Granger wstał od terminala komputerowego, ale kiedy odwrócił się do wyjścia, do pomieszczenia wkroczyła Variusza, a za nią Wymowna Eru.

– Starcze-I-Tak-Dalej. Musisz szybko przyjść. Coś się stało – oznajmiła Itaranka.

– Co?

– Twój okręt, „Wyzwanie”, odleciał, gdy tylko twój potomek wszedł na pokład.

– Co takiego? – odparł Granger z niedowierzaniem.

– A inny statek gwiazdny, „Volz”, właśnie wykonał skok kwantowy na orbitę Paradiso. Wykryliśmy ogromny wzrost energii metaprzestrzennej emitowanej z tamtego statku w kierunku planety.

– Kapitanie – wtrącił Qwerty – właśnie podłączyłem się do sieci metaprzestrzennej Zjednoczonej Floty i usłyszałem dziwne rozmowy. Wygląda na to, że wszystkie okręty Findiri opuściły swoje posterunki i ruszyły na Ziemię. Okazuje się, że „Wyzwanie” już tam jest. Zadokowało na „Śmiałku”. Oppenheimer chyba ma Jaspera.

Grangerowi serce zamarło. Skończyły mu się możliwości. „Wyzwanie” odleciało na Ziemię, a Rice pojmał Jaspera i oddał w ręce Oppenheimera. Zdrajca. Granger nigdy nie powinien był mu ufać. Na dodatek Shin-Wentworth chyba stracił resztki zdrowego rozsądku i postanowił wziąć sprawy we własne ręce. Grangerowi pozostał jedynie cholerny statek pokoleniowy Eru pełen itarańskich uchodźców... Co gorsza, nie miał też pojęcia, gdzie podziała się Shelby.

Odwrócił się do Qwerty’ego.

– Prześlij wiadomość metaprzestrzenną do admirała Diaza na San Martin. Szybko.

Qwerty pogmerał w swoim datapadzie.

– Dobra, chyba udało mi się podpiąć pod projektor metaprzestrzenny Eru.

– Świetnie. Prześlij następującą wiadomość: „Jochin, tu Granger. Miałeś rację. Jasper też. Jestem gotów objąć komendę nad waszą cholerną flotą”. – Zastanowił się, co może zrobić, ale właściwie nie musiał, bo pozostało mu tylko jedno. – „Spotkamy się na orbicie Ziemi. Talus pojmał Jaspera i chyba domyślam się, co kombinuje. I wiem, jak go powstrzymać”.

Rozdział 51

SEKTOR POINCARÉ NISKA ORBITA WOKÓŁ PLANETY IXF-459

Rój zbliżał się coraz szybciej. On-oni mogli go wyczuć – ponad milion istnień i coraz więcej. Dzielili się i powielali w gwałtownym tempie przez miesiące po wyekstrahowaniu z ciał członków Zjednoczonej Floty. Już wtedy przygotowywali się na tę chwilę.

– Dostosować orbitę, aby przenieść się do tej lokalizacji. – Decker wskazał miejsce na mapie powierzchni planety. Znajdowała się tam spora rozpadlina i Decker-Valarisi uznali, że to prawdopodobnie jeden z ośrodków replikacji robotów. Granger był dokładny i zapewne przygotował wiele innych podobnych centrów rozrzuconych po planecie, jednak to tutaj wyglądało na największe i ujawniało największą aktywność.

– Wykonane – oznajmił sternik. Wcześniej pracował jako zwykły pilot prywatnego frachtowca, który regularnie dostarczał drobne zamówienia na Kioto 3, i tylko przypadkiem trafił do Rewolucji.

Rewolucja. Tak to nazywali? Odrodzenie? Powstanie?

Nie. Wyzwolenie. Była to przełomowa chwila, gdy Valarisi wzięli wreszcie sprawy we własne ręce, zamiast polegać na drugorzędnych gatunkach, aby osiągnąć swoje cele.

We własne ręce. Nigdy nie był to idiom Valarisi. Pochodził od ludzi. Wszyscy obecni potomkowie gatunku Valarisi narodzili się przez wprowadzenie materii ich rasy do ciał ludzi, a to znacząco na nich wpłynęło. Ludzkie manieryzmy, odniesienia kulturowe, słownictwo, nadzieje i marzenia, lęki i paranoje – wszystko to

potomkowie Valarisi przejęli od ludzi i przekazywali dalej swojemu milionowemu potomstwu.

Stali się bardziej ludzcy niż ludzie.

Brakowało im tylko ciała.

– Jesteśmy już prawie nad obszarem, który wskazałeś. Mam włączyć silniki manewrowe, żeby utrzymać pozycję?

– Tak, dziękuję, pilocie.

– Bardzo proszę – odpowiedział pilot radośnie. Valarisi w jego wnętrzu nie musiał prawie wcale wpływać na tego człowieka – z natury był dobroduszny. Ktoś, kto chciał sprawić wszystkim przyjemność.

Są tutaj. Miliony głosów odezwało się w Deckerze równocześnie. Czym prędzej pochylił się nad konsolą i ustawił kamery statku, aby mieć dobry obraz.

Na monitorze widać już było ogromny okręt Roju, który szybko zbliżał się do planety. Kierował się prosto na frachtowiec, bez wątpienia z zamiarem złapania i ponownego zniewolenia Valarisi do własnych celów. Mieliby znowu stać się niewolnikami Roju jak poprzednio, przez miliony lat.

Nie tym razem.

Jebańcy – dodała ludzka część Deckera.

– Aktywność na powierzchni?

Człowiek, którego przydzielił do jednego ze stanowisk na małym mostku, przyjrzał się odczytom. Był debiutującym naukowcem, więc powinien mieć pojęcie, o co w nich chodzi.

– Oczywiście nadlatują. Wiele. Ale... można je policzyć tylko w setkach. – Skrzywił się ponuro. Początkowo Decker nie wiedział, czy był to grymas ludzki, czy Valarisi. Kiedy sięgnął przez Więż, przekonał się, że skrzywili się obaj.

– Bez obaw. Gdy tylko Rój rozpocznie atak, uśpiona baza konstrukcyjna włączy się i zacznie produkować. Z nawiązką. Zobaczysz.

Okręt Roju zbliżył się do frachtowca utrzymującego stałą pozycję kilkaset kilometrów nad powierzchnią. A setki robotów strażniczych uniosły się na orbitę.

Miały się spotkać w połowie drogi, dokładnie tuż przy frachtowcu. Świetnie.

- Czas do spotkania?
- Trzydzieści sekund – odpowiedział naukowiec.

Doskonale.

Pora na drugi etap planu.

– Łączność. Wyślij metaprzestrzenne wezwanie pomocy do admirała Proctor na „Niepodległości”. Myślę, że znajdziemy ją w pobliżu planety Paradiso. Przekaż, że znaleźliśmy okręt Roju, który nas zaatakował, i potrzebujemy natychmiastowej pomocy.

Zastanowił się jeszcze, czy to wystarczy.

– I dodaj, że jeżeli nie przyleci, będzie to miało ogromny wpływ na los ludzkości, bo jest tu potężna broń, która nie może wpaść w ręce wroga.

Tą bronią byli oczywiście Valarisi i Decker we własnej osobie, ale Proctor nie musiała tego na razie wiedzieć. Dowie się później.

Rozdział 52

SEKTOR IL NIDO CIEMNA STRONA KSIĘŻYCA PARADISO STATEK POKOLENIOWY ERU

Granger spojrział na Wymowną.

– Potrzebuję statku, który zabrałby mnie na Ziemię. Pomożesz mi? Ostatni raz?

Zerknął na Variuszę, która po wysłuchaniu tłumaczenia z datapada Qwerty’ego, przekazała prośbę. Przywódczyni Eru odpowiedziała natychmiast.

– Mówi, że statek-dom musi odlecieć i dostarczyć nas do azylu. Ale jedna z ich kanonierek zabierze ciebie z eskortą.

Granger skłonił się Wymownej.

– Dziękuję.

Po przełożeniu Eru powtórzyła jego ukłon, a Variusza dodała:

– To ona dziękuje tobie, Starcze-i-Tak-Dalej. Za twoje bezcenne i bezinteresowne wsparcie wiele lat temu. Bez ciebie zapewne ten statek nawet by nie powstał.

Granger skinął głową.

– Z pewnością kryje się za tym długa i interesująca opowieść. I chętnie jej kiedyś wysłucham. Ale nie dziś. Możemy lecieć? Jestem pilnie potrzebny na swojej planecie.

Wymowna poprowadziła ich z pomieszczenia zapisów do sekcji statku, którą Granger już widział, ale zaraz skręciła do innego hangaru – nie tego, w którym wylądował. Czekał tam prom Eru. Wymowna powiedziała coś do Variuszy, a ta zwróciła się do Grangera.

– Prom zabierze ciebie i Człowieka-Który-Dużo-Mówi do kanonierki. Łączność stamtąd będzie ograniczona, ale piloci wiedzą, że mają was zabrać na Ziemię. Gdy się tam znajdziecie, przekażcie im jakoś, żeby...

Urwała, bo wrota hangaru otworzyły się nagle. Ukazała się śluza, przez którą na lądowisko wleciał ziemski prom Zjednoczonej Floty. Wymowna pochyliła się do Itaranki i powiedziała coś, a Variusza przełożyła bez wahania.

– Mówi, że właśnie przyleciał człowiek z wielkiego okrętu wojennego i musi z tobą pilnie porozmawiać, Starcze-i-Tak-Dalej.

Zanim Granger zdążył zapytać o szczegóły, właz promu opadł i po rampie praktycznie zbiegła admirał Proctor.

– Tim!

– Shelby!

Granger doskoczył do niej i zamknął w uścisku.

– Cieszę się, że nic ci nie jest. Pognałaś jak szalona, żeby samotnie stawić czoła Rojowi. Nie zamierzałem tego mówić, ale to było głupie.

Skinęła głową.

– I kto to mówi, Tim. No jasne, już wiem. Rayna zdołała przemówić mi do rozumu. Słuchaj, dostałam wieści, że okręt Roju jest na planecie, którą odkryłeś, tam gdzie znalazłeś pierwszy rękopis. Właśnie trwa bitwa Roju z robotami strażniczymi na orbicie.

– Och? Może te maszyny wykonają za nas brudną robotę?

Proctor pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się, żeby to było takie łatwe. Jeden z moich dawnych oficerów, który w jakiś sposób dołączył do Valaris, także znalazł się na pokładzie i walczy po stronie robotów. To... co najmniej dziwne. Mam przekonanie, że to wszystko jest bardzo dziwne. Nie potrafię nawet opisać, co mnie niepokoi. Chciałam jednak sprawdzić, co o tym sądzisz, zanim ruszę na pomoc. Przypomniałeś sobie coś więcej? O tych robotach? O Findiri? O Quiassi? Cokolwiek?

Granger spojrzał na Qwerty'ego.

– No, komandorze? Co jeszcze pamiętam? Co mówi manuskrypt?

– Cóż, kapitanie, obliczenia zwolniły jak muł w błocie, ale zdołałem potwierdzić teorię komandora Rice'a dotyczącą Quiassi. To

powolne sobowtóry, doppelgangerzy. Muszą mieć kontakt z ciałem celu, żeby wchłonąć trochę DNA. Potem nieśpiesznie, tygodniami, rekonfigurują własny kod genetyczny i komórki całego ciała, żeby pasowały dokładnie do tych od dawcy. Stworzył ich pan, by kontrolowali Findiri i kierowali ich niszczycielskie zapędy na produktywne cele, jednak nie wszystko poszło zgodnie z pańskim planem, bo kilku Quiassi miało własne pomysły. Właśnie wtedy wyciągnął pan wtyczkę i porzucił projekt, a potem zajął się nowym, którego rezultatem były księżyce Grangera i cała reszta.

– Świetnie. Po prostu cudownie. Ale co jeszcze? Roboty?

Qwerty pokręcił głową.

– Niezbyt udane. Stanowiły jeden z pierwszych pana pomysłów na pokonanie Roju. Potrafią się autoreplikować, posiadają podstawową sztuczną inteligencję i minimalną świadomość. Okazały się mało sprawne, więc zarzucił pan ten projekt, podobnie jak wcześniej Findiri.

– Autoreplikacja. Minimalna świadomość – wymamrotał Granger, a potem spojrział na Proctor. – Wybacz, Shelby, ale nic nie kojarzę. Po prostu... bądź ostrożna. Jeżeli okręt Roju interesuje się tymi maszynami i cofnął się o tryliony lat z przyszłości tylko po nie...

Nie dokończył, jedynie wzruszył ramionami. Wiedział, że Proctor sama domyśli się reszty.

– To nie nic, Tim. Potwierdza to kilka kwestii. Obawiam się, że Quiassi już został prezydentem Zjednoczonej Ziemi i przypadkiem ma powiązania z byłą prezydent Barbarą Avery, która podobno zginęła, ale, wiadomo, nie znaleziono ciała... To samo dotyczy Curiela. – Proctor zaczęła się odwracać, by przejść do promu, ale zatrzymała się jeszcze. – W zasadzie została mi tylko jedna sprawa...

Zrobiła kilka kroków i stanęła przed przywódczynią Eru.

– *Unt-unt-wa*. – Wyciągnęła ręce zaciśnięte w pięści.

– *Unt-unt-wa* – odpowiedziała jej Wymowna.

– Jesteśmy jednością. Ale czy naprawdę? – Spojrzała na Variuszę, która zaczęła tłumaczyć dla Eru.

– Oczywiście, że jesteśmy. Czemu o to pytasz?

Proctor opuściła ramiona.

– Nie pytam dlatego, że wątpię w twój lud, lecz dlatego, że wątpię w swój. Musimy zawiązać sojusz przeciwko siłom, które chcą nas

zniszczyć. Więcej niż sojusz. Rząd. Grupę ze wspólnymi zasadami, prawem, celami i siłami do obrony. Obawiam się jednak, że żadne z nas nie będzie mogło w pełni ufać pozostałym.

Po wysłuchaniu przekładu Variuszy Wymowna skinęła głową, a potem odpowiedziała.

– Zgadza się, ale ma głębokie obawy przed powierzeniem dobra jej ludu rządowi ludzi albo innych obcych – stwierdziła Itaranka. – I muszę przyznać, Towarzyszko-Starca-i-Tak-Dalej, że mój lud podziela opory Eru.

Proctor westchnęła ze znużeniem, ale w głębi duszy czuła, że rozwiązanie jest tuż poza zasięgiem. Albo w zasięgu ręki, o ile uda jej się powiedzieć odpowiednie słowa w odpowiedni sposób, w odpowiednim porządku i w odpowiednim czasie.

– Czyli zgadzamy się, że istnieje taka potrzeba. Ale nie zgadzamy się co do sposobu wdrożenia rozwiązania. To już coś. Możemy po prostu porozmawiać? Wszystkie rasy rozumne? Możemy się spotkać i wynegocjować zasady i terminy? Nie musicie teraz odpowiadać. „Niepodległość” zaraz odleci, żeby stawić czoła jednostce Roju, zanim wróg dokona jeszcze większych zniszczeń. Jednak wkrótce moglibyśmy się spotkać. Czy na to się zgadzamy?

Eru i Itaranka popatrzyły na Grangera.

– Jeżeli tak doradzi Starzec-i-Tak-Dalej, to stawimy się na spotkanie i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby dokonać ustaleń i wyznaczyć terminy. I stworzyć ten... rząd, jak to nazywasz.

I właśnie wtedy Proctor doznała objawienia, jak rozwiązać problem. Jak powstrzymać manipulacje Curiela, dążenie Rosjan do przejęcia władzy czy nieufność Eru i Trojaczków. Wszystko sprowadzało się do jednego wspólnego mianownika.

Uśmiechnęła się do Grangera.

– Życzę ci szczęścia z Ziemią. Szkoda, że nie mogę się do ciebie przyłączyć.

– Powodzenia – odparł Granger, a potem spojrzał na nią uważnie, mrużąc oczy. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Później ci wyjaśnię. – Skinęła głową obcym. – Kiedy wszyscy spotkamy się znowu. Wtedy ci powiem. Dobrze?

– Zrobiłaś się tajemnicza, ale w porządku, niech ci będzie. Szkoda tracić czas. – Ucisnęła jej dłoń. – Powodzenia, admirał Proctor.

Shelby uścisnęła mu rękę obiema dłońmi.

– Tobie też, kapitanie Granger.

Odleciała zaraz potem, równie szybko, jak się pojawiła. Dopiero wtedy Qwerty oderwał wzrok od wyświetlacza swojego urządzenia.

– Uch, kapitanie? Shin-Wentworth właśnie wrócił. Okręty Findiri zaczęły go ścigać, ale potem nagle zawróciły i wykonały skoki kwantowe. Przekazałem mu, że wybiera się pan na Ziemię. Zapewnił, że „Volz” jest do pańskiej dyspozycji. – Zerknął na obcych.

– Nie musimy fatygować pilotów, z którymi nie umiemy się porozumieć. I chyba dobrze, choć taka wyprawa na pewno byłaby bardzo interesująca.

– Zgadza się, komandorze.

Dotarcie do okrętu na pokładzie promu Eru zajęło im dziesięć minut. Kiedy Granger wszedł na mostek „Volza”, zajął fotel obok stanowiska kapitana i gestem zaprosił Shin-Wentwortha, by usiadł za konsolą kapitańską.

– Nie zamierzam cię zastąpić, synu. Potrzebna mi tylko podwózka. Na Ziemię, poproszę. I to gazem.

Rozdział 53

SEKTOR IL NIDO CIEMNA STRONA KSIĘŻYCA PARADISO OZF „VOLZ” KAJUTA KAPITAŃSKA

Zivik jedną ręką trzymał butelkę burbona, a drugą zaciskał na pierścionku zaręczynowym. Kajuta Jerushy była ciemna, ledwie widział błysk klejnotu oczka i złoto obrączki, ale wsuwał ją na palec i zsuwał, chociaż wchodziła tylko na czubek.

– Obiecałem, że wrócę. I wróciłem. Jestem tu. Tak mi przykro, że za późno, ukochana.

Napił się znowu burbona. Technicznie rzecz biorąc, był na służbie, ale mało go to obchodziło. Niby kto miałby mu zwrócić uwagę? As? Shin-Wentworth? Zivik przysiągł na Boga, że jeśli ten drań choć spróbuje się oburzyć, będzie to ostatnie, co zrobi.

Nie było nagrań. Nie pojawił się żaden zapis z wydarzeń, które rozegrały się w laboratorium pokładowym, gdzie znaleziono ciało Jerushy. Miała wyrwane serce i leżała w hektolitrach krwi. Czy kamery zostały uszkodzone? Czy też ktoś wymazał nagrania?

Oczywiście, że wymazał. Shin-Wentworth był przebiegły i na pewno doskonale zatarł ślady. Wszystkie zapisy, wszystkie dane z czujników, nic nie pominął, pozbył się każdego możliwego dowodu.

Ale... Istniała jedna szansa.

Shin-Wentworth na pewno bez problemu radził sobie z manipulowaniem fizycznymi parametrami urządzeń. Ale manipulowanie ludźmi nie było tak łatwe. Zwłaszcza że ten

człowiek był gburem. Oślizgłym, zdradzieckim, morderczym gburem.

Zivik zerwał się na równe nogi i otworzył drzwi.

„Gdzie jesteś, Wiggum, ty wredny gnojku?” Potrząsnął głową, żeby ogarnąć rozproszone myśli. „Skup się, Ethan. Dokąd o tej porze mógł pójść naukowiec? Po pracy? Do kajuty? Możliwe”.

Zalogował się na najbliższym terminalu do komputera przy ścianie i wpisał komendę.

Kajuty dla gości 2119.

Świetnie, Zivik znajdował się na poziomie dwudziestym. Wigguma zakwaterowano tylko poziom wyżej.

Potykając się, wbiegł po schodach. Starał się trzymać jak najdalej od przechodzących członków załogi, aby przypadkowo z nikim się nie zderzyć. Zadzwoił do drzwi kajuty naukowca.

Potem zapukał.

I jeszcze raz.

Wreszcie zaczął łomotać pięścią, przy okazji wyładowując gniew i frustrację na nieszczęsnych drzwiach.

Po chyba kilku minutach dobijania się przestał i otrzepał dłoń. Bolała, zwłaszcza że zapomniał schować do kieszeni pierścionek i wciąż trzymał go w zaciśniętej pięści.

„Dobra, gdybym został wmieszany w morderstwo i czuł się okropnie po tym, co się stało, dokąd, do cholery, bym poszedł?”

Pokładał wielkie nadzieje w zdolności jednego człowieka do odczuwania wyrzutów sumienia i żalu, ale niewiele więcej Zivikowi pozostało.

Dokąd poszedłby udręczony człowiek, taki jak on? Ach, do pilotów.

Zawrócił na schody i zszedł trzy poziomy niżej, pokonał korytarz i wślizgnął się do dużej sekcji magazynowej z napisem „Płukalnia” na drzwiach.

– Wybacz, Sukinkot, ale wyglądasz, jakbyś miał już dość. Czemu się nie prześpisz?

Zivik zaśmiał się, starając pokazać, jak bardzo NIE JEST pijany.

– Szarpak-Spluwak. Zabawne. Bez obaw, przyniosłem własny trunek. – Uniósł butelkę z alkoholem. – Potrzebne mi tylko miejsce, żeby się napić. I nawalić. Łapiesz? Hej, słyszałeś o Jeru, co?

Usiadł za kontuarem.

– Czy słyszałem o Jeru? Człowieku, lepiej zwolnij. No już. Oddaj to. Zivik w odpowiedzi przytulił butelkę do piersi, zanim Szarpak zdążył mu ją odebrać.

– Pak, a widziałeś naukowca?

– Kogo?

– Szalonego naukowca, z którym Shin-Wentworth ciągle szeptał. Szarpak skinął głową.

– Och, jasne. Siedzi tam, przy stoliku w kącie. Przez ostatnie kilka dni często tu zagląda, gdy nie pracuje.

– Tak myślałem. Dzięki, Pak.

Wstał trochę niepewnie i ruszył do wskazanego stolika.

– Mogę się dosiąść? – Odsunął krzesło, zanim starszy mężczyzna zdążył otworzyć usta i zaprotestować.

– Ko-komandor Zivik. Chy-chyba nie mieliśmy okazji poznać się osobiście.

– Wiem, kim pan jest. – Zivik uniósł butelkę do ust. – Wiggly.

– Wiggum.

– Wiggly – zaśmiał się. – Posłuchaj, Wiggly, potrzebuję przysługi. Brak mi czasu. Rozumiesz, niedługo znajdziemy się w strefie wojny i mogę zginąć. W zasadzie wszyscy możemy zginąć.

Znowu się napił prosto z butelki.

– A ma to jakieś znaczenie? – Wiggum dopił drinka i skinął na Szarpaka, aby podał mu kolejnego. – Po co mam żyć, do jasnej cholery?

– To znaczy?

I oto nadeszło. Wyznanie. Udręczona dusza znalazła ramię, na którym mogła się wypłakać.

– Ten frachtowiec w Baltimore. – Wiggum zamknął oczy. Mówienie o tym przychodziło mu z trudem. – Z-znałem kogoś... kogoś na tym f-frachtowcu.

Ledwie artykułował słowa. Był pijany?

Nie. Płakał.

Zivik pochylił się do niego.

– Kogo?

– N-nie... nie mogę... – Wiggum dotknął swoich ust. Znaczenie było jasne, nie potrafił się zdobyć, aby wypowiedzieć na głos, kogo stracił.

– To był ktoś wyjątkowy?

Wiggum skinął głową.

– Kto? Powiedz. Poczujesz się lepiej, kiedy mi powiesz. Naprawdę. Naukowiec pokiwał głową. Wreszcie wydusił:

– Moja wnuczka.

Zivik pochylił się i poklepał go po ramieniu.

– Moje kondolencje, człowieku. Naprawdę bardzo mi przykro.

Pozwolił Wiggumowi przez chwilę płakać. Znał ten ból, choć trochę zazdrościł starszemu mężczyźnie – sam nie miał nawet czasu na odbywanie żałoby jak Wiggum. Chciałby się wypłakać. A co robił do tej pory? Wykonywał obowiązki służbowe.

I przygotowywał się do zemsty. Nie, do wymierzenia sprawiedliwości.

– Hej, Wiggum, posłuchaj. Wiem, jak się czujesz. Naprawdę, wiem. Popatrz. – Uniósł rękę i rozprostował palce, by pokazać pierścionek wśród czerwonych śladów, które zostały po kurczowym ściskaniu go w dłoni. – Należał do niej. Mojej narzeczonej. Właśnie ją straciłem, w tym tygodniu.

– Bardzo mi przykro, komandorze. – Wiggum wytarł nos w rękaw.

– Długo jesteście zaręczeni? To znaczy byliście? Przepraszam, nie jestem dobry w...

– Nie szkodzi. Tak, zaręczyliśmy się dawno temu, ale zerwaliśmy, bo byłem głupim, aroganckim pozerem, który myślał tylko o sobie. Ale potem, z czasem, wpłynęła na mnie i trochę się ogarnąłem. Wtedy oświadczyłem się ponownie. – Zaśmiał się. – Mieliśmy się pobrać z końcem tego tygodnia. Ale... kiedy wróciłem, już nie żyła.

Wiggum jeszcze raz wytarł nos, ale zaraz zamarł.

– Och. Och, no tak...

– Właśnie.

– Nie wiedziałem. Przykro mi. Nie miałem pojęcia, że kapitan była pana... – Urwał i spojrzał Zivikowi w oczy.

– Wiggum, posłuchaj uważnie. Przyrzekam, że nieważne, co powiesz, nic się nie stanie. Nic ci nie grozi, przynajmniej nie z mojej strony. Ale muszę znać prawdę. Mam... podejrzenia, ale chcę je potwierdzić, zanim... zanim zacznę działać.

– Działać?

– Zapis nagrań z kamer został wymazany, Wiggum. Wszystkie dane z wewnętrznych czujników zastąpiono jakimś przypadkowym gównem. Ale czytałem raporty naczelnego lekarza i sanitariuszy. Wiem, kto się znajdował w tym pomieszczeniu.

Naukowiec znowu pokiwał głową.

– No tak. Jasne.

– Wiggum, spójrz na mnie.

Wiggum posłusznie podniósł wzrok.

– Jak wdowiec z wdowcem. Proszę, dla spokoju ducha. MUSZĘ wiedzieć.

– Zrobił to.

Zivik odetchnął głęboko. Czuł, jak ucisk w piersi ustępuje.

– Shin-Wentworth?

– Tak. To był wypadek, na ile mogę stwierdzić. Ale nie całkiem. Przeszkodziła mu w eksperymencie, tym, który chce wykorzystać, by przywrócić swoją rodzinę, i... cóż, obaj wiemy, jakie to uczucie, co się dzieje w umyśle, gdy się traci najbliższych, a Shin-Wentworth... Zginęła za to. Z jego ręki.

– Dziękuję, Wiggum. – Zivik wstał. Zostawił butelkę, ale nie pierścionelek.

– Dokąd pan idzie?

– Na mostek. – Uśmiechnął się spokojnie, wręcz uprzejmie. – Mam niezłatwioną sprawę. Powodzenia, Wiggum. I naprawdę szczere wyrazy współczucia.

Opuścił Płukalnię i zatrzymał się tylko na krótko w drodze na mostek. Na szczęście kod do zbrojowni nie został zmieniony od czasu, gdy opuścił pokład „Volza” za pierwszym razem.

Rozdział 54

SEKTOR POINCARÉ WYSOKA ORBITA WOKÓŁ PLANETY IXF-459 OZF „NIEPODLEGŁOŚĆ” MOSTEK

– Utrzymuj bieżącą pozycję, chorąży Destachio. Chcę zrozumieć, co tu się dzieje, zanim się wmieszamy.

Admirał Proctor stała z przodu mostka i na ekranie głównym obserwowała sytuację nad bezimienną planetą. Był tam okręt Roju, bez wątplenia, toczący zaskakująco zajadłą bitwę z dronami strażniczymi, które kilka dni temu atakowały Grangera. Jak na ironię małe roboty roily się wokół ogromnej jednostki i ostrzeliwały ją fioletowo-czerwonymi promieniami antymaterii. Żaden z tych dronów nie mógł się równać z okrętem Roju, ale były ich setki.

Dziesiątki wieżyczek rozsianych po kadłubie obcej jednostki mierzyły do robotycznych strażników strumieniami energii z dział nieznanego typu. A przynajmniej Proctor nigdy wcześniej takich nie widziała. Każde z nich, pulsując, posyłało w małego przeciwnika kulę energii, która z łatwością mogła rozbić pojedynczego drona na atomy.

Jednak gdy tylko jeden robot zniknął, w jego miejsce pojawiały się dwa.

– Skąd się biorą nowe drony, Urda?

Pierwszy pracował przy stanowisku taktycznym wraz z obsługą detektorów oraz oficerem taktycznym.

– Wygląda na to, że wylatują spod powierzchni planety, ma'am. Strumień tych maszyn nieustannie wznosi się w atmosferze i kieruje

na obszar starcia na orbicie.

Shelby, musisz pomóc! Natychmiast! Proszę!

Skąd ten pośpiech? – zdziwiła się Proctor. Jej towarzysz nigdy tak mocno nie naciskał na jakiegokolwiek działanie. Wydawało się to niezwykle.

Decker tu jest. Przywrócono mu jego towarzysza. Decker uciekł z Kioto 3 i zdołał uratować tysiące naszych. Jest tutaj, w bitwie.

Ale dlaczego? Co skłoniło go, żeby się zaangażował?

Słyszeliśmy o tej flocie robotów i chcieliśmy ją zobaczyć. Po zdradzie Oppenheimera, gdy okazało się, że jego obietnice zbudowania dla nas floty to kłamstwa, podjęliśmy decyzję, że będziemy działać na własną rękę. Chcemy być wolni. Chcemy swobodnie podróżować wśród gwiazd, bez polegania na ciałach, które tak łatwo kłamią i zdradzają.

Uzasadnione pragnienie, jak uznała Proctor.

– Stan frachtowca? – rzuciła.

– Chyba dostał kilka razy i doznał uszkodzeń, ale wciąż pozostaje na orbicie. Na szczęście Rój chyba jest zbyt zajęty flotą dronów i nie przejmuje się jego obecnością – stwierdził Urda.

– Dobra, włączmy się do starcia. Kto wygrywa?

Urda podrapał się w głowę, próbując zinterpretować dane z wyświetlacza taktycznego.

– Trudno powiedzieć, ma'am. Okręt Roju ma trochę uszkodzeń, to pewne, a straty dronów są spore, ale Rój utrzymuje energię na stałym poziomie, a liczba dronów raczej nie maleje. – Przesunął palcem po wykresie. – Teraz chyba jest ich nawet więcej niż wtedy, gdy przylecieliśmy.

Proctor pogładziła się po podbródku.

– Dziwne. Dlaczego roboty nie atakują również frachtowca?

Urda wzruszył ramionami.

– Może dlatego, że frachtowiec stanowi o wiele mniejsze zagrożenie?

– Możliwe – przyznała. – Albo Valarisi mają na nie jakiś wpływ przez metaprzestrzeń.

– Ma'am?

– Na pokładzie frachtowca jest człowiek z towarzyszem Valarisi. A raczej wieloma towarzyszami.

Masz rację, Shelby Proctor. Mamy wpływ, ale nie możemy kontrolować tych robotów. Posiadają w niewielkim stopniu świadomość, ich umysły są małe, ale oprogramowanie bardzo przemyślane. Ich algorytm bojowy stopniowo uczy się podczas walki z okrętem Roju i w końcu go pokona. Pozostaje tylko kwestia, czy roboty wytrzymają wystarczająco długo, żeby algorytm zdążył zgromadzić odpowiednią wiedzę. Tego nie wiemy.

Ale czemu Rój w ogóle tu się pojawił?

Nie wiemy.

Dziwne. Czy towarzysz mógłby skłamać? Czy Valarisi byli w ogóle zdolni do kłamstwa?

Wiedziałybyś, gdybyśmy kłamali, Shelby. Jesteśmy połączeni tak ściśle, ty i ja stanowimy jedność i tak będzie zawsze. Zawsze.

– Ma'am, okręt Roju kieruje się do frachtowca – zameldował Urda.

Shelby, proszę!

– Niech artyleria namierzy cel, przygotować pociski. Chcę, żebyśmy trzymali się z daleka, ale narobili jak najwięcej szkód.

– Tak jest, ma'am. Uzbrojenie gotowe. Pociski w gotowości.

– Ognia.

Z kadłuba „Niepodległości” pomknęły salwy. Proctor czuła pulsowanie pokładu, gdy działa wypuszczały pociski z prędkością dwudziestu tysięcy metrów na sekundę.

– Skoncentrować ostrzał na okręcie Roju. Trzeba go jak najmocniej uszkodzić. – Urda podniósł wzrok znad komunikatora. – Ignoruje nas i wciąż zbliża się do frachtowca.

Shelby!

– Jest w zasięgu naszych gigawatowych laserów?

– Nie, ma'am.

– Chorąży? – Proctor skinęła na chorążego Destachio, który nerwowo przełknął. – Zbliży się.

Rozdział 55

UKŁAD SŁONECZNY

ZIEMIA

OZF „VOLZ”

MOSTEK

– Dotarliśmy do Układu Słonecznego, kapitanie Granger – zameldował komandor Shin-Wentworth. – Znajdujemy się w punkcie Lagrange’a 1, między Ziemią a Słońcem. Promieniowanie słoneczne powinno zamaskować naszą obecność, detektory Findiri nas nie namierzą. Zdążymy ocenić sytuację.

Granger wstał z fotela pierwszego oficera.

– A co tu jest do oceniania, komandorze?

– Zdaje się, że flota Findiri gromadzi się przy stacji Yarbrough. W tej chwili jest tam już większość jednostek... Ach, kolejna właśnie zakończyła skok kwantowy.

– Co ze Zjednoczoną Flotą?

– Kilkanaście okrętów krąży po orbicie. Zwykle siły obronne oraz kilka innych jednostek. Wygląda na to, że wszystkie loty cywilne zostały wstrzymane, pewnie dlatego, że Findiri użyli tarczy przenoszącej moment pędu na tym frachtowcu znad Baltimore. Jednak spora grupa małych statków gromadzi się w pobliżu Księżyca.

– Identyfikacja?

Shin-Wentworth zerknął na wyświetlacz taktyczny i skinął na oficera, który się pochylał nad pulpitem, by odczytać dane z sensorów.

– Nieznana, kapitanie – oznajmił. – W tej chwili to około czterdziestu jednostek. Jesteśmy za daleko, żeby dokonać rozpoznania wizualnego, ale na podstawie sygnatur napędu można przypuszczać, że to średnich rozmiarów frachtowce, fregaty, może jedna lub dwie kanonierki. Dostrzegam charakterystyki napędu, które pasują do dawnych lekkich krążowników Zjednoczonej Floty.

Granger skinął głową.

– Zapewne to flota Vestigium.

Zamyślił się nad ryzykiem. Flota grangerystów mogła zostać w obszarze zbiórki, zebrać więcej danych, ale także ryzykować stratę cennego czasu – a wtedy Talus zrealizuje swoje zamiary dotyczące Jaspera, choć nie było wiadomo, co takiego zaplanował. Granger mógłby też połączyć się z dawnym admirałem Diazem, który zapewne prowadził flotę Vestigium, ale istniało spore ryzyko, że Findiri i lojalne im okręty Ziemi podsłuchają całą rozmowę. Można by również nie czekać na nic, lecz wykonać skok kwantowy i pognać prosto do celu, ryzykując, że wszystkie jednostki Findiri rzucą się do ataku.

Jednak sprawy zaszły już tak daleko, że pozostała właściwie tylko jedna opcja.

– Proszę wykonać skok kwantowy prosto w środek tej małej floty, komandorze Shin-Wentworth.

– Tak jest, kapitanie. – Komandor skinął głową sternikowi.

Niedługo potem przestrzeń usiana gwiazdami ustąpiła miejsca powierzchni Księżyca, nad którą gromadziły się niewielkie statki. Nawet gdy patrzył, kilka jednostek właśnie zmaterializowało się po skoku kwantowym.

– Proszę mnie połączyć z największym statkiem. Moc na jak najniższym poziomie, jak najwęższa wiązka. Postarajmy się, aby nas nie zauważono, na ile to możliwe.

– Tak jest, panie kapitanie. – Oficer łączności pochyliła się nad konsolą. – Mam na linii kogoś, kto twierdzi, że jest admirałem Diazem na pokładzie okrętu „Majestat”. To lekki krążownik, który... Rany. – Oficer podniosła wzrok na Grangera. – To jeden z oryginalnych okrętów Starej Floty, kapitanie.

Granger z niedowierzaniem uniósł brwi.

– Okręt Starej Floty? – powtórzył. Wyteńczył umysł i zaczął wertować dawne wspomnienia. Pamiętał, że w Starej Flocie służyło sześć ciężkich krążowników, wielkich, okrytych grubym wolframowym pancerzem – wśród nich te, na których latał, czyli: „Konstytucja”, „Wiktoria” i „Wojownik”. Jednak były też mniejsze jednostki, około dwunastu lekkich i mniejszych krążowników... Wszystkie brały udział w pierwszej wojnie z Rojem ponad sto lat temu.

– Tak jest, kapitanie. Ten tutaj wygląda, jakby został przywrócony do służby, odnowiony i dozbrojony w nowoczesne działa i systemy, ale wciąż ma ten stary, pancerny kadłub z wolframu.

– Interesujące. Połącz z Diazem. – Granger usiadł w fotelu pierwszego. – Diaz, jesteś tam?

– Jasne, stary. Cieszę się, że Jasper wreszcie wlał ci trochę oleju do głowy. Prawie cała flota już tu jest. Czeka na twoje rozkazy, Tim.

– Chodzi właśnie o Jaspiera, Joachin. Trafił w łapy Talusa.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Joachin?

– Niech to szlag. Tim, tak mi przykro. Wiem... ile to dla ciebie znaczy... – Diaz na wypadek, gdyby był podsłuchiwany, dobierał ostrożnie słowa, aby nie ujawnić pokrewieństwa między Grangerem a Jasperem. – Odbijemy go. Przejmij dowodzenie, Tim. Przeniosę się na „Dziedzictwo”. Będę służył jako twój oficer taktyczny, bo znam słabości i silne strony tej floty, procedury i wszystko inne. Oczywiście trzymamy się standardów Zjednoczonej Floty Ziemi, bo większość załóg to weterani, ale może sam zdążyłeś je zapomnieć.

Granger roześmiał się szczerze.

– To niedopowiedzenie stulecia, Joachin. Ale admirał, który słucha rozkazów kapitana? Starzy, marudni słuźbiści z Sali Weteranów nie daliby nam żyć.

– Skoro jesteśmy już w spoczynku, chyba będą musieli jakoś sobie z tym poradzić.

– Ha, mów za siebie. Ja wciąż jestem na służbie. Dołączę niedługo. Granger, bez odbioru.

Wstał z fotela i skierował się do wyjścia.

– Komandorze Shin-Wentworth, okręt jest twój. Zamelduj się admirałowi Diazowi i poproś o wytyczne, jaką rolę we flocie ma

pełnić „Volz”.

– Tak jest, kapitanie – odpowiedział odruchowo Shin-Wentworth.

– Weź się w garść, chłopcze. Skopiemy dziś tyłki. Albo umrzemy, próbując. Powodzenia, komandorze.

– Panu również, kapitanie.

Kiedy opuszczał mostek okrętu, niemal wpadł na komandora Zivika.

– Ethan, właśnie miałem cię szukać. Możesz mnie podrzucić na... Och. – Urwał, gdy poczuł zapach alkoholu. Zerknął na pas młodszego mężczyzny. Zivik nosił kaburę z bronią podręczną. – Dobry pomysł. Może czeka nas bezpośrednie starcie z Findiri. Ale lepiej, żebyś wytrzeźwiał, zanim spróbujesz wycelować.

Zivik uśmiechnął się zawstydzony.

– F-fposzātu, siiir. Wziołem jusz porsję ś-środka na wyszszieżwienie. Za kilka minut będę sobą.

– Świetnie. Potrzebny mi pilot, który podrzuci mnie na „Majestat”. Dasz radę?

Zivik zerknął ukradkiem na Shin-Wentwortha, zanim zwrócił się znów do Grangera.

– Uch, tak jest, panie kapitanie, ruszajmy.

W drodze do hangaru promów Zivik rzeczywiście wytrzeźwiał. Mniej więcej.

„Bogu niech będą dzięki za preparaty trzeźwiące” – pomyślał Granger.

– Dziękujemy za skorzystanie z Międzygwiazdnych Linii Przewozowych Zivik SA – oznajmił pilot, gdy tylko zamknął się włącz i zaczęli zapinać pasy. – Wiemy, że do dyspozycji było wiele innych możliwości podróży, i doceniamy, że zostaliśmy wybrani. Proszę zapiąć pasy i nie wysiadać podczas lotu. W razie potrzeby pasażerowie mogą skorzystać z torebek na wymioty...

– Po prostu leć, Ethan – ponaglił go Granger, przewróciwszy oczami.

– Tak jest, szefie.

Na szczęście lot trwał krótko, bo w głębi duszy Granger odliczał sekundy. Co minutę Findiri zabijali jednego więźnia. Z każdą minutą życie Jaspera było w coraz większym niebezpieczeństwie.

– Dziękuję, komandorze. Pozostań w gotowości, pewnie już niedługo będzie mi potrzebny jakiś cud. Nie wyłączaj napędu.

Zeskoczył z rampy otwierającego się wjazdu i podszedł do czekających na niego weteranów. Zasalutował, odpowiedzieli tym samym.

– Zabierzcie mnie na mostek.

Wszystkie oczy zwracały się w jego stronę, gdy szedł na mostek „Majestatu”. Każdy sierżant obsługujący działa, każdy komandos, każdy mechanik czy nawet majtek prostował się na baczność, gdy ich mijał. W szeroko otwartych oczach załogi krążownika dostrzegał, jak sądził, uwielbienie i zdumienie. Ich bohater wreszcie powrócił i miał zająć należne mu miejsce – poprowadzić flotę do walki.

U Grangera budziło to mdłości. I upokorzenie.

Gdyby tylko ci ludzie wiedzieli, że jego zadaniem było umrzeć z rąk Findiri...

– Kapitan na mostku! – Admirał Diaz wstał z fotela dowódcy. Każdy oficer na mostku wyprężył się na baczność i zasalutował, zaraz jednak wszyscy zaczęli wiwatować i klaskać.

– Spocznij. Mamy robotę do wykonania. – Granger uciszył ich machnięciem ręki. Jednak zaraz się zreflektował. – Dziękuję. To zaszczyt służyć z wami znowu.

Gdy przyglądał się obsłudze mostka, mógłby przysiąc, że rozpoznaje twarze kilkorga oficerów, teraz już starsze, ale wciąż znajome. Czy służyli razem z nim podczas drugiej wojny z Rojem? Bardzo możliwe.

– Ocalmy Ziemię kolejny raz, dobrze?

Odpowiedziały mu znowu wiwaty, gdy zajmował fotel kapitański.

– Będę na „Dziedzictwie” – oznajmił Diaz. – Komandor Swift to twój pierwszy oficer. Przed emeryturą służył na „Dunkierce”. Powodzenia, kapitanie Granger.

Granger skinął głową.

– Niech nas Bóg prowadzi, Joachin.

Mostek, choć nieco mniejszy, wyglądał niemal tak samo jak na „Konstytucji” i „Wojowniku”, miał ten sam układ. Stanowiska zostały zmodernizowane, dodano nową aparaturę i zapewne oprogramowanie, jednak reszta pozostała bez zmian – był to po

prostu standardowy okręt Starej Floty. Najlepszej floty w historii wszechświata.

– Komandorze Swift, stan okrętu?

Swift wyprostował się znowu na baczność. Był już starszym człowiekiem, pewnie około sześćdziesiątki, ale wysportowanym. Sprawiał wrażenie zawodowca.

– Dziesięć sprawnych wyrzutni rakiet, sto dziewięć pocisków typu Mark-4, działa kinetyczne dostosowane do nowoczesnych standardów floty. Cała załoga gotowa do walki, kapitanie.

– Dobrze. – Granger zerknął na główny ekran, pokazujący Ziemię oddaloną o niemal dwieście tysięcy kilometrów. – A co z nimi? Co knują?

– Czujniki wskazują, że wszystkie jednostki Findiri wykonały skok kwantowy na orbitę Ziemi. Dosłownie wszystkie zgromadziły się wokół stacji Yarbrough.

Granger w zamyśleniu potarł się w podbródek.

– Co, do cholery, kombinują...?

– Kapitanie! „Volz” właśnie wykonał skok! – zameldował oficer taktyczny.

– Co? Dokąd?

Młodszy mężczyzna przyjrzał się danym na wyświetlaczu.

– Wychodzi na to, że przeskoczył na niską orbitę wokół Ziemi, jak najdalej od stacji Yarbrough. – Pochylił się, aby sprawdzić dokładniej. – Dziwne... Okręt ustawił się około stu kilometrów od Nashville w Tennessee.

– Nashville? Co, do cholery, jest w Nashville?!

Swift usiadł przy pulpicie pierwszego oficera i rozwinął kilka zakładek, a potem przeskrołował różne opcje. Znalazłszy to, czego potrzebował, przerzucił informację na ekran główny.

– Jedyne, co ma tam jakiegokolwiek znaczenie, to centralny Węzeł Energetyczny Półkuli Zachodniej. Jeżeli „Volz” ustawił się w zasięgu stu kilometrów od węzła, znalazł się w strefie silnych interferencji fal indukcji, powstających na skutek rozbudowy konstrukcji. Zakłócenia są tak silne, że wszystkie transporty powietrzne omijają ten obszar wielkim łukiem.

– Niech to diabli, a co ten drań kombinuje? – W zamyśleniu Granger wypowiedział swoje pytanie na głos. Jednak nie miał czasu

na pościg za zbuntowanym oficerem. – Dajcie mi znać, gdy zacznie działać. Na razie odszukajmy flagowiec Findiri. Trzeba się zorientować, czy Talus znajduje się na pokładzie, czy zszedł na powierzchnię i siedzi teraz w siedzibie rządu na Manhattanie, czy może jeszcze gdzie indziej.

– Tak jest, kapitanie. – Swift sprawnie rozdzielił zadania załodze mostka.

– Właśnie odbieramy transmisję od Talusa. – Oficer łączności wyprostowała się nad swoim stanowiskiem. – Szerokopasmowa. Na cały świat.

– Wizualna?

– Tak jest, kapitanie.

– Na ekran główny.

Przekaz wideo ukazywał Talusa. Quiassi stał przed jakimś sarkofagiem, bardzo podobnym do starych kriokomór, używanych do zamrażania ciał, albo do komory na statku pokoleniowym Skiohra, z której wyszedł Granger. Sarkofag podłączony był do ogromnej sieci rurek, przewodów, elektroniki i mechanizmów służących Bóg wie do czego. Kapitan nawet nie próbował się domyślać. Żołnierze Findiri stali przypięci do ścian rurkami, wychodzącymi z żył na ich nadgarstkach.

Granger przyjrzał się dokładniej sarkofagowi. Przez nieduże okienko dostrzegł ludzką twarz. Ofiara w środku była przytomna i od czasu do czasu uderzała pięścią w masywne wieko.

Jasper.

– Oto wiadomość dla zdrajcy – oznajmił Talus. Nawet nie próbował udawać, że ma coś wspólnego z Hawsem, dawnym przyjacielem Grangera. – Dałem ci tyle okazji, Tim. Tyle szans. Tysiące ludzi musiało umrzeć z powodu twojej bezkompromisowej postawy. Ale teraz? Teraz nie ma to żadnego znaczenia. Znalazłem rozwiązanie naszych problemów.

Wskazał na komorę.

– Nie... – wydusił Granger.

– Bo widzisz, chcieliśmy od ciebie tylko DNA, nic więcej. Całego twojego DNA. Bez niego genetyczny kod Findiri degenerowałby się nadal pod wpływem nieustannej ekspozycji na promieniowanie kosmiczne. Musieliśmy się odbudować i...

Granger nie mógł czekać na koniec przemowy.

– Sternik, wykonaj natychmiast skok kwantowy. Musimy się znaleźć tuż obok flagowca Findiri.

Swift już otwierał usta, ale jedno rozpalone spojrzenie kapitana uciszyło jego protesty w zarodku.

– I przekaz reszcie floty, żeby ruszyła za nami.

Zawirowanie w żołądku zgrało się ze zmianą obrazu na prawej połowie głównego ekranu. Odległą Ziemię zastąpił mroczny kształt okrętu flagowego Findiri.

– ...nawet teraz prawie wszyscy nasi żołnierze są podłączeni do sieci komory ucieleśniającej i otrzymają ulepszony kod genetyczny. Łatki na oprogramowanie, można by powiedzieć po twojemu, które naprawią uszkodzenia. – Talus uśmiechnął się szeroko. – A co więcej, dzięki użyciu twojego kompletnego i oryginalnego DNA, pełnego kodu, którego odmówiłeś nam przed wiekami, Findiri wreszcie zrealizują swój potencjał. Będą jeszcze bardziej zajadli, potężniejsi i bardziej inteligentni, niż ich zaprojektowałeś, Tim. Na dodatek odziedziczą wszystkie te drobne zmiany, które dałeś sobie. Nieśmiertelność, Tim? Naprawdę? Myślałeś, że zachowasz ją tylko dla siebie?

– Połącz mnie z nim – rozkazał Granger oficer łączności.

– Gotowe, kapitanie.

Granger wstał.

– Talus, zgadzam się. Twoje cele są godne i wartościowe. Jeżeli w kodzie Findiri są błędy, biorę za nie pełną odpowiedzialność i obiecuję je naprawić. Jestem tu. Weź mnie, a dzieciaka puść wolno.

Talus roześmiał się głośniej.

– Nie potrzebuję cię już, Tim. Nie rozumiesz? Dzięki twojemu synowi uzyskam całe niezbędne dla mnie DNA. Przebadaliśmy go dokładnie. Okazało się, że jego genom jest w pełni zgodny z twoim, nie w połowie, lecz praktycznie w niemal stu procentach, nie licząc drobnych dodatków od jego matki.

Nie. To musiał być Granger, on stanowił klucz. Gdyby tylko udało mu się dostać do tego pomieszczenia i zmusić Talusa do wymiany na Jaspera, Findiri zostałaby zniszczony od razu.

– Talus, posłuchaj mnie. To muszę być ja. Muszę. Nie wiesz, z czym igrasz. A jeżeli w genomie Jaspera są błędy? Naprawdę

chcesz przekazać je swoim żołnierzom? Wgrać je do komory ucieleśniającej i uszkodzić wszystkie pliki podstawowe? Po co masz tak ryzykować?

– Bo to cię zrani, Tim. – Tym razem uśmiech Talusa wyrażał tylko czyste okrucieństwo. Granger nie mógł uwierzyć, że stworzył tego potwora oraz dziewięcioro innych. Czy inni Quiassi też tacy byli?

Talus skinął na stojącego w pobliżu technika Findiri.

– Nie! – wrzasnął Granger.

Technik wcisnął kilka guzików na panelu przy komorze, a jej wnętrze zaczął wypełniać zielony gaz.

– Nie!

Jasper szybciej i mocniej zaczął uderzać w szybę. Wściekle. Wkrótce na szkle pojawiły się smugi krwi.

Jego ciało się rozplynęło.

Granger opadł na fotel. Bezsilny. Bezradny. Nic nie mógł zrobić. Nic.

Zdołał ocalić Ziemię. Dokonał tego ponownie i jeszcze raz, a potem cofnął się w czasie o ponad trzynaście miliardów lat, aby przygotować wszystko do ponownego ocalenia swojego rodzimego świata.

Mógł uratować wszystko i wszystkich.

Ale nie zdołał ocalić własnego syna.

Rozdział 56

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA OZF „TYLER S. VOLZ” MOSTEK

– Komandorze, jesteśmy już podłączeni do Węzła Energetycznego Półkuli Zachodniej. Oporność pozorna indukcji całkowicie dopasowana. Mamy dostęp do pięciu exawatów – zameldował oficer.

– Świetnie. – Pięć milionów terawatów. To powinno wystarczyć. Shin-Wentworth zerknął na stanowisko naukowe.

„Gdzie, do cholery, jest Wiggum?”

Och, cóż, nie ma czasu. Zresztą jego wkład już nie był potrzebny.

Shin-Wentworth podszedł do stanowiska i przyciągnął ograniczniki sterujące osobiwością.

– Oficer taktyczny, ustawić pole kwantowe i emitery metaprzestrzenne na te współrzędne. – Przekazał na stanowisko taktyczne zestaw danych.

– Tak jest – odpowiedział jeden z oficerów, zanim wszyscy zabrali się do pracy. – Zrobione, komandorze.

A teraz wystarczyło sięgnąć przez czas. Cofnąć się o miliard lat. Dwa miliardy. Trzyście i osiem dziesiątych miliarda. A potem jeszcze dalej, do chwil przed stworzeniem, do kwantowej zupy, z której jak z wiecznego ognia wzbierał i rozpoczął się Wielki Wybuch...

A stamtąd naprzód, miliard, dwa, trzy, trzysta i osiem dziesiątych miliarda lat, ale w innym wszechświecie, niepołączonym

z tym obecnym.

By Shin-Wentworth sięgnął po nich i ściągnął tutaj. Bezpiecznych. Żywych. Szczęśliwych.

– Bądź gotów przekierować pięć exawatów do emiterów – przypomniał.

– Gotów, komandorze – odpowiedział pobladły oficer.

Shin-Wentworth wpisał w ostatniej chwili krótkie komendy, aby lepiej dostosować zmienność fazy pola kwantowego. To powinno wystarczyć.

Nadszedł czas na pokaz.

– Teraz – rozkazał.

Rozdział 57

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA OKRĘT FINDIRI „PRZEZNACZENIE”

Varus otworzył oczy.

Widział wszystko na nowo. Wszystko... wyglądało INACZEJ. Czuł się inaczej. Nawet jego ślina smakowała... inaczej.

Rozejrzał się. Wciąż był podłączony do komory ucieleśniającej rurkami wbitymi w nadgarstki. Jego towarzysze broni stali wzdłuż ścian podłączeni jak on. Varus spojrział kilku w twarz i dostrzegł, że też się zmienili.

– Adiutancie – odezwał się Nubo obok niego – co się dzieje?

Varus potrząsnął głową. Próbował się pozbyć otępienia, które ogarnęło jego umysł podczas zmiany.

I otępienie ustąpiło. Varus odetchnął głęboko. Powietrze wydawało się... inne. Niemal jakby miało w sobie życie, choć nigdy wcześniej tego nie dostrzegł.

Popatrzył na swoje dłonie i poruszył palcami. Spojrział na jeden z monitorów na ścianie, na którym widniała formacja nieznanymi jednostek na tle gwiazdowego nieba, a w pobliżu unosiła się...

Ziemia.

Była piękna. Czuło się to piękno. Varus dotychczas nigdy tego nie przeżył. Znał słowo, ale nie miał pojęcia, co naprawdę znaczy.

Teraz już wiedział.

Odwrócił głowę i spojrział na ekran pokazujący Talusa, który nadal stał przed komorą, nadymając się z dumy, pouczając i grożąc.

I Varusa ogarnęło narastające obrzydzenie. Kolejne słowo, którego znaczenie znał, ale do tej pory zupełnie nie rozumiał.
Co mu się stało?

Rozdział 58

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA OFV „MAJESTAT”

Granger zsunął się z fotela i na wpół klęczał na podłodze, kryjąc twarz w dłoniach.

– Widzisz to, Tim? Wszyscy się budzą, a jeżeli wskazania mojej aparatury są prawdziwe, zostali naprawieni. Narodzili się na nowo, nieśmiertelni, gotowi do rozpoczęcia nowego dnia i nowej epoki. Oto świt ludzkiego imperium, które rozciągnie się nie tylko na Galaktykę, lecz na cały wszechświat. Wszędzie będzie bezpiecznie, wszyscy będą przygotowani, produktywni i użyteczni, a także, wierz lub nie, Tim... szczęśliwi.

– Zmusisz nas, żebyśmy byli szczęśliwi, Talus? – zdołał wydusić Granger.

Odpowiedział mu śmiech.

– Nie będzie to potrzebne, Tim.

Granger uniósł głowę i spojrzał na ekran. Kilku żołnierzy Findiri odłączyło się od aparatury w ścianie. Żyli.

W komorze za Talusem panowała cisza. Krew wciąż kapłała z szyby. Granger widział na własne oczy, jak jego syn, mężczyzna, którego ledwie zdążył poznać, został rozdarty i zdezintegrowany. Ten koszmar już zawsze będzie go nawiedzać.

– Kapitanie... Uch, mam odczyt bardzo dziwnych sygnałów z Ziemi. I nie tylko z Ziemi, lecz także spoza niej – odezwał się jeden z oficerów przy stanowisku taktycznym.

Komandor Swift popatrzył na dane przesłane na jego pulpit.

– Symultaniczne skoki energii w metaprzestrzeni i polu kwantowym. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. No chyba że podczas wielkiej wojny, ale nawet wtedy nie były tak duże...

– Podczas wielkiej wojny? Chodzi o drugą wojnę z Rojem, tę sprzed trzydziestu lat? – upewnił się Granger.

– Właśnie o nią, kapitanie. Te odczyty... wyglądają bardzo podobnie do tego, co widzieliśmy, gdy jednostki Roju wypuszczały swoje osobliwości. Duże skoki energii w polu kwantowym i metaprzestrzeni. Ale, mój Boże, nigdy wcześniej te skoki nie były tak ogromne!

Granger przytrzymał się fotela i nadludzkim wysiłkiem woli podniósł się z podłogi.

„Jasper. Czy to naprawdę się wydarzyło?”

– Czy... Czy te impulsy pochodzą z flagowca Findiri? Czy to efekt działania ich komory ucieleśniającej?

Oficer taktyczny pokręcił głową.

– Nie ma żadnych takich odczytów z flagowca, panie kapitanie. Namierzyłem dokładniejszą lokację na Ziemi. Skoki energii powoduje „Volz”.

– Shin-Wentworth, co ty, do cholery, wyprawiasz? – wymamrotał Granger.

Sternik nie spuszczał wzroku z ekranów.

– Panie kapitanie, proszę popatrzeć!

Granger odwrócił się powoli.

Po prawej stronie ekranu widoczna była Ziemia na tle odległych gwiazd. Wydawała się taka spokojna.

Za nią, nieco dalej z prawej, gwiazdy migotały i drżały jak miraż na pustyni w upale dnia. Przestrzeń na tym obszarze zdawała się coraz jaśniejsza... Blask gwiazd zniknął w oślepiającej łunie, która niemal przepaliła czujniki.

A potem zza krzywizny Ziemi wychynęła inna planeta...

Rozdział 59

UKŁAD SŁONECZNY OZF „TYLER S. VOLZ” MOSTEK

– Moc płynie stabilnie, cztery i sześć dziesiątych exawata, komandorze – zameldował główny mechanik. – Opór pozorny wciąż dopasowany, jesteśmy podłączeni do węzła z dziewięćdziesięciopięcioprocentową efektywnością.

– Dobrze. – Shin-Wentworth obserwował ekran główny z zapartym tchem. Moc z węzła energetycznego przepływała przez induktory okrętu do pola kwantowego i emiterów metaprzestrzeni, uformowana w fale generowane przez elektroniczną kostkę, którą dał mu Klollogesz.

A rezultat był oszałamiający. Dwuwymiarowe osobliwości splecione przez kostkę, którą Shin-Wentworth umieścił na pokładzie okrętu, unosiły się w przestrzeni, zaledwie dwadzieścia tysięcy kilometrów od Ziemi, i rosły tak, że niedługo mogłyby wciągnąć całą planetę.

Jednak nie to zaplanował Shin-Wentworth.

– Komandorze, coś wychodzi! Mam odczyt wysokiego skoku mocy, dużo ponad skalę – zameldował główny mechanik.

I rzeczywiście, blask z jednej osobliwości przygasł, po czym zniknął w rozbłysku, zastąpiony przez planetę.

Paradiso.

Wyglądała dokładnie tak, jak planeta w sektorze Il Nido, który opuścili niecałą godzinę temu. Tyle tylko, że ta planeta jednak czymś się różniła.

Megan tam była. I Molly, i Eddie. I wszyscy żyli.

– E... komandorze – zaczął mechanik. Jego twarz zmieniła się z lekko pobladłej w białą jak kreda. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Prędkość i trajektoria... Ta planeta zmierza prosto w stronę Ziemi.

Shin-Wentworth pochylił się nad swoją konsolą, przyciągnął ją i przyjrzał się danym spływającym z innych stanowisk.

„Szlag, ma rację”.

– A Ziemia i Paradiso znalazły się w zasięgu wzajemnych oddziaływań grawitacyjnych. Przyciągają się – dodał mechanik.

– Ile czasu?

– Mniej niż pięćdziesiąt minut.

NIE. Shin-Wentworth nie zamierzał pozwolić, by jego cudem przywrócona rodzina przepadła po raz drugi. Zerwał się na równe nogi i podbiegł do stanowiska naukowego. Wcisnął guzik komunikatora na pulpicie.

– Doktorze Wiggum, gdzie pan jest, do cholery? Mamy duży problem.

Problem, który zapowiadał powtórkę z Brytanii.

Rozdział 60

UKŁAD SŁONECZNY OKRĘT FINDIRI „PRZEZNACZENIE”

Varus wyrwał rurkę z lewego nadgarstka, potem z prawego. Zabolalo i był to ból o wiele większy, niż powinien. Varus pisnął. A przecież wcześniej też odczuwał ból, prawda? Cierpienie istniało dla niego wcześniej, ale stanowiło jedynie drobną niedogodność. Kiedyś Varus stracił palec w wypadku, a potem złamał kostkę. Za każdym razem ból był tylko wskazówką, że coś się stało, niczym więcej.

A teraz? Varus miał wrażenie, że całe ramię mu płonie. Krew wylewała się z miejsc, z których wyrwał rurki, z ran roznosiło się falami nieznane palące doznanie. Varus nigdy czegoś podobnego nie doświadczał.

Chyba że... Chyba że właśnie teraz odczuwał po raz pierwszy prawdziwy ból. Pierwszy raz, gdy odczuwał jako... człowiek? Czy zmienił się w człowieka?

Ogarnęła go fala emocji. Gniew. Frustracja. Ulga. Radość. Podniecenie. Nienawiść. Każde uczucie, którego zaznał wcześniej, pojedynczo i osobno, zupełnie odmiennie niż teraz. Jakby emocje zostały wzmocnione miliardkrotnie w stosunku do tego, czego doświadczał wcześniej.

Czy tak właśnie czuł się człowiek?

Talus przemawiał nadal i jedno uczucie zaczęło dominować nad pozostałymi. Przypominało trochę nienawiść, ale nie całkiem. Nienawiść nie miała celu ani kierunku. A to uczucie jak najbardziej. Varus nie umiał tego określić. Chyba była to nienawiść spleciona

z pragnieniem sprawiedliwości, poczuciem słusznego gniewu i zapalem.

Zerknął raz jeszcze na Ziemię, ale widok był zupełnie inny.

Do Ziemi zbliżała się druga planeta.

Talus głądził o narodzinach nowego imperium i nowych rządach oraz zapewniał, że wszystko się zmieniło, a Ziemia będzie od tej pory rozkwitała bezpiecznie i w pokoju.

Varus przesunął spojrzenie od Talusa do Ziemi, a potem znowu na Talusa. Zrozumiał, że owszem, wszystko się zmieni, a hegemon i dyrektor Imperium Findiri za chwilę zostanie z niczym.

Co Varus mógł poradzić? Zapewne nic. Ale był adiutantem, a to znaczyło, że do dyspozycji posiadał okręt.

Bezczynność nie wchodziła w grę.

– Nubo, wywołaj Grangera. Musimy z nim porozmawiać. Natychmiast.

Rozdział 61

SEKTOR POINCARÉ NISKA ORBITA WOKÓŁ PLANETY IXF-459 OZF „NIEPODLEGŁOŚĆ” MOSTEK

– Włączamy lasery do ostrzału, ma’am – zameldował Urda, studiując dane na wyświetlaczu taktycznym. W tej samej chwili „Niepodległość” zaczęła dziurawić kadłub okrętu Roju nie tylko salwami pocisków kinetycznych i raketami, lecz także promieniami laserów. – Uszkodzenia dokonywane przez roboty są coraz większe. W zasadzie... – Zerknął na inny odczyt. – Widzieliśmy już wzrost liczby dronów o dziesięć procent przez ostatnie dwie minuty.

Admirał Proctor zacisnęła palce na podłokietnikach fotela. Zbliżenie się do starcia stanowiło ogromne ryzyko – „Niepodległość” znajdowała się już w zasięgu rażenia broni Roju, a niedawno przecież odniosła sporo uszkodzeń podczas potyczki z Findiri i nie wszystkie systemy działały sprawnie, niektóre były w ogóle wyłączone. Udało się uzupełnić zapas pocisków i amunicji do dział, wykonano też sporo podstawowych napraw, ale niewiele więcej.

– Co z okrętem Roju? Uszkodziliśmy go choć trochę?

– Owszem, ma’am. Jedyne problem stanowi to, czy dokonujemy tych zniszczeń wystarczająco szybko. Jeżeli Rój przeniesie uwagę na nas, w kilka sekund spali nas na popiół.

Bliżej, Shelby.

W przekazie towarzysza wyczuwała silne napięcie i pragnienie, żeby się pospieszyła.

Bliżej.

– Chorąży Destachio, zbliżmy się jeszcze trochę. Ostrzelajmy Rój wszystkim, co mamy.

– Tak jest, ma’am. Zbliżam się o trzy kilometry.

Znajdowali się już praktycznie w środku bitwy. Dziesiątki, tysiące małych śmiercionośnych dronów otoczyły „Niepodległość”, ale nie próbowały jej atakować, skupione wyłącznie na ogromnym okręcie Roju. W rezultacie Rój również nie próbował jej atakować, namierzał drony i eliminował je jeden po drugim.

Pod każdym względem było to zajadłe, spektakularne i widowiskowe starcie. Pokaz fajerwerków na niebie IXF-459. Wraki zniszczonych dronów spadały do atmosfery. Niektóre zderzały się z kadłubem „Niepodległości”, ale miały zbyt małą prędkość, aby narobić nieodwracalnych szkód. Tylko dlatego, że „Niepodległość” wydawała się niewidzialna dla obu walczących stron, Proctor mogła tak spokojnie przyglądać się tej bitwie.

A potem w oślepiającym rozbłysku okręt Roju zniknął. Wykonał skok kwantowy nie wiadomo dokąd.

I oto nadszedł czas – oznajmił jej towarzysz.

I równie nagle „Niepodległość” z widza zmieniła się w główny cel dla floty dronów strażniczych. Setki robotów zwróciły się w jej kierunku i ruszyły prosto na okręt.

Rozdział 62

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA OFV „MAJESTAT”

„Jasper. Mój syn. Miałem syna. I mój syn nie żyje”.

Granger przytrzymał się oparcia fotela kapitańskiego, nie odrywając oczu od ekranu, na którym druga planeta zbliżała się do Ziemi. Wciąż próbował sobie poradzić z niewyobrażalną stratą. Zakrwawione okienko w komorze ucieleśniającej na zawsze wryło się w jego pamięci, wraz ze zgrozą i bólem, jakie przeżywał raz po raz.

– Kapitanie, to Paradiso – powiedział Swift.

– Co?

– Parametry pasują. Zarys kontynentów, miasta, wszystko. Według odczytów na powierzchni znajduje się kilkadziesiąt milionów ludzi. Zdaje się jednak, że to Paradiso sprzed zderzenia z tarczą pochłaniającą pęd.

– Shin-Wentworth – wyszeptał Granger.

– I.. Uch... Szlag. – Swift zmarszczył brwi. – Zbliża się kursem kolizyjnym. Za pięćdziesiąt pięć minut dojdzie do bezpośredniego zderzenia z Ziemią. To będzie Brytania 2.0.

Granger z wysiłkiem postarał się oderwać myśli od wspomnienia zakrwawionej komory. Przemocą odpędził wspomnienie Jaspera. Tylko na razie. Na żalobę przyjdzie czas później.

– Szlag, czemu właśnie to wypadło z mojej dziurawej pamięci? – burknął do siebie. – Czy „Volz” nadal znajduje się nad Nashville?

– Tak jest, kapitanie. Unosi się dziesięć kilometrów nad Węzłem Energetycznym Półkuli Zachodniej. Wygląda na to, że okręt podłączył się do pola indukcyjnego i wyssał prawie całą energię. Z Ameryki Północnej dochodzą meldunki o całkowitym zaciemnieniu kontynentu.

– Połącz mnie z „Volzem” – zdecydował Granger.

Swift skinął na oficera łączności.

– Połączenie otwarte, panie kapitanie.

– Shin-Wentworth, mówi Granger. Zechcesz wyjaśnić, co tu się, do cholery, wyprawia?

Ekran główny podzielił się na pół. Po jednej stronie widać było Paradiso nieuchronnie zbliżającą się do Ziemi, po drugiej pojawiła się twarz Shin-Wentwortha.

– Wykorzystałem technologię, którą dał nam Klollogesz. Dwuwymiarowe osobliwości, te same, które podtrzymywały skorupę Chantany 3. Udało mi się... Udało mi się przywrócić Paradiso sprzed ataku. Wszyscy tam są już bezpieczni.

– Bezpieczni?! Wyjrzyj przez okno, komandorze!

Shin-Wentworth przymknął oczy.

– Tak, wiem. – Spojrzał wprost na Grangera. – Pracujemy nad tym, kapitanie.

Granger miał ochotę nawrzeszczyć na tego człowieka, wygarnąć mu bez ogródek, wychłostać słowami jak biczem, ale musiał ratować świat. A raczej dwa światy.

– Dobra. Co wymyśliliście?

Mężczyzna niechętnie wzruszył ramionami.

– Na razie nic, kapitanie.

Krótki sygnał zabrzączał na konsoli dowodzenia, ale Granger nie potrafił znaleźć, skąd dokładnie. Na szczęście w sukurs przyszedł mu łącznościowiec.

– Kapitanie, wywołuje nas OZF „Dirac”.

Granger wskazał na ekran.

– Niech się przyłączy do naszej rozmowy.

Obraz Paradiso coraz szybciej spadającej na Ziemię zniknął, zastąpiony twarzą kapitan Rayny Scott. Jej oczy chyba śledziły coś na wyświetlaczu, bo ani razu nawet nie zerknęła w kamerę – typowo w stylu Rayny.

– Dobrze cię znowu widzieć, kochany. Zdaje się, że mamy tu spore zamieszanie – przywitała się bezceremonialnie, nadal nie patrząc w kamerę.

– Masz jakiś pomysł, Rayno?

– Cóż, sprawa wygląda tak... – Kapitan „Diraca” przygryzła wargi.

– Kiedy ostatnio widziałam się z Shelby, kazała mi opanować te dwuwymiarowe osobliwości.

– I? Udało ci się?

Rayna Scott parsknęła śmiechem.

– To było zaledwie pięć godzin temu, kochany. – Zaśmiała się znowu, ale zaraz spoważniała. – Czyli naturalnie jestem w połowie drogi.

– Myślisz, że możemy odesłać Paradiso przez osobliwość? Zanim zderzy się z Ziemią?

– Nie! – wtrącił się Shin-Wentworth. Na chwilę stracił panowanie nad sobą, ale szybko wziął się w garść. – To nie zadziała, panie kapitanie. Osobliwość, której użyłem, żeby ściągnąć tutaj Paradiso, została odłączona od drugiej podczas tranzytu planety. Bez tej drugiej osobliwości nie można przewidzieć, co się stanie z Paradiso. Najprawdopodobniej po prostu zapadnie się w sztuczną czarną dziurę.

– Czy to ocali Ziemię? – zapytał Granger.

– Najpewniej nie, bo przecież czarna dziura nie zniknie i będzie miała masę Paradiso. Spowoduje takie same zniszczenia na Ziemi jak Paradiso, o ile nie większe, wzięwszy pod uwagę, że Ziemia również zostanie wciągnięta do osobliwości.

– Czyli trzy argumenty przeciwko wykorzystaniu osobliwości – stwierdził Granger. – Rayno, zgadzasz się z Shin-Wentworthem?

– Gnojek niestety ma rację, kochanieńki.

– Świetnie. Jaką mamy alternatywę, Rayno? Wspomniałaś, że badałaś to zagadnienie?

– Zapoznałam się z zasadami działania i technologią, mój drogi, ale nie mam jeszcze żadnego przełomowego rozwiązania. Byłoby wspaniale, gdybyśmy mogli skorzystać z o wiele większej wersji osłon, które stosują ci Findiri na swoich okrętach. Dwuwymiarowa osobliwość okrywająca praktycznie cały kadłub, dzięki czemu to, co uderza w jedną burtę, wypada z drugiej.

– Tak! – Okrzyk sprawił, że Shin-Wentworth niemal podskoczył. Za jego plecami stanął rozczochrany, wymięty mężczyzna. Cywil. Wyglądał, jakby płakał.

– O co chodzi, Wiggum? – zapytał komandor.

– Ta kobieta ma rację! Osobliwość z kadłuba Findiri, właśnie tego nam potrzeba! Tylko miliard razy większa!

Z zachowania przypominał trochę szalonego naukowca albo maniaka i Granger z trudem powstrzymał się od rozkazania Shin-Wentworthowi, żeby podał temu Wiggumowi jakiś środek uspokajający. Ten człowiek wyraźnie potrzebował porządnej porcji snu.

– A jak, pańskim zdaniem, można powiększyć ich osobliwości miliard razy, panie Wiggum?

– Czyż to nie oczywiste? – roześmiał się cywil. Trwało to trochę za długo. Kiedy zorientował się, że wszyscy wciąż na niego patrzą, postarał się opanować. – Tak samo, jak zrobiliśmy to wcześniej. Wystarczy podłączyć je do pola indukcyjnego w węźle energetycznym.

Granger w zamyśleniu pogładził się po podbródku.

– Czyli wystarczy ściągnąć tu okręt Findiri, podłączyć go do węzła, żeby pobrał energię potrzebną do rozszerzenia jego osłony na tyle, by objęła całą Ziemię? Rayna? Czy to w ogóle możliwe?

– Cholera wie... – Kapitan Scott zastanowiła się. – Nie. Nie, to nie zadziała. Pamiętasz starcie nad Paradiso? Nie było mnie tam, ale oglądałam nagrania. Pamiętasz, co się dzieje, gdy jakiś obiekt przechodzi przez osłonę Findiri i wychodzi zbyt blisko krawędzi? BUM! A co się stanie, gdy Paradiso otrze się o skraj pola osłony? Prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest bardzo wysokie. Wraz z ludźmi na Ziemi będziemy świadkami eksplozji większej niż ta, w której powstał nasz Księżyc.

Wiggum chyba chciał zaprotestować, ale widać było, że im dłużej o tym myśli, tym bardziej zaczyna się zgadzać z Rayną.

– Nie, no... Ma rację.

– Jednak czemu używać osłony tylko jednego okrętu? – zauważyła Rayna.

– Myślisz, że można wykorzystać osłony kilku jednostek? – zainteresował się Granger. – Posłać okręty Findiri nad powierzchnię

Ziemi, żeby podłączyły się do węzłów energetycznych i włączyły osłony?

– Nie. Trzeba sparować osobliwości w osłonach kilku okrętów Findiri i połączyć je w swoistą sieć. Potem trzeba je wysłać jak najdalej od Ziemi, żeby Paradiso nie otarła się o skraj tej siatki.

– Czy to możliwe? – zapytał Granger.

Wszyscy zamilkli. Rayna Scott wyraźnie nie była pewna. Wiggum wzruszył tylko ramionami. Shin-Wentworth pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, kochani. Na tym etapie to tylko spekulacje i mamy dokładnie dwadzieścia sześć minut, żeby przejść od teorii do praktyki.

Na konsoli Grangera zabrzmiał kolejny sygnał wywoławczy.

Pochodził z okrętu Findiri.

– Niech cię szlag, Talus, nie teraz – warknął kapitan, jednak spojrzawszy na oficera łączności i machnął ręką. – Połącz go.

Ekran główny znowu się podzielił, aby dodać obraz z kolejnej transmisji. A kiedy pojawiła się twarz Findiri, Granger z zaskoczeniem popatrzył jeszcze raz.

– Kapitan Tim Granger – odezwał się Findiri.

– Znam cię?

– Mam na imię Varus. Jestem adiutantem, dowodzę tym okrętem oraz kilkoma mniejszymi jednostkami podadiutantów. Służę też jako zastępca Talusa.

– Och... – Granger nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. – Domyślam się, że Talus nie wie o tej rozmowie.

– Nie wie.

– Rozumiem.

„Findiri żyją i mają się całkiem dobrze. Ale ulegli przemianie. I to o wiele bardziej znaczącej, niż można było przewidzieć. Talus na pewno tego nie przewidział. Ani nikt z nich”.

– Zdaje się, że mamy o wiele większy problem niż wcześniej – stwierdził Granger.

– W rzeczy samej. Słuchałem waszej rozmowy. A jeśli chodzi o twoje pytanie, kapitanie Granger, odpowiedź brzmi: tak, to możliwe. Można połączyć osłony wielu jednostek w jedną i stworzyć osobliwość wystarczająco dużą, żeby osłonić całą planetę. Jednak nie znaczy to, że będzie łatwo.

– W porządku. – Granger jeszcze nie wierzył własnym uszom. – Mam przeczucie, że kryje się w tym jakiś haczyk.

– Rzecz w tym, że mój okręt nie może pełnić funkcji węzła dla tak dużej sieci pól kwantowych. Ale flagowiec jak najbardziej.

– A flagowcem dowodzi oczywiście Talus wraz ze swoimi lojalnymi Findiri.

– Właśnie. Chociaż w obecnej sytuacji nie mogę zaświadczyć o lojalności żadnego z żołnierzy Findiri. Wiem tylko, że właśnie przeszliśmy przemianę. Nie wiem, czy odzyskaliśmy to, co utraciliśmy, czy też rozwinęliśmy się do wyższych celów. Niezależnie od tego jednak wszyscy odczuwamy przymus, by zarówno pokonać Rój, jak i ocalić Ziemię. Mamy to wpisane w DNA.

– Zatem musimy się dostać na okręt flagowy. Jak możemy to zrobić? – zapytał Granger, choć obawiał się odpowiedzi. Wiedział, że mu się nie spodoba.

– W tak krótkim czasie? Tylko siłą – stwierdził Findiri bez wahania.

– Tak myślałem. – Granger wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić, i zaczął się zastanawiać, jakie ma możliwości działania. – Zbierzesz grupę uderzeniową, aby przejąć flagowiec?

– Tak. Dotarcie do okrętu będzie wyzwaniem, ale gdy znajdziemy się na pokładzie, na pewno zwyciężymy.

– Zapewnię wam wsparcie myśliwców. Najlepszych. Eskadra postara się was osłonić, żebyście mogli dokonać bezpiecznego abordażu. Shin-Wentworth? – Granger spojrział w dolny lewy kwadrat ekranu. – Chcę, żebyś nadzorował ustawienie sieci osłoniwości do stworzenia osłony. Sam też polecę na flagowiec.

– Kapitanie! – zaprotestował Swift za jego plecami. – Nie może pan...

– Mogę. – Granger wstał z fotela i skierował się do wyjścia. – Talus i ja mamy rachunki do wyrównania.

Zanim jednak zdążył zejść z mostka, zatrzymał go okrzyk jednego z oficerów taktycznych.

– Kapitanie! Mam odczyt obcej jednostki, która właśnie się pojawiła! Wykonała skok kwantowy.

Twarze rozmówców przesunęły się na lewą stronę ekranu, aby zrobić miejsce na nowy obraz. Widać było Ziemię i zbliżającą się

Paradiso, a pomiędzy nimi intruza, który wybrał sobie najmniej odpowiednią porę, aby przybyć...

– Rój – powiedział Granger. – Jednostka Roju. I właśnie teraz musiała się pojawić?

Rozdział 63

SEKTOR POINCARÉ NISKA ORBITA WOKÓŁ PLANETY IXF-459

Uczucie było wspaniałe. Podobnego zachwytu i spełnienia Decker doświadczył, gdy kilka dni temu stał się Valarisi, jednak to uczucie przewyższało nawet tamte chwile. A powód?

Nadszedł ich czas.

Okręt Roju odleciał, co znaczyło, że pora na następny etap planu.

Byli tak blisko.

– Przeskanować wrakowisko. Znajdźmy uszkodzonego robota, który jeszcze działa – nakazał Decker. Nie musiał nawet wydawać poleceń. Podporządkowani ludzie wiedzieli, co robić.

– Znalazłem jednego. Tuż za naszą sterburtą.

Decker wstał, zerknął na monitor, na którym pomocnik wyświetlił obraz zniszczonego częściowo robota, a potem spokojnie zszedł z mostka po schodach do śluzy. Wpisał na panelu kilka komend i wszedł.

Czy potrzebował skafandra kosmicznego?

Nie. Valarisi wewnątrz jego ciała uzdrowią urazy i uszkodzenia, gdy tylko te się pojawią.

Podjąwszy decyzję, Decker otworzył zewnętrzną gródź śluzy i przytrzymał się, gdy powietrze gwałtownie zaczęło wydostawać się na zewnątrz.

Odruchowo próbował nabrać tchu.

Ale potem odpuścił i pozwolił, aby gazy wyrwały mu się z płuc. Nie czuł bólu ani niewygody z powodu braku tlenu, tylko oczy

zrobiły się czerwone, gdy popękały naczynia włosowate. Poza tym wszystko było dobrze.

Rozejrzał się po wrakowisku, aby odszukać na wpół zniszczoną maszynę, którą człowiek z załogi pokazał mu na monitorze, a kiedy ją znalazł, napiął się przy skraju włazu i...

...skoczył.

Wymierzył idealnie. Nie mogło być inaczej. Miliony istnień w jego ciele doskonalily każdą myśl, każdy mięsień, każdą ścieżkę nerwową, każdy akson i dendryt przekazujący impulsy w jego mózgu.

Pomknął przez przestrzeń, żeby zbliżyć się do robota, którego wnętrze zostało odsłonięte po trafieniu bronią Roju.

Decker złapał robota, a jego ciało zderzyło się z metalowym, poszarpanym pancerzem. Podrapał sobie nogi. Niewiele już widział, bo krew zalewała mu oczy – musiał się orientować na dotyk. Gorączkowo macał, by odszukać to, bez czego nie uda się wypełnić zadania.

Wreszcie znalazł. Dłoń zamknęła się odruchowo na hydraulicznym przewodzie łączącym ośrodek sterujący z napędem wieżyczek dział. Decker zdołał nawet wypatrzeć poszarpany fragment uszkodzonej powłoki.

Tyle wystarczy – pomyślał-pomyśleli, a potem rozciął sobie dłoń o krawędź pancerza. Wokół przerwanej skóry pojawiły się małe kule krwi. Decker tymczasem złapał przewód i również go rozciął.

Przycisnął krwawiącą dłoń do rozciętego przewodu, aby jego lud mógł rozpocząć nowe życie. Czy to ich zmieni, czy nie? Pozostaną tacy sami czy bardzo się zmienią? Czy właśnie następowало odrodzenie? Renesans? Czy zaranie zupełnie nowego gatunku istot rozumnych?

Tylko czas mógł odpowiedzieć na takie pytania.

Materia Valarisi płynęła wraz z krwią Deckera do przewodu hydraulicznego i szybko integrowała się z obwodami i procesorami robota.

Rozdział 64

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA OKRĘT FLAGOWY FINDIRI

Plan, jakikolwiek by był, przebiegłby gładko, gdyby nie pojawienie się jednostki Roju, która bez ostrzeżenia otworzyła ogień do wszystkich okrętów w zasięgu strzału. Findiri, Zjednoczona Flota Ziemi, flota Vestigium – Rój nie dyskryminował żadnego ugrupowania ani gatunku rozumnych. Jednak chyba najsilniej starał się uderzyć w okręt flagowy Findiri.

Granger w promie przyglądał się bitwie.

– Zivik, uważaj, żebyś nie dostał się w krzyżowy ogień między Rojem i myśliwcami Findiri posłusznymi Talusowi. Możesz się znaleźć między młotem a kowadłem.

Z głośnika rozległy się odgłosy z kokpitu typowe dla trybu bojowego.

– Od tygodnia nie robiłem nic łatwiejszego, kapitanie – odpowiedział Zivik.

Granger parsknął śmiechem.

– Dobrze wiedzieć, Chojrak.

Po drugiej stronie na chwilę zapadło milczenie.

– Sukinkot, kapitanie. Jestem Sukinkot.

Szlag.

– Zgadza się. Ojciec byłby z ciebie dumny, chłopcze. Ruszaj, załatw ich. Granger, bez odbioru.

Przełączył się na kanał Varusa i jego oddziału abordażowego.

– Dobra, moja eskadra myśliwców oczyści nam drogę. Wykonaj swój ruch, adiutancie. Dołączę do ciebie niedługo.

– Przyjąłem, Granger – odpowiedział Findiri.

Granger znowu zmienił kanał.

– Shin-Wentworth, melduj.

– Tuż za panem, kapitanie.

– Dobrze.

Przez przednie okno widział, jak eskadra Zivika rozprawia się z myśliwcami, które wysłał Talus, a zaraz potem do flagowca zadokowały transportowce. Oddziały abordażowe Varusa szybko dostały się na pokład.

– Nasza kolej. – Granger skinął głową weteranom, byłym komandosom, którzy siedzieli przy rufie promu. Wszyscy należeli do grangerystów lub do Vestigium. Napięli się w gotowości.

Pilot zadokował i jeden z komandosów zamontował awaryjną śluzę, podczas gdy drugi już zaczął wycinać otwór w pancerzu wrogiego okrętu, by można było przedrzeć się na pokład. Niedługo potem oddział i Granger przeszli w strefę walk. Intensywne rozbłyski strzelających do siebie żołnierzy Findiri rozświetlały korytarz. Granger próbował ocenić strategię tego starcia i oszacować, czy wystarczy czasu, zanim dojdzie do katastrofy. Zerknął na podręczny chronometr odliczający czas do zderzenia.

Zostało dziesięć minut.

Na szczęście okazało się, że żołnierze Varusa znajdują się na swojej robocie – odpierali kolejne ataki przeciwnika i parli naprzód. Granger szedł za nimi, gdy machnięciem ręki dawali znak, że może ruszać. Po drodze dołączył do niego Shin-Wentworth, który dostał się na pokład innym otworem wraz z oddziałem komandosów z „Volza”.

Na skrzyżowaniach i zakrętach doszło do jeszcze kilku starć, intensywnych, lecz krótkich. Przerzywał je Varus, który wysuwał się na czoło i wołał coś, czego Granger nie słyszał, do żołnierzy Talusa.

Dotarcie w pobliże mostka nie zajęło wiele czasu.

Huk eksplozji wstrząsnął całym pokładem. Varus spojrział na holo na nadgarstku.

– Rój przełamuje naszą obronę. Kończy nam się czas.

Granger wskazał na gródz mostka.

– No to do dzieła.

Varus rozbił wrota swoją bronią energetyczną i bez wahania ruszył pierwszy, a za nim jego żołnierze. Granger wszedł na mostek za nimi. Shin-Wentworthowi i jego komandosom udało się dołączyć w samą porę.

– Adiutancie? Co tu robisz? – zdziwił się Talus. – Zostaliśmy zaatakowani przez Rój, a ty zabijasz naszych żołnierzy. Wytłumacz się.

Gdy kończył mówić, dostrzegł Grangera i nie potrafił ukryć zaskoczenia.

Varus uniósł broń i wycelował.

Talus zerknął na jego twarz, a potem na wymierzoną lufę.

– Co robisz, adiutancie? – Głos dyrektora był beznamiętny, jednak Granger wyczuwał strach i niepewność pod maską pozornego spokoju.

– To, co powinienem zrobić dawno temu, gdy zaczęłeś rozwijać swoje wielkie plany dominacji nad Galaktyką. Podbój nigdy nie był naszym celem. Mieliśmy pokonać Rój i ocalić Ziemię. Rządzenie nią nigdy nie było naszym celem. Zemsta na naszym stwórcy za popełnione błędy również nie.

– Ale...

– Milcz. Jeszcze jedno słowo, a przestrzelę ci głowę i zakończę twoją żalostną egzystencję. A potem wykasuję twoje pliki z komory ucieleśniającej, żebyś już nigdy więcej nie odżył i nie plamił nas swoją egzystencją.

– Ale...

– Powiedziałem, dyrektorze: ani słowa więcej – warknął Varus. – Jestem tylko człowiekiem... tak, człowiekiem, ale zawsze dotrzymuję obietnic.

Nacisnął spust i fioletowy promień trafił Talusa w głowę. Ciało dyrektora z dziurą na środku twarzy osunęło się na podłogę.

Granger zerknął na swoje urządzenie.

Dziewięć minut.

– Nie mamy czasu, szybko! – zawołał. Przeszedł nad zwłokami i machnięciem ręki wskazał Shin-Wentworthowi terminal dowodzenia.

Varus przejrzał dane na wyświetlaczach konsoli taktycznych, a potem rzucił do jednego z żołnierzy Findiri:

– Ty, jak długo mamy taki stan?

– Rój właśnie zniszczył nam węzeł energetyczny, adiutancie. Spadamy od czterech minut.

Varus przeniósł dane na ścienny ekran. I rzeczywiście, teraz było widać wyraźnie, że powierzchnia Ziemi zbliża się do flagowca w łunie rozgrzanego tarciem i ciśnieniem powietrza.

Granger sprawdził pozycję. Pułap osiemdziesiąt kilometrów nad Missouri szybko malał.

– Możemy się przesunąć nad Nashville? – zapytał Varusa. – Może na silnikach odrzutowych? Cokolwiek, byle dotrzeć do tej lokacji.

Uderzył palcem w punkt na mapie wyświetlanej na konsoli taktycznej – około stu kilometrów na zachód od Nashville.

Varus skinął głową.

– Zrobione – zapewnił, po czym warknął kilka rozkazów do jednego ze swoich pobratymców, zapewne sternika.

Granger nie zwlekał, od razu dołączył do Shin-Wentwortha przy kolejnej konsoli.

– No i? Czy tarcza osobliwości wciąż działa?

– Na to wygląda, o ile dobrze rozumiem dane na wyświetlaczach Findiri. Zdaje się jednak, że mamy inny problem.

– Możesz go rozwiązać w osiem minut?

– Chodzi o sprzęgi pola kwantowego. W normalnych warunkach korzystamy z pola kwantowego tła, żeby zwiększyć moc naszych emiterów. W tym przypadku mamy się sprzęgnąć z innymi okrętami i stworzyć sieć. Jednak w innych okrętach sprzęgi są wyłączone. Na ziemskich jednostkach często się psują, ale wystarczy zresetować je manualnie, żeby włączyły się ponownie. No i w tym problem, reset manualny wymaga obecności kogoś na pokładzie, a nie mam pojęcia...

– Nubo! Ty i ty, zaprowadź go do pomocniczej maszynowni, ale już! – ryknął Varus, który najwyraźniej słuchał ich rozmowy.

Trzej wyznaczeni Findiri wyprostowali się na baczność, a potem jeden z nich odpowiedział:

– Tak jest, dyrektorze.

„Ach, Varus wywalczył sobie awans” – pomyślał Granger, gdy patrzył, jak żołnierze wychodzą z Shin-Wentworthem.

– Przekazałeś innym okrętom Findiri, że mają być gotowe na połączenie? Zajęły pozycje?

– Tak – potwierdził Varus.

Granger zerknął na swój datapad. Sześć minut. Na głównym ekranie zobaczył Paradiso, znajdującą się zaledwie kilka tysięcy kilometrów od Ziemi – wznosiła się nad Missouri, przesłaniając niebo.

Rozdział 65

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA OKRĘT FLAGOWY FINDIRI

Komandor Zivik właśnie wrócił po przetransportowaniu kapitana Grangera na statek Vestigium i szedł na mostek, gdy dostał kolejne wezwanie. Znowu zgłosił się Granger. Potrzebował myśliwców do ważnego zadania. Tym razem nie chodziło tylko o ochronę Grangera ani o morderstwo popełnione przez Shin-Wentwortha, ale o kilka transportowców Findiri. Wydarzenia toczyły się tak szybko, że przyprawiły Zivika o zawrót głowy.

Zemstę musiał odłożyć na później. Znowu. Zebrał swoją eskadrę, niedługo potem wszyscy wystartowali z „Volza” i włączyli się do starcia. Zdaje się, że w szeregach Findiri nastąpił rozłam i Zivik ze swoimi pilotami musiał powstrzymać tych złych od zabicia tych mniej złych, żeby ci ostatni mieli czas zabić tych najgorszych. Wszystko jasne.

– Uważaj, As! Na szóstej! – zawołał. Zatoczył łuk swoim myśliwcem i wystrzelił salwę za ogonem towarzyszką broni, po czym zawrócił, aby zaatakować Findiri ścigającego Barbiego.

Myśliwców wroga było sporo, ale nie tak dużo jak pod skorupą Chantany 3, na dodatek tym razem eskadra Zivika towarzyszyła mu od początku.

Jednak ostrzał z okrętu Roju nie pomógł. Na szczęście większość uwagi głównego wroga skupiała się na okręcie flagowym Findiri, choć od czasu do czasu śmiertelny promień przecinał trajektorię

lotu Zivika i innych. Barbie już stracił końcówkę skrzydła w krzyżowym ogniu.

– Bez obaw, to tylko końcówka! – krzyknął wtedy.

– To samo powiedziałem wczoraj w nocy twojej matce – zaśmiał się Spektro.

Ethan też się uśmiechnął – jeszcze kilka tygodni temu sam rzuciłby podobną odzywkę.

Jednak to była już przeszłość. Pozostała w nim tylko pustka.

I determinacja. Popełniono zło, które domagało się naprawienia.

Niedługo potem transportowce Findiri i prom Grangera dobiły do flagowca.

– Stukrotne dzięki, Sukinkot. A teraz przydad się na coś. Granger, bez odbioru.

Eskadra Zivika zawróciła na „Volza”.

Zivik skierował swoją maszynę do innego hangaru niż reszta. Do lądowiska na pokładzie okrętu flagowego Findiri.

– Ethan? Co robisz? – zapytała As.

– Mam jeszcze coś do załatwienia. Wracaj na „Chojraka”. Zaraz do was dołączę.

– Nie podoba mi się...

– Po prostu wracaj! – wrzasnął na nią Zivik.

Spojrzał na wyświetlacz taktyczny, żeby upewnić się, że jego eskadra w miarę bezpiecznie dotrze do „Volza”. Przed nim ziała hala hangaru myśliwców Findiri. Jednym ruchem palca Zivik wypuścił salwę, by oczyścić sobie pole ze wszystkiego, co się ruszało na płycie lądowiska, a potem wśród wywołanej w ten sposób destrukcji zniżył maszynę do twardego lądowania.

Otworzył właz i pognął naprzód. Rozejrzał się w biegu, aby sprawdzić, czy ktoś tu przeżył. Nikt.

Prześlizgnął się na opustoszały korytarz. Zapewne wszyscy żołnierze byli zajęci walką z grupą abordażową. Zivik skorzystał z chwili spokoju i wpisał do komunikatora kod dowódcy „Volza”, po czym sprawdził, gdzie znajduje się Shin-Wentworth. Na wyświetlaczu holograficznym urządzenia pojawiła się schematyczna mapa okrętu Findiri, według której Zivik stał trzy poziomy wyżej. Shin-Wentworth chyba kierował się do ośrodka zasilania okrętu –

większość przewodów napięcia, linii hydraulicznych i chłodzących krzyżowała się właśnie w tym punkcie.

Po pokonaniu schodami trzech poziomów Zivik zatrzymał się pod pomieszczeniem, które na uproszczonym schemacie zostało oznakowane jako zapasowy ośrodek zasilania.

Wziął głębszy oddech i kopnięciem wyważył drzwi z bronią gotową do strzału.

Dwaj Findiri, którzy stali na straży, unieśli karabiny energetyczne i rozkazali mu się zatrzymać.

– Chwila! – krzyknął Shin-Wentworth. – On jest ze mną! Komandorze, potrzebna mi pomoc! Brakuje nam czasu, a trzeba zresetować wszystkie sprzęgi pola kwantowego! Już!

Zivikowi zadrżała ręka z bronią. Zacisnął palce, a potem rozluźnił i zacisnął jeszcze raz. A miało być, kurwa, tak łatwo. Wystarczyłoby pociągnąć za spust... No, zrób to, Sukinkot. Zrób to. ZRÓB TO!

Dla niej.

– Ile ich jest?

– Połowę już zresetowałem, ale zostały nam dwie minuty. – Shin-Wentworth otwierał już kolejny panel z obwodami, przesuwając przełączniki i resetował ustawienia, jedno po drugim, w nerwowym pośpiechu. Znajdował się w połowie długiego rzędu podobnych podzespołów, pewnie ze czterdziestu.

Zivik upuścił broń i podbiegł do drugiego końca rzędu, po czym zabrał się do pracy.

Minutę później spotkali się w połowie drogi. Shin-Wentworth chciał przełączyć ten sam obwód. Zivik cofnął rękę i pozwolił mu dokończyć. Zaraz potem Shin-Wentworth rzucił do komunikatora:

– Gotowe! Rozciągnąć osłonę!

Zivik przyglądał się temu ze środka pomieszczenia, gdzie odłożył broń. Dostrzegł, że tamten też się jej przygląda.

– No? – rzucił Shin-Wentworth. – Zamierzasz mnie zastrzelić?

– Pewnie tak – przyznał Zivik.

– Czy tego właśnie by chciała?

Pytanie było nieoczekiwane. Zivik nie umiał ocenić, czy Shin-Wentworth zadał je, aby zyskać na czasie, czy też chciał uspokoić własne sumienie.

– Nie wiem – odpowiedział tylko. – Czy to ważne, czego by chciała?

– To zależy od ciebie, komandorze Zivik. Powiadom mnie, gdy zdecydujesz.

Shin-Wentworth odwrócił się i opuścił pomieszczenie.

Zivik nie próbował go zatrzymać.

Rozdział 66

SEKTOR POINCARÉ NISKA ORBITA WOKÓŁ PLANETY IXF-459 OZF „NIEPODLEGŁOŚĆ” MOSTEK

Proctor wyczuła zmianę, która zaszła w jej towarzysz, zanim ten się odezwał. Odebrała silne poczucie triumfu. Wiedziała też, że powinna w tym partycypować – odczuwać radość i satysfakcję, że sojusznicy zwyciężyli i osiągnęli swój cel.

Jednak wcale tak się nie czuła.

Ogarnęła ją szarpiąca nerwy zgroza.

Coś było... nie tak. Żle.

– Pani admirał, flota dronów zaczęła nas ostrzeliwać! – rzucił komandor Urda.

– Destachio, skok kwantowy, natychmiast!

Chorąży pokręcił głową z wyraźnym zdenerwowaniem.

– Przykro mi, ma'am. Jesteśmy w zasięgu pola tłumiącego, które nie pozwala wykonać skoku. Zupełnie jak „Wyzwanie” tydzień temu. Utknęliśmy tutaj.

I wtedy Proctor doznała olśnienia.

Pozwoliliście Rojowi uciec, prawda?

Nie. Roboty zdecydowały tak samodzielnie, uznały, że przeciwnik ma za dużą przewagę, więc dla własnego bezpieczeństwa pozwoliły mu uciec.

Więc dlaczego my nie możemy uciec?

Cisza.

Czuję, co się dzieje. Zintegrowaliście się z jednym robotem. Macie znaczącą kontrolę nad tym wszystkim.

Tylko nad jednym robotem. Tak. Nie nad wszystkimi. I właśnie teraz cię potrzebujemy, Shelby.

Proctor poczuła ucisk w żołądku. Dotarło do niej, że znalazła się w pułapce.

Potrzebujecie mnie?

„Niepodległość” ma procesor z nieskończoną liczbą rdzeni. Potrzebujemy go do kontroli robotów. Stanie się centralnym ośrodkiem nerwowym naszej nowej, milionowej floty. W ostatecznym rozrachunku, Shelby, ludzie i Valarisi będą bezpieczni. Żaden Rój, Findiri czy Quiassi – nikt – nie zdoła nigdy nas pokonać.

To była pułapka. Wszystko zostało zaplanowane. Od zwabienia tu okrętu Roju po ściągnięcie też samej Proctor. Wszystko to, by Valarisi mogli przejąć kontrolę nad potężną flotą, w której „Niepodległość” miałyby stać się okrętem flagowym.

– Pani admirał, roboty strażnicze zadają nam coraz większe uszkodzenia! – zameldował Urda.

– Chorąży, manewry unikowe. Niech zespół taktyczny opracuje wzorzec ostrzału, aby pozbyć się jak największej liczby dronów. Spróbujcie też sprawdzić, w jaki sposób tworzą zakłócenia pola kwantowego, i postarajcie się im przeciwdziałać.

Okręt zadrżał od salwy wystrzelonej przez setki robotów. Teraz „Niepodległość” znajdowała się w takiej samej sytuacji jak wcześniej Rój – na niej skupiały się fajerwerki, które Proctor jeszcze niedawno podziwiała z takim spokojem...

A przecież to nie potrwa długo.

Shelby, nie stawiaj oporu. Użyj procesora okrętu. Sięgnij na zewnątrz i nawiąż kontakt z jednym robotem, którego mamy pod kontrolą, a zajmiemy się całą resztą.

Nie – odpowiedziała.

To błąd, Shelby, wierz mi. Zaufaj nam.

Jak mogę wam teraz zaufać? Po tych kłamstwach i niedopowiedzeniach, które doprowadziły do tej sytuacji?

Jak możemy ci ufać po tym, co zrobił nam Oppenheimer?

Nie jestem Oppenheimerem.

I już wiedziała, co powinna zrobić.

– Wysłać wiadomość metaprzestrzenną do sekretarza Curiela – rozkazała. – Jeżeli to możliwe, nawiązać połączenie.

Niedługo potem chorąży Sampono skinęła głową.

– Mam go, pani admirał.

Nawet nie zdążyła włączyć osłon prywatności, gdy twarz Curiela pojawiła się na wyświetlaczu holograficznym.

– Myślę, że wiem, kim jesteś – oznajmiła bez wstępów.

Mężczyzna uniósł brwi.

– Och?

– Mam sporą pewność co do swoich przypuszczeń. Jednak, szczerze mówiąc, nie ma to żadnego znaczenia. Nareszcie wyjaśniło się, dlaczego tak uparcie i zajadle starałaś się przejąć przywództwo w nowym rządzie, który ma objąć znane nam rasy rozumne. To samo próbowałaś osiągnąć trzydzieści lat temu.

– No, niezupełnie. – Curiel, który nie był Curielem, posłał jej porozumiewawcze mrugnięcie. – Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że próbowałem ocalić Ziemię, moja droga. Mamy te same cele. I teraz, i wtedy. Po prostu chcemy je osiągnąć innymi sposobami. Wykorzystujemy nasze atuty, nieprawdaż?

Proctor pokręciła głową.

– Nigdy się nie zgodzimy w tej kwestii, ale to też nie ma znaczenia. Potrzebuję twojej pomocy. Zakładam, że nadal masz do dyspozycji flotę GKL?

Skinął głową.

– I flotę Kalifatu, jeżeli już o tym mowa.

– Potrzebujemy ewakuacji z IXF-459. Flota dronów zaatakowała „Niepodległość” i nie uda nam się uratować, jeżeli pozostaniemy tu dłużej.

– Ruszamy – odpowiedział Curiel. – Jednak będziesz mi coś winna za tę pomoc. Nie zamierzam owijać w bawełnę. Wiesz dobrze, czego chcę.

Proctor westchnęła ciężko.

– Wiem. I dostaniesz. Niech zostanie to oficjalnie zarejestrowane. Niniejszym oznajmiam, że popieram Curiela, sekretarza generalnego Galaktycznego Kongresu Ludzkości, jako reprezentanta nowego rządu albo sojuszu czy innej organizacji obejmującej wiele ras rozumnych, jeżeli taka zostanie utworzona po tej bitwie.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Oficjalnie zarejestrowane? Wydaje się to trochę przesadne. Wystarczy, że powiesz to innym, gdy znowu się spotkamy w tej sprawie.

– Obawiam się – Proctor wstała z fotela kapitańskiego – że raczej już mnie nie będzie, gdy to się stanie. Proctor, bez odbioru.

Twarz Curiela zniknęła. Tyle że admirał miała już niemal całkowitą pewność, że to nie był Curiel. Curiel od dawna nie żył.

To był Małakow. Dawny przywódca Konfederacji Rosyjskiej, który przed drugą wojną z Rojem przez wiele lat ścierał się z Avery. Nikt inny nie pasował.

– Będę w izbie chorych – oznajmiła na odchodnym. – Komandorze Urda, przejmujesz mostek. Po pojawieniu się Curiela z flotą nie zwlekaj, wykonaj skok kwantowy, gdy tylko znikną zakłócenia pola. I postaraj się, proszę, żebyśmy przeżyli, dopóki nie nadejdzie ratunek.

Urda nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko patrzył, jak szła do windy.

– Sampono, za mną, proszę.

Chorąży ruszyła i obie zeszły z mostka. Okrętem nadal wstrząsały trafienia z broni dronów, a przez grube ściany windy słychać było wycie alarmów.

– Ma'am?

– Miałaś rację, chorąży. Dałaś mi dobrą lekcję o zaufaniu, gdy załatwiłaś tego zamachowca, Petrowicza. Byłam zbyt ufna. I pokładałam zbyt wielką wiarę w ludzkość. A potem? Potem zapomniałam, że dostałam już nauczki.

Sampono wzruszyła ramionami.

– Żyjemy. Wygląda na to, że się pani znowu tego nauczyła.

– Niewystarczająco wcześnie, chorąży. I obawiam się, że moje źle pokładane zaufanie będzie nas sporo kosztować. – Drzwi się rozsunęły i kobiety wyszły na korytarz prowadzący do izby chorych.

– Co pani robi, ma'am?

– Coś, co powinnam była zrobić wiele tygodni temu.

Weszły do gabinetu, a Proctor bez wahania skierowała się do sanitariuszki Jackson.

– Byłaś tu, gdy mięśniaki Oppenheimera wyciągnęły towarzysza Valarisi z Deckera?

Pielęgniarka skinęła głową.

– Byłam. To praktycznie trochę bardziej wymyślna dializa. Wysysa się krew, oddziela typowe dla Valarisi proteiny i markery, a potem pompuje się resztę z powrotem do ciała.

– Masz odpowiednią aparaturę?

– Mogę ją przygotować w kilka minut.

Shelby, nie!

Proctor nie odezwała się przez chwilę, bo chciała jeszcze raz przemyśleć, czy decyzja, którą podejmowała, była warta prawie pewnej śmierci zarówno towarzysza, jak i jej samej.

I w zasadzie była to bardzo prosta decyzja.

– No to działajmy.

W ciągu trzech minut Proctor leżała już na kozetce i miała ramię podłączone do ustawionej przy posłaniu maszyny.

Chorąży Sampono stała obok, nie spuszczając wzroku z twarzy admirała. Starsza z kobiet zaczynała już tracić przytomność.

Jednak przez tę chwilę po raz pierwszy od wielu tygodni w umyśle Shelby Proctor panowała zupełna cisza. Jej towarzysz zniknął.

I była wolna.

Rozdział 67

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA OKRĘT FLAGOWY FINDIRI

– Niech się rozciągnie! – usłyszał Granger Shin-Wentwortha przez głośniki.

– Varus, gotowe? – zapytał.

– Wszystkie systemy w gotowości. Wszystkie okręty pod moją komendą na pozycjach. – Nowy dyrektor floty Findiri stał przy stanowisku sterowania zasilaniem, palec trzymał nad przyciskiem.

Granger po raz ostatni zerknął na ekran. Zewnętrzna powłoka atmosfery Paradiso właśnie zaczynała stykać się z termosferą Ziemi. W miejscu zetknięcia powstawał obszar rozgrzewających się gazów, taki sam, jak podczas kolizji Brytanii z Tytanem. Ziemi nie zostało już wiele czasu.

Wyżej na orbicie nadal toczyła się bitwa pomiędzy okrętem Roju a wymieszanymi siłami flot Vestigium, Zjednoczonej Ziemi i Findiri. Okręty na prawo i lewo zmieniały się we wraki. Jednak każda jednostka starała się jak najszybciej uciec z obszaru, do którego zbliżała się planeta. Nawet okręt Roju.

– Jesteśmy na pozycji, sterniku?

Findiri przy sterach uniósł pięść, zapewne w potwierdzeniu.

– Znajdujemy się w punkcie wyznaczonym przez współrzędne strefy indukcji. Opadamy szybko, przejdziemy przez obszar indukcji w ciągu piętnastu sekund.

Granger spojrział na Varusa.

– Zrób to.

Findiri nacisnął włącznik.

Przez okręt przetoczył się silny wstrząs, gdy ogromna fala energii popłynęła do systemów z Węzła Energetycznego Półkuli Zachodniej. Stłumiony huk wybuchów świadczył, że nie wszystkie ogniwa wytrzymały, a Granger mógł się tylko modlić, żeby nie były to te, których teraz potrzebowali.

– Tarcza osobliwości się rozszerza – oznajmił Varus. – W tej chwili osiągnęła już promień pięciuset kilometrów... Tysiąca... Tysiąca pięciuset...

Sieć rozpinała się boleśnie powoli. Potrzebny był promień co najmniej zbliżony do ziemskiego, a najlepiej jeszcze większy.

Wszyscy przyglądali się ze zgrozą, jak obszar oślepiającej bieli powiększa się coraz bardziej, aż wypełnił pół nieba.

Paradiso była tuż-tuż.

Rozdział 68

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA OKRĘT FLAGOWY FINDIRI

Zivik był zbyt emocjonalnie wyczerpany, aby myśleć, dlatego tylko patrzył na to, co się działo. W pomieszczeniu z zapasowym węzłem zasilania znajdował się ekran, na którym widniał obraz przesyłany z okrętu Findiri na orbicie Ziemi.

Atmosfery Paradiso i Ziemi właśnie się stykały i tworzyły dość wybuchową mieszankę. Wkrótce miały się ze sobą zderzyć.

Może Zivik powinien był zabić tego drania, kiedy miał okazję, skoro i tak miał zaraz zginąć.

Wtedy jednak część Paradiso zaczęła znikać.

Wyglądało to tak, jakby planeta uderzała w Ziemię, ale jednocześnie wcale tak się nie działo. Po prostu znikła, jakby przesuwała się za zasłonę...

Wkrótce potem już jej nie było, pozostał tylko rozprzestrzeniający się obszar gorąca w miejscu, gdzie atmosfery obu światów na krótko się zetknęły.

A potem, równie nagle, Paradiso pojawiła się po drugiej stronie Ziemi, ale o wiele dalej, jakby wynurzyła się znikąd.

Odległość między światami zwiększała się wyraźnie – w niedługim czasie kamera pokazywała już Paradiso jako wielką zielono-błękitną kulę na nieboskłonie, która robiła się coraz mniejsza.

– No, niech mnie... Zadziałało.

Zivik dopiero teraz dostrzegł rozbłyski w atmosferze Paradiso. To tu, to tam wybuchały kule ognia.

– Cholera, co to...?

Hałas za plecami odciągnął jego uwagę od ekranu. Shin-Wentworth, który najwyraźniej stał w drzwiach i oglądał to, co się działo, na tym samym ekranie co Zivik, właśnie opadł na kolana.

– Nie... – wyszeptał. – Mój Boże, nie! Nie po tym wszystkim... Nie.

– Coś się stało, doktoru? – Zivik nie potrafił ukryć gniewu w swoim głosie. – Czy nie tego właśnie chciałeś? Gratulacje. Udało ci się. Nieważne, ile osób zabiłeś, byle to osiągnąć.

– Co się stało? Sam popatrz. – Shin-Wentworth wbijał wzrok w ekran. – Widzisz te eksplozje? Setki, może tysiące w każdej sekundzie. Te rozbłyski. Wiesz, co to jest?

Zivik wzruszył ramionami.

– Szczałki po bitwie z Rojem, które spadają w atmosferę?

– To i o wiele więcej. Na Ziemię codziennie spada około pięćdziesięciu ton kosmicznego pyłu.

– No i co z tego? Na Paradiso można sobie teraz pooglądać ładny deszcz meteorów.

Zivik odwrócił się od Shin-Wentwortha z odrazą. Nie mógł na niego patrzeć.

– To nie jest zwykły deszcz meteorów. Przyjrzyj się dokładnie. To eksplozje. Ogromne. Jak wybuchy głowic nuklearnych.

Zivik spojrzał na ekran ukazujący planetę odlatującą coraz dalej w kosmos. Rzeczywiście, wybuchy w atmosferze, które zauważył wcześniej, były większe, niż mu się początkowo wydawało. Niektóre miały pewnie kilkanaście kilometrów średnicy.

– No dobra, pewnie Paradiso przelatuje przez jakąś chmurę odłamków...

– Nie! Nie rozumiesz, co mówię? Około pięćdziesięciu ton kosmicznej materii spada codziennie na każdy świat podobny do Ziemi, w tym na Paradiso. I pięćdziesiąt ton zwykłej materii zderza się... z antymaterią. Ściągnąłem Paradiso z innego wszechświata. Tego, w którym... – Shin-Wentworth urwał, niezdolny dokończyć.

W oczach miał łzy. Łzy porażki.

Zivik podrapał się w potylicę.

– Chwileczkę. Chcesz mi powiedzieć, że... że ta Paradiso jest z antymaterii?

Shin-Wentworth skinął głową.

– A kiedy materia z naszego wszechświata uderza w nią, wtedy... bum?

Mężczyzna ponownie skinął.

– To znaczy, że twoja rodzina jest tam, w tej chwili. Żywa – stwierdził Zivik w zamyśleniu. – A ty mimo wszystko nigdy jej nie zobaczysz.

Nie powinien się śmiać. Ani nawet uśmiechać. Nie powinien odczuwać ani odrobiny zadowolenia z tej sytuacji, ponieważ tam na dole znajdowały się dzieci i żona, których ponownie czekało cierpienie i ból, już kiedyś przeżyte.

Jednak nie znaczyło to, że Zivik nie mógł sobie pozwolić na ostatnie słowo, gdy przechodził nad Shin-Wentworthem do wyjścia.

– Powiniennem cię nienawidzić. Ale tak nie jest. Nie czuję do ciebie nienawiści. Absolutnie NIC do ciebie nie czuję.

Rozdział 69

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA OKRĘT FLAGOWY FINDIRI

Granger ledwie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy patrzył na to, co rozgrywało się na ekranie. Jedna planeta właśnie miała się zderzyć z drugą, zniknąć i pojawić się po drugiej stronie globu.

Podobnie jak wtedy, gdy zabito Jaspera, nie miał jednak czasu na rozmyślania.

– Dwadzieścia sekund do uderzenia – oznajmił sternik Findiri.

Granger wyświetlił mapę na własnym urządzeniu.

– Skręć na północ! Czy silniki na sterburcie nadal działają? Skieruj się na północ!

Sternik przełączył kilka klawiszy.

– Mamy napęd na sterburcie, właśnie go włączyłem. Ale po co, człowieku?

– Steruj na Jezioro Kentucky. Wielki akwen na północy. Na pewno zauważysz.

Zbliżający się krajobraz bujnej zieleni zachodniego Tennessee wkrótce zmienił się w wyczekiwany widok.

Wodę.

Trzydzieści lat temu komandor Shelby Proctor pilotowała „Konstytucję” prosto na słone jezioro przy Salt Lake City, gdy Granger leżał nieprzytomny w izbie chorych. Tym razem to on skierował okręt wielkości małego miasta do lądowania w jeziorze. Co prawda na pokładzie nie było nieprzytomnej Proctor, ale nie robiło to żadnej różnicy.

Jednostka Findiri zadrżała, gdy uderzyła w wodę i pomknęła kilkanaście kilometrów, zanim zaczęła zwalniać. Gwałtowne fale wywołane lądowaniem poszarpały brzegi ogromnego jeziora, a Granger miał szczerą nadzieję, że nikomu nie wpadło do głowy, żeby sobie połowić, i wszystkie łodzie w porę schroniły się na przystaniach.

Już dość ludzi przez niego zginęło.

Zanim flagowiec wreszcie się zatrzymał, w głośnikach zabrzmiał głos admirała Diaza:

– Tim, ponieśliśmy spore straty, ale musisz wiedzieć o jednej.

Flagowiec Findiri znieruchomiał. Granger przeżył. Znowu.

Jednak serce mu zamarło, gdy usłyszał ton Diaza.

– Co się stało?

– Po tym waszym wyczynie okręt Roju skupił się na jednej z małych jednostek Findiri. Odstrzelił całkowicie część kadłuba. Kiedy reszta wraku zaczęła spadać na Karaiby, Rój przejął to, co zostało, i zwiął.

– Co tak zainteresowało Rój w tym kawałku kadłuba?

Varus przyjrzał się odczytom taktycznym i schematowi zapewne wzmiankowanej przez Diaza jednostki Findiri.

– Projektor tarczy osobliwości.

Na konsoli Grangera rozbłysła kontrolka sygnalizująca kolejną transmisję przychodzącą.

– Mam złe przeczucie, Joachin. Ale na razie niewiele można z tym zrobić. Co z Paradiso?

– Miała niezłe przyśpieszenie, kiedy się zbliżała do Ziemi, a w tej chwili leci w stronę orbity Jowisza. Z obliczeń wynika, że okrąży go i zacznie wracać ku Słońcu po trajektorii eliptycznej. Ziemia na razie jest bezpieczna, ale kto wie co się stało po tym wszystkim z jej orbitą.

– Ziemia jest bezpieczna, ale ludzie na Paradiso wręcz przeciwnie. Zmarzną, zanim planeta dotrze do Jowisza – mruknął Granger. – Joachin, przygotuj flotę Vestigium, niech weźmie zaopatrzenie, dokona jak najszybciej koniecznych napraw i przygotuje się do akcji. Chyba będziemy jej potrzebować, zanim ten bałagan się skończy.

– Liczyłem się z tym, Tim. Diaz, bez odbioru.

Granger przełączył się na inny kanał, aby odebrać kolejną transmisję. Ku jego zaskoczeniu na ekranie pojawiła się twarz Fiony Liu.

– Kapitanie Granger, dzięki Bogu, że pan żyje.
– Chyba Bóg nade mną czuwa. Gdzie Danny?
– Nie jest... – Młoda kobieta skrzywiła się w grymasie. – Nie czuje się dobrze. Stracił wiele krwi przez broń energetyczną Findiri. Na dodatek jego towarzysz Valarisi nie odpowiada... Nie potrafię tego wyjaśnić. – Nabrała głęboko tchu. – Ale nie dlatego próbowałam się z panem połączyć. Chodzi o admirała Proctor. Z nią... cóż, z nią też nie jest dobrze.

Granger poczuł ucisk w piersi.

– Co się stało?
– Valarisi. Próbowali czegoś. Czegoś złego, związanego ze światem robotów, który pan odnalazł. Admirał Proctor próbowała ich powstrzymać. W rezultacie musiała się rozdzielić ze swoim towarzyszem.

– Czy to jej nie zabije?
– Z tego, co mówi moja towarzyszka, Proctor wciąż żyje. Ale ledwie-ledwie. Chyba zapadła w głęboką śpiączkę, bo doznała silnej mentalnej traumy. Na szczęście jej okręt udało się uratować, przewodniczący Curiel pojawił się z flotą GKL oraz wsparciem Kalifatu i powstrzymał roboty strażnicze przed zniszczeniem „Niepodległości”.

Granger zastanowił się nad nowymi informacjami. Czyli Valarisi próbowali czegoś na bezimiennej planecie robotów, a Shelby to uniemożliwiła i omal nie przypłaciła tego życiem. Rój właśnie zdobył tarczę osobliwości, która – jak wszyscy w pobliżu Ziemi mogli się przekonać na własne oczy – umożliwiała przenoszenie nawet całych planet przez czas i przestrzeń. Wśród Findiri nastąpił rozłam, podzielili się i jakoś zmienili, a potem zwrócili przeciwko sobie. Talus zginął, ale pozostali Quiassi nadal ukrywali się wśród ludzi, a każdy knuł własne nikczemne plany.

No i jeszcze on. Tim Granger. Mężczyzna w wieku ponad trzynastu miliardów lat, który niedawno dowiedział się, że ma syna, a zaraz potem go stracił. Mężczyzna, który marzył o spokoju, jaki

zapewnić może tylko śmierć, ale zamiast tego prowadził walkę przeciwko wrogowi, który...

...przypomniawszy sobie wreszcie. Przeciwno Rojowi. Rojowi, który był wrogiem nie tylko ludzkości, ale wszelkiego życia. Przypomniawszy sobie. Rój powrócił. Pojawił się w miejscu i czasie, gdy rozgrywały się równoległe różne wydarzenia, pomocne w osiągnięciu celu Roju. A cel Roju był jasny...

Koniec wszechświata – całej linii czasu od samego początku tego uniwersum, a następnie ucieczka przed tą destrukcją do nowej rzeczywistości. Takiej, w której Rój będzie mógł rządzić przez kolejne eony, dopóki nie znajdzie następnego wszechświata. I jeszcze jednego. Nigdy się nie zatrzyma, będzie niszczyć wszelkie istnienie w jednym uniwersum po drugim, o ile tylko przedłuży to choć na chwilę egzystencję Roju.

Ale Tim Granger także przybył do tego czasu i miejsca tylko w jednym określonym celu – aby powstrzymać i zniszczyć Rój.

Czy mu się uda? Czas pokaże.

Epilog

UKŁAD SŁONECZNY ZIEMIA, NOWY JORK WIEŻOWIEC DEPARTAMENTÓW RZĄDOWYCH ZJEDNOCZONEJ ZIEMI

Dawny prezydent John Sepulveda za chwilę miał wrócić na to stanowisko. Dlaczego?

Ponieważ był największym prezydentem w historii Zjednoczonej Ziemi. Właśnie dlatego.

„Do diabła z tobą, Suzie Tompkins z klasy pani Dolworth” – pomyślał, gdy szedł ostatnim korytarzem do biura. Jej biura. Jego, nie jej. Już nie jej.

Szczerze mówiąc, większość ludzi uznałaby, że tylko cudem wydostał się z „Wyzwania”. Jednak wystarczyło trochę pochwał i komplementów, aby podbudować ego, a potem trochę polityki, kilka pośpiesznych obietnic, których nie zamierzał spełnić – nie musiał się za bardzo starać, żeby komandor Rice pozwolił mu odejść. Dodał nawet oficjalną eskortę w postaci promu Zjednoczonej Floty.

A teraz okupacja Ziemi przez Findiri kończyła się tak szybko, jak zaczęła. Talus nie żył. Varus, jego zastępca, chyba odnalazł Jezusa i narodził się na nowo, bo obiecał odbudować Ziemię i naprawić szkody.

I pozostał tylko on, John Sepulveda, największy prezydent, jakiego znała Zjednoczona Ziemia, który zmierzał pewnie do gabinetu BYŁEJ prezydent Cooper i uśmiechał się szeroko.

Drzwi otworzyły się przed nim, zanim sięgnął do klamki.

– Proszę wejść, panie Sepulveda – powiedział admirał Oppenheimer, który mu otworzył i już wyciągnął rękę na powitanie. Sepulveda uściskał ją czujnie.

– Admirale? Czy madame Cooper udzieliła panu amnestii, o której nie zostałem powiadomiony?

– Och, daruj sobie, John. Potrzebujemy go, a on nawet bardziej potrzebuje nas, co czyni naszego admirała bardzo użytecznym. – Cooper siedziała za biurkiem. Jego biurkiem.

Sepulveda usiadł naprzeciw i posłał jej miażdżące spojrzenie. Niech spróbuje powiedzieć cokolwiek innego niż: „Witamy ponownie, panie prezydencie, grzałam tylko panu fotel”.

– Na pewno okaże się przydatny po procesie. Mam tylko jedno pytanie: kiedy rozpocznie się ceremonia?

Cooper popatrzyła na niego bez zrozumienia.

– Przepraszam, jaka ceremonia?

– Inauguracja. Moja. Napisałaś już rezygnację?

Cooper odrzuciła głowę i parsknęła śmiechem.

Nie wróżyło to dobrze reszcie ich rozmowy.

– Cooper, mieliśmy umowę – zaczął. – Ustaliliśmy...

– Tak-tak. – Machnęła lekceważąco ręką. – Ustaliliśmy wiele spraw. Ale okoliczności uległy zmianie, John. Talus? Inni Quiassi? Na pewno już zacząłeś się domyślać, kim jest choć kilku z nich.

Sepulveda zmrużył oczy. Słyszał spekulacje Rice’a i Danny’ego Proctora, ale bez jakichkolwiek dowodów...

– To ty zostawiłaś notatkę, prawda? – stwierdził. – Na moim biurku. „Prezydent Avery żyje. I chce odzyskać to, co jej”.

Cooper skinęła głową.

– To ja. A raczej woźny na moją prośbę.

Wyznanie. Naprawdę była dawną prezydent Barbarą Avery. A raczej Quiassi, która przemieniła się w senator Cooper, gdy ta umierała na raka.

– Czyli próbowałaś namieszać mi w głowie. Wejść mi do głowy. Przestraszyć mnie, nie ostrzec.

– I to, i to, szczerze mówiąc. I wciąż próbuję wejść ci do głowy. Właśnie w tej chwili. – Uśmiechnęła się ironicznie.

– Nic z tego.

– Już mi się udało, John. – I nie czekając na odpowiedź, wstała i podniosła coś ze stolika obok. Walizkę, którą ustawiła na biurku przed Sepulvedą i otworzyła. – Widzisz, co jest w środku? To nieduży prototyp osłony transferującej moment pędu, którą wymyślili genialni naukowcy na stacji Smoleńsk.

– Bardzo by się przydała cztery dni...

– Zamknij się. Nie prosiłam, żebyś komentował.

Sepulveda był zbyt osłupiały, by zaprotestować. Przyglądał się tylko, jak uniosła urządzenie i wyjęła fałszywe dno walizki. Pod spodem znajdował się schowek. A w nim fiolka w metastrzykawce.

– A to? Rozpoznajesz?

– Powinienem?

Cooper roześmiała się ponownie.

– Pewnie nie. Nazwali to Sokiem. Naukowcom na Smoleńsku po czterech miesiącach wreszcie się udało. Dałam im ostatnie próbki materii Roju, aby stworzyli coś podobnego. A przynajmniej zmodyfikowali tę materię. To nie Rój, nic podobnego. Ale po wprowadzeniu do ludzkiego organizmu wytwarza takie same wirusy, które sprawiają, że zainfekowany osobnik staje się podatny... na perswazję. I podlega kontroli.

– Co zrobiłaś, Avery? – Sepulveda pokręcił głową. – Oszalałaś? Próbujesz odtworzyć Rój? Nie wystarczy, że już atakuje nas jeden okręt tych obcych? Chcesz stworzyć takich więcej?

Cooper wyprostowała się za biurkiem i założyła nogę na nogę. Nawet nie próbowała pilnować fiolki. Sepulveda mógłby ją po prostu zabrać, wybiec i ukryć gdzieś, gdzie nikt by jej nie użył.

– Już ci powiedziałam. To nie Rój. Ale pozwoli mi wreszcie, po eonach myślenia i planowania, całkowicie go pokonać. Raz na zawsze.

Pochyliła się, jakby chciała zaznaczyć, że przechodzi do najlepszej części.

– A to wcale nie koniec. Ze mną na czele ludzkości, jako przewodnikiem, obrońcą, filozofem i królem, będziemy bezpieczni przeciwko WSZYSTKIM zagrożeniom, jakie mogą się pojawić. Rój to tylko jedno z nich, a wszechświat jest wielki...

Chwileczkę...

– Powiedziałaś „król”?

Uśmiechnęła się.

Sepulveda chciał wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. I ramiona też. Właściwie całe ciało, oprócz ust.

– Mój Boże, czy ty... mnie otrułaś?

Cooper roześmiała się otwarcie.

– Och, John, jesteś uroczy. Nie, nie otrułam cię. Ale nasz dobry admirał zrobił to, co mu kazałam. Przekazał ci Sok przez dotyk.

Ten bezwład ogarniał nie tylko ciało, lecz także umysł Sepulvedy.

Próbował pomyśleć jedno, ale pojawiała się zupełnie inna myśl. Próbował przypomnieć sobie, jaki miał plan – chwycić fiolkę i uciec. Tak? Tak?

Wydawało się, że to bardzo zły plan.

– Tak, król. Bo widzisz, John, dawna prezydent Avery rzeczywiście wróciła i naprawdę chce tego, co, jak uważa, należy się jej. I w pewnym sensie już to ma. Ma to w postaci przywódcy Galaktycznego Kongresu Ludzkości i będzie miała jeszcze więcej, o ile dojdzie do skutku organizacja, którą próbuje stworzyć Proctor. Ale to brednie. Nie będziemy wchodzić w sojusze z obcymi, żeby walczyli z nami przeciwko obcym. Wszystko musi zostać w rodzinie, John.

– Jesteś nim... – wymamrotał z trudem Sepulveda.

– Kim, John? – zapytała tonem niewiniątka.

– Jesteś Małakow.

Cooper wyszczerzyła się w złośliwym uśmiechu i dotknęła palcem swojego nosa.

Sepulveda pamiętał czasy, gdy taka wiadomość wywołałaby w nim czujność i strach.

Teraz jednak wydawała się fantastyczna. Ten mężczyzna był przecież legendą. Kontrolował Konfederację Rosyjską przez dekady, zanim zniknął nagle tuż przed drugą wojną z Rojem.

– Co w takim razie zrobimy? – zapytał Sepulveda.

– No cóż... Najpierw... – Cooper wróciła na miejsce za biurkiem. Wskazała na Oppenheimera. – Najpierw go zabijesz.

– Po co? Przecież miał się nam przydać?

– Może. Ale przeszedł na stronę Findiri. To bezużyteczny, zdradziecki gnojek. Równie bezużyteczny jak kutas Findiri. Wiesz o nich, prawda? Ludzie, ale nie ludzie? Mężczyźni, ale niezupełnie? Ta ohyda stworzona przez Grangera. – Nie potrafiła nawet ukryć

swojej odrazy. A Sepulveda poczuł to samo. – Nawet pod moją kontrolą nie można mu ufać. Zastrzel go. Już.

Sepulveda wstał i podszedł do biurka. Otworzył górną szufladę, wyjął ukryty tam pistolet przymocowany pod blatem. Potem zbliżył się do Oppenheimera, uniósł broń i przytknął lufę do jego skroni. W oczach mężczyzny odmalowało się chyba błaganie, ale ani drgnął.

Sepulveda wystrzelił.

Krew zbryzgała ścianę, a ciało Oppenheimera osunęło się na podłogę.

– Dobrze. Teraz należy zająć się etapem drugim, czyli pozbyć się Proctor. Niedobrze dla niej, że jest taka inteligentna i sprytna.

Sepulveda skinął głową.

– Pełna zgoda. Ale nie słyszałaś? Proctor już nie żyje. Albo umiera. Jej pierwszy oficer poinformował mnie, że pozbyła się swojego towarzysza Valarisi.

Cooper rozpromieniła się na tę wieść.

– Och, to wspaniała wiadomość! Moi lojalni podwładni z Konfederacji Rosyjskiej zawiedli podczas wcześniejszych prób, ale najwyraźniej Proctor wykonała ich misję sama.

– Lojalni podwładni?

– John – zachichotała Cooper. – Jako Małakow nie zniknęłam bez powodu. Budowałam. W ukryciu. Zbierałam siły i atuty, które na pewno przydadzą się w ostatnie dni Roju. Wojna. Pierwsza wojna z Rojem. Druga wojna z Rojem. Pojawienie się go cztery miesiące temu, a teraz to? Wojna z Rojem nigdy się nie skończyła. Ale zakończy się teraz. Ja ją zakończę. My. Ty i ja. Naprawdę zostaniesz największym prezydentem w historii Zjednoczonej Ziemi, John.

Sepulveda uśmiechnął się promiennie. Ziemia będzie bezpieczna. A on wreszcie zdobędzie to, o czym marzył. A wszystko dzięki niej. Dzięki niemu, Małakowowi – temu genialnemu, wspaniałemu Quiassi.

KONIEC TOMU ÓSMEGO

Spis treści

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28

Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Epilog